

LINOWIEC Z SERYJNYM ZABÓJCĄ NA POKŁADZIE ZMIERZA WPROST DO PIEKŁA...

# KRĄG CIEMNOŚCI

DOUGLAS PRESTON & LINCOLN CHILD



**Douglas Preston**  
**Lincoln Child**

Krąg ciemności

Przełożyła Danuta Górka



Wersja elektroniczna

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)  
[31](#)  
[32](#)  
[33](#)  
[34](#)  
[35](#)  
[36](#)  
[37](#)  
[38](#)  
[39](#)  
[40](#)  
[41](#)  
[42](#)  
[43](#)  
[44](#)  
[45](#)  
[46](#)  
[47](#)  
[48](#)  
[49](#)  
[50](#)  
[51](#)  
[52](#)  
[53](#)  
[54](#)  
[55](#)  
[56](#)  
[57](#)  
[58](#)  
[59](#)  
[60](#)  
[61](#)  
[62](#)  
[63](#)  
[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[Epilog](#)

[Od autorów](#)

[Przypisy](#)

*Lincoln Child dedykuje tę książkę  
swojej córce, Veronice*

*Douglas Preston dedykuje tę książkę  
Natowi i Ravidzie,  
Emily, Andrew i Sarah*

# Podziękowania

Douglas Preston i Lincoln Child pragną wyrazić swoją wielką wdzięczność następującym osobom za ich nieocenioną pomoc: Jaime Levine, Jamie Raab, Ericowi Simonoff, Eadie Klemm, Evan Boorstyn, Jennifer Romanello, Kurtowi Rauscherowi, Claudii Rülke i Laurze Goeller.

Chcemy również podziękować kapitanowi Richardowi Halluska z *ISM Solutions* oraz *Videotel Marine International*, UK.

To jest utwór fikcyjny. Wszystkie postacie, korporacje, miejsca, wydarzenia, jednostki pływające oraz praktyki religijne, rytuały i ikonografie opisane w tej powieści są fikcyjne albo wykorzystane w celach fikcyjnych, a wszelkie podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, statków, osób, organizacji religijnych, instytucji rządowych albo korporacji jest niezamierzone i przypadkowe. W szczególności *Britannia*, statek linii North Star, oraz wszyscy odbywający służbę lub podróż na jej pokładzie są wytworem naszej wyobraźni.

W rozległej dolinie Llölung nie poruszało się niemal nic, jedynie dwie czarne plamki, niewiele większe niż spękane od mrozu głązy pokrywające dno doliny, pełzły po ledwie widocznym szlaku. Bezdrzewna dolina wyglądała jak wymarła; wiatr szeptał i chichotał pośród skał, wrzaski orłów przednich odbijały się echem od stoków. Dwie postacie na koniach zbliżały się do ogromnej ściany granitu, wysokiej na sześćset metrów, z której wypływała powoli strużka wody – źródło świętej rzeki Tsangpo. Szlak zniknął w wylocie wąwozu rozszczepiającego zbocze, pojawiał się ponownie wyżej, wycięty pod kątem w niemal pionowej skalnej ścianie, i wreszcie wspinał się na długą grań, by zniknąć ponownie wśród poszarpanych szczytów i rozpadlin. Ponad tą sceną górowały, przytłaczając mroźną potęgą i majestatem, trzy ogromne himalajskie szczyty – Dhaulagiri, Annapurna i Manaslu – na których powiewały pióropusze śniegu. Za nimi wzbierała kopia chmur burzowych barwy żelaza.

Dwie zakapturzone postacie brnęły przez dolinę, kuląc się w lodowatym wietrze. To był ostatni etap długiej podróży. Choć zbliżała się burza, jechali powoli, ponieważ konie niemal padały z wyczerpania. W pobliżu wylotu wąwozu przekroczyli bystry strumień raz, a potem ponownie. Stopniowo zanurzyli się w głąb wąwozu i znikli.



W wąwozie dalej wędrowali niewyraźnym szlakiem, który wspinał się ponad ryczącym strumieniem. Błękitny lód leżał w zacienionych miejscach, gdzie skalna ściana stykała się z podłożem zarzuconym głazami. Ciemne chmury mknęły po niebie, popychane coraz silniejszym wiatrem, który jęczał w wyższych partiach gór.

Szlak skręcił nagle u podstawy wielkiej skalnej ściany i biegł w górę stromym i przerażającym skrótem. Starożytna strażnica, zbudowana na wystającym cyplu skalnym, leżała w ruinach: cztery popękane kamienne ściany nie podtrzymywały już niczego, tylko kosy siedziały szeregiem na krawędzi. Przy samym początku stromego odcinka stał olbrzymi kamień *mani*, z wyrzeźbionymi tekstami tybetańskich modlitw, wygładzony i wypolerowany przez tysiące rąk tych, którzy potrzebowali błogosławieństwa, zanim podjęli niebezpieczną wspinaczkę na szczyt.

W strażnicy dwaj podróżni zsiadli z koni. Dalej musieli iść pieszo, prowadząc konie wąskim szlakiem, ponieważ pod niską przewieszką jeździec miałby za mało miejsca. Miejscami strome zbocza osunęły się, zabierając ze sobą szlak; te dziury zakryto surowymi deskami i żerdziami wkręconymi w skałę, które tworzyły szereg wąskich, trzeszczących mostków bez poręczy. Gdzie indziej szlak wznosił się tak stromo, że podróżni oraz ich wierzchowce musieli wspinać się po stopniach wykutych w kamieniu, wyslizganych i nierównych po przejściu niezliczonych pielgrzymów i zwierząt.

Wiatr zmienił się teraz, huczał w wąwozie i niósł płatki śniegu. Cień burzy padł na zbocze, pogrążył je w ciemności głębokiej jak noc. Jednak dwie postacie wciąż pięły się po stromiźnie, po oblodzonych schodach i pochyłościach. Wchodziły coraz wyżej, gdzie grzmot wodospadu budził dziwne echa wśród kamiennych ścian, łącząc się z narastającym wiatrem, niczym tajemnicze głowy przemawiające w nieznanym języku.

Kiedy wreszcie podróżni wyszli na grań, wiatr niemal zatrzymał ich w miejscu, szarpiąc za szaty i kłując odsłoniętą skórę. Skulili się i ciągnąc za sobą odporne konie, ruszyli dalej grzbietem, aż dotarli do pozostałości zrujnowanej wioski. Było to ponure miejsce – domy przewrócone przez jakiś pradawny kataklizm, belki potrzaskane i rozrzucone, gliniane cegły rozpuszczające się z powrotem w ziemi, z której zostały uformowane.

Pośrodku wioski wznosił się stos kamieni modlitewnych zwieńczony słupem, na którym trzepotały dziesiątki podartych modlitewnych flag. Po jednej stronie znajdował się starożytny cmentarz, lecz otaczający go murek zawalił się, a deszcz i wiatr otwarły groby. Czaszki i kości rozsypały się po długim, pochyłym rumowisku. Na widok dwójki przybyszów stado kruków poderwało się ze szczątków z donośnym łopotem, protestując ochrypłymi wrzaskami, które wzbijały się w ołowiane niebo.

Przy stosie kamieni jeden z podróżnych zatrzymał się i gestem kazał drugiemu zaczekać. Schylił się, podniósł stary kamień i dołożył do stosu. Potem stał przez chwilę pogrążony w medytacji, nie zważając na wiatr szarpiący jego szaty, aż wreszcie znowu ujął wodze konia. Ruszyli dalej.

Za opuszczoną wioską szlak na grani bardziej się zwał. Walcząc z naporem wiatru, dwie postacie człapały po ścieżce okrążającej górski masyw – aż wreszcie zaczęły dostrzegać blanki i pinakle ogromnej fortecy, ledwie widocznej na tle ciemnego nieba.

Był to klasztor Gsalrig Chongg, co można przetłumaczyć jako Klejnot Świadomości Pustki. Szlak biegł dalej po zboczu góry i stopniowo klasztor ukazał się w całości: masywne, wyblakłe czerwone ściany i skarpy wyrastające na nagiej granitowej skale, zwieńczone płataniną spiczastych dachów i wieżyczek, które tu i tam pobłyskiwały pokryciem z listków złota.

Klasztor Gsalrig Chongg jako jeden z nielicznych w Tybecie uniknął zniszczenia podczas inwazji Chińczyków, kiedy żołnierze wypędzili dalajlamę, zabili tysiące mnichów oraz zburzyli mnóstwo klasztorów i budowli sakralnych. Gsalrig Chongg oszczędzono częściowo ze względu na jego wyjątkowe oddalenie i sąsiedztwo spornej granicy z Nepalem, ale również wskutek zwykłego biurokratycznego przeoczenia: samo jego istnienie jakoś uszło uwagi władz. Nawet współczesne mapy Autonomicznego Regionu Tybetu nie podają położenia tego klasztoru, o co mnisi bardzo się starali.

Szlak prowadził przez strome osypisko, gdzie stado sępów zerowało na jakichś potrzaskanych kościach.

– Widocznie ktoś tu niedawno umarł – mruknął mężczyzna, wskazując ruchem głowy ciężkie ptaszyska, które skakały wokół bez cienia strachu.

– Jak to? – zapytał drugi podróżnik.

– Kiedy mnich umiera, ćwiartują jego ciało i rzucają na pożarcie dzikim zwierzętom. Uważa się za największy zaszczyt, jeśli czyjeś śmiertelne szczątki dostarczą pożywienia innym żywym istotom.

– Dziwaczny zwyczaj.

– Przeciwnie, logika jest nieskazitelna. To nasze zwyczaje są dziwaczne.

Szlak kończył się przy niewielkiej bramie w masywnym murze otaczającym klasztor. Brama była otwarta, obok stał buddyjski mnich, owinięty w szafranowe i szkarłatne szaty, trzymając zapaloną pochodnię, jakby na nich czekał.

Dwaj skuleni podróżnicy przeszli przez bramę, prowadząc konie. Pojawił się drugi mnich, w milczeniu wziął wodze i odprowadził wierzchowce do stajni.

Podróżni zatrzymali się przed pierwszym mnichem, ten zaś nic nie mówił, tylko czekał.

Pierwszy podróżnik zsunął kaptur, odsłaniając pociągłą, bladą twarz o wyrazistych rysach, niemal białe włosy i srebrzyste oczy agenta specjalnego Aloysiusa Pendergasta z Federalnego Biura Śledczego.

Mnich odwrócił się do drugiej postaci, która z ociąganiem zdjęła kaptur. Brązowe włosy rozsypały się na wietrze, chwytając wirujące płatki śniegu. Postać lekko pochyliła głowę, młoda kobieta po dwudziestce, o delikatnych rysach, subtelnie uformowanych ustach i wysokich kościach policzkowych – Constance Greene, wychowanka Pendergasta. Rozejrzała się szybko przenikliwym wzrokiem, któremu nic nie umknęło, zanim spuściła fiołkowe oczy.

Mnich patrzył na nią tylko przez chwilę. Bez komentarza odwrócił się i gestem kazał im pójść za nim kamienną alejką w stronę głównego kompleksu zabudowań.

Pendergast i jego podopieczna w milczeniu podążali za mnichem, który przeszedł przez drugą bramę i zanurzył się w ciemne wnętrza klasztoru, wypełnione wonią drewna sandałowego i wosku. Wielkie, okute żelazem drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem, tłumiąc wycie wiatru do odległego szeptu. Szli dalej długim korytarzem, gdzie po jednej stronie ciągnął się szereg młynków modlitewnych z brązu, które obracały się nieustannie ze skrzypieniem, napędzane przez jakiś ukryty mechanizm. Korytarz rozdwajał się i zakręcał, prowadząc dalej w głąb klasztoru. Przed nimi pojawił się następny mnich, który niósł duże świece w mosiężnych lichtarzach, oświetlające migotliwym blaskiem rzędy starożytnych fresków na ścianach.

Kręty labirynt doprowadził ich wreszcie do dużej sali. W jednym końcu dominował złoty posąg Padmasambhawy, tantrycznego Buddy, oświetlony przez setki świec. W przeciwieństwie do kontemplacyjnych, na wpół przymkniętych oczu większości wizerunków Buddy, tantryczny Budda miał oczy szeroko otwarte,

czujne i pełne życia, symbolizujące podwyższoną świadomość, którą osiągnął dzięki studiowaniu sekretnych nauk Dzogchen, a potem jeszcze bardziej ezoterycznych Chongg Ran.

Klasztor Gsalrig Chongg był jednym z dwóch ośrodków na świecie przechowujących doktrynę Chongg Ran, enigmatycznej wiedzy znanej nielicznym adeptom jako Klejnot Nietrwałości Umysłu.

Dwoje podróżnych zatrzymało się na progu tego wewnętrznego sanktuarium. W głębi kilku mnichów siedziało na amfiteatralnych kamiennych ławach. Milczeli, jakby na kogoś czekali.

Najwyższą ławę zajmował opat klasztoru. Wyglądał dość osobliwie, zmarszczki na jego starej twarzy wyrażały nieustanne rozbawienie, wręcz wesołość. Szaty wisiały na jego wychudzonym ciele niczym pranie rozwieszane na suszarce. Obok niego siedział nieco młodszy mężczyzna, również znany Pendergastowi: Tsering, jeden z bardzo nielicznych mnichów, którzy znali angielski, spełniający funkcję „zarządcy” klasztoru. Był to wyjątkowo dobrze zakonserwowany mężczyzna około sześćdziesiątki. Poniżej zasiadali rzędem, w liczbie dwudziestu, mnisi w różnym wieku, od nastolatków do starych i pomarszczonych.

Tsering wstał i przemówił po angielsku z dziwnym, muzycznym tybetańskim zaśpiewem:

– Przyjacielu Pendergaście, witamy cię ponownie w klasztorze Gsalrig Chongg i witamy twojego gościa. Proszę, siadajcie i napijcie się z nami herbaty.

Wskazał kamienną ławę z dwiema haftowanymi jedwabiem poduszkami – jedynymi poduszkami w pomieszczeniu. Dwoje przybyszy usiadło i po chwili kilku mnichów wniosło mosiężne tace, zastawione filiżankami parującej herbaty z masłem oraz *tsampą*[\[1\]](#). Pili słodką herbatę w milczeniu i dopiero kiedy skończyli, Tsering znowu się odezwał.

– Co sprowadza przyjaciela Pendergasta z powrotem do Gsalrig Chongg? – zapytał.

Pendergast wstał.

– Dziękuję ci, Tseringu, za powitanie – powiedział cicho. – Cieszę się, że znowu tu jestem. Wróciłem do was, żeby kontynuować moją podróż medytacji i oświecenia. Przedstawiam wam pannę Constance Greene, która również przybyła z nadzieją na naukę.

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie Tsering wstał. Podeszedł do Constance, stanął przed nią i spojrzał jej spokojnie w twarz. Potem wyciągnął rękę i dotknął jej włosów, ściskając je lekko palcami. Jeszcze delikatniej dotknął wypukłości jej piersi, najpierw jednej, potem drugiej. Constance ani drgnęła.

– Czy jesteś kobietą? – zapytał.

– Na pewno już widziałeś kobietę – odparła sucho.

– Nie – zaprzeczył Tsering. – Nie widziałem kobiety, odkąd tu przybyłem... w wieku dwóch lat.

Constance poczerwieniała.

– Bardzo przepraszam. Tak, jestem kobietą.

Tsering odwrócił się do Pendergasta.

– To pierwsza kobieta, która weszła do klasztoru Gsalrig Chongg. Nigdy przedtem nie przyjęliśmy kobiety na naukę. Przykro mi, ale nie możemy się zgodzić. Zwłaszcza teraz, w środku ceremonii pogrzebowych czcigodnego Ralanga Rinpocze.

– Rinpocze nie żyje? – zapytał Pendergast.

Tsering skłonił głowę.

– Zasmuca mnie wiadomość o śmierci Najwyższego Lamy.

Na te słowa Tsering się uśmiechnął.

– To nie strata. Odnajdziemy jego reinkarnację... dziewiętnastego Rinpocze... i on znowu będzie z nami. To mnie jest przykro, że muszę odmówić waszej prośbie.

– Ona potrzebuje waszej pomocy. Ja potrzebuję waszej pomocy. Oboje jesteśmy... znużeni światem. Przebyliśmy długą drogę, żeby odnaleźć spokój. Spokój i uzdrowienie.

– Wiem, jaką trudną podróż odbyliście. Wiem, jak wiele się spodziewacie. Ale Gsalrig Chongg istnieje od tysiąca lat bez obecności kobiety i to nie może się zmienić. Ona musi odejść.

Zapadło długie milczenie. A potem Pendergast podniósł oczy na wiekową, nieruchomą postać zajmującą najwyższe miejsce.

– Czy to jest również decyzja opata?

Początkowo nic się nie poruszyło. Gość mógłby nawet mylnie wziąć pomarszczoną postać za jakiegoś zgrzybiałego, szczęśliwego idiotę, bezmyślnie uśmiechającego się ze swojego honorowego miejsca. Po chwili jednak wyschnięty palec drgnął nieznacznie. Jeden z młodszych mnichów wszedł wyżej i nachylił się nad opatem, przysuwając ucho do jego bezzębnych ust. Potem wyprostował się i powiedział coś do Tseringa po tybetańsku.

Tsering przetłumaczył.

– Opat prosi kobietę, żeby powtórzyła swoje imię.

– Nazywam się Constance Greene – zabrzmiał cichy, lecz zdecydowany głos.

Tsering przetłumaczył na tybetański, chociaż imię i nazwisko sprawiło mu trochę trudności.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia, rozciągająca się na całe minuty.

Ponowne drgnienie palca; ponownie zgrzybiały mnich wymamrotał coś do ucha młodszego, który powtórzył głośniejszym głosem.

Tsering przetłumaczył:

– Opat pyta, czy to prawdziwe imię.

Constance kiwnęła głową.

– Tak, to moje prawdziwe imię i nazwisko.

Powoli wiekowy lama podniósł patykowate ramię i wskazał

mroczną ścianę sali palcem o wyjątkowo długim paznokciu. Wszystkie oczy zwróciły się w stronę świątynnego malowidła ukrytego pod udrapowaną kotarą, jedną z wielu wiszących na ścianach.

Tsering podszedł i odsunął kotarę, podnosząc wyżej świecę. Światło padło na obraz zadziwiająco barwny i bogaty w szczegóły: jaskrawozielone żeńskie bóstwo z ośmioma ramionami, siedzące na białym kręgu księżycy, a wokół niego wirujący bogowie, demony, chmury, góry i złoty filigran, jakby porwani sztormem.

Stary lama długo szeptał do ucha młodego mnicha, mamlając bezzębnymi ustami. Potem wyprostował się i uśmiechnął, podczas gdy Tsering tłumaczył.

– Jego Świątobliwość prosi, żeby zwrócić uwagę na obraz *tangka*[\[2\]](#) Zielonej Tary.

Rozległy się szmery i szuranie nogami, kiedy mnisi podnosili się z miejsc i z szacunkiem ustawiali się w półkolu przed obrazem, niczym studenci czekający na wykład.

Stary lama machnął kościstym ramieniem na Constance Greene, żeby dołączyła do półokręgu. Pospiesznie usłuchała, a mnisi rozsunęli się z szuraniem, żeby zrobić jej miejsce.

– To jest wizerunek Zielonej Tary – ciągnął Tsering, dalej tłumacząc mamrotane słowa starego lamy. – Ona jest matką wszystkich Buddów. Ona jest stała. Także mądra, aktywna umysłowo, szybko myśląca, hojna i nieustraszona. Jego Świątobliwość zaprasza kobietę, żeby podeszła bliżej i obejrzała mandalę Zielonej Tary.

Constance niepewnie zrobiła krok do przodu.

– Jego Świątobliwość pyta, dlaczego uczennica dostała imię Zielonej Tary.

Constance obejrzała się.

– Nie rozumiem.



– Nazywasz się Constance Greene. To miano zawiera dwa ważne atrybuty Zielonej Tary[3]. Jego Świątobliwość pyta, jak dostałaś to miano.

– Greene to moje nazwisko. Pospolite angielskie nazwisko, ale nie znam jego pochodzenia. A imię Constance nadała mi matka. Było popularne w... w czasach, kiedy się urodziłam. Wszelkie podobieństwo mojego imienia i nazwiska do Zielonej Tary to przypadek.

Teraz opat zaczął się trząść ze śmiechu i spróbował wstać z pomocą dwóch mnichów. Po chwili już stał, ale niepewnie, jakby wystarczyło go lekko trącić, żeby rozsypał się na kawałki. Dalej się śmiał, kiedy znowu przemówił, niskim, rżącym śmiechem, odsłaniając różowe dziąsła; niemal klekotał kośćmi z uciechy.

– Przypadek? Nie ma czegoś takiego. Uczennica robi śmieszny żart – przetłumaczył Tsering. – Opat lubi dobry żart.

Constance przeniosła wzrok z Tseringa na opata i z powrotem.

– Czy to znaczy, że pozwolicie mi się tutaj uczyć?

– To znaczy, że twoja nauka już się rozpoczęła – wyjaśnił uśmiechnięty Tsering.

## 2

W jednym z odległych pawilonów klasztoru Gsalrig Chongg Aloysius Pendergast siedział na ławie obok Constance Greene. Rząd kamiennych okien spoglądał ponad rozpadliną Llölung na wielkie szczyty Himalajów w oddali, oblane delikatną różową poświatą. Z dołu dochodził stłumiony ryk wodospadu przy wylocie doliny Llölung. Kiedy słońce zaszło za horyzont, trąba *dzung* zagrała głęboką, przeciągłą nutę, która zbudziła echo wśród szczytów i wąwozów.

Minęły prawie dwa miesiące. Nadszedł czerwiec, a wraz z nim wiosna zawitała na wysokie pogórza Himalajów. Zazieleniły się dna dolin, usiane dzikimi kwiatami, a kolcolist zakwitł różowo na zboczach.

Dwoje ludzi siedziało w milczeniu. Zostały im dwa tygodnie do końca pobytu.

*Dzung* znowu zagrała, kiedy płomienne światło zagasło na wielkim triumwiracie gór – Dhaulagiri, Annapurna, Manaslu – trzech z dziesięciu najwyższych szczytów świata. Zmierzch nadszedł szybko, zalał doliny jak czarna powódź.

Pendergast się wyprostował.

– Nauka dobrze ci idzie. Wyjątkowo dobrze. Opat jest zadowolony.

– Tak – odpowiedziała cicho, niemal z roztargnieniem.

Położył rękę na jej dłoni, jego dotyk był lekki i ulotny jak liść.

– Nie rozmawialiśmy o tym przedtem, ale chciałem zapytać, czy... wszystko poszło dobrze w klinice Feversham. Czy nie było żadnych komplikacji w... hm, procedurze. – Pendergast wydawał się nietypowo skrepowany i brakowało mu słów.

Constance nadal wpatrywała się w zimne, ośnieżone szczyty.

Pendergast się zawahał.

– Szkoda, że nie pozwoliłaś mi być z sobą.

Skłoniła głowę, wciąż milcząc.

– Constance, bardzo wiele dla mnie znaczysz. Może przedtem nie wyrażałem tego dostatecznie mocno. Jeśli tak, wybacz mi.

Constance niżej schyliła głowę, zarumieniona.

– Dziękuję. – Obojętność znikła z jej głosu, zastąpiona przez lekkie drżenie emocji. Nagle dziewczyna wstała, odwracając wzrok.

Pendergast też się podniósł.

– Przepraszam, Aloysius, ale chcę przez chwilę pobyć sama.

– Oczywiście.

Patrzył, jak jej smukła sylwetka oddala się coraz bardziej i wreszcie znika jak duch w kamiennym korytarzu. Potem przeniósł spojrzenie na górzysty krajobraz za oknem i popadł w głębokie zamyślenie.

Ciemność wypełniła pawilon, ucichł dźwięk *dzung*, tylko ostatnia nuta przez długie sekundy wibrowała wśród skał zamierającym echem. Wszędzie panował spokój, jakby świat zastygł z nadejściem nocy. A potem w atramentowych cieniach u podnóża pawilonu zmaterializowała się jakaś postać: stary mnich w szafranowej szacie. Skinął na Pendergasta wyschniętą ręką, wykonując specyficzny tybetański ruch nadgarstka, oznaczający: Chodź.

Pendergast powoli podszedł do mnicha. Ten odwrócił się i poczłapał w ciemność.

Pendergast ruszył za nim zaintrygowany. Mnich prowadził go przez mroczne korytarze w niespodziewanym kierunku, do celi, gdzie

przebywał słynny zamurowany pustelnik: mnich, który dobrowolnie pozwolił się zamurować w pokoiku ledwie wystarczająco dużym, żeby usiąść i medytować, zamknięty na całe życie, karmiony tylko raz dziennie chlebem i wodą, które podawano przez otwór powstały po przesunięciu jednej obluzowanej cegły.

Stary mnich przystanął przed celą, czyli zwykłą ciemną ścianą. Stare kamienie zostały wypolerowane przez tysiące dłoni: ludzie przychodzili tutaj prosić tego wyjątkowego pustelnika o mądrość. Podobno zamurowano go, gdy miał dwanaście lat. Teraz dobiegał setki i stał się wyrocznią słynącą z wyjątkowego daru proroctwa.

Mnich dwukrotnie stuknął w kamień paznokciem. Czekali. Po minucie jedyny luźny kamień w fasadzie zaczął się przesuwac, bardzo nieznacznie i powoli, szorując po tynku. Pojawiła się wyschnięta dłoń, biała jak śnieg, z przezroczystymi niebieskimi żyłami. Przekręciła kamień na bok, zostawiając małą szparkę.

Mnich nachylił się do otworu i wymamrotał coś zniżonym głosem. Potem obrócił głowę i słuchał. Mijały minuty, aż Pendergast usłyszał ze środka najcichszy szept. Mnich wyprostował się, widocznie zadowolony, i skinął na Pendergasta, żeby podszedł bliżej. Pendergast zrobił krok, patrząc, jak niewidoczna ręka przesuwac kamień z powrotem na miejsce.

Nagle rozległ się donośny zgrzyt, dochodzący jakby ze ściany obok kamiennej celi, gdzie pojawiła się szczelina. Powiększyła się do rozmiarów drzwi, które rozwarł z chrobotem jakiś niewidoczny mechanizm. Ze środka wionął osobliwy zapach nieznanego kadzidla. Mnich gestem kazał Pendergastowi wejść, a kiedy agent przekroczył próg, drzwi się zasunęły. Mnich nie wszedł za nim – Pendergast został sam.

Z mroków wyłonił się drugi mnich, który trzymał migoczącą świecę. Podczas ostatnich siedmiu tygodni spędzonych w Gsalrig

Chongg oraz przy poprzednich wizytach Pendergast poznał twarze wszystkich mnichów – a jednak tej nie znał. Zrozumiał, że właśnie wszedł do wewnętrznego klasztoru, o którym krążyły tylko szeptane, niepotwierdzone pogłoski – ukryte *sanctum sanctorum*. Wstępu do tego absolutnie zakazanego miejsca pilnował widocznie zamurowany anachoreta. To był klasztor w klasztorze, gdzie pół tuzina izolowanych mnichów spędzało całe życie na najgłębszej medytacji i nieprzerwanych studiach intelektualnych, nigdy nie widując zewnętrznego świata ani nawet nie kontaktując się bezpośrednio z mnichami z zewnętrznego klasztoru, pod strażą niewidzialnego pustelnika. Tak bardzo oderwali się od świata, słyszał kiedyś Pendergast, że promienie słońca mogłyby ich zabić, gdyby padły na ich skórę.

Ruszył za obcym mnichem przez wąski korytarz prowadzący w najgłębsze czeluście klasztorowego kompleksu. Ściany zrobiły się nierówne i Pendergast zorientował się, że to tunele wycięte w surowej skale; tunele otynkowane i ozdobione freskami przed tysiącem lat, malowidła już niemal zatarte przez dym, wilgoć i czas. Korytarz co chwila skręcał, mijali małe kamienne nisze z Buddami lub obrazami *tangka*, oświetlone świecami i owiane kadzidłem. Nikogo nie spotkali, nikogo nie widzieli – labirynt bezokiennych pomieszczeń i tuneli wydawał się opuszczony, wilgotny i cichy.

Wreszcie, po dłużącej się w nieskończoność wędrówce, dotarli do następnych drzwi, okutych naoliwionymi żelaznymi sztabami przymocowanymi za pomocą nitów do grubych płyt. Wyciągnięto następny klucz i drzwi z pewnym wysiłkiem zostały otwarte.

Za drzwiami znajdowało się małe, ciemne pomieszczenie, oświetlone tylko przez jedną lampkę maślaną. Ściany były wykładane starym, ręcznie wygładzonym drewnem, misternie intarsjowanym. W powietrzu unosił się wonny dym, żywiczny i gryzący. Dopiero po

chwili oczy Pendergasta zarejestrowały niezwykle fakt, że komnata była wypełniona skarbami. Pod ścianą naprzeciwko stały dziesiątki szkatulek okutych repusowanym[4] złotem, o wiekach szczelnie zamkniętych; obok piętrzyły się sterty skórzanych woreczków, częściowo przegniłych i popękanych, z których wysypywały się ciężkie złote monety – wszelkiego rodzaju, od dawnych angielskich suwerenów i greckich staterów po masywne indyjskie mughale. Dalej leżały małe drewniane beczułki, których klepki napęczniały i spróchniały, odsłaniając surowe i oszlifowane rubiny, szmaragdy, szafiry, diamenty, turkusy, turmaliny i oliwiny. W innych spoczywały sztabki złota oraz owalne japońskie kobany.

Po prawej znajdowały się skarby innego rodzaju: szalamaje[5] *kanglingi*[6] wykonane z hebanu, złota i kości słoniowej, inkrustowane klejnotami; dzwonki *dordże*[7] ze srebra i bursztynu; ludzkie czaszki wykończone szlachetnym metalem, pobłyskujące inkrustacjami z turkusów i koralu. Pod ścianą stał tłum srebrnych i złotych posągów, jeden był ozdobiony setkami gwiaździstych szafirów; opodal w drewnianych skrzynkach, na wyściółce ze słomy, spoczywały przezroczyste czarki, statuetki i tabliczki z najpiękniejszego nefrytu.

A zaraz po lewej skarb największy ze wszystkich: setki pojemników ciasno wypełnionych przez zakurzone zwoje, zrolowane *tanki*, rulony pergaminu i welinu związane jedwabnymi sznurkami.

Ten skarbiec wyglądał tak zdumiewająco, że dopiero po chwili Pendergast zauważył człowieka siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na poduszce w kącie.

Mnich, który przyprowadził agenta, skłonił się, złożony dłońmi, i wycofał się tyłem. Szczęknęły zamykane żelazne drzwi, zgrzytnął klucz w zamku. Mnich siedzący w kącie wskazał poduszkę obok siebie.

– Proszę usiąść – powiedział po angielsku.

Pendergast skłonił się i usiadł.

– Bardzo niezwykły pokój – stwierdził. Milczał przez chwilę. – I bardzo oryginalne kadzidło.

– Jesteśmy strażnikami klasztornych skarbów... złota, srebra i innych przemijających rzeczy, które świat nazywa bogactwem. – Mężczyzna przemawiał elegancką angielszczyzną z oksfordzkim akcentem. – Jesteśmy również kustoszami biblioteki i religijnych obrazów. „Kadzidło”, na które zwrócił pan uwagę, to żywica rośliny *dorzhan-qing*, spalana bez przerwy dla odstraszenia robactwa... żarłocznych korników, endemicznych dla wysokich Himalajów, gotowych zniszczyć w tym pokoju wszystko, co wykonano z drewna, papieru lub jedwabiu.

Pendergast kiwnął głową i skorzystał z okazji, żeby lepiej się przyjrzeć mnichowi. Mężczyzna był stary, lecz żylasty i w zadziwiająco dobrej kondycji. Czerwono-szafranowe szaty owijały go szczelnie. Głowę miał ogoloną, stopy białe i niemal czarne od brudu. Oczy błyszczały w gładkiej twarzy, która promieniowała inteligencją, niepokojem i troską.

– Z pewnością zastanawia się pan, kim jestem i dlaczego tu pana zaprosiłem – ciągnął mnich. – Nazywam się Thubten. Witam, panie Pendergast.

– Lama Thubten?

– W wewnętrznej świątyni nie używamy tytułów. – Mnich nachylił się do Pendergasta i spojrzał mu z bliska w twarz. – Rozumiem, że pańskie życiowe zajęcie to... nie bardzo wiem, jak to ująć... wtrącanie się w cudze sprawy, naprawianie krzywd i błędów? Rozwiązywanie zagadek, rozjaśnianie mroków tajemnicy?

– Nigdy nie słyszałem, żeby tak to nazywano. Ale owszem, ma pan rację.

Mnich wyprostował się, na jego twarzy odmalowała się ulga.

– To dobrze. Obawiałem się, czy nie popełniłem pomyłki. – Potem jego głos zniżył się niemal do szeptu. – Mamy tutaj zagadkę.

Zapadło długie milczenie.

– Proszę dalej – powiedział wreszcie agent.

– Opat nie może mówić wprost o tej sprawie. Dlatego zwrócił się do mnie, żebym go zastąpił. Jednak, chociaż sytuacja jest krytyczna, jakoś... trudno mi o tym mówić.

– Wszyscy okazujecie życzliwość mnie i mojej wychowanicy – powiedział Pendergast. – Teraz mam okazję, żeby jakoś się odwdzińczyć... jeśli potrafię.

– Dziękuję. Historia, którą panu opowiem, zawiera pewne szczegóły o tajnym charakterze.

– Może pan liczyć na moją dyskrecję.

– Najpierw opowiem panu trochę o sobie. Urodziłem się w odległej górzystej krainie nad jeziorem Manosawar w zachodnim Tybecie. Byłem jedynakiem i moi rodzice zginęli pod lawiną, zanim ukończyłem rok. Para angielskich przyrodników, małżeństwo prowadzące rozległe badania w Mandżurii, Nepalu i Tybecie, ulitowała się nad małym sierotą i adoptowała mnie nieformalnie. Przez dziesięć lat towarzyszyłem im w podróżach po dzikich krainach, gdzie przeprowadzali obserwacje, robili szkice i notatki. Potem pewnej nocy banda grasujących żołnierzy napadła na namiot. Zastrzelili męża i żonę, po czym spalili ich z całym dobytkiem. Ja jeden uciekłem.

Dwukrotnie stracić rodziców... wyobraża pan sobie, co czułem. Samotna wędrownica przywiodła mnie tutaj, do Gsalrig Chongg. Z czasem przyjąłem śluby i wstąpiłem do wewnętrznego klasztoru. Tutaj poświęcamy życie na ekstremalne ćwiczenia fizyczne i umysłowe. Zajmujemy się najgłębszymi, najświętszymi, najbardziej



enigmatycznymi aspektami egzystencji. Podczas studiowania Chong Ran dotknął pan pewnych prawd, które badamy na nieskończenie wyższych poziomach.

Pendergast skłonił głowę.

– W wewnętrznym klasztorze jesteśmy odcięci od wszelkiej egzystencji. Nie wolno nam patrzeć na świat dookoła, oglądać nieba, oddychać świeżym powietrzem. Całkowicie skupiamy się na zwróceniu do wewnątrz. To bardzo wielkie poświęcenie, nawet dla tybetańskiego mnicha, i dlatego jest nas tylko sześciu. Pilnuje nas pustelnik, nie wolno nam rozmawiać z ludźmi z zewnątrz, a ja pogwałciłem ten święty ślub, żeby porozmawiać z panem. Już samo to powinno dać panu pojęcie, jak poważna jest sytuacja.

– Rozumiem – powiedział Pendergast.

– Jako mnisi wewnętrznej świątyni mamy pewne obowiązki. Jesteśmy kustoszami klasztornej biblioteki, relikwii i skarbów, a także strażnikami... czegoś zwanego Agozyenem.

– Agozyenem?

– To najważniejszy obiekt w klasztorze, może w całym Tybecie. Przechowywany w zamkniętej krypcie, w tamtym kącie. – Wskazał niszę wykutą w kamieniu, z ciężkimi żelaznymi drzwiami, które stały otworem. – Wszystkich sześciu mnichów zbiera się tutaj raz na rok, żeby odprawić pewne rytuały zapobiegawcze nad kryptą Agozyena. Kiedy wypełnialiśmy ten obowiązek w maju, kilka dni przed waszym przybyciem, odkryliśmy, że Agozyena już tam nie ma.

– Został ukradziony?

Mnich kiwnął głową.

– Kto ma klucz?

– Ja. Jedyny.

– I krypta była zamknięta na klucz?

– Tak. Zapewniam pana, panie Pendergast, że to całkowicie

niemożliwe, żeby któryś z naszych mnichów popełnił ten występki.

– Wybaczy pan, jeśli podejde sceptycznie do tego zapewnienia.

– Sceptycyzm jest dobry – oświadczył mnich z osobliwym naciskiem i Pendergast zmilczał. – Agozyena nie ma już w klasztorze. Wiedzielibyśmy, gdyby był.

– Skąd?

– O tym się nie mówi. Proszę mi wierzyć, panie Pendergast, wiedzielibyśmy. Żaden z tutejszych mnichów nie przywłaszczył sobie tego przedmiotu.

– Czy mogę rzucić okiem?

Mnich kiwnął głową.

Pendergast wstał, wyjął z kieszeni małą latarkę, podszedł do krypty i obejrzał okrągłą dziurkę od klucza. Potem zbadał ją przez szkło powiększające.

– Dokonano włamania – oznajmił.

– Przepraszam. Włamania?

– Zamek otwarto bez klucza. – Zerknął na mnicha. – Na oko sądząc, wyłamano siłą. Mówił pan, że żaden z mnichów tego nie ukradł. Czy w klasztorze przebywali inni goście?

– Tak – potwierdził mnich z cieniem uśmiechu. – Prawdę mówiąc, wiemy, kto to ukradł.

– Ach – mruknął Pendergast. – To znacznie upraszcza sprawę. Proszę mi opowiedzieć.

– Na początku maja zjawił się u nas młody człowiek... alpinista. Dziwna wizyta. Przyszedł ze wschodu... z gór na nepalskiej granicy. Był ledwie żywy, załamany fizycznie i psychicznie. Był zawodowym himalaistą, jedynym ocalałym z ekspedycji na niezdobytą zachodnią ścianę Dhaulagiri. Lawina zmiotła wszystkich oprócz niego. Musiał trawersować i zejść po północnej ścianie, a stamtąd nielegalnie przekroczyć granicę Tybetu, chociaż nie z własnej winy. Szedł przez

trzy tygodnie, a w końcu czołgał się po lodowcach i dolinach, żeby do nas dotrzeć. Przeżył, jedząc jagodowe szczury, całkiem pożywne, jeśli złapie się takiego z żołądkiem pełnym jagód. Mało nie umarł. Pielęgnowaliśmy go, dopóki nie wyzdrowiał. Nazywa się Jordan Ambrose, to Amerykanin.

– Uczył się z wami?

– Nie bardzo go interesował Chongg Ran. Dziwne... z pewnością nie brakowało mu siły woli i sprawności umysłu, żeby osiągnąć sukces, przynajmniej taki, jaki stał się udziałem innych przybyszów z Zachodu... to znaczy oprócz tej kobiety. Constance.

Pendergast kiwnął głową.

– Skąd wiecie, że to on?

Mnich nie odpowiedział wprost.

– Chcielibyśmy, żeby pan go wytropił, znalazł Agozyena i przywiózł z powrotem do klasztoru.

Pendergast znowu przytaknął.

– Ten Jordan Ambrose... jak on wygląda?

Mnich sięgnął w zanadrze i wydobył maleńki, zwinięty arkusik pergaminu. Rozwiązał sznurek na ruloniku i rozwinął pergamin.

– Nasz malarz *tangk* wykonał jego podobiznę na moje żądanie.

Pendergast wziął zwój i mu się przyjrzał. Wizerunek przedstawiał młodego, wysportowanego, przystojnego mężczyznę przed trzydziestką, z długimi blond włosami i niebieskimi oczami, z twarzą wyrażającą fizyczną determinację, moralną swobodę oraz wysoką inteligencję. Artysta w niezwykle sposób uchwycił osobowość portretowanego.

– To się bardzo przyda – rzekł Pendergast, zwinął pergamin i wsunął do kieszeni.

– Czy potrzebuje pan więcej informacji, żeby znaleźć Agozyena? – zapytał mnich.

– Tak. Proszę mi dokładnie wyjaśnić, co to jest Agozyen.

W wyglądzie mnicha nastąpiła zaskakująca zmiana. Twarz stała się czujna, niemal zalekniona.

– Nie mogę – odparł drżącym głosem tak cicho, że agent ledwie dosłyszał.

– To konieczne. Jeśli mam to odzyskać, muszę wiedzieć, czego szukam.

– Źle mnie pan zrozumiał. Nie mogę panu powiedzieć, co to jest, ponieważ my tego nie wiemy.

Pendergast zmarszczył brwi.

– Jak to możliwe?

– Agozyen spoczywa zapieczętowany w drewnianej szkatułce, odkąd nasz klasztor otrzymał go na przechowanie przed tysiącem lat. Nigdy nie otwieraliśmy szkatułki... to surowo zabronione. Przekazywano ją od jednego rinpocze do drugiego, zawsze zapieczętowaną.

– Co to za szkatułka?

Mnich pokazał rękami wymiary, jakieś dziesięć na dziesięć centymetrów na metr dwadzieścia.

– Niezwykły kształt. Co według pana mogła zawierać skrzynka w takim kształcie?

– Cokolwiek długiego i cienkiego. Różdżkę albo miecz. Zwój albo zwinięty obraz. Może zestaw pieczęci albo sznury ze świętymi węzłami.

– Co oznacza nazwa „Agozyen”?

Mnich zawahał się.

– Ciemność.

– Dlaczego nie wolno otwierać skrzynki?

– Założyciel klasztoru, pierwszy Ralang Rinpocze, otrzymał ją od świętego męża w Indiach. Święty mąż wyrył na ścianie tekst

zawierający ostrzeżenie. Mam tutaj kopię tego tekstu, który przetłumaczę.

Lekko drżącą ręką wyjął mały zwój zapisany tybetańskim alfabetem, odsunął go na odległość ramienia i wyrecytował:

*Żeby do dharmy nie wypuścić  
cierpienia, zła i nieczystości,  
i ciemności z kręgu ciemności,  
niech Agozyen nie zna wolności.*

- *Dharma* odnosi się do nauk Buddy? – upewnił się Pendergast.
- W tym kontekście sugeruje coś jeszcze większego: cały świat.
- Niejasne i niepokojące.
- Po tybetańsku brzmi równie tajemniczo. Ale użyto bardzo potężnych słów. To poważne ostrzeżenie, panie Pendergast... bardzo poważne.

Pendergast zastanawiał się przez chwilę.

– Skąd obcy przybysz mógł wiedzieć tyle o tej skrzynce, żeby ją ukraść? Kiedyś spędziłem tutaj cały rok i nigdy o niej nie słyszałem.

– To wielka zagadka. Z pewnością żaden z naszych mnichów nigdy o niej nie wspominał. Odczuwamy najgłębszy lęk przed tą rzeczą, dlatego nigdy o niej nie mówimy, nawet między sobą.

– Ten facet, Ambrose, mógł jedną ręką zgarnąć klejnoty warte milion dolarów. Każdy zwykły złodziej zabrałby najpierw złoto i kamienie szlachetne.

– Może – powiedział mnich po chwili – on nie jest zwykłym złodziejem. Złoto, klejnoty... mówi pan o ziemskich skarbach. Przemijających skarbach. Agozyen...

– Tak? – ponaglił Pendergast.

Ale stary mnich tylko rozłożył ręce i spojrział na Pendergasta udreńczonym wzrokiem.

### 3

Czarny całun nocy właśnie zaczął się unosić, kiedy Pendergast mijał okute żelazem drzwi wewnętrznej bramy klasztoru. Przed nim, za zewnętrznym murem, wznosił się niewzruszony masyw Annapurny, obrysowany purpurą, wyłaniający się z blednącej ciemności. Pendergast przystanął na dziedzińcu brukowanym kocimi łbami, gdzie mnich w milczeniu przyprowadził jego konia. Chłodne powietrze przedświt było ciężkie od wilgoci i zapachu dzikich róż. Agent przerzucił sakwy przez kłęb zwierzęcia, sprawdził siodło, dopasował strzemiona.

Constance Greene patrzyła bez słowa, jak agent FBI kończy ostatnie przygotowania. Miała na sobie klasztorną szatę barwy wyblakłego szafranu i gdyby nie delikatne rysy oraz burza brązowych włosów, prawie mogłaby uchodzić za mnicha.

– Przepraszam, że cię wcześniej zostawiam, Constance. Muszę ruszyć za naszym człowiekiem, zanim trop ostygnie.

– Oni naprawdę nie mają pojęcia, co to jest?

Pendergast pokręcił głową.

– Oprócz nazwy i kształtu... nic.

– Ciemność... – mruknęła. Spojrzała na niego z niepokojem. – Na jak długo wyjeżdżasz?

– Najtrudniejsze już zrobione. Znam nazwisko złodzieja i wygląd.

Teraz tylko muszę go dogonić. Odzyskanie artefaktu powinno mi zająć tydzień, najwyżej dwa. Proste zlecenie. Za dwa tygodnie ukończysz naukę i dołączysz do mnie, żeby kontynuować naszą wycieczkę po Europie.

– Bądź ostrożny, Aloysius.

Pendergast uśmiechnął się blado.

– Ten człowiek nie sprawia wrażenia zabójcy, chociaż jego moralność budzi wątpliwości. Ryzyko jest minimalne. To proste przestępstwo, ale jedno mnie intryguje – dlaczego zabrał Agozyena i zostawił te wszystkie skarby? Podobno wcześniej nie interesował się tybetańską kulturą. Z tego wynika, że Agozyen to coś niebywale cennego i wartościowego... albo bardzo wyjątkowego pod jakimś względem.

Constance kiwnęła głową.

– Masz dla mnie jakieś polecenia?

– Odpoczywaj. Medytuj. Dokończ wstępny kurs nauki. – Przerwał na chwilę. – Nie bardzo wierzę, że nikt tutaj nie wie, co to jest Agozyen... na pewno ktoś zajrzał. Taka jest ludzka natura... nawet tutaj, wśród tych mnichów. Bardzo by mi pomogło, gdybym wiedział, co to takiego.

– Zajmę się tym.

– Doskonale. Wiem, że mogę liczyć na twoją dyskrecję. – Zawahał się. – Constance, muszę cię o coś zapytać.

Oczy jej się rozszerzyły, kiedy zobaczyła jego minę, ale głos pozostał spokojny.

– Tak?

– Nigdy nie mówiłaś o swoim pobycie w Feversham. W końcu pewnie poczujesz taką potrzebę. Kiedy przyłączysz się do mnie... jeśli będziesz gotowa... – ponownie wydawał się nietypowo zmieszany i niezdecydowany.

Constance odwróciła wzrok.

– Od tygodni – ciągnął – nie mówiliśmy o tym, co się stało. Ale prędzej czy później...

Odwróciła się do niego gwałtownie.

– Nie! – zawołała z mocą. – Nie. – Przerwała na chwilę, żeby się opanować. – Obiecuj mi coś: nigdy więcej nie wspominaj o nim ani o... Feversham... w mojej obecności.

Pendergast stał bez ruchu i przyglądał się jej uważnie. Widocznie uwiedzenie przez jego brata Diogenesa zraniło ją bardziej, niż przypuszczał. W końcu nieznacznie kiwnął głową.

– Obiecuję.

Potem wysunął ręce z jej dłoni i pocałował ją w oba policzki. Chwycił wodze, wskoczył na siodło, ubódł konia piętami, wyjechał przez zewnętrzną bramę i ruszył krętym szlakiem.



## 4

W podziemiach klasztoru Gsalrig Chongg, w pustej celi, Constance Greene siedziała w pozycji lotosu, z zamkniętymi oczami, wizualizując niezmiernie zawikłany węzeł na jedwabnym sznurze, który leżał przed nią na poduszce. Tsering siedział za nią w półmroku; słyszała tylko, jak mamrocze po tybetańsku. Uczyła się pilnie tego języka od prawie ośmiu tygodni i przyswoiła sobie skromne słownictwo oraz nieco potocznych zwrotów i idiomów.

– Zobacz węzeł w swoim umyśle – rozległ się cichy, hipnotyzujący głos nauczyciela.

Na życzenie węzeł zaczął się materializować, jakiś metr przed jej zamkniętymi oczami, promieniując światłem. Fakt, że siedzi na gołej, zimnej podłodze pokrytej skorupą saletry, odpłynął z jej świadomości.

– Widzisz go wyraźnie. Widzisz go stale.

Węzeł wyostrzył się, falując lekko albo się rozmywając, kiedy jej uwaga słabła, ale zawsze odzyskując wyrazistość.

– Twój umysł jest jak jezioro o zmierzchu – powiedział nauczyciel.  
– Spokojne, gładkie i czyste.

Constance doznała dziwnego wrażenia, że jest tutaj i jednocześnie jej nie ma. Węzeł, który wybrała do wizualizacji, pozostał przed nią. Należał do średnio skomplikowanych, zawiązany ponad trzysta lat temu przez wielkiego nauczyciela. Znany był pod nazwą Podwójnej

Róży.

– Powiększ obraz węzła w umyśle.

Trudno było zachować równowagę pomiędzy wysiłkiem a odprężeniem. Jeżeli zbyt mocno skupiała się na wyrazistości i stabilności, obraz zaczynał pękać i wdzierały się inne myśli; jeśli zbyt mocno się odprężyła, obraz rozmywał się w mgłach jej umysłu. Istniał idealny punkt równowagi i stopniowo – bardzo powoli – go odnalazła.

– Teraz spójrz na obraz węzła, który stworzyłaś w umyśle. Popatrz na niego ze wszystkich stron: z góry, z boków.

Miękko połyskujące sploty jedwabiu spoczywały przed oczami jej duszy, przynosząc spokojną radość, pełnię świadomości, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła. A potem głos nauczyciela całkowicie zanikł i pozostał tylko sam węzeł. Czas zniknął. Przestrzeń zniknęła. Pozostał tylko węzeł.

– Rozwiąż węzeł.

To była najtrudniejsza część, wymagająca ogromnej koncentracji – prześledzić sploty węzła, a potem rozwiązać go w myślach.

Czas mijał; mogło upłynąć dziesięć sekund albo dziesięć godzin.

Dłoń lekko dotknęła jej ramienia i jej oczy się otworzyły. Tsering stał obok niej z szatą zarzuconą na ramię.

– Jak długo? – zapytała po angielsku.

– Pięć godzin.

Wstała, ale nogi tak jej zdrętwiały, że ledwie mogła chodzić. Chwycił ją za ramię i podtrzymał.

– Dobrze się uczysz – powiedział. – Pilnuj, żeby nie czerpać z tego dumy.

Kiwnęła głową.

– Dziękuję.

Powoli przeszli korytarzem i skęcili za róg. Z góry dochodziły

słabe odgłosy młynków modlitewnych, budzące echa pod kamiennym sklepieniem.

Następny zakręt. Czuła się odświeżona, czysta, czujna.

– Co napędza te młynki modlitewne? – zapytała. – Nigdy nie przestają się obracać.

– Pod klasztorem jest źródło... stąd wypływa rzeka Tsangpo. Woda przepływa przez koła i obraca mechanizm.

– Pomysłowe.

Minęli ścianę skrzypiących, zgrzytających mosiężnych młynków, które przypominały wynalazki jakiegoś szalonego naukowca. Za nimi Constance widziała las ruchomych mosiężnych prętów i drewnianych kół zębatach.

Zostawili młynki za sobą i weszli do zewnętrznego korytarza. Przed nimi wznosił się jeden z dalszych pawilonów klasztoru, kwadratowe kolumny stanowiły ramę dla trzech wielkich szczytów. Weszli do pawilonu i Constance wciągnęła w płuca czyste górskie powietrze. Tsering wskazał jej miejsce, więc usiadła. On usiadł obok. Przez kilka minut w milczeniu spoglądali na ciemniejące góry.

– Medytacja, której się uczysz, jest bardzo potężna. Pewnego dnia możesz wyjść z medytacji i znaleźć węzeł... rozwiązany.

Constance nie odpowiedziała.

– Niektórzy potrafią wpływać na świat zewnętrzny czystą myślą, tworzyć coś z niczego. Istnieje historia o mnichu, który tak długo medytuje nad różą, że kiedy otwiera oczy, na podłodze leży róża. To bardzo niebezpieczne. Przy dostatecznej wprawie i medytacji niektórzy mogą tworzyć rzeczy... inne niż róże. Nie należy tego pragnąć i to poważne odstępstwo od nauk Buddy.

Przytaknęła, że rozumie, nie wierząc w ani jedno słowo.

Wargi Tseringa rozciągnęły się w uśmiechu.

– Ty sceptyczna osoba. To bardzo dobrze. Wierzysz czy nie,

uważnie wybieraj obraz, nad którym medytujesz.

– Tak zrobię – obiecała.

– Pamiętaj: chociaż mamy wiele „demonów”, większość nie jest zła. To więzi, które musisz zerwać, żeby osiągnąć oświecenie.

Kolejne długie milczenie.

– Masz pytanie?

Milczała przez chwilę, przypominając sobie pożegnalną prośbę Pendergasta.

– Powiedz mi. Po co jest wewnętrzny klasztor?

Tsering nie odpowiedział od razu.

– Wewnętrzny klasztor jest najstarszy w Tybecie, zbudowany tu w odległych górach przez grupę wędrownych mnichów z Indii.

– Czy go zbudowano, żeby strzec Agozyena?

Tsering spojrzał na nią ostro.

– O tym się nie mówi.

– Mój opiekun wyjechał, żeby go znaleźć. Na prośbę tego klasztoru. Może ja też bym pomogła.

Stary człowiek odwrócił wzrok, ale nie patrzył na krajobraz ponad pawilonem.

– Agozyen przywieziony tutaj z Indii. Zabrano daleko w góry, gdzie nie zagraża. Zbudowali wewnętrzny klasztor, żeby strzec i chronić Agozyena. Później zewnętrzny klasztor zbudowano wokół wewnętrznego.

– Czegoś nie rozumiem. Skoro ten Agozyen jest taki niebezpieczny, dlaczego po prostu go nie zniszczyć?

Mnich milczał przez bardzo długi czas. Potem powiedział cicho:

– Bo on ma ważny cel w przyszłości.

– Jaki cel?

Ale nauczyciel nie odpowiedział.

## 5

Jeep chwiejnie wytoczył się zza wzgórza, podskakując i chlupocząc na ogromnych, wypełnionych błotem wybojach, i zjechał na szeroką gruntową drogę prowadzącą do miasta Qiang w wilgotnej dolinie niedaleko chińsko-tybetańskiej granicy. Szara mżawka wsiąkała w wiszącą nad miastem chmurę brązowego dymu, który wydobywał się z grupy kominów na drugim brzegu brudnej rzeki obramowanej przez zwały śmieci.

Kierowca jeepa wyprzedził wyładowaną ciężarówkę, trąbiąc wściekle. Gwałtownym skrętem wyminął następną ciężarówkę na ostrym wirażu, aż pojazdem zarzuciło na skraj przepaści, i zaczął zjeżdżać do miasta.

– Na dworzec kolejowy – polecił kierowcy Pendergast po mandaryńsku.

– *Wei wei, xian sheng!*

Jeep wymijał pieszych, rowerzystów, wóz zaprzężony w parę wołów. Kierowca zahamował z piskiem opon w korku przed rondem, a dalej posuwał się centymetr po centymetrze, nieustannie naciskając klakson. Powietrze wypełniały spaliny oraz istna symfonia klaksonów. Wycieraczki rozprowadzały po przedniej szybie smugi błota, które anemiczny deszcz tylko rozmazywał, zamiast spłukać.

Za rondem szeroka aleja kończyła się przed niską budowlą

z szarego cementu. Kierowca zatrzymał się tam gwałtownie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Pendergast wysiadł i otworzył parasol. Powietrze cuchnęło siarką i oparami ropy naftowej. Wszedł na dworzec i przecisnął się przez tłumy ludzi, którzy przepychali się, wrzeszczeli, taszczyli ogromne worki i kosze na kółkach. Niektórzy nieśli żywe, skrupowane kury lub kaczkę, a jeden ciągnął nawet żałośnie kwiczącą świnię, przywiązaną na starym drucianym wózku sklepowym.

W głębi dworca tłum rzedniał i Pendergast znalazł to, czego szukał – ciemny korytarz prowadzący do biur urzędników. Minął przysypiającego strażnika i szybko przeszedł długim korytarzem, odczytując nazwiska na drzwiach. W końcu przystanął przed szczególnie sfatygowanymi drzwiami. Nacisnął klamkę, drzwi okazały się niezamknięte na klucz, więc wszedł bez pukania.

Chiński urzędnik, mały i okrągły, siedział za biurkiem zawalonym papierami. Po jednej stronie stał poobijany serwis do herbaty, z brudnymi, obtłuczonymi filiżankami. Biuro cuchnęło smaženiną i sosem hoisin.

Urzędnik zerwał się, oburzony tym wtargnięciem.

– Kto ty?! – ryknął złą angielszczyzną.

Pendergast stał z założonymi rękami i wyniosłym uśmiechem na twarzy.

– Czego chcesz? Wołam straż. – Urzędnik sięgnął po telefon, ale Pendergast szybko przechylił się i przycisnął słuchawkę do widełek.

– *Ba* – powiedział zniżonym głosem po mandaryńsku. – Przestań.

Twarz urzędnika poczerwieniała na tę kolejną zniewagę.

– Mam kilka pytań, na które chciałbym otrzymać odpowiedzi – ciągnął Pendergast chłodnym tonem, nadal w formalnym dialekcie mandaryńskim.

Na twarzy urzędnika odmalowały się kolejno wściekłość,

zmieszanie i obawa.

– Obrażasz mnie! – krzyknął wreszcie, również po mandaryńsku. – Wdzierasz się do mojego biura, dotykasz mojego telefonu, stawiasz żądania! Kim jesteś, że tak wchodzisz bez pytania i zachowujesz się jak barbarzyńca?

– Zechciej usiąść, łaskawy panie, zachowaj milczenie i słuchaj. Albo – Pendergast przerzucił się na nieformalny obelżywy styl – wyjedziesz stąd najbliższym pociągiem przeniesiony na placówkę w górach Kunlun.

Twarz urzędnika przybrała odcień purpury, ale milczał. Po chwili usiadł sztywno, położył ręce na biurku i czekał.

Pendergast również usiadł. Wyjął zwój otrzymany od Thubtena i podał urzędnikowi. Po chwili mężczyzna wziął go z ociąganiem.

– Ten człowiek przejeżdżał tędy przed dwoma miesiącami. Nazywa się Jordan Ambrose. Wiózł drewnianą szkatułkę, bardzo starą. Dał ci łapówkę, a ty wydałeś mu zezwolenie na wywóz szkatułki. Chciałbym zobaczyć kopię zezwolenia na wywóz.

Zapadła długa cisza. Potem urzędnik odłożył obrazek na biurko.

– Nie wiem, o czym pan mówi – odparł zadziornie. – Nie biorę łapówek. A zresztą przez ten dworzec przejeżdża mnóstwo ludzi. Nie pamiętam.

Pendergast wyjął z kieszeni płaskie bambusowe pudełko, otworzył je, przechylił do góry dnem i złożył na biurku równiutki stos nowych banknotów juanów, same setki. Urzędnik spojrzał na pieniądze i przełknął ślinę.

– Tego człowieka pamiętasz – oświadczył Pendergast. – Szkatułka była długa... półtora metra. Wyraźnie stara. Pan Ambrose nie mógłby przewieźć jej tędy ani wywieźć z kraju bez zezwolenia. Teraz, łaskawy panie, masz wybór: nagiąć swoje zasady i przyjąć łapówkę albo trzymać się zasad i skończyć w górach Kunlun. Jak pewnie się

domyślasz po moim akcencie i znajomości języka, chociaż jestem cudzoziemcem, znajomości w Chinach mam bardzo wysoko.

Urzędnik wytarł dłonie chusteczką. Wyciągnął rękę i nakrył pieniądze. Przyciągnął je do siebie i banknoty szybko znikły w szufladzie. Potem wstał. Pendergast też się podniósł. Mężczyźni podali sobie ręce i wymienili uprzejme, formalne powitania, jakby dopiero teraz się spotkali.

Urzędnik usiadł.

– Czy szlachetny pan napije się herbaty? – zapytał.

Pendergast spojrział na brudny, poplamiony serwis i uśmiechnął się.

– Będę wielce zaszczycony, łaskawy panie.

Mężczyzna krzyknął szorstko w stronę zaplecza. Nadbiegł truchcikiem podwładny i zabrał tacę. Po pięciu minutach przyniósł z powrotem parujący serwis. Biurokrata napełnił filiżanki.

– Pamiętam człowieka, o którym pan wspomniał – oznajmił. – Nie miał wizy na pobyt w Chinach. Miał długą szkatułkę. Chciał dostać wizę wjazdową, a także zezwolenie na wywóz. Załatwiłem mu jedno i drugie. To go... sporo kosztowało.

Zielona herbata long gin okazała się takiej jakości, że Pendergast się zdziwił.

– Oczywiście nie znał chińskiego. Opowiedział mi dość niezwykłą historię o przejściu z Nepalu do Tybetu.

– A szkatułka? Mówił coś o niej?

– Mówił, że to zabytkowa rzecz, którą kupił w Tybecie... zna pan tych brudnych Tybetańczyków, sprzedają własne dzieci za kilka juanów. W Autonomicznym Regionie Tybetu pełno jest staroci.

– Pytałeś, co to jest?

– Mówił, że rytualny sztylet *phur-bu*.

Poszperał w szufladzie, przerzucił trochę papierów i wyciągnął zezwolenie. Podsunął je Pendergastowi, który zerknął na dokument.



– Ale szkatułka była zamknięta na klucz i nie chciał jej otworzyć – ciągnął urzędnik. – To go kosztowało jeszcze więcej, skoro nie pokazał zawartości.

Biurokrata uśmiechnął się, odsłaniając rząd poplamionych herbatą zębów.

– Jak myślisz, co tam było?

– Nie mam pojęcia. Heroina, waluta, klejnoty? – Rozłożył ręce.

Pendergast wskazał na zezwolenie.

– Tutaj napisano, że on pojedzie pociągiem do Chengdu, potem chińskimi liniami polecą do Pekinu i przesiądzie się na lot do Rzymu. Czy to prawda?

– Tak. Zażądałem, żeby mi pokazał bilet. Gdyby wyjechał z Chin inną trasą, groziłoby mu zatrzymanie. Zezwolenie dotyczy tylko Qiang-Chengdu-Pekin-Rzym. Więc na pewno tamtędy poleciał. Oczywiście, jak już wylądował w Rzymie... – Znowu rozłożył ręce.

Pendergast przepisał informacje o podróży.

– Jak on się zachowywał? Był zdenerwowany?

Biurokrata myślał przez chwilę.

– Nie. Bardzo dziwne. Wydawał się... radosny. Wylewny. Niemal w euforii.

Pendergast wstał.

– Dziękuję ci bardzo serdecznie za herbatę, *xian sheng*.

– A ja dziękuję panu, najłaskawszy panie – odparł urzędnik.

Godzinę później Pendergast wsiadł do wagonu pierwszej klasy wspaniałego ekspresu transchińskiego, jadącego do Chengdu.



Constance Greene wiedziała, że mnisi w klasztorze Gsalrig Chongg żyją według ustalonego rozkładu dnia: medytacja, nauka i sen, z dwiema przerwami na herbatę i posiłki. Na sen wyznaczono godziny od ósmej wieczorem do pierwszej nad ranem. Ten harmonogram nigdy się nie zmieniał i prawdopodobnie pozostał taki sam od tysiąca lat. Zatem Constance miała pewność, że o północy nie spotka nikogo w rozległym klasztorze.

A więc punktualnie o dwunastej, tak jak w poprzednie trzy noce, odrzuciła szorstką skórę jaka służącą jej za kołdrę i usiadła w łóżku. Ciszę mąciło tylko odległe wycie wiatru w zewnętrznych pawilonach klasztoru. Constance wstała i włożyła szatę. W celi panował przenikliwy chłód. Podeszła do małego okienka i otworzyła drewnianą okiennicę. Zimny przeciąg dmuchnął przez ramy pozbawione szyb. Za oknem, w mroku nocy, samotna gwiazda migotała wysoko na tle aksamitnej czerni.

Constance zamknęła okno i podeszła do drzwi, gdzie się zatrzymała i nasłuchiwała. Wszędzie panowała cisza. Po chwili dziewczyna otworzyła drzwi, wysliznęła się do holu i przeszła długim zewnętrznym korytarzem. Minęła młynki modlitewne, bez końca wysyłające w niebo skrzypliwe błogosławieństwa, i ruszyła korytarzem prowadzącym głęboko w labirynt pomieszczeń, szukając

zamurowanego pustelnika, który strzegł wewnętrznego klasztoru. Chociaż Pendergast opisał w przybliżeniu położenie sanktuarium, kompleks klasztorny był tak rozległy, a korytarze tak poplątane, że odnalezienie go okazało się prawie niemożliwe.

Lecz tej nocy, po wielu zakrętach dotarła wreszcie do wypolerowanej kamiennej ściany przed celą pustelnika. Luźna cegła znajdowała się na miejscu, z krawędziami wytartymi i wyszczerbionymi od ciągłego przesuwania. Constance zapukała w nią kilka razy i czekała. Mijały minuty, a potem cegła przesunęła się odrobinę; z cichym zgrzytem zaczęła się obracać. Z ciemności wychynęła para kościstych palców, jak długie białe robaki, chwyciła brzeg cegły i przekręciła ją tak, że powstał niewielki otwór.

Constance starannie przygotowała sobie zawczasu to, co chciała powiedzieć po tybetańsku. Teraz nachyliła się do otworu i szepnęła:

– Wpuść mnie do wewnętrznego klasztoru.

Odwróciła się i przyłożyła ucho do dziury. Odpowiedział jej słaby, szeleszczący, owadzi głos. Wyteżyła słuch, żeby zrozumieć.

– Wiesz, że to zabronione?

– Tak, ale...

Zanim zdążyła dokończyć, usłyszała szuranie i fragment ściany obok celi zaczął się poruszać, otwierać wzdłuż starego kamiennego łączenia, odsłaniając ciemny korytarz. Constance była zaskoczona – pustelnik nawet nie czekał na jej przemyślnie opracowane wyjaśnienie.

Uklękła, zapaliła smoczą laskę kadzidła i weszła do środka. Ściana się zamknęła. Przed nią ciągnął się mroczny korytarz, cuchnący wilgocią, mokrymi kamieniami i przesłodzonym żywicznym pachnidłem. W powietrzu unosiła się mgiełka kadzidła.

Constance zrobiła krok do przodu, podnosząc kadzidło. Płomyk zamigotał jakby w proteście. Ruszyła długim korytarzem o ciemnych

ścianach pokrytych wyblakłymi freskami, które przedstawiały niepokojące wizerunki obcych bóstw i tańczących demonów.

Widocznie w wewnętrznym klasztorze mieszkało niegdyś znacznie więcej mnichów niż teraz. Wydawał się ogromny, zimny i pusty. Constance nie wiedziała, dokąd idzie, nawet nie miała żadnego planu – jedynie odnaleźć mnicha, z którym rozmawiał Pendergast, i dalej go wypytywać – kiedy pokonywała kolejne zakręty i przecinała rozległe, opuszczone sale, kątem oka dostrzegając wymalowane na ścianach *tangki* i mandale, niemal zatarte przez czas. W jednym pokoju samotna, zapomniana świeca dogasała przed starożytnym posągami Buddy z zaśnieżonego brązu. Laska kadzidła, która dawała światło, zaczęła skwierczeć. Constance wyjęła następną z kieszeni i zapaliła. Zapach drewna sandałowego wypełnił przejście.

Skręciła za następny róg i zatrzymała się. Stał tam mnich, wysoki, wychudzony, w postrzępionej szacie, o zapadniętych oczach patrzących z dziwnym, niemal zarliwym skupieniem. Zajrzała mu w twarz. Nic nie powiedział ani się nie poruszył.

Wtedy sięgnęła do kaptura, zrzuciła go i pozwoliła, żeby brązowe włosy rozsypały jej się na ramiona.

Oczy mnicha rozszerzyły się, ale tylko nieznacznie. Ciągle milczał.

– Witaj – powiedziała Constance po tybetańsku.

Mnich lekko skłonił głowę. Dalej wpatrywał się w nią wielkimi oczami.

– Agozyen – powiedziała.

Nadal żadnej reakcji.

– Przychodzę zapytać, co to jest Agozyen – wydukała swoim słabym tybetańskim.

– Czemu tu jesteś, mały mnichu? – zapytał cicho.

Constance zrobiła krok w jego stronę.

– Czym jest Agozyen? – powtórzyła z większym naciskiem.

Zamknął oczy.

– Twój umysł to kłębowisko podniecenia, młodzieńcze.

– Muszę wiedzieć.

– Musisz – powtórzył.

– Co robi Agozyen?

Otworzył oczy. Odwrócił się i odszedł. Po chwili ruszyła za nim.

Mnich wędrował przez niezliczone wąskie przejścia i esowate zakręty, w górę i w dół po schodach, przez prymitywnie wyciosane tunele i długie, zdobione freskami sale. Wreszcie przystanął przed kamiennymi odrzwiami zakrytymi postrzępioną pomarańczową zasłoną. Odgarnął na bok zasłonę i Constance ze zdumieniem ujrzała trzech mnichów siedzących na kamiennych ławach, jakby odbywali naradę. Płonęły świece ustawione przed połączonym posągiem siedzącego Buddy.

Jeden z mnichów wstał.

– Proszę, wejdz – powiedział zdumiewająco płynną angielszczyzną.

Constance ukłoniła się. Czyżby na nią czekali? To wydawało się niemożliwe. A jednak nie widziała innego logicznego wyjaśnienia.

– Uczę się u lamy Tseringa – powiedziała, wdzięczna za przejście na angielski.

Mnich kiwnął głową.

– Chcę się dowiedzieć o Agozyenie – ciągnęła.

Odwrócił się do pozostałych i zaczął mówić po tybetańsku.

Constance usiłowała wychwycić sens jego wypowiedzi, ale mówił zbyt cicho. Wreszcie znowu odwrócił się do niej.

– Lama Thubten powiedział detektywowi wszystko, co wiemy – oświadczył.

– Wybacz, ale nie wierzę.

Mnich wydawał się zaskoczony jej bezpośredniością, ale szybko ochłonął.

– Dlaczego mówisz w ten sposób, dziecko?

W pokoju panował przeraźliwy ziąb i Constance zaczęła dygotać. Ciasno otuliła się szatą.

– Może nie wiecie dokładnie, czym jest Agozyen, ale znacie jego cel. Jego przysły cel.

– Jeszcze nie pora, żeby go wyjawić. Agozyen został nam odebrany.

– To znaczy odebrany przedwcześnie?

Mnich pokręcił głową.

– Byliśmy jego strażnikami. To konieczne, żeby nam go zwrócono, zanim... – Urwał.

– Zanim co?

Mnich tylko dalej kręcił głową, a nikłe światło podkreślało bruzdy zatroskania na jego surowej, wychudłej twarzy.

– Musicie mi powiedzieć. To pomoże Pendergastowi, pomoże nam zlokalizować ten przedmiot. Nie zdradzę tego nikomu prócz niego.

– Zamknijmy oczy i medytujmy – powiedział mnich. – Medytujmy i módlmy się za jego szybkie i bezpieczne odzyskanie.

Constance przełknęła ślinę i spróbowała uspokoić umysł. To prawda, działała impulsywnie. Jej zachowanie z pewnością zaszokowało mnichów. Ale złożyła Aloysiusowi obietnicę i zamierzała jej dotrzymać.

Mnich rozpoczął śpiewną recytację, a inni podjęli śpiew. Dziwne, mruczone, powtarzane dźwięki wypełniły jej umysł i stopniowo gniew, rozpaczliwe pragnienie, żeby wiedzieć więcej, wypłynęły z niej jak woda z przedziurawionego naczynia. Silna potrzeba spełnienia prośby Pendergasta nieco osłabła. Umysł stał się skupiony, niemal spokojny.

Śpiew umilkł. Powoli otworzyła oczy.

– Czy wciąż namiętnie poszukujesz odpowiedzi na swoje pytanie?

Upłynęła długa chwila milczenia. Constance przypomniała sobie

jedną z lekcji – naukę o pożądaniu. Skłoniła głowę.

– Nie – skłamała. Chciała tej odpowiedzi najbardziej na świecie.

Mnich uśmiechnął się.

– Wiele się musisz nauczyć, mały mnichu. Wiemy doskonale, że potrzebujesz tej informacji, że pragniesz tej informacji i że ona ci się przyda. Niedobrze dla ciebie, że jej szukasz. Ta informacja jest niezwykle niebezpieczna. Może zniszczyć nie tylko twoje życie, lecz także twoją duszę. Może na zawsze zamknąć przed tobą drogę do oświecenia.

Podniosła wzrok.

– Potrzebuję jej.

– Nie wiemy, czym jest Agozyen. Nie wiemy, skąd się wziął w Indiach. Nie wiemy, kto go stworzył. Ale wiemy, dlaczego został stworzony.

Constance czekała.

– Został stworzony, żeby wyrzucić straszliwą zemstę na świecie.

– Zemstę? Jaką zemstę?

– Żeby oczyścić ziemię.

Z powodów niejasnych dla niej samej Constance nie była pewna, czy chce słuchać dalej. Zmusiła się, żeby zapytać:

– Oczyścić... jak?

Twarz mnicha wyrażała teraz niemal smutek.

– Bardzo żałuję, że obarczam cię tą trudną wiedzą. Kiedy ziemię zaleje przemoc, chciwość, egoizm i zło, Agozyen oczyści ziemię z ludzkiego brzemienia.

Constance znowu przełknęła.

– Chyba nie rozumiem.

– Oczyści ziemię całkowicie z ludzkiego brzemienia – wyjaśnił mnich bardzo cicho. – Żeby wszystko mogło się zacząć na nowo.

## 7

Aloysius Pendergast zszedł z *vaporetto* na Ca'd'Oro i przystanął ze skórzaną aktówką w ręku. Był ciepły letni dzień w Wenecji, słońce błyszczało na wodach Canale Grande i rozświetlało misterne marmurowe fasady *palazzi*.

Pendergast zerknął na małą karteczkę i poszedł nabrzeżem w stronę labiryntu uliczek prowadzących na północny wschód, do Chiesa dei Gesuiti. Wkrótce zostawił za sobą miejski zgiełk i zanurzył się głęboko w cienisty chłód bocznych uliczek, biegnących za pałacami wzdłuż Canale Grande. Muzyka wylewała się z restauracji, po tylnym kanale kursowała mała motorówka, tworząc fale, które chlupotały pod marmurowymi i trawertynowymi mostkami. Jakiś mężczyzna wychylił się z okna i zawołał przez kanał do kobiety, która wybuchnęła śmiechem.

Po jeszcze kilku zakrętach Pendergast dotarł do drzwi z wytartym brązowym przyciskiem dzwonka i zwykłą wizytówką: *Dott. Adriano Morin*. Nacisnął dzwonek raz i czekał. Po chwili usłyszał w górze skrzypienie otwieranego okna i podniósł wzrok. Z okna wyglądała jakaś kobieta.

- Czego pan chce? – zapytała po włosku.
  - Mam umówioną wizytę u *il Dottore*. Nazywam się Pendergast.
- Głowa się schowała i po chwili drzwi się otworzyły.



– Niech pan wejdzie – powiedziała kobieta.

Pendergast wszedł do małego przedpokoju ze ścianami obitymi czerwonym brokatem i podłogą z czarnych i białych marmurowych płyt. Pomieszczenie ozdabiała wspaniała okazy azjatyckiej sztuki – starożytna głowa Khmera z Kambodży; tybetańskie *dordże* z czystego złota nabijane turkusami; kilka starych *tangk*; iluminowany manuskrypt mogolski w szklanej gablocie; głowa Buddy z kości słoniowej.

– Proszę usiąść – powiedziała kobieta i zajęła miejsce za małym biurkiem.

Pendergast usiadł, położył aktówkę na kolanach i czekał. Wiedział, że doktor Morin należał do najbardziej osławionych europejskich handlarzy starożytnościami „niewiadomego pochodzenia”. W gruncie rzeczy był czarnorynkowym dilerem wysokiego szczebla, jednym z wielu, którzy otrzymywali zagrabione skarby z różnych skorumpowanych krajów Azji, zaopatrywali je w fałszywe dokumenty, a następnie sprzedawali na legalnym rynku sztuki kolekcjonerom i muzeom, mającym dość rozsądku, żeby nie zadawać pytań.

Po chwili Morin stanął w drzwiach, schludny i elegancki, z doskonale wymanikiurowanymi paznokciami, z drobnymi stopami w znakomitych włoskich półbutach i ze starannie ufryzowaną brodą.

– Pan Pendergast? Jak miło.

Podali sobie ręce.

– Proszę za mną – powiedział gospodarz.

Pendergast wszedł za nim do długiego salonu z szeregiem gotyckich okien wychodzących na Canale Grande. Podobnie jak w przedpokoju, tutaj również znajdowało się mnóstwo cennych azjatyckich dzieł sztuki. Morin wskazał miejsce i usiadł. Gospodarz wyjął z kieszeni złotą papierośnicę, otworzył ją z trzaskiem i podsunął gościowi.

– Nie, dziękuję.

– Pozwoli pan?

– Oczywiście.

Morin wyłuskał papierosa z papierošnicy i elegancko załozyl nogę na nogę.

– A więc, panie Pendergast. Czym mogę panu służyć?

– Ma pan przepiękną kolekcję, doktorze Morin.

Morin ušmiechnęł się, szerokim gestem ukazując pokój.

– Sprzedaję tylko poprzez prywatne kontakty. Oczywiście nie udostępniamy tych zbiorów publicznie. Od jak dawna pan kolekcjonuje? Nie natknęł się wcześniej na pańskie nazwisko, a pochlebiam sobie, że znam prawie wszystkich w tej branży.

– Nie jestem kolekcjonerem.

Morin zrobił przerwę na zapalenie papierosa.

– Nie jest pan kolekcjonerem? Widocznie źle pana zrozumiałem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– Nie zrozumiał pan źle. Skłamałem.

Teraz dłoń znieruchomiała i tylko smużka dymu wiła się w powietrzu.

– Słucham?

– W rzeczywistości jestem detektywem. Pracuję na prywatne zlecenie, szukam skradzionego przedmiotu.

Morin przemówił spokojnie:

– Skoro pan przyznaje, że nie przyszedł pan w oficjalnym charakterze, i skoro dostał się pan tutaj pod fałszywym pozorem, ta rozmowa niestety dobiegła końca. – Wstał. – Miłego dnia, panie Pendergast. Lavinia pana wyprowadzi.

Kiedy odwrócił się, żeby wyjść z pokoju, Pendergast powiedział do jego pleców:

– Przy okazji, ta khmerska rzeźba w kącie pochodzi z Banteay

Chhmar w Kambodży. Zrabowano ją zaledwie przed dwoma miesiącami.

Morin zatrzymał się w połowie drogi do drzwi.

– Jest pan w błędzie. Ona pochodzi ze starej szwajcarskiej kolekcji. Mam dokumenty, żeby to udowodnić. Podobnie jak na wszystkie przedmioty w mojej kolekcji.

– A ja mam fotografię właśnie tego przedmiotu *in situ*, w murze świątyni.

Morin zawołał:

– Lavinio! Proszę, zadzwoń na policję i powiedz, że mam w domu nieproszonego gościa, który nie chce wyjść.

– A ten szesnastowieczny Sri Chakrasamwara i Wajrawarahi z Nepalu zostały wywiezione ze sfalszowanym zezwoleniem. Nic takiego nie może opuścić Nepalu legalnie.

– Zaczekamy na policję czy wyjdzie pan dobrowolnie?

Pendergast spojrział na zegarek.

– Chętnie zaczekam. – Poklepał swoją teczkę. – Mam tutaj wystarczająco dużo dokumentów, żeby dostarczyć Interpolowi zajęcia na lata.

– Nic pan nie ma. Wszystkie okazy mają legalne, starannie sprawdzone pochodzenie.

– Jak ta *kapata*[\[8\]](#) oprawiona w srebro i złoto? Legalna... bo to współczesna kopia. A może pan próbuje ludziom wmówić, że jest oryginalna?

Zapadło milczenie. Magiczne światło Wenecji sączyło się przez okna, wypełniając wspaniały salon złocistą mgiełką.

– Kiedy przyjedzie policja, każę pana aresztować – powiedział w końcu Morin.

– Tak, i niewątpliwie skonfiskują zawartość mojej teczki... która ich bardzo zainteresuje.

– Pan jest szantażystą.

– Szantażystą? Niczego nie żądam. Po prostu ustalam fakty. Na przykład ten dwunastowieczny Wisznu z małżonkami, rzekomo z okresu dynastii Pala, to również falsyfikat. Przyniósłby panu małą fortunę, gdyby był prawdziwy. Szkoda, że nie może pan go sprzedać.

– Czego pan chce, do diabła?

– Absolutnie niczego.

– Przychodzi pan tutaj, kłamie, grozi mi w moim domu... i niczego pan nie chce? Daj pan spokój, Pendergast! Podejrzewa pan, że jeden z tych przedmiotów jest kradziony? Jeśli tak, dlaczego tego nie omówimy jak dżentelmeni?

– Wątpię, czy skradziony przedmiot, którego poszukuję, znajduje się w pańskiej kolekcji.

Doktor osuszył czoło jedwabną chusteczką.

– Na pewno przyszedł pan do mnie w jakimś celu, z jakimś żądaniem!

– Na przykład?

– Nie mam pojęcia! – wybuchnął wściekle gospodarz. – Chce pan pieniędzy? Prezentu? Każdy czegoś chce! Gadaj pan!

– No dobrze – ustąpił z ociąganiem Pendergast. – Skoro pan nalega, mam pewien tybetański portrecik i chciałbym, żeby pan na niego spojrzął.

Morin obrócił się tak szybko, że popiół spadł mu z papierosa.

– Na litość boską, to wszystko? Obejrzę pański cholerny portrecik. Niepotrzebne są te groźby.

– Bardzo mnie to cieszy. Martwiłem się, że pan nie zechce współpracować.

– Przecież mówię, że będę współpracował!

– Doskonale.

Pendergast wyjął portret otrzymany od mnicha i podał Morinowi.

Handlarz rozwinął go, wprawnym ruchem założył okulary i przyjrzał się obrazkowi. Po chwili zdjął okulary i oddał zwój Pendergastowi.

– Współczesne. Bezwartościowe.

– Nie przyszedłem po ocenę. Proszę spojrzeć na twarz na portrecie.

Czy ten człowiek pana odwiedził?

Morin zawahał się, znowu wziął obrazek i obejrzał go dokładniej. Wyraz zdziwienia przemknął mu przez twarz.

– Ależ tak... rzeczywiście rozpoznaję tego człowieka. Kto wykonał ten portret? Namalowano go w idealnym stylu *tangka*.

– Ten człowiek miał coś do sprzedania?

Morin milczał przez chwilę.

– Pan nie pracuje z tym... osobnikiem, prawda?

– Nie. Szukam go. I przedmiotu, który ukradł.

– Wyrzuciłem go razem z tym przedmiotem.

– Kiedy przyszedł?

Morin wstał i zajrzał do dużego kalendarza.

– Dwa dni temu, o drugiej. Przyniósł ze sobą szkatułkę. Powiedział, że słyszał, że handlują tybetańskimi zabytkami.

– Chciał ją sprzedać?

– Nie. To było bardzo dziwne. Nie chciał nawet otworzyć szkatułki. Nazywał ją Agozyen... Nigdy nie słyszałem tego określenia, chociaż znam się na tybetańskiej sztuce jak mało kto. Wyprosiłbym go natychmiast, tylko że szkatułka była prawdziwa i bardzo, bardzo stara... Sama w sobie sporo warta, pokryta archaicznym tybetańskim pismem datującym ją na dziesiąty wiek albo wcześniej. Chciałem nabyć tę szkatułkę i bardzo mnie ciekawiło, co jest w środku. Ale on nie sprzedawał. Chciał wejść ze mną w spółkę. Mówił, że potrzebuje sfinansowania. Żeby zorganizować jakąś dziwną objazdową wystawę zawartości szkatułki, która zadziwi świat, jak twierdził. Chyba użył słowa „odmieni”. Ale za nic nie chciał pokazać

zawartości, dopóki nie zgodzę się na jego warunki. Naturalnie uznałem tę propozycję za absurdalną.

– Jak zareagował?

– Próbowałem go namówić do otwarcia szkatułki. Szkoda, że pan go nie widział. Zacząłem się go bać, panie Pendergast. Zachowywał się jak szaleniec.

Pendergast kiwnął głową.

– Czyli jak?

– Zaśmiał się obłąkańczo i oświadczył, że straciłem życiową szansę. Powiedział, że zawiezie szkatułkę do Londynu, gdzie zna pewnego kolekcjonera.

– Życiową szansę? Czy pan wie, co on miał na myśli?

– Plótł jakiś bzdury o zmienianiu świata. *Pazzesco*.

– Czy pan wie, do jakiego kolekcjonera w Londynie zamierzał się zwrócić?

– Nie wymienił nazwiska. Ale znam większość z nich. – Nabazgrał coś na kartce i podał Pendergastowi. – To parę nazwisk na początek.

– Dlaczego on przyszedł do pana? – zapytał Pendergast.

Morin rozłożył ręce.

– A dlaczego pan do mnie przyszedł, panie Pendergast? Jestem głównym handlarzem azjatyckich zabytków we Włoszech.

– Tak, to prawda; nikt nie ma lepszych okazów od pana... bo nikt nie ma mniej skrupułów.

– Oto pańska odpowiedź – rzekł Morin nie bez pewnej dumy.

Załomotano do drzwi, dzwonek zabrzączał nagłąco, raz za razem.

– *Polizia!* – rozległ się stłumiony głos.

– Lavinia! – zawołał Morin. – Podziękuj ode mnie policjantom i odeślij ich. Już sobie poradziłem z nieproszonym gościem. – Odwrócił się do Pendergasta. – Czy zaspokoilem pańską ciekawość?

– Tak, dziękuję.

– Ufam, że dokumenty z pańskiej teczki nie wpadną w niepowołane ręce.

Pendergast otworzył teczkę i przechylił. Z wnętrza wysypało się kilka numerów starych gazet.

Morin popatrzył na nie i twarz mu poczerwieniała, a potem nagle się uśmiechnął.

– Jest pan równie pozbawiony skrupułów jak ja.

– Ogień trzeba zwalczać ogniem.

– Zmyślił pan to wszystko, prawda?

Pendergast zatrzasnął aktówkę.

– Tak... z wyjątkiem komentarza na temat Wisznu. Ale z pewnością znajdzie pan jakiegoś bogatego biznesmena, który to kupi i nie zorientuje się, że to falsyfikat.

– Dziękuję panu. Taki mam zamiar.

Potem doktor wstał i odprowadził Pendergasta do drzwi.

W Croydon, ponurej przemysłowej dzielnicy podmiejskiej na południowych obrzeżach Londynu, ulice zrobiły się śliskie po niedawnym deszczu. O drugiej nad ranem Aloysius Pendergast stał na rogu Cairo New Road i Tamworth. Samochody pędziły po autostradzie A3, po torach przemknął pociąg relacji Londyn-Southampton. Nad skrzyżowaniem górował brzydki hotel z lat siedemdziesiątych, fasadę z lanego cementu pokrywały smugi sadzy i wilgoci. Pendergast poprawił kapelusz i ściągnął pod szyję kołnierz płaszcza burberry, wsadził pod pachę torbę myśliwską od Chapmana, po czym skierował się do oszklonych drzwi hotelu. Drzwi były zamknięte na klucz, więc nacisnął brzęczyk. Po chwili brzęczenie zasygnalizowało, że drzwi są otwarte.

Pendergast wszedł do jaskrawo oświetlonego holu, cuchnącego cebulą i dymem papierosowym. Na podłodze leżał poplamiony niebiesko-złoty dywan z poliestru, a ściany pokrywała wodoodporna wytłaczana złota tapeta. Muzakowa wersja *Strawberry Fields Forever* płynęła przez hol. W głębi recepcjonista o długich włosach, nieco przygniecionych po jednej stronie głowy, czekał ponuro za kontuarem recepcji.

– Pokój proszę – odezwał się Pendergast szorstkim głosem, z akcentem z Midlands. Stanął tak, żeby podniesiony kołnierz



zakrywał mu większą część twarzy.

– Nazwisko?

– Crowther.

Recepcjonista podsunął kartę meldunkową Pendergastowi, który wpisał fałszywe nazwisko i adres.

– Jak pan płaci?

Pendergast wyjął z kieszeni plik funtów i zapłacił gotówką.

Recepcjonista zmierzył go szybkim spojrzeniem.

– Bagaż?

– Cholerne linie lotnicze go zagubiły.

Recepcjonista podał mu kartę magnetyczną i znikł na zapleczu, niewątpliwie po to, żeby wrócić w objęcia snu. Pendergast wziął kartę i poszedł do rzędu wind.

Wjechał windą na swoje piętro – czwarte – ale nie wysiadł. Zaczekał, aż drzwi zamknęły się ponownie. Otworzył torbę, wyjął mały czytnik kart magnetycznych, przesunął przez niego swoją kartę i przestudiował odczyt, który wyświetlił się na małym ciekłokrystalicznym ekraniku. Po chwili wstukał kilka innych cyfr, powoli przesunął kartę jeszcze raz przez czytnik i schował urządzenie z powrotem do torby. Potem wcisnął guzik siódmego piętra i czekał, kiedy winda jechała w górę.

Drzwi otworzyły się na pusty korytarz, jasno oświetlony fluorescencyjnymi świetlówkami. Taki sam niebiesko-złoty chodnik ciągnął się przez całą szerokość budynku, pomiędzy dwoma szeregami drzwi. Pendergast wyszedł z windy, podszedł szybko do drzwi z numerem 714, przystanął i nasłuchiwał. W środku panowała cisza, światło było zgaszone.

Wsunął do zamka kartę magnetyczną. Coś trzasnęło, rozległ się cichy tryl i zielone światełko zasygnalizowało, że drzwi są otwarte. Uchylił je powoli, wszedł do środka i szybko zamknął za sobą.

Przy odrobinie szczęścia po prostu zabrałby szkatułkę i wymknął się, nie budząc lokatora. Ale czuł się nieswojo. Zebrał trochę informacji o Jordanie Ambrose. Facet pochodził z Boulder w Kolorado, jego rodzina należała do klasy średniej; był świetnym snowboardzistą, wspinaczem i kolarzem górskim, który rzucił studia, żeby zaliczyć Siedem Szczytów. Tego wyczynu dokonało tylko dwustu ludzi na świecie, którzy zdobyli najwyższe szczyty każdego z siedmiu kontynentów. Poświęcił na to cztery lata. Potem został wysoko opłacanym zawodowym wspinaczem, przewodnikiem wypraw na Everest, K2 oraz Trzy Siostry. W zimie zarabiał, filmując swoje ekstremalne kaskaderskie akrobacje na snowboardzie, a także występował w reklamach. Ekspedycja na Dhaulagiri stanowiła dobrze zorganizowaną i sfinansowaną próbę wejścia na zachodnią, niezdobytą ścianę, należącą do ostatnich heroiczych tras wspinaczkowych na świecie, ponad trzy i pół tysiąca metrów niemal pionowego zbocza z lodu i zmurszałych skał, chłostanego przez gwałtowne wiatry, nawiedzanego przez lawiny, gdzie temperatura między dniem a nocą waha się od minus czterdziestu do minus pięćdziesięciu stopni. Trzydziestu dwóch wspinaczy już zginęło na tej ścianie, a grupa Ambrose'a dodała jeszcze pięć ofiar do listy. Nie dotarli nawet do połowy wysokości.

To, że Ambrose przeżył, było niezwykle. To, że dotarł do klasztoru, stanowiło istny cud.

A potem nagle zaczął postępować całkiem nietypowo – począwszy od kradzieży. Jordan Ambrose nie potrzebował pieniędzy i do tej pory nie zależało mu na bogactwie. Nie był kolekcjonerem. Nie interesował się buddyzmem ani żadnymi duchowymi poszukiwaniami. Był człowiekiem uczciwym i bardzo inteligentnym. Największą jego pasję – można powiedzieć: obsesję – zawsze stanowiły góry.

Dlaczego ukradł Agozyena? Dlaczego taszczył go przez całą Europę,

nie próbując sprzedać, tylko szukając współnika? Po co mu był potrzebny współnik? Dlaczego nie chciał nikomu pokazać zawartości szkatułki? I dlaczego nawet nie próbował się skontaktować z rodzinami pięciu poległych wspinaczy – swoich bliskich przyjaciół – co stanowiło jaskrawe pogwałcenie alpinistycznej etyki?

Wszystko, co robił Jordan Ambrose od czasu pobytu w klasztorze, zupełnie do niego nie pasowało. A to martwiło Pendergasta.

Przemknął przez korytarzyk, skręcił i wszedł do ciemnego pokoju. Natychmiast poczuł metaliczny zapach krwi i w ostrych światłach ulicznych, przefiltrowanych przez zasłony, zobaczył ciało rozciągnięte na podłodze.

Ogarnął go strach zmieszany z gniewem. Proste rozwiązanie, na które liczył, nie miało nastąpić.

Owinięty ciasno płaszczem, w kapeluszu na głowie, wyciągnął rękę w rękawiczce i zapalił światło.

To był Jordan Ambrose.

Pendergast przeraził się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, w jakim stanie jest ciało. Zwłoki leżały na plecach, z szeroko rozrzuconymi ramionami, z otwartymi ustami, wpatrując się niebieskimi oczami w sufit. Niewielki otwór po kuli na środku czoła, otoczony smugami i oparzeniami od prochu, świadczył, że egzekucję wykonano z bliska, z broni kalibru .22. Nie było otworu wylotowego; pocisk odbijał się we wnętrzu czaszki i z pewnością zabił Ambrose'a na miejscu. Zdawało się jednak, że mordercy nie wystarczyło samo zabijanie – urządził sobie całkowicie niepotrzebną orgię z nożem, krojąc, dźgając i rżnąc trupa ofiary. Tak nie postępuje nikt normalny ani nawet przeciętny zabójca.

Pendergast szybko przeszukał pokój i ustalił, że Agozyen zniknął.

Wrócił do ciała. Ubranie zostało pocięte na strzępy podczas brutalnej zabawy nożem *post mortem*, ale kilka częściowo

wywróconych kieszeni wskazywało, że zabójca obszukał ciało, zanim wpadł w krwawy szal. Starając się nie dotykać trupa, Pendergast wysunął jego portfel z tylnej kieszeni i zajrzał do środka. Znalazł sporo gotówki – Ambrose nie został obrabowany. Raczej, domyślił się Pendergast, obszukano go, żeby sprawdzić, czy nie zrobił notatek o tym fatalnym spotkaniu.

Wrzucił portfel do swojej torby myśliwskiej. Potem cofnął się i jeszcze raz obejrzał pokój, notując sobie wszystko w pamięci. Zwrócił uwagę na krwawe plamy, ślady na dywanie i na łóżku, rozbryzgi na walizce.

Ambrose był elegancko ubrany, w garnitur i krawat, jakby spodziewał się ważnego gościa. W pokoju panował porządek, łóżko było starannie posłane, przybory toaletowe ustawione w łazience. Nowo otwarta butelka szkockiej i dwie prawie pełne szklaneczki stały na stole. Pendergast zbadał zapocone ścianki szklaneczek, zanurzył palec i posmakował alkohol, oceniając początkową ilość lodu. Na podstawie stopnia rozwodnienia whisky i temperatury szklaneczek ocenił, że drinki nalano przed czterema lub pięcioma godzinami. Szklaneczki wytarto do czysta – żadnych odcisków palców.

Ponownie uderzyła go osobliwa dychotomia poczynań mordercy.

Postawił torbę na łóżku, wyjął kilka próbek i pincetę, ukląkł i pobrał próbki krwi, tkanek oraz włosów. To samo zrobił w łazience, na wypadek gdyby gość z niej skorzystał. Ale gość najwyraźniej zachował ostrożność, a tani, pobieżnie sprzątny hotelowy pokój stanowił chyba najgorsze miejsce do zbierania dowodów rzeczowych. Niemniej Pendergast starannie wykonał swoją robotę, obsypał proszkiem klamki u drzwi i inne powierzchnie w poszukiwaniu odcisków palców – nawet spód laminowanego stolika – tylko po to, żeby odkryć, że wszystkie miejsca zostały skrupulatnie wytarte. Plama wilgoci w rogu obok drzwi wskazywała, że przybysz postawił tam

parasol, z którego spływała woda, a potem go zabrał.

Deszcz zaczął padać o dziewiątej, a ustał o jedenastej.

Pendergast znowu klęknął obok ciała, wsunął rękę pod garnitur i sprawdził temperaturę skóry. Biorąc pod uwagę ciepłość ciała, stan drinków i czas trwania ulewy, śmierć nastąpiła około dziesiątej.

Ostrożnie przetoczył ciało. Dywan pod spodem nosił ślady nacięć w miejscach, gdzie nóż przeszedł na wylot przez ciało i wbił się w podłogę. Pendergast wyjął własny nóż, wyciął kwadrat dywanu, zwinął go i zbadał ślady w podłodze ze sklejki, wciskając w nie czubek własnego noża. Okazały się niezwykle głębokie.

Pendergast podszedł do drzwi i obrzucił pokój pożegnalnym spojrzeniem. Nic więcej nie było do oglądania. Ogólny obraz wydarzeń rysował się teraz wyraźnie: zabójca przyszedł na umówione spotkanie około dziesiątej; postawił parasol w kącie i powiesił mokry płaszcz przeciwdeszczowy na krześle; Ambrose nalał dwie szkockie z butelki, którą kupił na tę okazję; przybysz wyjął dwudziestkędwójkę, przyłożył do czoła Ambrose'a i wpakował mu kulę w mózg. Następnie zrewidował trupa i pokój; potem brutalnie i bezsensownie przebił po wielokroć zwłoki nożem – i na koniec, najwyraźniej znów opanowany, wytarł odciski palców, zabrał Agozyena i wyszedł.

Zachowanie znacznie wykraczające poza krzywą rozkładu normalnego zabójców.

Obsługa hotelu odkryje zwłoki dopiero po upływie terminu wynajęcia pokoju albo jeszcze później. Pendergast miał mnóstwo czasu na ucieczkę.

Zgasił światło, wyszedł z pokoju i zjechał windą do holu. Podszedł do biurka i dwukrotnie ostro zadzwonił. Po długim czekaniu recepcjonista, powłócząc nogami, wyszedł z zaplecza, z jeszcze bardziej przygniecionymi włosami.

– Jakiś problem? – zapytał.

– Jestem przyjacielem Jordana Ambrose'a, zameldowanego w pokoju siedemset czternaście.

Recepcjonista podrapał się przez koszulę po chudej klatce piersiowej.

– No i?

– On miał gościa dzisiaj wieczorem około dziesiątej. Przypomina pan sobie?

– Tego na pewno nie zapomnę – oświadczył recepcjonista. – Facet przyszedł około dziesiątej i powiedział, że jest umówiony z dżentelmenem z pokoju siedemset czternaście.

– Jak wyglądał?

– Miał zakrwawiony opatrunek na jednym oku i jakieś bandaże. Nosił czapkę i płaszcz od deszczu, na dworze lało jak z cebra. Wolałem mu się bliżej nie przyglądać.

– Wzrost?

– Och, raczej średni.

– Głos?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Chyba amerykański akcent. Trochę piskliwy. Miękki. Niewiele mówił.

– Kiedy wyszedł?

– Nie widziałem, jak wychodził. Byłem na zapleczu, odwalałem papierkową robotę.

– Nie prosił, żeby mu wezwać taksówkę?

– Nie.

– Proszę opisać, jak był ubrany.

– W płaszcz od deszczu, jak pański. Nie widziałem, co miał na nogach.

– Przyjechał samochodem czy taksówką?

Recepcjonista wzruszył ramionami i znowu się podrapał.

– Dziękuję – powiedział Pendergast. – Wychodzę na parę godzin. Niech mi pan wezwie taksówkę z waszej zwykłej firmy.

Recepcjonista wykonał telefon.

– Proszę zadzwonić, kiedy pan wróci – rzucił przez ramię, wracając do „papierkowej roboty”.

Pendergast stanął przed hotelem. Po pięciu minutach podjechała taksówka. Wsiadł.

– Dokąd? – zapytał kierowca.

Pendergast wyjął banknot stu funtów.

– Na razie donikąd. Czy mogę zadać panu kilka pytań?

– Pan jesteś glina?

– Nie. Prywatny detektyw.

– Prawdziwy Sherlock, he? – Taksjarsz odwrócił się, na jego czerwonej, nabiegłej krwi twarzy malowało się radosne ożywienie. Wziął banknot. – Dziękuję.

– Dzisiaj wieczorem, kwadrans po dziesiątej albo w pół do jedenastej, wyszedł stąd pewien mężczyzna. Prawdopodobnie odjechał jedną z waszych taksówek. Muszę znaleźć kierowcę.

– Dobra. – Taksjarsz złapał mikrofon z deski rozdzielczej, zaczął do niego mówić. Wymiana zdań trwała przez kilka minut, po czym taksówkarz nacisnął guzik i podał mikrofon Pendergastowi. – Masz pan na linii swojego gościa.

Pendergast wziął mikrofon.

– To pan miał kurs dzisiaj wieczorem około dziesiątej dwadzieścia spod hotelu Buckinghamshire Gardens?

– Trafieś pan – odpowiedział chrapliwy głos ciężkim cockneyem.

– Gdzie pan jest? Możemy się spotkać?

– Wracam z Southampton na Mtrzy.

– Rozumiem. Może pan opisać swojego klienta?

– Prawdę mówiąc, panie szanowny, ten pana człowiek miał coś nie tak z okiem. Nosił plaster i krew mu leciała, jakby za blisko podszedł do rzeźnika, jeśli pan rozumiesz.

– Czy coś niósł?

– Duże, długie kartonowe pudło.

– Jaki miał akcent?

– Amerykański, jakby z południa.

– Czy mógł być kobietą w przebraniu?

Chrapliwy śmiech.

– Tyle teraz pedziów się kręci, że pewnie to możliwe.

– Czy powiedział panu, jak się nazywa, albo płacił kartą kredytową?

– Płacił gotówką i przez całą drogę nie otworzył gęby... znaczy, jak już powiedział, dokąd chce jechać.

– Gdzie pan go zawiózł?

– Do Southampton. Na nabrzeże.

– Nabrzeże?

– Tak jest, panie szanowny. Na *Britannię*.

– Nowy oceaniczny liniowiec North Star?

– Zgadza się.

– On był pasażerem?

– Chyba tak. Kazał się wysadzić przed urzędem celnym i w ręku trzymał jakby bilet.

– Czy mógł należeć do załogi?

Następny chrapliwy wybuch śmiechu.

– Mowy nie ma. Wybulił za kurs dwieście funciaków.

– Nie miał żadnego innego bagażu oprócz tego pudła?

– Nie, proszę pana.

– Czy było w nim jeszcze coś dziwnego?

Kierowca namyślał się przez chwilę.



- Jakoś dziwnie pachniał.
  - Pachniał?
  - Jakby pracował w sklepie tytoniowym, coś takiego. Pendergast zastanowił się przez chwilę.
  - Nie wie pan przypadkiem, kiedy odpływa *Britannia*?
  - Mówili, że odbijają w południe, podczas odpływu. Pendergast oddał mikrofon taksjarszowi. W tej samej chwili zadzwonił jego telefon komórkowy. Otworzył go.
  - Tak?
  - Mówi Constance.
- Pendergast wyprostował się, zdziwiony.
- Gdzie jesteś?
  - Na lotnisku w Brukseli, właśnie wysiadłam z samolotu lecącym z Hongkongu. Aloysius, musimy się spotkać. Mam bardzo ważne informacje.
  - Constance, świetnie się złożyło. Posłuchaj mnie uważnie. Jeśli dotrzesz na Heathrow w ciągu czterech godzin albo szybciej, zabiorę cię z lotniska. Dasz radę... cztery godziny, ani minuty dłużej? Inaczej będę musiał odpłynąć bez ciebie.
  - Postaram się. Ale co to znaczy „odpłynąć”? Co się dzieje?
  - Wyruszamy w rejs.



Czarna londyńska taksówka przedzierała się autostradą M3 z szybkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę, wyprzedzając samochody osobowe i ciężarówki. W oddali przysadzista kremowa wieża katedry w Winchesterze wyłaniała się spośród płataniny szarych miejskich zabudowań.

Na tylnym siedzeniu Pendergast, siedzący obok Constance, spojrzął na zegarek.

– Musimy być w dokach Southampton za piętnaście minut – zwrócił się do kierowcy.

– Niemożliwe.

– Dorzucę jeszcze pięćdziesiąt funtów.

– Od tego nie wyrosną nam skrzydła, panie kochany – odparł kierowca.

Niemniej przyspieszył jeszcze bardziej, z piskiem opon pokonując zjazd na A335 w kierunku południowym. Przedmieścia Winchesteru szybko ustąpiły miejsca zieleni. Compton, Shawford i Otterboume przemknęły w okamgnieniu.

– Nawet jeśli zdążymy na statek – odezwała się Constance – jak się dostaniemy na pokład? Czytałam dzisiaj rano w „Le Monde”, że wszystkie kabiny są zarezerwowane od miesięcy. Nazywają to najbardziej obleżonym dziewiczym rejssem od czasu *Titanica*.

Pendergast wzruszył ramionami.

– Dość niefortunne porównanie. Tak się składa, że załatwiłem już dla nas znośne zakwaterowanie. Apartament Tudora, podwójna kabina na rufie. Ma trzecią sypialnię, którą możemy wykorzystać na biuro.

– Jak ci się udało?

– Apartament został zarezerwowany przez pana i panią Prothero z Perth w Australii. Chętnie zamienili bilety na jesienny rejs *Britannią* dookoła świata w jeszcze większym apartamencie wraz ze skromną rekompensatą pieniężną. – Pendergast pozwolił sobie na nieznaczny uśmiezek.

Taksówka przemknęła przez rozjazd M27, po czym zaczęła zwalniać w gęstniejącym ruchu przed Southampton. Przejechali przez ponurą dzielnicę przemysłową, minęli kolejne szeregi ceglanych domków bliźniaków i wpadli w labirynt uliczek na starym mieście. Skręcili w lewo w Marsh Lane i natychmiast odbili w prawo, w Terminus Terrace. Wielki samochód zręcznie przeciskał się wśród ulicznego ruchu. Na chodnikach gęstniały tłumy ludzi, w większości niosących aparaty fotograficzne. Z oddali dobiegały okrzyki i wiwaty.

– Powiedz mi, Constance, co takiego odkryłaś, że opuściłaś klasztor w takim pośpiechu?

– W dwóch słowach. – Zniżyła głos. – Wzięłam sobie do serca twoją pożegnalną prośbę. Przeprowadziłam śledztwo.

Teraz z kolei Pendergast zniżył głos.

– A jak się „przeprowadza śledztwo” w tybetańskim klasztorze?

Constance powstrzymała ponury uśmiech.

– Bezczelnie.

– To znaczy?

– Weszłam do wewnętrznego klasztoru i porozmawiałam z mnichami.

– Rozumiem.

– To był jedyny sposób. Ale... co najdziwniejsze, oni jakby się mnie spodziewali.

– Mów dalej.

– Byli zadziwiająco komunikatywni.

– Doprawdy?

– Tak, ale nie rozumiem dlaczego. Mnisi w wewnętrznym klasztorze naprawdę nie wiedzą, czym jest ten artefakt ani kto go stworzył... Lama Thubten nie kłamał pod tym względem. Przywiózł go z Indii święty mąż, żeby go ukryć i chronić w wysokich Himalajach.

– I?

Constance zawahała się.

– Mnisi nie zdradzili ci, że znają cel Agozyena.

– Jaki cel?

– Podobno to narzędzie zemsty nad światem. Służy do oczyszczenia ziemi, tak powiedzieli.

– Czy wspomnieli, jaką formę przybierze ta „zemsta” czy też „oczyszczenie”?

– Nie mają pojęcia.

– Kiedy to się stanie?

– Kiedy ziemię zaleje przemoc, chciwość i zło.

– W takim razie całe szczęście, że świat nie ma się czego obawiać – stwierdził Pendergast ironicznym tonem.

– Mnich, który mówił w ich imieniu, wyjaśnił, że oni nie zamierzali go uwolnić. Byli jego strażnikami, pilnowali, żeby nie uciekł przedwcześnie.

Pendergast myślał przez chwilę.

– Zdaje się, że jeden z braciszków się z nimi nie zgadzał.

– Jak to?

Pendergast odwrócił się do niej z błyskiem w szarych oczach.

– Moim zdaniem któryś z mnichów poczuł, że ziemia już dojrzała do oczyszczenia. I tak wszystko urządził, żeby Jordan Ambrose ukradł Agozyena... czyli w rezultacie wypuścił go na świat.

– Dlaczego tak uważasz?

– To proste. Agozyen był wyjątkowo dobrze strzeżony. Spędziłem w tym klasztorze ponad rok i nic nie wiedziałem o jego istnieniu. Jakim cudem przypadkowy gość, alpinista, który nawet nie przybył tam na naukę, znalazł go i ukradł? To się mogło stać dlatego, że jeden z mnichów chciał, żeby doszło do kradzieży. Lama Thubten powiedział mi, że na pewno żaden z mnichów nie przywłaszczył sobie tego przedmiotu. Ale to nie znaczy, że któryś mnich nie pomógł obcemu go zdobyć.

– Ale skoro ten artefakt jest taki straszny, jak twierdzą... kto chciałby go rozmyślnie uwolnić?

– Interesujące pytanie. Kiedy odwieziemy Agozyena do klasztoru, znajdziemy tego mnicha winowajcę i zapytamy go wprost. – Zastanawiał się przez chwilę. – Dziwne, że mnisi po prostu nie zniszczyli tego przedmiotu. Nie spalili go.

– O to zapytałam na końcu. Mnisi bardzo się przestraszyli i oświadczyli, że nie mogli tego zrobić.

– Ciekawe. Tak czy owak, do roboty. Nasze pierwsze zadanie to zdobyć listę pasażerów... i dowiedzieć się, kiedy weszli na pokład.

– Myślisz, że zabójca jest pasażerem?

– Tak przypuszczam. Cała załoga i personel musieli stawić się na pokładzie dobrą godzinę przed śmiercią Ambrose'a. Uważam za znamienne, że facet użył zakrwawionego bandaża jako kamuflażu, zanim poszedł na spotkanie z Ambrose'em.

– Dlaczego? Zastosował przebranie, żeby go nie powiązano ze zbrodnią.

– Wątpię, czy zamierzał popełnić zbrodnię, kiedy wchodził do hotelu. Nie, Constance... zabójca zastosował przebranie, zanim jeszcze się zapoznał z propozycją Ambrose'a, więc widocznie jest znaną, łatwą do rozpoznania osobą i chciał zachować incognito.

Rozmowa urwała się, kiedy taksówka zahamowała pod Dokiem Królowej. Pendergast wyskoczył z samochodu, za nim Constance. Po lewej stronie stały budynki urzędu celnego i odprawy pasażerów; po prawej kłębił się dziki tłum gapiów i odprowadzających, dziennikarzy i kamerzystów telewizyjnych. Wszyscy wymachiwali brytyjskimi flagami, rzucali konfetti i wiwatowali. Z boku grała orkiestra, potęgując ogólny zgiełk.

A nad wszystkim górowała *Britannia*. Zdawała się pomniejszać swoim ogromem nie tylko doki, lecz również całe miasto. Czarny kadłub wznosił się ku lśniącej śnieżnobiałej nadbudówce, wysokiej na ponad dziesięć pięter, samo szkło, balkoniki i lśniący mahoń. Constance nigdy nie widziała ani nawet nie wyobrażała sobie równie wielkiego i wspaniałego statku, który rzucał cień na całą okolicę – Platform Road, restauracją Banana Wharf, marinę Ocean Village.

Ale cień się poruszał. Syreny wyły. Dokerzy rzucili cumy i wciągnęli trap. Wysoko w górze pasażerowie tłoczyli się przy relingach i na niezliczonych balkonach, robili zdjęcia, rzucali serpentyny i machali na pożegnanie. Ryknąwszy syreną po raz ostatni, aż ziemia zadrżała, *Britannia* powoli, majestatycznie, niepowstrzymanie zaczęła się oddalać od nabrzeża.

– Przepraszam szanownego pana – powiedział taksjarsz. – Robiłem, co mogłem, ale...

– Wyjmij bagaże – przerwał mu Pendergast.

Potem pobiegł przez tłum gapiów w stronę punktu kontrolnego. Zwolnił tylko na chwilę, żeby machnąć odznaką do policjantów, i znowu przyspieszył, mijając orkiestrę i ekipy telewizyjne, kierując

się do podium okrytego flagami, na którym stała zbита grupka dygnitarzy oraz – domyślała się Constance – członków zarządu spółki North Star. Grupka zaczęła się już rozpadać; mężczyźni w ciemnych garniturach wymieniali uściski dłoni i schodzili z podwyższenia.

Pendergast zanurkował w morze niższych rangą funkcjonariuszy otaczających podium i wyłowił mężczyznę stojącego pośrodku: korpulentnego dżentelmena z hebanową laseczką i białym goździkiem w butonierce gołębioszarej kamizelki. Przyjmował gratulacje od osób stojących dookoła i wyraźnie się zdziwił, kiedy Pendergast wepchnął się nieproszony do małej grupki. Przez chwilę słuchał Pendergasta ze zniecierpliwieniem i irytacją. Potem nagle zmarszczył brwi i zaczął gwałtownie kręcić głową. Pendergast dalej mu coś perswadował, a tamten gestykulował, pokazując palcem najpierw na statek, potem na Pendergasta, sztywno wyprostowany i coraz bardziej czerwony na twarzy. Personel ochrony zaczął się gromadzić wokół tej dwójki i Constance straciła ich z oczu.

Czekała obok taksówki razem z kierowcą. Nie pofatygował się wyjąć bagażu, co jej nie zdziwiło: potężny kadłub *Britannii* wciąż sunął ku morzu, powoli, ale nabierając szybkości. Nie zatrzyma się już ani razu, dopóki nie dopłyne do Nowego Jorku po rejsie trwającym siedem dni i sześć nocy.

Syrena okrętowa ponownie ryknęła. Nagle wokół dziobu zapieniły się wielkie strumienie wody. Constance zmarszczyła brwi: wydawało się niemal, że statek zwalnia. Obejrzała się na Pendergasta. Znowu go widziała; stał obok mężczyzny z goździkiem, który rozmawiał przez telefon komórkowy. Twarz mężczyzny zmieniła kolor z czerwonego na purpurowy.

Constance wróciła spojrzeniem do statku. To nie było złudzenie: silniki sterujące na dziobie przeszły na wsteczny bieg i *Britannia* ociężale cofała się do doku. Hałaśliwe wiwaty wokół niej przycichły,

ludzie spoglądali coraz bardziej niepewnie.

– O rany – mruknął taksjusz.

Potem obszedł taksówkę, otworzył bagażnik i zaczął wyciągać walizki.

Pendergast kiwnął na Constance, żeby podeszła do punktu kontrolnego. Przecisnęła się przez huczący tłum, kierowca deptał jej po piętach. Na samym nabrzeżu dokerzy pospiesznie wysuwali z powrotem niższy trap. Orkiestra zgubiła rytm i znowu kulawo podjęła melodię.

Syrenera ryknęła jeszcze raz i wysunięty trap oparł się o czarny bok statku. Pendergast przeprowadził Constance przez punkt kontrolny i razem szybko ruszyli po nabrzeżu.

– Nie musimy się spieszyć, Constance – powiedział Pendergast, ujął ją lekko pod ramię i zwolnił do spacerowego tempa. – Możemy równie dobrze nacieszyć się tą chwilą... kiedy każemy na siebie czekać największemu oceanicznemu liniowcowi, nie wspominając o czterech tysiącach pasażerów i załodze.

– Jak ci się udało? – zapytała, wchodząc na trap.

– Pan Elliott, dyrektor generalny linii North Star, jest moim dobrym znajomym.

– Czyżby? – zapytała z powątpiewaniem.

– No, nawet jeśli się nie znaliśmy dziesięć minut temu, teraz się znamy na pewno. Ostatnio gorąco się przyjaźnimy z tym panem... bardzo gorąco.

– Ale żeby opóźnić odpłynięcie? Kazać statkowi wracać do doku?

– Kiedy wyjaśniłem, jak bardzo na tym skorzysta, jeśli nam pomoże... i jak bardzo sobie zaszkodzi, jeśli odmówi... pan Elliott wykazał wielką chęć współpracy. – Pendergast podniósł wzrok na statek i znowu się uśmiechnął. – Wiesz, Constance, w tych okolicznościach nasza podróż chyba okaże się całkiem znośna... może



nawet przyjemna.

# 10

Dla Rogera Maylesa, kierownika rejsu na *Britannii*, jedną z najwcześniejszych i najważniejszych decyzji w tej podróży był wybór stołu, przy którym powinien zjeść obiad pierwszego wieczoru. To zawsze była drażliwa kwestia, tym bardziej drażliwa, że chodziło o pierwszy wieczór w dziewiczym rejsie największego oceanicznego liniowca na świecie.

Naprawdę trudne pytanie.

Do obowiązków Maylesa jako kierownika rejsu należała nie tylko znajomość nazwisk i potrzeb wszystkich pasażerów, ale również dotrzymywanie im towarzystwa. Przez cały czas. Gdyby znikł podczas obiadu, wysłałby im wiadomość, że ich nie kocha, że dla niego to tylko praca.

To nie była tylko praca.

No, ale co począć z listą pasażerów liczącą prawie trzy tysiące nazwisk, rozdzielonych na osiem jadalni i trzy tury posiłków?

Mayles grymasił i wybredzał. Najpierw wybrał restaurację: Oscar, jadalnia nawiązująca do estetyki filmowej, spektakularnie urządzona w stylu art déco. Jedną ścianę stanowiła pojedyncza zasłona z weneckiego rżniętego kryształu, za którą szumiał podświetlony wodospad. Szmer wody miał zwiększać poziom białego szumu w otoczeniu, co wywoływało paradoksalny efekt pozornego

wyciszenia hałasu. Dwie następne ściany pokrywały listki z prawdziwego złota, a ostatnia była ze szkła, z widokiem na mroczny ocean. Nie była to największa restauracja na statku – pierwsze miejsce zajmowała King’s Arms z trzema obszernymi poziomami – ale najbardziej elegancka.

Tak, zdecydowanie Oscar. I naturalnie druga tura. Pasażerów z pierwszej tury należało unikać za wszelką cenę; zwykle byli to kretyni, którzy bez względu na swoje bogactwo nigdy nie zdołali się pozbyć barbarzyńskiego nawyku jedzenia przed siódmą.

Potem wynikła kwestia stołu. Oczywiście w grę wchodził tylko jeden z „formalnych” stołów – tych większych, gdzie na życzenie goście wciąż mogli przestrzegać staroświeckiej tradycji wyznaczonych miejsc, pozwalającej zawierać nowe znajomości, jak w czasach chwały oceanicznych liniowców. Oczywiście formalny strój. Dla większości oznaczało to smoking. Ale Mayles był bardzo wybredny w tych sprawach i zawsze wkładał biały smoking.

Następnie musiał wybrać sąsiadów przy stole. Roger Mayles miał wysokie wymagania i liczne prywatne, bezwstydnie krzywdzące uprzedzenia. Na długiej liście gości, których unikał, pierwsze miejsca zajmowali dyrektorzy generalni, maklerzy, Teksańczycy, grubasy, dentyści i chirurdzy. Lista preferencji obejmowała aktorki, utytułowanych arystokratów, dziedziczki, gospodarzy telewizyjnych talk-show, stewardów lotniczych, gangsterów oraz tak zwane zagadki – ludzi, których nie dało się zasufladkować – jeśli byli intrygujący, bardzo bogaci i najwyższej klasy.

Po wielu godzinach ślęczenia nad listami pasażerów zestawiał grupę, którą uznał za wspaniałe towarzystwo na pierwszy wieczór. Oczywiście zamierzał dobierać sobie sąsiadów przy stole codziennie do końca podróży, ale tym razem szczególnie się starał. To miał być pamiętny wieczór. Z pewnością znakomita okazja, żeby się rozerwać.

A Mayles zawsze potrzebował rozrywki na morzu, żeby zapomnieć o codziennych troskach, ponieważ – co należało do jego najgłębiej skrywanych tajemnic – nigdy nie nauczył się pływać i śmiertelnie się bał otwartego oceanu.

Tak więc ogromnie przejęty i pełen oczekiwania zjawił się w zdobnym złotymi listkami wejściu do restauracji Oscar, ubrany w smoking od Hickeya Freemana za tysiąc dolarów, nabyty specjalnie na tę podróż. Przystanął w drzwiach, pozwalając, żeby wszystkie spojrzenia padły na jego nieskazitelnie wytworną sylwetkę. Obdarzył zebranych uprzejmym uśmiechem i ruszył do głównego stołu.

Przybywających gości witał uściskami dłoni i ciepłymi słowami, po czym rozsadzał ich, wykonując teatralne gesty. Ostatnie zjawiły się dwie „zagadki” – dżentelmen nazwiskiem Aloysius Pendergast oraz jego „podopieczna”, określenie, które w umyśle Maylesa wywołało wiele rozkosznie nieprzyzwoitych skojarzeń. Dossier Pendergasta zaintrygowało go, ponieważ zawierało tak niewiele informacji. Facet załatwił sobie jeden z podwójnych apartamentów na rufie – Tudor, za cenę pięćdziesięciu tysięcy funtów – w ostatniej chwili, chociaż cały statek był zarezerwowany od miesięcy. Na dodatek opóźnił odpłynięcie prawie o pół godziny. Jak on to zrobił?

Nader intrygujące.

Kiedy Pendergast się zjawił, Mayles przyjrzał mu się dokładniej. Spodobało mu się to, co zobaczył: niezwykle przystojny mężczyzna, wytworny, o arystokratycznym wyglądzie, ubrany w nienagannie skrojony smoking z orchideą w butonierce. Twarz miał szokująco bladą, jakby dopiero wstał po obłożnej chorobie, a jednak jego gibka sylwetka emanowała żywotnością, a szare oczy spoglądały twardo, bez cienia słabości. Subtelnie rzeźbione rysy przypominały posąg dłuta Praksytelesa. Przesuwał się przez tłum zręcznie jak kot stąpający po zastawionym stole.

Lecz jeszcze bardziej niż Pendergast przykuwała uwagę jego tak zwana podopieczna. Piękna, ale bynajmniej nie pospolitą ani współczesną urodą – nie, piękność prerafaelicka, istna Prozerpina ze słynnego obrazu Rossettiego, ale z prostymi włosami przyciętymi na pazia. Nosiła wieczorową suknię od Zaca Posena, którą Mayles podziwiał w jednej z galerii przy St. James na pokładzie 6 – najdroższą w sklepie. Interesujące, że nabyła suknię na pierwszy wieczór na statku, zamiast wybrać którąś z własnej garderoby.

Szybko zmienił rozmieszczenie gości i posadził Pendergasta obok siebie, a Constance naprzeciwko. Pani Dahlberg usiadła po drugiej stronie Pendergasta; Mayles umieścił ją na liście, ponieważ rozwiodła się z dwoma angielskimi lordami i złapała amerykańskiego potentata porcjowanego mięsa, który zmarł kilka miesięcy po weselu i zostawił ją bogatszą o sto milionów. Rozważając jej przypadek, Mayles puścił wodze fantazji. Lecz kiedy poznał ją osobiście, stwierdził z rozczarowaniem, że wcale nie wyglądała jak wulgarna łowczyni fortuny, którą sobie wyobrażał.

Rozsadził pozostałych dookoła – olśniewający młody angielski baronet i jego francuska żona; handlarz dzieł impresjonistów; wokalistka zespołu Suburban Lawnmowers i jej chłopak; pisarz i *bon vivant* Victor Delacroix; i kilka innych osób, które – jak miał nadzieję – stworzą błyskotliwe i zabawne grono. Chciał dołączyć Braddocka Wileya, gwiazdora płynącego statkiem z powodu śródatlantyckiej premiery swojego nowego filmu, ale jego sława jako aktora przygasła i Mayles ostatecznie zdecydował, że zaprosi go na drugi wieczór.

Wskazując gościom miejsca, Mayles zręcznie przedstawiał ich sobie nawzajem, żeby uniknąć wulgarnej rundy prezentacji, kiedy już usiądą. Wkrótce wszyscy zajęli wyznaczone krzesła i podano pierwsze danie: crêpes Romanoff. Przez chwilę gawędzili o niczym, kiedy

kelnerzy ustawiali talerze i nalewali pierwsze wino wieczoru.

Mayles przełamał lody.

– Czyżbym wychwycił akcent z Nowego Orleanu, panie Pendergast?

Chlubił się, że potrafi rozwiązać język nawet najbardziej niechętnego rozmówcy.

– Jaki pan bystry – odpowiedział Pendergast. – Ja natomiast wyczuwam pod pana angielskim akcentem ślad Far Rockaway w nowojorskiej dzielnicy Queens. Mam rację?

Mayles poczuł, że uśmiech zastyga mu na twarzy. Jakim cudem facet to wykrył?

– Proszę się nie martwić, panie Mayles... studiowałem między innymi różne akcenty. To mi się przydaje w pracy.

– Rozumiem. – Mayles pociągnął łyk wemaccia, żeby ukryć zaskoczenie, i szybko zmienił temat. – Jest pan lingwistą?

Lekkie rozbawienie błysnęło w szarych oczach mężczyzny.

– Ależ skąd. Prowadzę dochodzenia.

Maylesa spotkała już druga niespodzianka podczas tego obiadu.

– Jakie to interesujące. To znaczy jak Sherlock Holmes?

– Coś w tym rodzaju.

Dość nieprzyjemna myśl przemknęła przez głowę Maylesa.

– Czy teraz też... prowadzi pan dochodzenie?

– Brawo, panie Mayles.

Kilku innych gości przysłuchiwało się rozmowie i Mayles nie wiedział, co odpowiedzieć. Zaczął się denerwować.

– W takim razie – rzucił z lekkim uśmiechem – wiem, kto to zrobił: kamerdyner w spizami. Lichtarzem.

Pozostali roześmiali się uprzejmie, a Mayles znowu spróbował skierować rozmowę na bezpieczniejszy temat.

– Panno Greene, czy widziała pani kiedyś obraz Rossettiego *Prozerpina*?

Kobieta zwróciła na niego spojrzenie, a on poczuł dreszcz niepokoju. Stanowczo miała coś dziwnego w oczach.

– Widziałam.

– Moim zdaniem, pani przypomina kobietę z tego obrazu.

Wciąż na niego patrzyła.

– Czy porównanie do kochanki władcy podziemi powinno mi pochlebiać?

Dziwaczna odpowiedź i sam głos – dźwięczny, staroświecki, pełen przejęcia – zbiły Maylesa z tropu. Ale lawirowanie wśród mielizn konwersacji stanowiło jego drugą naturę, więc miał gotową odpowiedź.

– Pluton zakochał się w niej, bo była taka piękna, taka pełna życia... jak pani.

– W rezultacie Pluton ją porwał i zaciągnął do piekła, żeby zrobić z niej swoją kochankę.

– No tak, niektórzy to mają szczęście! – Mayles rozejrzał się i zebrał pochwalne śmiechy za swoje małe *bon mot* – zauważył z ulgą, że nawet panna Greene się uśmiechnęła.

Lionel Brock, marszand, zabrał głos:

– Tak, tak, znam dobrze ten obraz. Wisi chyba w Tate.

Mayles z wdzięcznością odwrócił się do Brocka.

– Tak.

– Raczej wulgarne dzieło, jak cała sztuka prerafaelitów. Modelką była Jane Morris, żona najlepszego przyjaciela Rossettiego. Namalował ją, żeby potem uwieść.

– Uwieść – powtórzyła panna Greene. Zwróciła swoje dziwne oczy na Maylesa. – Czy pan kiedyś kogoś uwiódł, panie Mayles? Stanowisko kierownika rejsu na luksusowym liniowcu na pewno daje po temu wiele sposobności.

– Mam swoje małe tajemnice – odparł i znowu zaśmiał się lekko.

Pytanie dotknęło go bardziej, niż się spodziewał. Nie sądził, żeby jeszcze kiedyś posadził pannę Greene przy swoim stole.

– *Z dala od siebie samej myśli snuję, pozwalam im ulecieć i czekam na znak*<sup>[9]</sup> – wyrecytowała panna Greene.

Zapadło milczenie.

– Jakie to śliczne – odezwała się po raz pierwszy dziedziczka porcjowanego mięsa, pani Emily Dahlberg, kobieta o nader arystokratycznym wyglądzie, w długiej sukni, obwieszona starą biżuterią, smukła i dobrze się trzymająca jak na swój wiek. Mayles pomyślał, że wyglądała i mówiła całkiem jak baronessa von Schröder w *Dźwiękach muzyki*. – Kto to napisał, moja droga?

– Rossetti – odpowiedziała panna Greene. – Wiersz o Prozerpinie.

Brock przeniósł spojrzenie szarych oczu na Constance.

– Jest pani historykiem sztuki?

– Nie – zaprzeczyła. – Jestem zacofaną pedantką.

Brock się roześmiał.

– Zacofani pedanci to czarujący ludzie – powiedział, nachylając się do niej z uśmiechem.

– Pan też jest pedantem, doktorze Brock?

– No cóż... – Zbył śmiechem jej pytanie. – Pewnie można mnie tak nazwać. Zabrałem ze sobą kilka egzemplarzy mojej ostatniej monografii o Caravaggiu. Przyślę pani jeden... sama pani oceni.

Rozmowy ucichły, kiedy do stołu podszedł dystyngowany siwowłosy mężczyzna w mundurze. Był szczupły i wysportowany, jego niebieskie oczy błyszczały pod daszkiem czapki.

– Witam – powiedział.

Wszyscy go przywitali.

– Jak tam sytuacja, Roger?

– Wszystko gra i buczy, Gordon.

– Pozwolą państwo, że się przedstawię – zwrócił się nowo przybyły



do biesiadników i obdarzył ich czarującym uśmiechem. – Nazywam się Gordon LeSeur i jestem pierwszym oficerem na *Britannii*. – Miał uroczy liverpoolski akcent.

Szmer prezentacji rozległ się wokół stołu.

– Jeśli mają państwo jakieś pytania dotyczące statku, jestem do usług. – Znowu się uśmiechnął. – Jak obiad?

Wszyscy go zapewnili, że jest pyszny.

– Doskonale! Obiecuję, że będziemy dobrze o państwa dbać.

– Tak się zastanawiam – powiedziała pani Dahlberg. – Podobno *Britannia* to największy statek wycieczkowy na świecie. O ile większy niż *Queen Mary Dwa*?

– Cięższy o piętnaście tysięcy ton, dłuższy o trzydzieści stóp, o dziesięć procent szybszy i dwukrotnie ładniejszy. Ale muszę panią poprawić, pani Dahlberg: to nie jest statek wycieczkowy. To oceaniczny liniowiec.

– Nie wiedziałam, że jest jakaś różnica.

– Ogromna różnica! Statek wycieczkowy odbywa wycieczki, jak sama nazwa wskazuje. Natomiast liniowiec przewozi pasażerów zgodnie z rozkładem. Ten drugi ma znacznie większe zanurzenie niż statek wycieczkowy i bardziej spiczasty kadłub, i rozwija sporą szybkość: ponad trzydzieści węzłów, czyli więcej niż trzydzieści pięć mil na godzinę. Kadłub musi mieć dużo mocniejszy niż wycieczkowiec i bardziej wytrzymały, żeby mógł pływać po otwartym oceanie w każdą pogodę. Widzi pani, statek wycieczkowy ucieka przed sztormem. My nie zbaczamy z kursu... my po prostu się przebijamy.

– Naprawdę? – zapytała pani Dahlberg. – Możemy napotkać sztorm?

– Jeśli prognozy pogody się sprawdzą, w istocie napotkamy sztorm... gdzieś przy Grand Banks[10] przed Nową Fundlandią. –

Uśmiechnął się uspokajająco. – Nie ma się czego obawiać. Będzie świetna zabawa.

Pierwszy oficer pożegnał się i przeszedł do sąsiedniego stołu, obsadzonego przez hałaśliwych internetowych milionerów. Mayles odetchnął z wdzięcznością, kiedy rutynowa gadka pierwszego oficera uciszyła na chwilę tych ryczących osłów.

– Najlepszy pierwszy oficer we flocie – oświadczył. – Mamy szczęście, że płynie z nami.

Wygłosił standardową formułkę, ale LeSeur naprawdę był przyzwoitym facetem. Nie przypominał typowych pierwszych oficerów, zwykle aroganckich, zarozumiałych i pełnych pretensji, że nie są kapitanami.

– Wygląda trochę jak siwiejący Paul McCartney – odezwał się Lionel Brock. – Nie krewny przypadkiem?

– To przez akcent – odparł Mayles – i nie pan pierwszy to zauważył. – Mrugnął. – Niech pan tego przy nim nie mówi; przykro mi powiedzieć, ale nasz pierwszy oficer nie przepada za Beatlesami.

Główne danie nadeszło z następnym winem i gwar przy stole narastał. Mayles nastawił swój radar. Nawet kiedy sam mówił, potrafił jednocześnie podsłuchiwać kilka innych rozmów. Przydatna umiejętność.

Pani Dahlberg odwróciła się do Pendergasta.

– Pana podopieczna to niezwykła młoda kobieta.

– Istotnie.

– Gdzie się kształciła?

– Samodzielnie.

Głośny wybuch śmiechu przy sąsiednim stole podrażnił uszy Maylesa. Siedział tam Scott Blackburn, cudowne dziecko Internetu, z dwoma kumplami lizusami i zgrają pieczeniarczy, wszyscy w hawajskich koszulach, luźnych spodniach i sandałach, okazując

krańcowe lekceważenie dla reguł przyjętych na statku oraz eleganckich tradycji pierwszego wieczoru. Mayles zadrzał. W każdym rejsie trafiała się co najmniej jedna grupa bogatych, głośnych biznesmenów. Bardzo rozrzutnych. Według zebranych informacji Blackburn i jego grupa odbyli wycieczkę po krainie Bordeaux, gdzie wydali miliony dolarów, tworząc błyskawicznie piwnice win. Jak to miliarderzy, byli ekscentryczni i wymagający; Blackburn na siedmiodniowy rejs kazał na nowo urządzić swój obszerny apartament własnymi meblami, antykami i dziełami sztuki.

Pani Dahlberg nadal rozmawiała z Pendergastem.

– A w jaki sposób została pańską podopieczną?

Panna Greene wtrąciła:

– Mój pierwszy opiekun, doktor Leng, znalazł mnie na ulicy, sierotę błąkającą się po Nowym Jorku.

– Wielkie nieba, nie wiedziałam, że takie rzeczy zdarzają się w naszych czasach.

– Kiedy doktor Leng został zamordowany, Aloysius, jego krewny, zabrał mnie do siebie.

Słowo „zamordowany” na chwilę zawisło ciężko w powietrzu.

– Jakie to tragiczne – powiedział Mayles. – Tak mi przykro.

– Tak, to tragiczna historia... prawda, Aloysius?

Mayles wychwycił ostry ton w jej głosie. Na coś się zanosilo.

Ludzie przypominali góry lodowe – większość tego, co naprawdę się działo, zwłaszcza brzydotę, ukrywali pod powierzchnią.

Pani Dahlberg uśmiechnęła się ciepło do Pendergasta.

– Wspomniał pan wcześniej, że jest pan prywatnym detektywem.

O nie, pomyślał Mayles. Tylko nie to.

– W chwili obecnej tak.

– Mówił pan, że jakie dochodzenie pan prowadzi?

– Obawiam się, że nie mówiłem.

– Dochodzenie? – zapytał Brock z zaniepokojoną miną. Widocznie umknęła mu wcześniejsza wymiana zdań.

– Co za rozkoszna tajemniczość. – Pani Dahlberg uśmiechnęła się i położyła dłoń na rękę Pendergasta. – Uwielbiam zagadki kryminalne. Czytuje pan kryminały, panie Pendergast?

– Nigdy nie czytuję powieści. Uważam je za śmieszne.

Dahlberg wybuchnęła śmiechem.

– Ja je uwielbiam. I przyszło mi do głowy, panie Pendergast, że *Britannia* to wspaniałe miejsce na popełnienie morderstwa. – Odwróciła się do Maylesa. – Jak pan uważa, panie Mayles?

– Morderstwo to świetny pomysł, pod warunkiem że nikomu nie stanie się krzywda. – Ten dowcip wywołał ogólny śmiech i Mayles jeszcze raz poczuł dumę, że potrafi utrzymać konwersację w lekkim, powierzchownym tonie, zgodnie z wymaganiami etykiety.

Pendergast pochylił się do przodu.

– Nie mogę obiecać morderstwa podczas tej podróży – powiedział głosem słodkim jak miód – ale mogę zapewnić, że morderca jest na pokładzie.

Pendergast odpoczywał w salonie apartamentu, wertując przesadnie długą listę win serwowanych na *Britannii*. Z plazmowego telewizora nastawionego na kanał informacyjny statku płynął stłumiony głos wyliczający zalety oceanicznego liniowca, ilustrowane serią zdjęć.

– *Britannia* to wielki statek zbudowany według dawnych tradycji – recytował kulturalny brytyjski głos. – Ma przestronne pomieszczenia, szerokie klatki schodowe, dwie sale balowe, osiem restauracji, trzy kasyna i pięć basenów pływackich. Zabiera dwa tysiące siedmiuset pasażerów oraz tysiąc sześćset osób załogi, jej tonaż brutto wynosi sto sześćdziesiąt pięć tysięcy. Pod względem liczby miejsc jest najbardziej pojemną jednostką pływającą po oceanach świata, przewyższa też wszystkie inne luksusowe statki, jeśli chodzi o stosunek liczebności załogi do pasażerów. *Britannia* wyróżnia się unikatowymi elementami wyposażenia, jak ośmiopiętrowe Wielkie Atrium, ośrodek odnowy biologicznej Sedona SunSpa, ekskluzywne galerie handlowe na Regent Street i St. James's, kinoteatr Belgravia na tysiąc miejsc oraz podgrzewany basen, wzorowany na rzymskich łaźniach odkopanych w Pompei. Jej chlubę stanowi sala balowa Króla Jerzego II z kryształami i złoceniami, największa pływająca sala balowa. Długość statku przekracza wysokość Empire State Building, a syrenę słychać w promieniu piętnastu mil. Zgodnie z tradycją *Titanica* oraz

innych wielkich statków przeszłości, *Britannia* wyróżnia się niezwykle starannym wykończeniem zewnętrznym i wewnętrznym, na które zużyto ponad milion desek drewna tekowego, mahoniu, cedru, eukaliptusa, iroko i buka...

Na piętrze dwupoziomowego apartamentu otworzyły się drzwi. Constance wyszła ze swojego pokoju i zeszła po schodach.

Pendergast wyłączył telewizor i odłożył listę win.

– Nie wiedziałem, że mają tutaj taką obszerną piwnicę win – powiedział. – Sto pięćdziesiąt tysięcy leżakujących butelek. Szczególne wrażenie robi ich wybór pauillaca sprzed tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku.

Podniósł na nią wzrok. Zmieniła strój wieczorowy na bladożółtą sukienkę.

– Do twarzy ci w nowej garderobie, Constance – zauważył.

– Pomagałeś mi wybierać – odparła, siadając w fotelu naprzeciwko.

– Trochę ostro dzisiaj pogrywałaś.

– Ty też.

– Próbuję wykurzyć zabójcę. A ty, co robisz?

Constance westchnęła.

– Przepraszam, jeśli przesadziłam. Po klasztorze cały ten przepych działa na mnie przygnębiająco.

– „Bądź w świecie, ale nie ze świata” – zacytował starodawną buddyjską maksymę.

– Wolałabym być w domu i czytać książkę przy kominku. To – zatoczyła krąg ręką – jest groteskowe.

– Nie zapominaj, że my tutaj pracujemy.

Poruszyła się niecierpliwie w fotelu i nie odpowiedziała.

Pendergast zauważył, że jego podopieczna zmieniła się w ciągu ostatnich tygodni. Pobyt w klasztorze działał cuda. Z zadowoleniem widział, że Constance kontynuowała ćwiczenia Chongg Ran na statku,

wstawiała codziennie o czwartej rano i medytowała przez godzinę, medytowała po południu, jadła i piła z umiarem. Co najważniejsze, otrząsnęła się z apatii. Wydawała się odprężona, bardziej aktywna, wyraźnie interesowała się światem po raz pierwszy od śmierci jego brata. Ta wspólna misja i nierozwiązana tajemnica dały jej nowe poczucie celu. Pendergast miał wielką nadzieję, że Constance wreszcie dojdzie do siebie po okropnych marcowych wypadkach i zabiegu w klinice Feversham. Nie potrzebowała już ochrony przed ludźmi. W istocie po jej ostrym wystąpieniu przy obiedzie podejrzewał, że to raczej innych trzeba przed nią chronić.

– Co myślisz o naszym towarzystwie przy stole? – zagadnął.

– Niestety, niewiele. Oprócz pani Dahlberg... ona ma w sobie coś miło autentycznego. I chyba jest tobą zainteresowana.

Pendergast skłonił głowę.

– Nie tylko ja zrobiłem wrażenie. – Ruchem głowy wskazał cienką broszurę leżącą na bocznym stoliku, zatytułowaną: *Caravaggio: Zagadka chiaroscuro*. – Widzę, że doktor Brock nie zwlekał z przysłaniem ci swojej monografii.

Constance zerknęła na broszurę i zmarszczyła brwi.

– Pomimo swoich wad niektórzy nasi sąsiedzi przy stole mogą się przydać – ciągnął. – Na przykład pan Mayles. Ten człowiek widzi wszystko.

Constance przytaknęła i oboje zamilkli.

– Zatem – odezwała się po chwili, zmieniając temat – złodziej i morderca zastrzelił Jordana Ambrose'a z małokalibrowego pistoletu. Potem niepotrzebnie pastwił się nad ciałem.

– Tak.

– Ale reszta *modus operandi*, który opisałeś... staranne przeszukanie kieszeni, skrupulatne wytarcie wszystkich powierzchni... to wcale nie pasuje.

– Właśnie.

– Nie przypominam sobie żadnego precedensu w aktach spraw, które czytałam.

– Ani ja. Może z wyjątkiem jednej sprawy, którą prowadziłem w Kansas nie tak dawno.

Rozległo się pukanie do drzwi i Pendergast poszedł otworzyć. Na korytarzu stała przydzielona do nich stewardesa.

– Proszę wejść. – Pendergast zachęcił ją gestem.

Kobieta dygnęła i weszła do środka. Była chuda, w średnim wieku, o czarnych włosach i głęboko osadzonych czarnych oczach.

– Przepraszam pana – powiedziała ze wschodnioeuropejskim akcentem. – Chciałam zapytać, czy w tej chwili mogę coś dla państwa zrobić?

– Nie, dziękujemy. Na razie nic nam nie trzeba.

– Dziękuję panu. Przyjdę później pościelić łóżka.

I z kolejnym skromnym dygnięciem wycofała się z pokoju.

Pendergast zamknął drzwi i wrócił na sofę.

– Więc jak spędzimy wieczór? – zapytała Constance.

– Dysponujemy nieograniczonymi możliwościami poobiednich rozrywek. Masz ochotę na coś szczególnego?

– Może musztra wojskowa.

– Bardzo zabawne. Właściwie, zanim cokolwiek zdecydujemy, czeka na nas robota. – Pendergast wskazał wielki wydruk komputerowy leżący obok listy win. – Na pokładzie tego statku jest dwa tysiące siedmiuset pasażerów i mamy tylko siedem dni, żeby znaleźć mordercę i odzyskać Agozyena.

– Czy to lista pasażerów?

Pendergast przytaknął.

– Prosto z okrętowej bazy danych. Podaje zawód, płeć, wiek i czas zaokrętowania. Jak ci wcześniej mówiłem, wykluczyłem członków



załogi.

– Jak to zdobyłeś?

– Z wielką łatwością. Znalazłem technika komputerowego niskiej rangi i powiedziałem mu, że jestem audytorem z North Star oceniającym kwalifikacje załogi. Mało nóg nie połamał, tak się spieszył, żeby mi przynieść listę. Poczyniłem już znaczne postępy i zawęziłem krąg podejrzanych.

Wyciągnął kartkę papieru z kieszeni marynarki.

– Mów dalej.

Długi biały palec dotknął papieru.

– Morderstwo popełniono o dziesiątej, taksówka przyjechała do doku sporo po północy, więc zabójca wszedł na pokład nie wcześniej niż o wpół do pierwszej. Samo to wystarczy, żeby skreślić tysiąc czterysta siedemdziesiąt sześć nazwisk.

Palec znowu dotknął papieru.

– Morderca jest mężczyzną.

– Niby skąd to wiesz? – zapytała Constance, jakby takie założenie obrażało kobiety.

– Butelka szkockiej. Człowiek taki jak Ambrose raczej nie wybrałby whisky, gdyby zaprosił kobietę. No i nóż, który gładko przebił ciało, centymetrowej grubości dywan i wszedł prawie na dwa centymetry w podłogę ze sklejki. Coś takiego wymaga wielkiej siły. Na koniec sam Ambrose był alpinistą w znakomitej kondycji fizycznej, niełatwym do zabicia. Z czego wynika, że nasz zabójca jest silny, szybki i wysportowany... i jest mężczyzną.

– Przyznaję ci rację.

Palec przesunął się w dół po kartce.

– Z tych samych powodów możemy przyjąć przedział wiekowy: powyżej dwudziestki, mniej niż sześćdziesiąt pięć lat. Na takim statku ten fakt bardzo nam pomoże. W dodatku facet nie podróżuje z żoną:

brudne morderstwo, jazda taksówką, kamuflaż, wejście na pokład z Agozyenem... tak postępuje człowiek nieskrępowany przez żonę. Psychopatologia morderstwa, przyjemność czerpana z przemocy również wyraźnie wskazują na samotnego mężczyznę. Samotny mężczyzna w określonym wieku: kolejne tysiąc dwanaście nazwisk wykreślone. Pozostaje nam dwieście dwanaście.

Palec znowu się poruszył.

– Wszystkie dowody wskazują, że Ambrose nawiązał kontakt ze znanym kolekcjonerem, może nie azjatyckiej sztuki *per se*, niemniej kolekcjonerem. Człowiekiem, którego twarz mogli rozpoznać przypadkowi świadkowie. Co nam daje ostatecznie dwadzieścia sześć nazwisk.

Podniósł wzrok na Constance.

– Morderca jest sprytny. Postaw się na jego miejscu. Musiał wnieść to nieporęczne pudło na pokład statku, nie budząc podejrzeń. Nie zaokrętował się od razu, z pudłem w rękach... za bardzo rzucałyby się w oczy. Poza tym był zakrwawiony po morderstwie; musiał się umyć i przebrać w bezpiecznym miejscu. Więc co zrobił?– Poszedł do hotelu, umył się, zapakował Agozyena do większego kufra okrętowego, po czym wszedł na pokład z ostatnią turą pasażerów, w największym ścisku.

– Dokładnie. Czyli dzisiaj rano, około dziewiątej. Constance uśmiechnęła się kwaśno.

Palec wzniósł się nad kartką.

– Co nam pozostawia tylko ośmiu podejrzanych... tych tutaj. Zwróć uwagę na dziwny zbieg okoliczności: dwaj siedzieli przy naszym stole.

Podsunał jej kartkę. Przeczytała nazwiska:

Lionel Brock. Właściciel Galerii Brock, Zachodnia Pięćdziesiąta Siódma Ulica, Nowy Jork. Wiek 52. Wybitny handlarz obrazów impresjonistów i postimpresjonistów.

Scott Blackburn, były prezes i dyrektor generalny Gramnet, Inc. Wiek 41. Miliarder z Doliny Krzemowej. Kolekcjonuje sztukę Azji i dwudziestowieczne malarstwo.

Jason Lambe, dyrektor generalny Agamemnon.com. Wiek 42. Potentat technologiczny, Blackburn jest głównym inwestorem w jego firmie. Kolekcjonuje chińską porcelanę oraz japońskie drzeworyty i malowidła.

Terrence Calderon, dyrektor generalny TeleMobileX Solutions. Wiek 34. Potentat technologiczny, przyjaciel Blackburna. Kolekcjonuje francuskie antyki.

Edward Smecker, lord Cliveburgh, słynny dżentelmen włamywacz. Wiek 24. Kolekcjonuje zabytkową biżuterię, srebrne i złote naczynia, relikwiarze oraz *objets d'art*.

Claude Dallas, gwiazdor filmowy. Wiek 31. Kolekcjonuje popart.

Felix Strage, kierownik działu sztuki greckiej i rzymskiej w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Kolekcjonuje greckie i rzymskie antyki.

Victor Delacroix, pisarz i *bon vivant*. Wiek 36. Kolekcjoner eklektycznej sztuki.

Pendergast wyciągnął rękę z długopisem i przekreślił ostatnie nazwisko.

– Tego od razu możemy wykreślić.

– Dlaczego?

– Zauważyłem przy obiedzie, że jest leworęczny. Zabójca jest praworęczny.

Popatrzyła na niego.

– Wyeliminowałeś dwa tysiące sześciuset dziewięćdziesięciu trzech podejrzanych... i nawet jeszcze nie wyteżyłeś szarych komórek.

– Wyeliminowanie ostatnich siedmiu może się okazać trudniejsze. Tutaj musimy się rozdzielić, jeśli mamy zwyciężyć. – Zerknął na nią. –

Przeprowadzę dochodzenie na górnych pokładach, wśród pasażerów i oficerów. Chciałbym, żebyś zajęła się dolnymi pokładami.

- Dolnymi? Po co, skoro on nie należy do załogi?
- Plotki o pasażerach najłatwiej usłyszeć na dolnych pokładach.
- Ale dlaczego ja?
- Lepiej ode mnie potrafisz nakłonić do mówienia członków załogi.
- A czego dokładnie szukam?
- W zasadzie wszystkiego, co twoim zdaniem może się przydać.

Zwłaszcza skrzynki. Długiej, nieporęcznej skrzynki.

Milczała przez chwilę.

- Jak się dostanę na dolne pokłady?
- Znajdziesz sposób. – Troskliwie ujął ją za łokieć. – Ale muszę cię ostrzec, Constance: nie rozumiem tego zabójcy. A to mnie martwi. Ciebie też powinno.

Kiwnęła głową.

- Nie rób nic na własną rękę. Obserwuj, potem przyjdź do mnie.
- Zgoda?

– Tak, Aloysius.

– W tej sprawie zwierzyna, jak mawiał Holmes, jest blisko. Czy wzniesiemy toast za udane polowanie znakomitym starym porto? – Pendergast jeszcze raz sięgnął po listę win. – Podobno Taylor rocznik pięćdziesiąty piąty teraz wyjątkowo dobrze smakuje.

Machnęła ręką.

- Nie jestem w nastroju na porto, dziękuję, ale ty się nie krępuj.

Juanita Santamaría popychała wózek pokojówki po eleganckiej złotej dywanowej wykładzinie pokładu dwunastego. Wargi miała lekko zaciśnięte, wzrok wbity prosto przed siebie. Wózek, wyładowany wysoko czystą pościelą i pachnącymi mydełkami, skrzypiał, jadąc po pluszowym dywanie.

Kiedy skręciła za róg korytarza, natknęła się na pasażerkę: dobrze zakonserwowaną kobietę około sześćdziesiątki z włosami w fioletowym odcieniu.

– Przepraszam, kochanie – zwróciła się kobieta do Juanity. – Czy tędy dojdę do SunSpa?

– Tak – odpowiedziała pokojówka.

– Och, i jeszcze jedno: chciałabym wysłać kapitanowi liścik z podziękowaniem. Przypomnij mi, jak on się nazywa?

– Tak – powtórzyła Juanita, nie zatrzymując się.

Korytarz kończył się zwykłymi brązowymi drzwiami. Juanita przepchnęła przez nie wózek i weszła do pomieszczenia służbowego. Wielkie brezentowe worki z brudnym praniem leżały po jednej stronie, obok ustawionych w stosy szarych plastikowych balii, pełnych brudnych naczyń z pokojów. Wszystko to czekało na transport do wnętrza statku. Po prawej znajdowały się służbowe windy. Juanita podtoczyła wózek do najbliższej, wyciągnęła rękę

i nacisnęła guzik „w dół”.

Palce jej lekko drżały.

Drzwi windy otworzyły się z cichym szumem. Juanita wepchnęła wózek do środka i odwróciła się do tablicy z przyciskami. Znowu wyciągnęła rękę, żeby nacisnąć guzik. Tym razem jednak zawahała się, wpatrzona w tablicę. Czekwała tak długo, że drzwi znowu się zasunęły i kabina zawisała w szybie bez ruchu. W końcu – bardzo powoli, jak zombi – pokojówka nacisnęła guzik pokładu C. Kabina z szumem zaczęła zjeżdżać.

Główny korytarz pokładu C od strony sterburty był ciasny, niski i duszny. W przeciwieństwie do pustego pokładu dwunastego tutaj panował tłok: kelnerzy, pokojówki, krupierzy, hostessy, technicy, stewardzi, manikiurzystki, elektrycy i inni wymijali się w pośpiechu, skupieni na niezliczonych czynnościach, niezbędnych do prawidłowego funkcjonowania ogromnego oceanicznego liniowca. Juanita wepchnęła swój wózek w sam środek tej mrówczej krzątaniny i przystanęła, rozglądając się dookoła, jakby zabłądziła. Kilka osób rzuciło jej gniewne spojrzenia: wózek, zaparkowany w poprzek wąskiego korytarza, szybko spowodował zator.

– Hej! – Niechlujna kobieta w mundurze kierowniczkii przepchnęła się do Juanity. – Tutaj nie wolno wprowadzać wózków, zabieraj to zaraz do gospodarczego.

Juanita stała tyłem do kobiety i nie odpowiadała. Kierowniczka chwyciła ją za ramię i obróciła gwałtownie.

– Mówiłam, zabieraj to... – Rozpoznała Juanitę i urwała. – Santamaría? Co ty tu robisz, do cholery? Twoja zmiana kończy się dopiero za pięć godzin. Rusz tyłek z powrotem na pokład dwunasty.

Juanita milczała, nie patrząc na tamtą.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? Wracaj na górę, zanim cię spiszę i potrącę dniówkę. Ty...

Kierowniczka zamilkła. Zaniepokoiło ją coś w pozbawionej wyrazu twarzy Juanity, w ciemnych jamach jej oczu.

Porzuciwszy wózek na środku korytarza, Juanita minęła kierowniczkę i chwiejnie przecisnęła się przez tłum. Zaskoczona kierowniczka tylko odprowadziła ją wzrokiem.

Kwatera Juanity mieściła się w ciasnym, klaustrofobicznym labiryncie kabin w pobliżu rufy. Chociaż turbiny i silniki Diesla znajdowały się trzy pokłady niżej, basowa wibracja i smród spalin przesycaly powietrze niczym miazmaty zarazy. Zbliżając się do kabiny, Juanita jeszcze bardziej zwolniła. Mijający ją członkowie załogi oglądali się za nią, zaszokowani jej pustym wzrokiem i upiornie bladą twarzą.

Przystanąła pod drzwiami, jakby się wahała. Upłynęła minuta, potem druga. Nagle drzwi się otworzyły i przez próg przestąpiła ciemnoskóra, czarnowłosa kobieta. Miała na sobie mundurek kelnerki z Hyde Parku, nieformalnej restauracji na pokładzie siódmym. Na widok Juanity stanęła jak wryta.

– Juanita! – zawołała z haitańskim akcentem. – Dziewczyno, aleś mnie zaskoczyła.

Juanita znowu nie odpowiedziała. Patrzyła przez kobietę na wskroś, jakby jej nie widziała.

– Juanita, co się stało? Wytrzeszczasz oczy, jakbyś zobaczyła ducha.

Rozległ się chlupot, kiedy pęcherz Juanity się opróżnił. Żółte strugi moczu spłynęły jej po nogach i utworzyły kałużę na linoleum.

Kobieta w mundurku kelnerki odskoczyła.

– Hej!

Głośny okrzyk jakby obudził Juanitę. Jej szkliste oczy nabrały wyrazu. Skupiły się na kobiecie w drzwiach. Potem bardzo powoli spojrzenie przesunęło się z twarzy kobiety w dół, na szyję, gdzie wisiał złoty medalik na zwykłym łańcuszku. Przedstawiał

wielogłowego węża zwiniętego pod promieniami stylizowanego słońca.

Nagle oczy Juanity się rozszerzyły. Wyrzuciła ręce przed siebie, jakby chciała coś odepchnąć, i zatoczyła się z powrotem na korytarz. Rozwarła usta, odsłaniając przerażającą różową czelusć.

I zaczęły się wrzaski.



Roger Mayles szedł po pluszowym dywanie kasyna Mayfair, rozdając dookoła uśmiechy i skinienia głowy. *Britannia* wypłynęła na międzynarodowe wody niecałe pięć godzin wcześniej, ale w kasynie już wrzało: brzęk automatów, nawoływania krupierów przy ruletce, odzywki rozdających w blackjacku i grzechot kości zagłuszały program rozrywkowy, który właśnie szedł w Royal Court, bliżej dziobu na pokładzie czwartym. Prawie wszyscy nosili smokingi albo czarne suknie wieczorowe; większość przybiegła tutaj prostu z obiadu pierwszego wieczoru, nawet się nie przebierając.

Kelnerka dźwigająca tacę wyładowaną kieliszkami szampana zatrzymała Maylesa.

– Halo, panie Mayles – powiedziała, przekrzykując gwar. – Wypije pan kieliszek?

– Nie, dziękuję, kochanie.

Orkiestra dixielandowa zawodziła prawie na wyciągnięcie ręki, potęgując nastrój gorączkowej wesołości. Mayfair, najbardziej hałaśliwe z trzech kasyn na *Britanii*, stanowiło oszołamiający spektakl chciwości i kultu mamony, myślał Mayles. Pierwszego wieczoru na morzu zawsze królował radosny chaos: nikogo jeszcze nie otrzeźwiły poważne przegrane w kasynach. Mayles mrugnął do kelnerki i ruszył dalej, zerkając na kolejne stoły. Nad każdym

dyskretnie umieszczono w suficie małą kopułę z przydymionego szkła, niemal niewidoczną wśród olśniewających kryształowych kandelabrow. Dekoracje wzorowano na londyńskim fin de siecle'u: wszędzie gnieciony aksamit, polerowane drewno i staroświecki mosiądz. Na środku rozległej sali wznosiła się dziwaczna rzeźba z bladoróżowego lodu: lord Nelson, dość perwersyjnie przebrany w togę.

Mayles dotarł do baru, skręcił w prawo i przystanął przed nieoznaczonymi drzwiami. Wyjął z kieszeni kartę magnetyczną, przesunął przez czytnik i usłyszał kliknięcie. Rozejrzał się na obie strony, po czym szybko wśliznął się do środka i zamknął za sobą drzwi, odcinając się od hałasu.

Pokój za drzwiami nie miał górnego światła. Oświetlały go dziesiątki małych ekranów telewizyjnych osadzonych w czterech ścianach. Każdy pokazywał kasyno z innego miejsca: widok stołów z lotu ptaka, rzędy automatów, kasjerzy. To był „pit” kasyna Mayfair, skąd personel czujnie obserwował graczy, krupierów, kasjerów i rozdających.

Dwaj technicy w obrotowych fotelach, o twarzach zalanych upiornym niebieskawym światłem, studiowali displeje. Victor Hentoff, kierownik kasyna, stał za nimi i również wpatrywał się w monitory. Przez następne sześć dni miał kursować pomiędzy kasynami na statku. Spędził już tyle lat, patrząc w ekrany, że z nawyku ciągle badawczo mrużył oczy. Odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi.

– Roger – powiedział szorstkim głosem i wyciągnął rękę.

Mayles sięgnął do kieszeni i wyjął zaklejoną kopertę.

– Dzięki – burknął Hentoff. Rozerwał kopertę grubym paluchem i wyjął kilka kartek. – Mój Boże – westchnął, przeglądając kartki.

– Dużo nisko wiszących owoców – przyświadczył Mayles. –

Dojrzałych do zerwania.

– Zrobisz mi krótkie podsumowanie?

– Jasne. – Oprócz innych obowiązków Mayles dostarczał dyskretnie personelowi kasyna listę potencjalnych hazardzistów czy też jeleni, których należało traktować ze specjalnymi względami. – Hrabina Westleigh znowu zamierza dać się oskubać. Pamiętasz, co się działo na dziewiczym rejsie *Oceanii*?

Hentoff przewrócił oczami.

– Nie wierzę, że wróciła po czymś takim.

– Ona ma słabość do dziewiczych rejsów. I do rozdających w bakaracie. Następnie...

Nagle Hentoff nie patrzył już na Maylesa. Spoglądał ponad ramieniem kierownika rejsu. W tej samej chwili Mayles zauważył, że poziom hałasu w pomieszczeniu ogromnie wzrósł. Obejrzał się w stronę, gdzie patrzył Hentoff, i z konsternacją zobaczył, że jego towarzysz przy obiedzie, Pendergast, jakimś cudem wszedł do pitu i właśnie zamykał za sobą drzwi.

– Ach, pan Mayles – powiedział Pendergast. – Tu pan jest.

Konsternacja się pogłębiła. Kierownik rejsu rzadko się mylił w dobieraniu towarzystwa przy stole, ale wybór Pendergasta oraz jego „podopiecznej” to był błąd, którego nie zamierzał powtórzyć.

Pendergast obrzucił wzrokiem ściany monitorów.

– Macie tu urocze widoki.

– Jak pan tu wszedł? – zapytał ostro Hentoff.

– Mała salonowa sztuczka. – Pendergast lekceważąco machnął ręką.

– No, ale pan nie może tu zostać. Pasażerom wstęp wzbroniony.

– Chcę tylko zadać parę pytań panu Maylesowi i zaraz wychodzę.

Kierownik kasyna odwrócił się do Maylesa.

– Roger, znasz tego pasażera?

– Jedliśmy razem obiad. Czym mogę panu służyć, panie

Pendergast? – zapytał Mayles z pobłażliwym uśmiechem.

– To, co zamierzam wam powiedzieć, jest poufne – ostrzegł Pendergast.

O nie, pomyślał Mayles i jego wrażliwe nerwy napięły się jak struny. Miał nadzieję, że nie czeka go kontynuacja makabrycznej rozmowy przy obiedzie.

– Nie płynę na *Brytanii* tylko dla odpoczynku i morskiego powietrza.

– Doprawdy?

– Jestem tutaj, żeby wyświadczyć przyjacielowi przysługę. Widzicie, panowie, mojemu przyjacielowi coś ukradziono... coś bardzo cennego. Ten przedmiot znajduje się obecnie w posiadaniu jednego z pasażerów na tym statku. Zamierzam odzyskać ten przedmiot i zwrócić prawowitemu właścicielowi.

– Jest pan prywatnym detektywem? – zapytał Hentoff.

Pendergast zastanawiał się przez chwilę, blask monitorów odbijał się w jego bladych oczach.

– Istotnie można powiedzieć, że prowadzę prywatne dochodzenia.

– Czyli jest pan wolnym strzelcem – rzekł Hentoff. Nie zdołał ukryć nuty pogardy w głosie. – Sir, jeszcze raz proszę pana o opuszczenie tego pomieszczenia.

Pendergast rozejrzał się po ekranach i znowu przeniósł spojrzenie na Maylesa.

– Czy pana praca, panie Mayles, nie polega na tym, żeby wiedzieć wszystko o pasażerach?

– To jedna z moich przyjemności – przyznał Mayles.

– Doskonale. Więc jest pan właściwą osobą, żeby udzielić mi informacji, które pomogą mi wyśledzić złodzieja.

– Przykro mi, ale nie udzielamy informacji o pasażerach – odparł Mayles lodowatym tonem.

– Ale ten człowiek może być niebezpieczny. Popełnił morderstwo, żeby zdobyć ten przedmiot.

– W takim razie ochrona się nim zajmie – powiedział Hentoff. – Z przyjemnością skieruję pana do funkcjonariusza, który zanotuje te informacje i wciągnie do rejestru.

Pendergast pokręcił głową.

– Niestety, nie mogę wciągać personelu niższego szczebla do mojego śledztwa. Dyskrecja jest najważniejsza.

– Co to za przedmiot? – zapytał Hentoff.

– Przykro mi, ale nie mogę podać żadnych szczegółów. To azjatycki zabytek wielkiej wartości.

– A skąd pan wie, że on jest na pokładzie statku?

W odpowiedzi wargi Pendergasta drgnęły, jakby powstrzymywał uśmiech.

– Panie Pendergast – zaczął Mayles tonem przeznaczonym do ugłaskiwania najbardziej kłopotliwych pasażerów. – Nie chce pan powiedzieć, czego pan szuka. Nie chce pan powiedzieć, skąd pan wie, że ta rzecz jest na statku. Nie reprezentuje pan żadnych oficjalnych organów... a zresztą przebywamy obecnie na wodach eksterytorialnych. Nasza ochrona stanowi prawo... brytyjskie i amerykańskie prawa tutaj nie obowiązują. Wybacz pan, ale po prostu nie możemy sankcjonować pańskiego dochodzenia ani w żaden sposób panu pomagać. Na odwrót, uznamy za poważne uchybienie, jeśli pańskie śledztwo zakłóci spokój któregoś z gości. – Dla złagodzenia odmowy obdarzył Pendergasta swoim najbardziej czarującym uśmiechem. – Z pewnością pan rozumie.

Pendergast powoli kiwnął głową.

– Rozumiem. – Skłonił się lekko i odwrócił się do wyjścia. Potem przystanął z dłonią na framudze. – Przypuszczam – rzucił niedbale – że wiecie o działalności grupy osób liczących karty w waszym lokalu?

Ruchem głowy wskazał rząd ekranów.

Mayles zerknął tam, ale nie był wyszkolony w obserwacji i zobaczył tylko mężczyzn i kobiety rojących się przy stołach do blackjacka.

– O czym pan mówi? – zapytał ostro Hentoff.

– Liczą karty. Bardzo profesjonalni i dobrze zorganizowani, biorąc pod uwagę, że udaje im się nie wyciągnąć, hm, fury.

– Co za brednie – obruszył się Hentoff. – Nic takiego nie widzieliśmy. Co to za gierki?

– Dla nich to nie gierki – zauważył Pendergast. – Przynajmniej nie takie, jakich sobie życzyacie.

Przez chwilę Pendergast i kierownik kasyna mierzyli się wzrokiem. Potem Hentoff syknął z irytacją i odwrócił się do jednego z techników.

– Jaki jest bieżący utarg?

Technik podniósł słuchawkę telefonu i przeprowadził szybką rozmowę. Potem podniósł wzrok na szefa.

– Mayfair jest dwieście tysięcy funtów do tyłu, sir.

– Gdzie... w całym lokalu?

– Przy stołach do blackjacka, sir.

Hentoff szybko przeniósł wzrok z powrotem na ekrany i patrzył przez chwilę. Potem odwrócił się do Pendergasta.

– Którzy to?

Pendergast uśmiechnął się.

– Ach! Niestety, właśnie wyszli.

– Bardzo dogodnie się złożyło. A dokładnie, w jaki sposób liczyli karty?

– Chyba stosowali wariant „czerwone-siedem” albo „K-O”. Nie mam pewności, bo właściwie nie wpatrywałem się w ekrany. Tak dobrze się kamuflują, że widocznie nigdy jeszcze ich nie złapano; inaczej mielibyście zdjęcia policyjne w waszej bazie danych i skanery

identyfikacji twarzy, by ich wyłowiły.

Hentoff słuchał i twarz coraz bardziej mu czerwieniała.

– Skąd, do diabła, wie pan takie rzeczy?

– Jak sam pan powiedział, panie... Hentoff, tak? Jestem wolnym strzelcem.

Przez długą chwilę nikt się nie odzywał. Dwaj technicy siedzieli jak skamieniali, żaden nie odważył się oderwać wzroku od ekranów.

– Najwyraźniej przyda się panu pomoc w tej kwestii, panie Hentoff. Chętnie służyć.

– W zamian za naszą pomoc przy pańskim małym kłopotcie – rzekł sarkastycznie Hentoff.

– Właśnie.

Znowu zapadło pełne napięcia milczenie. W końcu Hentoff westchnął.

– Jezus. Czego pan właściwie chce?

– Pokładam wielką wiarę w umiejętnościach pana Maylesa. On ma dostęp do danych wszystkich pasażerów. Do jego obowiązków należy nawiązywanie stosunków towarzyskich ze wszystkimi na pokładzie, zadawanie pytań, zdobywanie informacji. Wymarzona sytuacja, żeby pomóc. Proszę się nie martwić o zakłócanie spokoju gości, panie Mayles... interesuje mnie tylko garstka pasażerów. Chciałbym na przykład wiedzieć, czy ktoś z tej garstki złożył depozyt w centralnym sejfie, czy obsługa ma zakaz wstępu do ich kabin... tego rodzaju rzeczy. – Potem odwrócił się do Hentoffa. – I potrzebuję również pańskiej pomocy.

– Do czego?

– Do... jak to się mówi? Smarowania kół.

Hentoff przeniósł wzrok z Pendergasta na Maylesa.

– Zastanowię się – mruknął Mayles.

– Mam nadzieję, że niezbyt długo – powiedział Pendergast – ze

względu na panów. Stracić dwieście tysięcy funtów przez pięć godzin... dość przykra tendencja.

Uśmiechnął się i nie mówiąc nic więcej, wysliznął się z pitu.



Constance Greene spacerowała po szerokiej alei butików i ekskluzywnych sklepów na pokładzie szóstym, znanej jako St. James's. Choć minęła już północ, *Britannia* nie zamierzała iść spać. Wystrojone pary przechadzały się, oglądając wystawy i gawędząc zniżonymi głosami. Wzdłuż alejek stały duże wazony świeżych kwiatów, przez śmiechy i rozmowy przebijało się rzępolenie kwartetu smyczkowego. Pachniało bzem, lawendą i szampanem.

Constance powoli szła dalej, mijając winiarnię, jubilera i galerię sztuki, tę ostatnią z oryginalnie sygnowanymi grafikami Miró, Klee i Dalego po astronomicznych cenach. Za drzwiami staruszka w fotelu inwalidzkim besztowała młodą blondynkę, która popychała fotel. Coś w tej młodej kobiecie przykuło uwagę Constance: spuszczone oczy i nieobecny wyraz twarzy, świadczące o skrywanym smutku, mogły należeć do niej samej.

Za arkadą St. James's rząd ozdobnych podwójnych drzwi otwierał się na Wielkie Atrium: rozległą ośmiopiętrową przestrzeń w środku statku. Constance podeszła do balustrady, spojrzała najpierw w górę, potem w dół. Wokół roztaczał się niezwykle widok na tarasy, roziskrzone kandelabry, niezliczone pionowe rzędy światel i odsłonięte windy z witrażowego szkła i kryształu. Niżej, w restauracji King's Arms na pokładzie drugim, grupki ludzi siedziały

w czerwonych skórzanych boksach, zjadając na obiad solę z Dover, ostrygi Rockefeller i tournedos z polędwicy. Kelnerzy i sommelierzy uwijali się wśród nich, jeden ustawiał tacę wyładowaną smakołykami, inny pochylał się troskliwie nad klientką, żeby lepiej słyszeć jej zamówienie. Kondygnacje balkonów na pokładach trzecim i czwartym zapewniały miejsca dla dodatkowych stolików. Do uszu Constance docierały szczęk sreber, gwar rozmów, przyływy i odpływy muzyki.

Panowała tu cieplarniana atmosfera luksusu i uprzywilejowania, ogromnego pływającego miasta-pałacu, najwspanialszego na świecie. A jednak nie wywierała żadnego wrażenia na Constance. Przeciwnie, jakoś ją odstręczało to powszechne, desperackie poszukiwanie przyjemności. Jakże różniła się ta gorączkowa aktywność, ta łapczywa konsumpcja i zachłanne przywiązanie do spraw tego świata od jej życia w klasztorze. Zateśkniła za powrotem.

„Bądź w świecie, ale nie ze świata”.

Odwróciła się od poręczy, podeszła do najbliższego rzędu wind i wjechała na pokład dwunasty. Ten pokład prawie w całości zajmowały kwatery pasażerów; chociaż równie wytworny, z grubymi orientalnymi dywanami i olejnymi pejzażami oprawnymi w pozłacane ramy, cechował się znacznie stateczniejszą atmosferą. Constance ruszyła przed siebie. Trochę dalej korytarz skręcał w prawo. Na wprost znajdowały się drzwi do jej apartamentu położonego w lewym rufowym narożniku statku. Constance sięgnęła po kartę magnetyczną i zamarła.

Drzwi apartamentu były uchylone.

Natychmiast serce zaczęło jej wściekle walić, jakby tylko czekało na taką okazję. Jej opiekun nigdy nie dopuściłby się podobnego niedbalstwa – to musiał być ktoś inny. To nie może być on, pomyślała. Nie może. Widziałam, jak spadł. Widziałam, jak zginął.

Częścią świadomości wiedziała, że jej strach jest irracjonalny. A jednak nie potrafiła zapanować nad łomoczącym sercem.

Sięgnęła do torebki, wyciągnęła wąskie pudełko, otworzyła zatrzask i wyjęła z pluszowego gniazdka lśniący skalpel. Skalpel, który dostała od niego.

Z bronią w ręku cicho weszła do apartamentu. Główny salon miał owalny kształt i duże, dwukondygnacyjne okno z widokiem na czarny Atlantyk kipiący daleko w dole. Jedne drzwi po lewej prowadziły do podręcznego pokoju kredensowego, drugie po lewej do pokoju, który ona i Aloysius wykorzystywali jako gabinet. Paliło się tylko nikłe światełko bezpieczeństwa. Za oknem Constance widziała na falującym oceanie ścieżkę księżycowego blasku, rozsypującego klejnoty w kilwaterze statku. Księżyc oświetlał sofę, dwa fotele, aneks jadalniany, mały fortepian. Bliźniacze kręcone schody wiły się po ścianach z obu stron. Te po lewej prowadziły do sypialni Pendergasta; po prawej – do sypialni Constance. Zrobiła następny cichutki krok i spojrzała w górę, wyciągając szyję.

Drzwi do jej pokoju były uchylone. Ze szpary sączyło się bladożółte światło.

Mocniej ścisnęła skalpel. Potem – powoli, w kompletnej ciszy – przeszła przez pokój i zaczęła się wspinać po schodach.

W nocy morze zrobiło się niespokojne. Powolne kołysanie statku, początkowo ledwie dostrzegalne, nasilało się coraz bardziej. Gdzieś daleko w górze rozległ się przeciągły, żalostny głos okrętowego gwizdka. Przesuwając ręką po poręczy, Constance ostrożnie wchodziła po stopniach.

Dotarła do podestu, przystanąła pod drzwiami. Ze środka nie dochodził żaden dźwięk. Odczekała chwilę. Potem gwałtownie pchnęła drzwi i wpadła do środka.

Usłyszała okrzyk przestrawu. Rzuciła się w tamtą stronę.

To była kabinowa stewardesa, ta sama ciemnowłosa kobieta, która wcześniej przysła się przedstawić. Stała przy regale, widocznie pochłonięta książką, którą właśnie upuściła na skutek zaskoczenia. Teraz patrzyła na Constance ze zdumieniem i strachem. Nie mogła oderwać wzroku od lśniącego skalpela.

– Co tu robisz? – zapytała ostro Constance.

Kobieta zbyt powoli wychodziła z szoku.

– Przepraszam, panienko. Przyszłam tylko posłać łóżka... – zaczęła z silnym wschodnioeuropejskim akcentem. Wciąż wpatrywała się w skalpel, strach zniekształcał rysy jej twarzy.

Constance wsunęła skalpel z powrotem do etui i schowała do torebki. Potem sięgnęła po telefon stojący obok łóżka, żeby wezwać ochronę.

– Nie! – krzyknęła kobieta. – Proszę. Wysadzą mnie w następnym porcie, zostawią mnie w Nowym Jorku i jak ja wrócę do domu?

Constance zawahała się z dłonią na słuchawce. Nieufnie spoglądała na kobietę.

– Bardzo przepraszam – ciągnęła kobieta. – Weszłam, żeby posłać łóżko, położyć czekoladkę na poduszce. A potem zobaczyłam... zobaczyłam...

Wskazała książkę, którą upuściła na podłogę.

Constance zerknęła na książkę. Ku swojemu ogromnemu zdumieniu zobaczyła, że to cienki tomik zatytułowany *Poezje Achmatowej*.

Constance sama nie wiedziała, dlaczego wzięła tę książkę ze sobą. Historia tego tomiku – i dziedzictwo – zapisały się boleśnie w jej pamięci. Sam jego widok sprawiał jej przykrość. Może nosiła go tak, jak pokutnica nosi włosiennicę, w nadziei, że cierpieniem odkupi popełnione błędy.

– Lubisz Achmatową? – zapytała.

Kobieta przytaknęła.

– Kiedy tu przyjechałam, nie mogłam zabrać książek. Brakowało mi ich. A potem, ścieląc łóżko, zobaczyłam... zobaczyłam pani książki. – Przełknęła ślinę.

Constance dalej przyglądała się jej badawczo.

– *Zapaliłam odświętne świece – zacytowała – żeby się rozświecił ten wieczór.*

Nie odrywając oczu od Constance, kobieta podjęła:

– *Z tobą, który wciąż nie przychodzisz, czterdziesty pierwszy witam rok*[\[11\]](#).

Constance odsunęła się od telefonu.

– W domu, na Białorusi, wykładałam poezję Achmatowej – ciągnęła kobieta.

– W szkole?

Kobieta pokręciła głową.

– Na uniwersytecie. Rosyjskim, oczywiście.

– Jest pani profesorem? – zdziwiła się Constance.

– Byłam. Straciłam pracę... jak wielu innych.

– A teraz pracuje pani na statku... jako pokojówka?

Kobieta uśmiechnęła się smutno.

– Tutaj wielu z nas ma podobnie. Często tracimy pracę. W domu jest mało pracy. Wszystko skorumpowane.

– A rodzina?

– Moi rodzice mieli gospodarstwo, ale rząd odebrał im ziemię z powodu opadu. Po Czarnobylu. Widzi pani, chmura płynęła na zachód. Przez dziesięć lat wykładałam rosyjską literaturę na uniwersytecie. Ale potem straciłam posadę. Później usłyszałam o pracy na wielkich statkach. Przyjechałam tutaj, żeby pracować i wysyłać pieniądze do domu. – Z rozgoryczeniem pokręciła głową.

Constance usiadła na najbliższym krześle.

– Jak się pani nazywa?

– Maria Kazulin.

– Pani Mario, zapomnę o tym naruszeniu prywatności. Ale w zamian potrzebuję pani pomocy.

Twarz kobiety stała się czujna.

– Jak ja mogę pani pomóc?

– Chciałabym czasami zejść na dolne pokłady, pogadać z pracownikami, stewardami, członkami załogi. Zadać parę pytań. Może mnie pani przedstawić, poręczyć za mnie.

– Pytań? – przestraszyła się kobieta. – Pani pracuje dla linii okrętowych?

Constance pokręciła głową.

– Nie. Mam swoje powody, osobiste powody. Nic związanego z liniami ani ze statkiem. Wybacz pani, że nie powiem nic więcej.

Maria Kazulin trochę się uspokoiła, ale nie do końca.

– Mogę przez to mieć kłopoty.

– Będę bardzo dyskretna. Chcę tylko porozmawiać, zadać kilka pytań.

– Jakich pytań?

– O życie na statku, jakieś niezwykle wydarzenia, plotki o pasażerach. I czy ktoś widział pewien przedmiot w którejś kabinie.

– O pasażerach? To chyba nie jest dobry pomysł.

Constance się zawahała.

– Pani Kazulin, powiem pani, o co chodzi, jeśli obieca pani dochować tajemnicy.

Po chwili pokojówka kiwnęła głową.

– Szukam czegoś ukrytego na tym statku. Pewnego przedmiotu, świętego i bardzo niezwykłego. Chciałam porozmawiać z personelem i zapytać, czy ktoś widział coś takiego w jakimś apartamencie.

– A ten przedmiot? Co to jest?

Constance milczała przez chwilę.

– To długa, wąska skrzynka, drewniana, bardzo stara, z dziwnymi napisami.

Maria zastanawiała się przez chwilę, potem się wyprostowała.

– Pomogę pani. – Uśmiechnęła się, na jej twarzy odmalowało się ożywienie. – Praca na statku pasażerskim jest okropna. Przynajmniej będzie się działo coś ciekawego. I w dobrej sprawie.

Constance wyciągnęła rękę i wymieniły uścisk dłoni.

Maria przyjrzała się dziewczynie.

– Zdobędę dla pani uniform taki jak mój. – Machnęła ręką. – Nie może pani zejść poniżej linii wodnej ubrana jak pasażerka.

– Dziękuję. Jak się z panią skontaktuję?

– To ja się z panią skontaktuję – odpowiedziała Maria. Przyklękła, podniosła książkę i podała Constance. – Dobranoc, panienko.

Constance przytrzymała jej rękę i zacisnęła jej palce na książce.

– Proszę to wziąć. I nie nazywać mnie „panienką”. Mam na imię Constance.

Z ulotnym uśmiechem Maria cofnęła się do drzwi i wyszła.

Pierwszy oficer Gordon LeSeur w swojej morskiej karierze służył na dziesiątkach statków, od kutrów admiralicji, poprzez niszczyciele, do statków wycieczkowych. Mostek *Britanii* był zupełnie inny niż na tamtych jednostkach – cichszy, ultranowoczesny, przestronny i dziwnie mało nautyczny, z licznymi monitorami komputerowymi, elektronicznymi konsolami, tarczami i drukarkami. Wszystko na mostku stanowiło produkt najnowszej albo jeszcze nowszej technologii. Najbardziej przypominał lśniąca dyspozytornię francuskiej elektrowni atomowej, którą LeSeur zwiedzał w zeszłym roku. Ster nazywał się teraz „zintegrowaną stacją roboczą mostku”, a stół z mapami – „centralną konsolą nawigacyjną”. Samo koło sterowe stanowiło wspaniały okaz z mahoniem i wypolerowanego mosiądzu, ale umieszczono je na mostku tylko ze względu na zwiedzających pasażerów. Sternik nigdy go nie dotykał – LeSeur zastanawiał się czasami, czy koło sterowe w ogóle jest do czegoś podłączone. Zamiast tego sternik manewrował statkiem za pomocą zestawu czterech joysticków, jeden na każdy z pędników gondolowych, plus dwa do pędników sterujących na dziobie i pośrodku kadłuba. Głównym silnikiem napędowym kierowały przepustnice, jak w odrzutowcu. To wszystko kojarzyło się raczej z superwyrafinowaną grą komputerową niż z tradycyjnym mostkiem.



Pod wielkimi oknami, rozciągającymi się od sterburty do bakburty, dziesiątki modułów komputerowych kierowały i zbierały informacje o przyrządach na statku i jego otoczeniu: silnikach, systemach przeciwpożarowych, monitorach wodoszczelnej integralności, komunikacji, mapach pogody, danych satelitarnych i setkach innych. Na dwóch stołach leżały schludnie ułożone mapy morskie, z których chyba nikt nie korzystał.

To znaczy nikt oprócz niego.

LeSeur zerknął na zegarek: dwadzieścia minut po północy. Wyjrzał przez przednie okna. Światła ogromnego statku iluminowały czarny ocean na setki metrów dookoła, ale sama woda znajdowała się tak nisko – czternaście pokładów niżej – że gdyby nie powolne, głębokie kołysanie statku, mogłoby się wydawać, że siedzą na szczycie wieżowca. Za kręgiem światła rozciągała się ciemna noc aż po ledwie widoczny horyzont. Dawno temu minęli powoli pulsującą latarnię Famouth, a wkrótce potem latarnię Penzance. Teraz tylko otwarty ocean dzielił ich od Nowego Jorku.

Mostek został w pełni obsadzony, odkąd odpłynął pilot z Southampton, który wyprowadził statek z kanału. Nawet za bardzo obsadzony. Wszyscy oficerowie pokładowi chcieli uczestniczyć w pierwszym etapie dziewiczego rejsu *Britannii*, największego i najwspanialszego statku siedmiu mórz.

Carol Mason, zastępca kapitana, odezwała się do oficera wachtowego głosem równie spokojnym jak atmosfera na mostku.

– Bieżący stan, panie Vigo?

Pytanie było pro forma – nowa morska elektronika podawała informacje w ciągłych odczytach, do wglądu dla wszystkich. Ale Mason była tradycjonalistką i przede wszystkim pedantką.

– Szybkość dwadzieścia siedem węzłów na kursie rzeczywistym dwa pięć dwa, niewielki ruch, stan morza trzy, lekki wiatr od

bakburty. Z północnego wschodu prąd pływowy o szybkości tuż powyżej jednego węzła.

Jeden z bocznych obserwatorów na oku odezwał się do oficera wachtowego:

– Przed dziobem jest statek, jakieś cztery stopnie na sterburcie, sir.

LeSeur zerknął na ECDIS[12] i zobaczył echo.

– Ma pan go, panie Vigo? – zapytała Mason.

– Namierzam go, sir. Wygląda jak ULCC[13], płynący z szybkością dwudziestu węzłów, odległość dwanaście mil. Na kursie kolizyjnym.

Nie było powodów do niepokoju. LeSeur wiedział, że są statkiem mającym prawo drogi, uprawnionym do płynięcia tym kursem, a statek ustępujący z drogi ma mnóstwo czasu na zmianę kursu.

– Proszę mnie zawiadomić, kiedy on skręci, panie Vigo.

– Tak jest, sir.

LeSeurowi zawsze wydawało się dziwne zwracanie się „sir” do kapitana płci żeńskiej, chociaż wiedział, że tego wymaga standardowy protokół zarówno na jednostkach cywilnych, jak i wojennych. W końcu tak mało było kobiet kapitanów.

– Barometr wciąż spada? – spytała Mason.

– Pół kreski przez ostatnie trzydzieści minut.

– Bardzo dobrze. Utrzymywać obecny kurs.

LeSeur popatrzył na zastępcę kapitana. Mason nigdy nie mówiła o swoim wieku, domyślał się jednak, że miała około czterdziestki, może czterdzieści jeden lat: czasami trudno określić wiek ludzi, którzy spędzają życie na morzu. Była wysoka i posągowa, atrakcyjna na swój rzeczowy, kompetentny sposób. Twarz miała lekko zarumienioną – może z przejęcia swoim pierwszym rejssem w randze zastępcy kapitana. Krótkie brązowe włosy chowała pod kapitańską czapkę. Patrzył, jak krążyła po mostku, tu zerknęła na ekran, tam mruknęła coś do członka załogi. Pod wieloma względami była

idealnym oficerem: spokojna, o cichym głosie, wymagająca, ale nie drobiazgową, bez dyktatorskich zapędów. Wiele żądała od podwładnych, ale sama ciężko pracowała. Roztaczała magnetyczną aurę solidności i fachowości, jaką spotyka się tylko u najlepszych oficerów. Załoga była jej oddana, i słusznie.

Nie wymagano jej obecności na mostku, podobnie jak LeSeura. Ale wszyscy chcieli oglądać początek dziewiczego rejsu i dowodzącą Mason. W zasadzie ona powinna kierować statkiem. Spotkała ją niesprawiedliwość, krzycząca niesprawiedliwość.

Jak na zawołanie drzwi się otworzyły i komodor Cutter wszedł na mostek. Atmosfera natychmiast się zmieniła. Ciała zeszywniały, twarze straciły wyraz. Oficer wachtowy przybrał wystudiowaną postawę. Tylko Mason wydawała się niewzruszona. Wróciła do konsoli nawigacyjnej, wyjrzała przez okna, powiedziała coś cicho do sternika.

Cutter odgrywał rolę – przynajmniej w teorii – głównie ceremonialną. Był publiczną twarzą na statku, człowiekiem, na którego patrzyli pasażerowie. Oczywiście nadal dowodził, ale na większości oceanicznych liniowców rzadko widywało się kapitana na mostku. Prawdziwe dowodzenie spoczywało w rękach zastępcy.

Wyglądało na to, że ten rejs będzie inny.

Komodor Cutter wyszedł na środek. Zakręcił się na jednej nodze, splótł ręce za plecami i przeszedł po mostku tam i z powrotem, studiując monitory. Był niskim, potężnie zbudowanym mężczyzną o stalowosiwych włosach i mięsistej twarzy, mocno rumianej nawet w przyćmionym świetle mostka. Zawsze miał na sobie nieskazitelny mundur.

– Nie zmienia kursu – odezwał się oficer wachtowy do Mason. – CPA[14] za dziewięć minut. Płynie stałym kursem i zmniejsza odległość.

Na mostku zaczęło narastać lekkie napięcie.

Mason podeszła i popatrzyła na ECDIS.

– Radio, wywołaj go na kanale szesnastym.

– Statek przed nami od sterburty – powiedział inżynier radiowy – statek przed nami od sterburty, tu *Britannia*, czy mnie słyszysz?

Trzaski statyki.

– Statek przed nami od sterburty, czy mnie słyszysz?

Minuta upłynęła w milczeniu. Cutter dalej tkwił w miejscu, z rękami splecionymi za plecami; nic nie mówił – tylko patrzył.

– Ciągłe nie skręca – powiedział oficer wachtowy do Mason. – CPA za osiem minut i jest na kursie kolizyjnym.

LeSeur miał nieprzyjemną świadomość, że dwa statki zbliżają się do siebie z łączną szybkością czterdziestu czterech węzłów – około osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Jeśli supertankowiec ULCC wkrótce nie zacznie skręcać, zrobi się gorąco.

Mason zgarbiła się nad ECDIS, przyglądając się uważnie. Nagła fala niepokoju przepłynęła przez mostek. LeSeur przypomniał sobie, co mu mówił jeden z jego oficerów w Królewskiej Marynarce Wojennej: „Pływanie to dziewięćdziesiąt procent nudy i dziesięć procent przerażenia”. Nie ma stanów pośrednich. Obejrzał się na Cuttera, stojącego z nieprzeniknioną twarzą, a potem na Mason, która zachowała spokój.

– Co oni robią, do cholery? – rzucił oficer wachtowy.

– Nic – odparła sucho Mason. – I właśnie w tym problem. – Zrobiła krok do przodu. – Panie Vigo, przejmę dowodzenie na czas manewru omijania.

Vigo odsunął się na bok z widoczną ulgą.

Mason odwróciła się do sternika.

– Ster na bakburtę dwadzieścia stopni.

– Tak jest, ster na bakburtę dwadzieścia...

Nagle Cutter odezwał się, przerywając potwierdzenie rozkazu.

– Kapitanie Mason, mamy prawo drogi.

Mason wyprostowała się znad ECDIS.

– Tak, sir. Ale ten ULCC ma prawie zerową sterowność i może przekroczyć punkt, gdzie...

– Kapitanie Mason, powtarzam: mamy prawo drogi.

Na mostku zapadła cisza pełna napięcia. Cutter odwrócił się do sternika.

– Stałym kursem na dwa pięć dwa.

– Tak jest, stały kurs na dwa pięć dwa.

LeSeur widział światła tankowca przed dziobem od strony sterburty, coraz jaśniejsze. Krople potu wystąpiły mu na czoło. To prawda, że mieli pierwszeństwo i drugi statek powinien zejść z ich kursu, ale czasami trzeba się przystosować do rzeczywistości. Tamci prawdopodobnie płynęli na autopilocie, zajęci innymi sprawami. Kto wie, może oglądali pornosy w mesie albo leżeli pijani na podłodze.

– Użyć syreny – rozkazał Cutter.

Potężna syrena *Britanii*, słyszalna na piętnaście mil, głębokim rykiem rozdarła nocne ciemności. Pięć buczków – sygnał niebezpieczeństwa. Obaj wachtowi obserwatorzy patrzyli przez lornetki. Napięcie zrobiło się nie do zniesienia.

Cutter nachylił się do wzmacniaka VHF na mostku.

– Statek przecinający mój kurs od sterburty, tu *Britannia*. Mamy prawo drogi i musicie zmienić kurs. Zrozumiano?

Syk pustej częstotliwości.

Syrena znowu ryknęła. Światła na ULCC rozpadły się na pojedyncze punkty. LeSeur widział nawet nikły rząd świateł na mostku tankowca.

– Kapitanie – powiedziała Mason – nawet gdyby teraz zmienili kurs, nie jestem pewna, czy...

– CPA za cztery minuty – ogłosił oficer wachtowy.

LeSeur pomyślał z całkowitym niedowierzaniem: Jasna cholera, zderzymy się.

Martwa cisza zapadła na mostku. *Britannia* znowu dała sygnał niebezpieczeństwa.

– Skręca na sterburcie – odezwał się obserwator. – Skręca, sir!

Syrena z ULCC rozbrzmiała nad wodą, trzy krótkie sygnały oznaczające, że statek wykonuje manewr awaryjny. Najwyższy pieprzony czas, pomyślał LeSeur.

– Stały kurs – powiedział Cutter.

LeSeur spojrział na ECDIS. Rozpaczliwie powoli nakładka radaru kierunkowego ARPA[15] przeliczała kurs ULCC. W przyptywie ulgi LeSeur zrozumiał, że niebezpieczeństwo się oddala: ULCC przejdzie za sterburcią. Na mostku nastąpiło wyraźne odprężenie, rozległ się szmer głosów, kilka stłumionych przekleństw.

Cutter nieporuszony, odwrócił się do zastępcy kapitana.

– Kapitanie Mason, mogę spytać, dlaczego zredukowała pani prędkość do dwudziestu czterech węzłów?

– Przed nami zła pogoda, sir – odparła Mason. – Stałe zlecenie kompanii nakazuje, żeby pierwszej nocy pasażerowie aklimatyzowali się do otwartego morza poprzez...

– Znam stałe zlecenie – przerwał Cutter cicho, jednak jego głos brzmiał nieskończenie bardziej onieśmielająco niż wrzask. Odwrócił się do sternika. – Zwiększyć prędkość do trzydziestu węzłów.

– Tak jest, sir – odpowiedział sternik neutralnym tonem. – Zwiększyć prędkość do trzydziestu węzłów.

– Panie Vigo, może pan podjąć wachtę.

– Tak jest, sir.

Cutter dalej wpatrywał się w Mason.

– Skoro mowa o stałych zleceniach, doszło do moich uszu, że jednego z oficerów na tym statku widziano wcześniej wieczorem, jak

wychodził z kabiny pasażerskiej.

Przerwał, budując napięcie.

– To nieistotne, czy w grę wchodził kontakt seksualny. Wszyscy znamy zasady dotyczące bratania się z pasażerami.

Z rękami za plecami obrócił się powoli, spoglądając w twarz każdemu oficerowi, zanim znowu spojrzał na Mason.

– Pozwólcie sobie przypomnieć, że to nie jest Statek Miłości. Nie zamierzam tolerować takiego zachowania. Niech pasażerowie popełniają wybryki na własną odpowiedzialność; moja załoga nie może sobie pozwalać na takie rzeczy.

LeSeur ze zdumieniem zauważył, że rumieniec na twarzy Mason znacznie się pogłębił.

To nie mogła być ona, pomyślał. To ostatnia osoba, która złamie zasady.

Drzwi mostku otworzyły się i wszedł Patrick Kemper, szef ochrony.

– Sir...

– Nie teraz – uciął Cutter.

Kemper zamilkł.

Na każdym dużym statku pasażerskim, na jakim służył LeSeur, do głównych obowiązków kapitana należały pogaduszki z pasażerami, prezydowanie za kapitańskim stołem podczas długich, wesołych obiadów i reprezentowanie kadry oficerskiej na statku. Zastępca kapitana, nominalnie drugi po głównodowodzącym, był najważniejszym oficerem operacyjnym. Cutter jednak miał reputację człowieka gardzącego towarzyskimi obowiązkami i najwyraźniej zamierzał trzymać się tego na swoim pierwszym kapitańskim stanowisku. Był oficerem ze starej szkoły, byłym komodorem Królewskiej Marynarki Wojennej z utytułowanej rodziny, awansowanym trochę powyżej kompetencji, jak podejrzewał LeSeur. Kilka lat wcześniej stanowisko kapitana na *Olimpii* przypadło

najbardziej zżartemu rywalowi Cuttera. Od tamtego czasu Cutter pociągał za wszystkie sznurki, żeby powierzono mu dowództwo *Britannii* – które powinna dostać Mason – i jego intencje były oczywiste. Zamierzał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby ten dziewiczy rejs *Britannii* stał się ukoronowaniem jego kariery – włącznie z pobiciem rekordu szybkości *Olimpii*, ustanowionego przed rokiem. Zła pogoda go nie zniechęci, najwyżej umocni jego determinację, pomyślał ponuro LeSeur. Statki wycieczkowe uciekały przed sztormem; ale oceaniczny liniowiec, prawdziwy oceaniczny liniowiec, przetrzyma każdą burzę.

LeSeur zerknął na Mason. Patrzyła przed siebie, przez okna z przodu, spokojna i opanowana; jedynie blednący rumieniec zdradzał, że coś jest nie w porządku. Jak dotąd, podczas próbnego rejsu i dzisiejszego odpłynięcia, znosiła autorytarność i wścibstwo komodora z wdziękiem i spokojem. Nawet pominięcie w awansie na dowódcę *Britannii* nie wytrąciło jej z równowagi. Pewnie przywykła do szowinizmu na morzu i wyrobiła sobie odporność. Kapitanowanie na wielkich statkach pozostało jednym z nielicznych bastionów męskości w cywilizowanym świecie. Mason bez wątplenia znała niepisaną zasadę: nawet najbardziej kompetentna kobieta nigdy nie zostanie dowódcą wielkiego liniowca.

– Szybkość pod stępką trzydzieści węzłów, sir – powiedział sternik.

Cutter kiwnął głową i odwrócił się do szefa ochrony.

– Dobrze, panie Kemper, o co chodzi?

Mały człowieczek zaczął mówić. Pomimo ciężkiego bostońskiego akcentu i cech typowego Amerykanina, LeSeur uważał Kempera za bratnią duszę. Pewnie dlatego, że obaj pochodzili z dzielnic robotniczych w portowych miastach nad Atlantykiem. Kemper był kiedyś gliną, zastrzelił handlarza narkotyków, który celował do jego partnera, został bohaterem – ale i tak odszedł z policji. Widocznie nie



mógł tam wytrzymać. Był jednak cholernie dobrym ochroniarzem, nawet jeśli brakowało mu pewności siebie. LeSeur domyślał się, że ten brak stanowił jeden ze skutków ubocznych zabicia człowieka.

– Kapitanie, mamy problem w kasynach.

Cutter odwrócił się od Kempera i przemówił:

– Panie Kemper, działalność kasyn jest marginalna dla statku. Pierwszy oficer się tym zajmie. – Nawet nie spojrzawszy na LeSeura, zwrócił się do oficera wachtowego: – Proszę mnie wezwać w razie potrzeby, panie Vigo.

Przemaszerował energicznie przez mostek i zniknął za drzwiami.

– „To nie jest Statek Miłości” – mruknął LeSeur. – Co za palant.

Mason powiedziała rzeczowo, ale łagodnie:

– Komodor Cutter miał rację.

– Tak jest, sir. – LeSeur odwrócił się do Kempera z przyjaznym uśmiechem. – No dobrze, panie Kemper, posłuchajmy o tym problemie w kasynach.

– Zdaje się, że mamy grupę liczących karty przy blackjacku.

– O Boże.

– Najpierw Mayfair straciło dwieście tysięcy funtów, a potem Covent Garden umoczyło sto tysięcy.

LeSeur poczuł lekkie ukłucie: właśnie coś takiego mogło naprawdę wpienić korporację.

– Ustaliliście ich tożsamość?

– Oczywiście wiemy, kto wygrywa, ale nie wiemy, kto po prostu ma szczęście, a kto liczy. Pracują zespołowo: gracze i liczący. Liczący nie grają, tylko obserwują i dają sygnały graczom. Jak wiesz, oni są mózgiem.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. To nie zbieg okoliczności?

– Mało prawdopodobne. Hentoff się martwi, że mogą być jak tamten zespół studentów MIT kilka lat temu, który zrobił Vegas na

trzy miliony.

Mdlące uczucie w żołądku LeSeura przybrało na sile. Zdawał sobie sprawę, że *Britannia* to nie Las Vegas, gdzie można dać facetowi kopa w tyłek, jeśli się go przyłapie na liczeniu kart. Tutaj byli płacący pasażerowie. A kompanie statków pasażerskich bardzo liczyły na zyski z hazardu; awantura w kasynie mogła zniechęcić innych pasażerów do grania. Coś jednak należało zrobić. Udany dziewiczy rejs do Nowego Jorku wśród fanfar zachwyconych mediów guzik znaczył dla korporacji, jeśli kasyna poniosą duże straty. Chodziło o pieniądze – po pierwsze i po ostatnie, jak zawsze.

– Co pan proponuje? – zapytał.

– No więc, sir, jest pewien... – Kemper się zawahał. – Pewien niezwykły pasażer. Bogaty gość, który odgrywa prywatnego detektywa. On pierwszy zauważył liczenie kart. Zaofiarował pomoc w wykryciu tożsamości sprawców.

– W zamian za co?

– No, widzi pan... – zająknął się Kemper. – Ten gość podobno płynie z nami, żeby wyśledzić pewien artefakt, który ponoć został skradziony jego klientowi. Jeśli udzielimy mu informacji o wytypowanych przez niego podejrzanych, pomoże nam z liczącymi karty... – Głos mu zamarł.

– Z tego, co wiemy – rzucił energicznie LeSeur – to mógł być przypadek i Mayfair zarobi sto tysięcy funtów, zanim wieczór się skończy. Zaczekajmy jeszcze parę godzin, zobaczymy, czy straty nadal rosną. Cokolwiek pan zrobi, proszę to załatwić po cichu. Żadnych melodramatów.

– Dobrze, sir.

LeSeur odprowadzał wzrokiem Kempera. Żal mu było tego faceta... i siebie. Dobry Boże, gdyby tylko mógł wrócić do Królewskiej Marynarki Wojennej, gdzie nie mieli kasyn, liczących karty ani

neurotycznych pasażerów.

– Znowu napuściłaś za gorącej wody do wanny – narzekała starsza kobieta ostrym głosem, rozbrzmiewającym zbyt głośno w kabinie. – I wlałaś za mało olejku.

Inge Larssen usiłowała pomóc staruszce – wążącej dwa razy więcej od niej – przebrać się w nocny strój.

– Przepraszam, pszepani – wymamrotała.

– Ile jeszcze razy mam ci powtarzać? – ciągnął napastliwy głos, podczas gdy wiekowa skóra, pomarszczona i obwisła jak kogucie podgardle, miłosiernie znikła pod warstwami bawełny i jedwabiu. – Kiedy wychodziłyśmy po obiedzie, postawiłaś moją torebkę po prawej stronie wózka. Jej miejsce jest po lewej! Po lewej!

– Tak jest, pszepani. – Krzywiąc się od uścisku szponiastej dłoni na ramieniu, Inge podała staruszce laskę. Natychmiast oberwała nią boleśnie po knykciach.

– Stójże prosto, dziewczyno. Chcesz, żebym się przewróciła?

– Nie, pszepani. – Inge odwróciła wzrok. Patrzenie na chlebobawczynię tylko prowokowało ją do dalszej krytyki.

– Doprawdy jesteś najgorszą towarzyszką, jaką miałam w życiu... a trochę ich miałam, tyle ci powiem. Jeśli się nie poprawisz, po prostu cię zwolnię.

– Bardzo mi przykro, jeśli pani nie zadowolam – odparła Inge.

Pół godziny trwało położenie starej do łóżka, uniesienie jej stóp do odpowiedniej pozycji i otulenie, nasmarowanie dłoni balsamem, a twarzy kremem przeciwzmarszczkowym, uczesanie i upięcie włosów oraz odpowiednie spulchnienie poduszek.

– Teraz masz siedzieć cicho, ani mru-mru – ostrzegł skrzeczący głos. – Wiesz, jak trudno zasypiam.

– Dobrze, pszepani.

– I zostaw drzwi otwarte. Mam lekki sen i w każdej chwili mogę cię potrzebować.

– Dobrze.

Powoli i jak najciszej Inge wycofała się z sypialni i zajęła miejsce w fotelu tuż za drzwiami. Tutaj właśnie spała, w salonie na kanapie. Stara nalegała, żeby posłanie dziewczyny sprzątać z samego rana i nie rozkładać aż do późnej nocy; zupełnie jakby ją irytowało, że Inge też musi spać.

Czekała, ledwie wążąc się oddychać, podczas gdy stara stękała i mamrotała niespokojnie. Stopniowo odgłosy ucichły i oddech stał się bardziej regularny. Inge słuchała, dopóki nie zaczęło się chrapanie, jak zwykle: wbrew własnym słowom starucha spała twardo jak kamień i nigdy nie budziła się w nocy.

Teraz Inge bardzo ostrożnie podniosła się z fotela i przemknęła na palcach obok otwartych drzwi sypialni. Chrapanie rozbrzmiewało z niesłabnącą siłą. W drodze do drzwi Inge minęła lustro i przystanęła na chwilę, żeby sprawdzić, czy wygląda w porządku. Z tafli spojrzała na nią młoda, poważna kobieta o prostych blond włosach i smutnych, niemal przestraszonych oczach. Szybko przyglądziła włosy ręką. Potem podeszła do drzwi apartamentu, otworzyła je ostrożnie i wymknęła się na korytarz.

Idąc po eleganckim dywanie, od razu poczuła się lepiej. Zupełnie jakby ciemna mgła znikła w promieniach słońca. Dotarła do głównych

schodów i zeszła na publiczne pokłady statku. Tutaj było dużo weselej: ludzie śmiali się, rozmawiali. Niejeden mężczyzna uśmiechnął się do niej, kiedy mijała sklepy, kawiarnie i winiarnie: chociaż nieśmiała i trochę niezręczna, Inge była atrakcyjna, a jej szwedzkie pochodzenie rzucało się w oczy.

Pracowała u starej już od dwóch miesięcy i nigdy nie spodziewała się czegoś takiego. Osierocona we wczesnym dzieciństwie, dorastała pod kloszem, w klasztornej szkole z internatem. Kiedy nadeszła pora na podjęcie pracy, znalazła posadę damy do towarzystwa przez agencję związaną z zakonem. Rozwiązanie wydawało się idealne. Inge perfekcyjnie znała angielski, szkoła zaś wystawiła jej znakomite referencje. Nie miała gdzie mieszkać, a posada damy do towarzystwa zapewniała mieszkanie i utrzymanie. I, co najważniejsze, podróże z bogatą damą pozwolą jej zobaczyć świat, o którym tak bardzo marzyła.

Rzeczywistość jednak okazała się całkiem inna. Chlebodawczym Inge kręciła nosem na wszystko; Inge nigdy nie doczekała się jednego słowa pochwały. Kiedy stara nie spała, wymagała nieustannej opieki i żądała, żeby natychmiast spełniano każdy jej kaprys. Inge nie mogła od niej odejść ani na chwilę. Czuła się jak w więzieniu – z dwuletnim wyrokiem, na mocy umowy, którą podpisała. Tylko w nocy wymykała się na wolność, kiedy stara spała, ale zawsze budziła się o świcie, kwękająca i wymagająca.

Inge spacerowała w eleganckim otoczeniu, spijała muzykę, rozmowy, widoki i zapachy. Miała bogatą wyobraźnię – marzenia stanowiły jedyną jej ucieczkę – ale przynajmniej *Britannia* spełniła jej wszelkie nadzieje. Inge nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie pięknego. Przystanęła przed wielkim kasynem, zajrzała do środka, gdzie grali elegancko ubrani bogaci i potężni. Takie widoki pomagały jej zapomnieć o piekle, w którym cierpiała co dzień.

Jeszcze przez chwilę zwlekała przy drzwiach. Potem wyprostowała się i ruszyła dalej. Zrobiło się późno, bardzo późno, więc sama też musiała złapać trochę snu – stara nie pozwalała jej na żadne drzemki ani przerwy w ciągu dnia. Ale zamierzała wrócić następnej nocy, żeby chłonąć te widoki – widoki stanowiące pożywkę dla marzeń i fantazji, które z kolei pomogą jej przetrwać nadchodzące dni. Marzeń o czasach, kiedy ona również będzie podróżowała w takim luksusie i elegancji, uwolniona od biedy i okrucieństwa, kiedy będzie miała męża i szafę pełną pięknych sukien. Lecz bez względu na swoje bogactwo zawsze będzie zwracała się uprzejmie do służących i traktowała ich łagodnie, pamiętając, że oni też są ludźmi.

Pendergast sunął bezgłośnie przez ociekające luksusem publiczne pomieszczenia *Britannii*, rejestrując srebrzystymi oczami każdy szczegół, notując w pamięci rozkład statku. Spacerował już prawie przez trzy godziny, przez salony, pływalnie, restauracje, puby i kasyna, galerie i rozległe, pełne ech kina. Odziany w nieskazitelnie skrojony czarny garnitur, wtopił się w tłum mężczyzn w smokingach, spośród których wyróżniał się tylko jasnobłond włosami i bladą cerą.

Wiedział, że jego cel nie śpi i jest w pobliżu. O czwartej nad ranem wreszcie go namierzył, wędrującego bez celu po pokładzie siódmym, najwyższym z publicznych pokładów, krążącego w labiryncie barów i galerii, zmierzającego w stronę śródkręcia. Nad ich głowami znajdowało się niemal tysiąc sto pasażerskich przedziałów. Żeby odbić sobie ogromne koszty budowy takiego wielkiego i wspaniale wyposażonego statku, linie North Star ograniczyły liczbę pojedynczych kabin i zmieniły wszystkie pasażerskie kabiny od strony morza w przestronne – i drogie – apartamenty z prywatnymi balkonami. Ze względu na balkony apartamenty należało umieścić wysoko ponad spienioną linią wodną, toteż pomieszczenia publiczne przeniesiono na niższe pokłady.

Tłumy zrzędyły. Statek kołysał się ociężale, powolne, głębokie przechyły trwały po kilka minut. Ich źródłem było centrum sztormu



na wschodzie. Prawdopodobnie wielu pasażerów żałowało, że wcześniej spożyli wykwintne i obfite obiady. Należał do nich również cel agenta.

Pendergast przystanął i spojrzął na składany plan statku, teraz upstrzony jego starannymi notatkami. Rozejrzał się i zobaczył to, czego szukał: luk prowadzący na pokład spacerowy. Wprawdzie na innych poziomach *Britannii* znajdowały się zewnętrzne patia, publiczne balkony i baseny kąpielowe, ale tylko pokład siódmy służył się promenadą, która okrążała cały statek. I rzeczywiście tam dostrzegł swój cel: mężczyzna otwierał luk i wychodził na świeże powietrze.

Przy drzwiach Pendergast pociągnął łyk burbona ze srebrnej piersiówki, potrzymał alkohol w ustach, przełknął, otworzył drzwi i wyszedł. Znalazł się jakby w szponach nawałnicy. Poryw wichury uderzył go w twarz, wywłócił krawat spod marynarki i zatrzepotał nim za plecami. Nawet tutaj, osiem pokładów nad powierzchnią oceanu, powietrze wypełniał drobniutki pył wodny. Dopiero po chwili Pendergast zorientował się, że to zjawisko powoduje nie tylko nadciągający sztorm; statek robił ponad trzydzieści mil na godzinę, co nawet przy bezwietrznej pogodzie wywoływało gwałtowny ruch powietrza na odsłoniętym pokładzie. Całkiem jak mówił pierwszy oficer, LeSeur: „Statek wycieczkowy ucieka przed sztormem. My nie zbaczamy z kursu... po prostu się przebijamy”.

Zobaczył swój cel stojący przy relingu jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, po zawietrznej. Pendergast ruszył w jego stronę, z ręką uniesioną w jowialnym powitaniu.

– Jason? Jason Lambe?

Mężczyzna się odwrócił.

– Co? – Twarz miał zieloną.

Pendergast zatoczył się do niego, złapał go za rękę.

– Na Boga, to ty! Zdawało mi się, że cię rozpoznałem przy obiedzie! Cholera, jak się masz? – Entuzjastycznie ścisnął go za rękę, złapał również lewą i przyciągnął mężczyznę do siebie.

– Uch, świetnie. – Jason Lambe nie wyglądał świetnie. – Przepraszam, ale czy my się znamy?

– Pendergast! Aloysius Pendergast! PS 84, Riverdale!

Pendergast objął mężczyznę za ramiona i uściśnął po przyjacielsku, zionąc mu w twarz alkoholowym oddechem. Lambe zeszywniał i usiłował się wyplątać z natrętnych pijackich objęć.

– Nie pamiętam żadnego Pendergasta – powiedział niepewnie.

– Daj spokój! Jason, przypomnij sobie dawne czasy! Towarzystwo śpiewacze, uczelniana reprezentacja koszykówki! – Kolejny uścisk, tym razem mocniejszy.

Lambe miał dość. Mozolnie, z wysiłkiem próbował się uwolnić od agenta, który uczepił się go jak rzep.

– Dostałeś sklerozy na starość, Jason? – Pendergast życzliwie klepnął Lambe'a po ramieniu.

Lambe wreszcie się wyrwał, strząsnął jego rękę i zrobił krok do tyłu.

– Słuchaj, Pendergast, może wrócisz do swojej kabiny i wytrzeźwiejesz? Nie mam pojęcia, kim jesteś.

– Tak się traktuje starego kumpla? – zaskomlał Pendergast.

– Wyrażę się nawet jaśniej. Odwal się, facet.

Lambe przepchnął się obok niego i wrócił do środka, wciąż zielony od choroby morskiej.

Pendergast oparł się o reling, trzęsąc się z bezgłośnej wesołości. Po chwili wyprostował się, odchrząknął, poprawił krawat i garnitur, wytarł ręce jedwabną chusteczką i z lekceważącym grymasem otrzepał się kilkoma ruchami wymanikiurowanych palców. Następnie przespacerował się po pokładzie. Kołysanie statku jeszcze bardziej się

wzmogło, więc posuwał się z jedną ręką na relingu, pochylony na wietrze.

Spojrzał w górę, na rzędy pustych balkonów. To zakrawało na szczyt ironii: większość pasażerów *Britannii* zapłaciła słono za apartament z balkonem, ale z powodu nadmiernej prędkości statku nie mogli z tych balkonów korzystać.

Pokonanie całej długości statku zajęło mu prawie dziesięć minut. Wreszcie przystanął we względnej ciszy na rufie. Przechylił się przez reling i spojrzał na skotłowany kilwater: cztery linie białej piany przecinały wzburzony ocean. Wiatr porywał strzępy piany i rozpylał wodne rozbryzgi na lekką mgiełkę, która otulała statek niczym wilgotny, upiorny całun.

Syrena okrętowa ryknęła żałośnie. Pendergast odwrócił się i w zamyśleniu oparł się o reling. Na pokładach ponad nim dwa tysiące siedmiuset pasażerów zajmowało luksusowe apartamenty. A na dole, głęboko poniżej linii wodnej znajdowały się kwatery tysiąca sześciuset mężczyzn i kobiet, których praca polegała na spełnianiu wszelkich zachcianek tych pasażerów.

Ponad cztery tysiące ludzi – a wśród nich dziwaczny morderca oraz tajemniczy przedmiot, dla którego ten człowiek zabił.

Oślonięty od wiatru Pendergast wyjął listę z kieszeni, odkręcił wieczne pióro i powoli przekreślił nazwisko Jasona Lambe'a. Ocena fizycznej kondycji tego człowieka – którą przeprowadził dość dokładnie pod pozorem pijackich uścisków – przekonała go, że Lambe ze swoimi patykowatymi ramionami i wątlymi mięśniami nie mógł pokonać Ambrose'a, a tym bardziej popełnić aktu tak gwałtownej przemocy.

Pozostało sześciu.

Syrena znowu zawyła. Pendergast zamarł. Potem wyprostował się i wyteżył słuch. Przez moment zdawało mu się, że słyszał ludzki krzyk

nałożony na głos syreny. Czekał i nasłuchiwał przez kilka minut. Ale słyszał tylko świst wiatru. Owinął się ciaśniej marynarką i ruszył z powrotem do luku, do przyjaznego ciepła statku. Czas spać.

Brudne słońce z trudem przebijało się przez mgły zalegające na wschodnim horyzoncie. Wodniste promienie zalewały statek żółtym blaskiem świtu. Pierwszy oficer Gordon LeSeur wyszedł z Klubu Admiralskiego i ruszył po pluszowym dywanie, wyściełającym korytarz na sterburcie pokładu dziesiątego. Kilku pasażerów stało przy windach. Przywitał się z nimi wesoło. W odpowiedzi kiwnęli głowami, trochę bladzi i zieloni. LeSeur, który nie cierpiał na chorobę morską od dwudziestu lat, próbował wzbudzić w sobie współczucie, ale bez powodzenia. Kiedy pasażerowie zapadali na chorobę morską, zaczynali marudzić. A tego ranka okropnie marudzili.

Pozwolił sobie na krótką chwilę nostalgii za Królewską Marynarką Wojenną. Choć zwykle był pogodnym i bezproblemowym facetem, zaczynał go męczyć efekciarski styl życia na statku pasażerskim – zwłaszcza wybryki rozbestwionych pasażerów, którzy koniecznie chcieli się zabawić „za swoje pieniądze”, urządzając orgie jedzenia i picia, hazardu i bzykania. A Amerykanie zawsze wygłaszali te same kretyńskie komentarze o jego podobieństwie do Paula McCartneya. Pytali, czy jest spokrewniony z Paulem McCartneyem. Nie bardziej był spokrewniony z McCartneyem niż królowa Elżbieta ze swoimi owczarkami corgi. Chyba powinien był pójść w ślady ojca i wstąpić do marynarki handlowej. Pływałby na miłym, spokojnym, rozkosznie

wolnym od pasażerów VLCC[16].

Uśmiechnął się ze skruchą. Co mu się stało? Początek rejsu to o wiele za wcześnie, żeby mieć takie myśli.

Idąc dalej w stronę rufy, wyciągnął radio z kabury, nastawił na częstotliwość statku i wcisnął guzik nadawania.

– Apartament tysiąc czterdzieści sześć, zgadza się?

– Tak jest, sir – zachrypiał w głośniku bostoński akcent Kempera. – Niejaki pan Evered. Gerald Evered.

– Doskonale.

LeSeur schował radio. Stanął przed drzwiami, odchrząknął, poprawił mundur, podniósł rękę i zapukał tylko raz.

Drzwi szybko otworzył mężczyzna sporo po czterdziestce. LeSeur automatycznie zanotował szczegóły: brzuch, początki łysiny, kosztowny garnitur, kowbojskie buty. Facet nie wyglądał na chorego, zielonego czy marudnego. Wyglądał na wystraszonego.

– Pan Evered? – zapytał LeSeur. – Jestem pierwszym oficerem. Podobno życzył pan sobie rozmawiać z kimś z dowództwa?

– Proszę wejść.

Evered wprowadził gościa i zamknął drzwi. LeSeur rozejrzał się po kabinie. Drzwi szafy były otwarte, w środku wisiały zarówno suknie, jak i garnitury. Po podłodze łazienki walały się ręczniki, co oznaczało, że pokojówki jeszcze nie posprzątały. Co dziwne, łóżko było idealnie zasłane. Czyli nikt w nim nie spał poprzedniej nocy. Na poduszce leżał kowbojski kapelusz.

– Moja żona zaginęła – oznajmił Evered ciężkim teksaskim akcentem, który nie zdziwił LeSeura.

– Jak dawno temu?

– Wczoraj w nocy nie wróciła do kabiny. Chcę, żeby przeszukano statek.

LeSeur szybko przybrał najbardziej współczujący wyraz twarzy.

– Przykro mi to słyszeć, panie Evered. Zrobimy, co w naszej mocy. Czy mogę zadać kilka pytań?

Evered pokręcił głową.

– Nie ma czasu na pytania. Czekałem już zbyt długo. Musicie zorganizować poszukiwania!

– Panie Evered, ogromnie nam pomoże, jeśli najpierw uzyskam trochę informacji. Proszę usiąść.

Evered zawahał się na chwilę. Potem usiadł na skraju łóżka, bębniąc palcami po kolanie.

LeSeur zajął najbliższy fotel i wyciągnął notes. Przekonał się, że robienie notatek zawsze pomagało – uspokajało ludzi.

– Imię pańskiej żony?

– Charlene.

– Kiedy ostatnio pan ją widział?

– Około dziesiątej trzydzieści wczoraj wieczorem. Może o jedenastej.

– Gdzie?

– Tutaj, w naszej kabinie.

– Czy ona wyszła?

– Tak. – Wahanie.

– Dokąd się wybierała?

– Nie wiem dokładnie.

– Nie wspominała, że idzie na zakupy albo do kasyna, nic w tym rodzaju?

Kolejna chwila wahania.

– No, widzi pan, trochę się pokłóciliśmy.

LeSeur kiwnął głową. Więc o to chodzi.

– Czy to się już przedtem zdarzało, panie Evered?

– Czy co się zdarzało?

– Czy pana żona wychodziła po kłótni?

Mężczyzna roześmiał się z goryczą.

– Cholera, jasne. Chyba każdy coś takiego przeżywał.

LeSeur nigdy nie przeżywał, ale wolał o tym nie mówić.

– Czy przedtem też nie wracała na noc?

– Nie, nigdy. Zawsze w końcu wraca z podkulonym ogonem.

Dlatego zadzwoniłem. – Osuszył czoło chusteczką. – A teraz zabierzcie się lepiej do poszukiwań.

LeSeur wiedział, że musi delikatnie wyperswadować pasażerowi ten pomysł. Po pierwsze *Britannia* była za wielka, żeby ją dokładnie przeszukać. A nawet gdyby chcieli, nie mieli ludzi: pasażerowie nie zdawali sobie sprawy, jak nieliczna jest ochrona na oceanicznym liniowcu.

– Przepraszam, że pytam, panie Evered – zaczął możliwie łagodnym tonem – ale czy w pana małżeństwie... ogólnie dobrze się układa?

– Co to ma wspólnego z zaginięciem mojej żony, do cholery? – oburzył się mężczyzna, niemal wstając z łóżka.

– Musimy wziąć pod uwagę wszystkie możliwości, panie Evered. Może ona siedzi gdzieś w barze, wciąż rozgniewana.

– Właśnie o tym mówię... znajdźcie ją!

– Znajdziemy. Zaczniemy od wezwania jej przez publiczny system nagłaśniający.

LeSeur doskonale rozumiał, jak się rzeczy mają. Małżeństwo osiągnęło wiek średni, przechodziło kryzys i wypłynęło w rejs, żeby poczuć trochę dawnej magii. Pewnie mąż został przyłapany, jak posuwał kogoś w biurze, albo żona dała się skusić na małe popołudniowe bara-bara z sąsiadem. Wyruszyli więc w romantyczną morską podróż, żeby wszystko naprawić, ale zamiast magii skończyło się na kłótniach.

Evered znowu spochmurniał.

– To była zwykła kłótnia, nic wielkiego. Zawsze wracała na noc. Do



cholery, musicie zebrać ludzi i zacząć...

– Panie Evered – przerwał mu gładko LeSeur – pozwoli pan, że coś powiem? Żeby pana uspokoić.

– Co?

– Pracuję na statkach pasażerskich już od wielu lat. Ciągłe widuję takie rzeczy. Pary się kłóca, jedno wychodzi. To nie jest tak, jakby pańska żona po prostu wyszła z domu, panie Evered. To jest *Britannia*, największy statek pasażerski na świecie. Na pokładzie są setki, tysiące rzeczy, które mogły zatrzymać pańską żonę. Może weszła do któregoś kasyna... są otwarte przez całą noc, wie pan. Może jest w ośrodku odnowy. Albo robi zakupy. Może gdzieś wstąpiła, żeby dać odpocząć nogom, i zasnęła... na pokładzie jest ponad dwadzieścia barów. Albo spotkała kogoś, kogo zna, kobietę czy...

LeSeur skromnie zawiesił głos, ale znaczenie wyraził jasno.

– Czy co? Chce pan powiedzieć, że moja żona spotkała innego mężczyznę? – Evered poderwał się z łóżka w żalostnej furii pięćdziesięciolatka.

LeSeur również wstał i uśmiechnął się rozbrajająco.

– Panie Evered, pan mnie źle zrozumiał. Z pewnością nie zamierzałem nic takiego sugerować. Po prostu widywałem takie rzeczy już setki razy i zawsze się wyjaśniały. Zawsze. Pana żona na pewno dobrze się bawi. Wezwiemy ją parę razy przez system głośników i poprosimy, żeby skontaktowała się z nami lub z panem. Gwarantuję panu, że ona wróci. Coś panu zaproponuję: może zamówi pan śniadanie dla dwojga, podane do kabiny? Założę się o wszystko, że żona wróci, zanim przyniosą zamówienie. Przyślę butelkę veuve clicquot na koszt firmy.

Evered dyszał ciężko i usiłował się opanować.

– Tymczasem ma pan może zdjęcie żony, które mógłbym pożyczyć? Oczywiście dysponujemy państwa fotografiami identyfikacyjnymi

zrobionymi przy zaokrętowaniu, ale zawsze co dwa zdjęcia, to niejedno. Puszczę je w obieg wśród ochrony, żeby się rozejrzeli.

Evered odwrócił się i wszedł do łazienki. LeSeur usłyszał zgrzyt otwieranego zamka błyskawicznego, szelesty, odgłosy szukania. Po chwili Evered wrócił z fotografią w rękę.

– Nie ma się czym martwić, panie Evered. *Britannia* to chyba najbezpieczniejsze środowisko na świecie.

Mężczyzna rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Lepiej, żeby pan miał rację, cholera.

LeSeur zdobył się na wymuszony uśmiech.

– Teraz proszę zamówić śniadanie dla dwojga. I życzę miłego dnia.

Wyszedł z apartamentu.

Na korytarzu przystanął, żeby obejrzeć zdjęcie. Ku swojemu zdziwieniu odkrył, że pani Evered to niezła laska. Oczywiście nie jakaś wystrzałowa, ale nie wyrzuciłby jej z łóżka: o dobre dziesięć lat młodsza od męża, szczupła, jasnowłosa i piersiasta, w dwuczęściowym kostiumie kąpielowym. Teraz już nie miał wątpliwości, co zaszło: wkurzona małżonka poznała kogoś i poszła do niego na noc. Pokręcił głową. Te luksusowe liniowce przypominały jedną wielką pływającą orgię. Coś się dzieje z ludźmi, kiedy porzucają stały ład – zaczynają się zachowywać jak banda sybarytów. Jeśli pan Evered ma trochę oleju w głowie, zrobi to samo: na pokładzie jest mnóstwo bogatych wdów...

LeSeur zachichotał cicho na tę myśl. Potem włożył zdjęcie do kieszeni. Na pewno przekaże je ochronie: w końcu Kemper i jego ludzie znali się na gorących laskach i chętnie rzucą okiem na krągłości pani Evered.

Biuro szefa ochrony Kempera znajdowało się w głównym kompleksie ochrony, w labiryncie niskich pokoiów na pokładzie A, przy linii wodnej *Britannii*. Pytając o drogę, Pendergast minął najpierw obsadzony punkt kontrolny, potem szereg cel aresztanckich, szatnię i natryski, wreszcie duży, okrągły pokój, wypełniony dziesiątkami ekranów wewnętrznej telewizji, pokazujących kolejno ujęcia z setek, jeśli nie tysięcy kamer nadzoru rozsianych po statku. Trzej znudzeni ochroniarze apatycznie spoglądali na ściany płaskich monitorów. Dalej znajdowały się zamknięte drzwi ze sztucznego drewna z tabliczką: Kemper. Legendarne drewniane wykończenia statku, zauważył Pendergast, nie sięgały na niższe pokłady.

Zapukał.

– Wejść – usłyszał.

Pendergast wszedł i zamknął za sobą drzwi. Patrick Kemper siedział za biurkiem, z telefonem przy uchu. Był to niski, krępy mężczyzna z dużą, ciężką głową, grubymi, gruzłowatymi uszami, brązowym tupecikiem i wiecznie udręczonym wyrazem twarzy. Urzędował w dziwnie pustym gabinecie: oprócz biurka, krzeseł, oprawionej fotografii *Britannii* oraz kilku międzynarodowych promocyjnych plakatów North Star prawie nie było tu mebli ani ozdób. Zegar na ścianie za Kemperem wskazywał dokładnie dwunastą w południe.

Kemper odłożył słuchawkę.

– Proszę siadać.

– Dziękuję. – Pendergast usiadł na jednym z dwóch twardych krzeseł naprzeciw biurka. – Pan chciał mnie widzieć?

Pogłębiła się udręka na twarzy Kempera.

– Niezupełnie. Hentoff tego zażądał.

Pendergast skrzywił się, słysząc akcent rozmówcy.

– Czyżby kierownik kasyna zgodził się na moją skromną propozycję? Doskonale. Z największą radością odwzajemnię się dzisiaj wieczorem, kiedy liczący karty stawia się do pracy.

– Te szczegóły ustali pan z Hentoffem.

– Jak miło.

Kemper westchnął.

– W tej chwili mam sporo na głowie. Więc może spróbujemy się streszczać. Czego dokładnie pan potrzebuje?

– Dostępu do centralnego sejfu statku.

Znużenie nagle wyparowało z szefa ochrony.

– Nie ma mowy.

– Ach... a ja mylnie sądziłem, że zawarliśmy umowę.

Na twarzy Kempera odmalowało się niedowierzanie.

– Pasażerowie nie mogą wchodzić do skarbcza, a tym bardziej tam węszyć.

Odpowiedź Pendergasta brzmiała bardzo łagodnie:

– Nietrudno sobie wyobrazić, co się stanie z szefem ochrony, który dopuścił do straty miliona funtów w kasynach podczas zwykłego siedmiodniowego rejsu. Hentoff może kieruje kasynami, ale kiedy chodzi o bezpieczeństwo, sprawa dotyczy pana.

Upłynęła dłuższa chwila, podczas której dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Potem Kemper oblizał wargi.

– Tylko pierwszy oficer, zastępca kapitana i komodor mają wstęp

do skarbca – oświadczył zniżonym głosem.

– W takim razie proponuję, żeby pan zadzwonił do wybranego oficera.

Kemper wpatrywał się w Pendergasta przez następną minutę. W końcu – nie odrywając od niego oczu – podniósł telefon i wybrał numer. Nastąpiła krótka, przyciszona rozmowa. Kemper odłożył słuchawkę z twarzą nie całkiem rozpogodzoną.

– Pierwszy oficer zaraz się z nami spotka.

Pięć minut zabrała im droga do skarbca, usytuowanego jeden poziom niżej na pokładzie B, w potężnie wzmocnionej części statku, zawierającej również główny system kontroli oraz serwery obsługujące wewnętrzną sieć komputerową *Britannii*. Tutaj, poniżej linii wodnej, wyraźniej odczuwało się wibracje diesli. Pierwszy oficer czekał już przy posterunku ochrony, wyglądając w każdym calu na komandora porucznika ze swoimi srebrnymi włosami i w eleganckim mundurze.

– To jest pan Pendergast – powiedział Kemper z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

LeSeur kiwnął głową.

– Poznaliśmy się wczoraj wieczorem. Przy stole Rogera Maylesa.

Pendergast uśmiechnął się nieznacznie.

– Moja reputacja mnie wyprzedza, dzięki poczciwemu panu Maylesowi. Panowie, sytuacja jest następująca: klient zaangażował mnie, żebym odzyskał przedmiot, który mu ukradziono. Wiem o tym przedmiocie trzy rzeczy: to unikatowy tybetański artefakt; jest gdzieś na statku; a jego obecny właściciel... który, nawiasem mówiąc, również jest na statku... zamordował człowieka, żeby go zdobyć.

Poklepał się po górnej kieszeni marynarki.

– Moja lista podejrzanych zawiera trzy nazwiska pasażerów, którzy według pana Maylesa złożyli depozyty w okrętowym skarbcu.

Chciałbym rzucić okiem na te depozyty.

– Dlaczego? – zapytał Kemper. – Każdy apartament ma własny sejf. Jeśli pan mówi prawdę, złodziej nie ukryłby tutaj łupu.

– Ten przedmiot ma ponad metr dwadzieścia długości. Nie zmieści się w pokojowych sejfach, jedynie w tych w największych apartamentach.

LeSeur zmarszczył brwi.

– Streszczajmy się. Panie Pendergast: może pan patrzeć, ale nie wolno panu dotykać. Panie Kemper, proszę wezwać jednego z pańskich ludzi. Chcę na świadków trzy pary oczu.

Minęli posterunek ochrony i przeszli krótkim korytarzem, który kończył się ślepo przed nieoznaczonymi drzwiami. Pierwszy oficer sięgnął do kieszeni, wydobyl klucz na stalowym łańcuszku i otworzył drzwi. Kemper nacisnął klamkę i weszli.

Pokój za drzwiami był niewielki, a całą tylną ścianą zajmowały masywne, okrągłe drzwi skarbca z polerowanej stali. LeSeur zaczekał, aż jeden ze strażników z posterunku ochrony wejdzie do pokoju. Potem wydobyl z kieszeni następny klucz i włożył do zamka w drzwiach skarbca. Następnie wsunął kartę identyfikacyjną do czytnika na ścianie sejfu. Wreszcie przyłożył rękę do skanera geometrii dłoni obok szczeliny na kartę. Rozległo się metaliczne „łup” i nad drzwiami zapaliło się czerwone światło.

LeSeur podszedł do dużej tarczy wpuszczonej w drzwi sejfu po drugiej stronie. Zastaniając tarczę przed innymi obecnymi w pokoju, przekręcił ją kilkakrotnie w lewo i w prawo. Światło nad drzwiami zmieniło kolor na zielony; pierwszy oficer obrócił koło osadzone pośrodku, pociągnął je do siebie i masywne drzwi się rozwarły.

Wnętrze oświetlał wodnisty zielony blask. Tylną część skarbca zabezpieczała stalowa żaluzja, za którą spoczywały liczne metalowe pudła, ułożone na stelazach sięgających do ramienia. Dwie ściany

naprzeciwko siebie składały się z sejfów, mniejszych i większych, których frontowe płyty, tworzące jedną płaszczyznę, połyskiwały słabo w nikłym świetle. Każde drzwiczki miały na środku otwór na klucz, nad którym widniał numer wyryty w metalu.

– Sejf sejfów – powiedział Pendergast. – Imponujący.

– Owszem – przyznał LeSeur. – Kogo szukamy?

Pendergast wyjął kartkę z kieszeni.

– Pierwszy to Edward Robert Smecker, lord Cliveburgh. – Czytał przez chwilę. – Zdaje się, że po wyczerpaniu rodowej fortuny znalazł pomysłowy sposób, żeby związać koniec z końcem. Obraca się w bogatym towarzystwie, krąży pomiędzy Monako, Saint-Tropez, Capri i Szmaragdowym Wybrzeżem. Bizuteria znika, kiedy on się pojawia. Nigdy nie odzyskano żadnego z klejnotów, które przypuszczalnie ukradł. Za każdym razem wykręcał się od kary. Prawdopodobnie wydłubuje kamienie i topi metal na sztabki.

Pierwszy oficer odwrócił się do terminalu w ścianie, szybko wpisał coś na klawiaturze.

– To numer dwieście trzydzieści sześć. – Podszedł do niedużego sejfu. – Tu jest za mało miejsca, żeby pomieścić pański przedmiot.

– Może rozmiary przedmiotu da się zmniejszyć, jeśli go przeciąć albo złożyć. Zechce pan otworzyć, z łaski swojej?

Z ledwie dostrzegalnym zaciśnięciem ust LeSeur włożył klucz i przekręcił. Drzwiczki uchyliły się, odsłaniając dużą aluminiową walizkę z zamkiem szyfrowym.

– Interesujące – odparł Pendergast. Przez chwilę wpatrywał się w otwarte drzwiczki, podobny do kota. Potem wyciągnął rękę i z najwyższą delikatnością długim, cienkim palcem zaczął ustawiać cyfry, jedną po drugiej.

– Chwileczkę! – zawołał Kemper. – Mówiłem panu, żeby niczego nie dotykać...

– Ach!

Pendergast podniósł wieko walizki. W środku leżały ciasno upchnięte cegielki owinięte w folię i celofan, każda pokryta grubą warstwą wosku.

– O Jezusie – jęknął Kemper. – Mam nadzieję, że to nie jest to, na co wygląda.

Wyjął scyzoryk z kieszeni, przebił nim warstwy wosku i folii, odchylił i odsłonił biały, krystaliczny proszek. Zanurzył palec w proszku, posmakował.

– Kokaina – oznajmił.

– Zdaje się – mruknął Pendergast – że nasz pocziwy lord Cliveburgh rozpoczął nową, jeszcze bardziej lukratywną działalność.

– Co zrobimy? – zapytał LeSeur, patrząc na biały proszek.

– Na razie nic – odparł Kemper, zamknął walizkę i przekręcił tarcze zamka. – Proszę mi wierzyć, to nigdzie nie pojedzie. Zawiadomimy przez radio amerykańską służbę celną. Kiedy przybijemy do portu, Cliveburgh odbierze bagaż i zejdzie na ląd, a oni zwiną go na nabrzeżu z towarem... nie na statku.

– Doskonale – pochwalił LeSeur. – Ale jak wyjaśnimy, że otworzyliśmy...?

– Nie musimy – odparł ponuro Kemper. – Zostawcie mi szczegóły.

– Co za szczęśliwy traf – zauważył radośnie Pendergast, chociaż nastrój w pokoju wyraźnie się pogorszył. – Jak to dobrze, że się zgłosiłem do panów!

Nikt inny chyba nie podzielał jego opinii w tej kwestii.

– Następny na mojej liście jest gwiazdor filmowy, Claude Dallas.

LeSeur zauważył, że Kemper zaczął się pocić. Gdyby to się wydało... Odwrócił się do terminalu, nie kończąc tej myśli.

– Numer osiemset dwadzieścia dwa.

Podeszli do większego sejfu.



– Obiecujące – mruknął Pendergast.

LeSeur otworzył sejf swoim kluczem. W środku stało kilka starych kufrow okrętowych pokrytych nalepkami z takich miejsc, jak Rio de Janeiro, Phuket i Goa. Wieko każdego zabezpieczała kłódka wielkości pięści.

– Hm – wymamrotał Pendergast. Nachylił się nad kufrem, z namysłem masując brodę.

– Panie Pendergast – ostrzegł szef ochrony.

Pendergast wyciągnął szczupłe ręce, w jednej trzymał małe, błyszczące narzędzie. Potarł zamek, obrócił kłódkę w palcach. Odskokczyła ze szczęknięciem.

– Pan Dallas powinien zmienić zamek – oświadczył. I zanim Kemper czy LeSeur zdążyli go powstrzymać, zdjął kłódkę, podniósł skobel i otworzył wieko.

Na wierzchu leżał gumowy kombinezon oraz plecione pejczy z końskiego włosia, łańcuchy, kajdanki, sznury i rozmaite skórzane lub metalowe przedmioty niewiadomego zastosowania.

– Dziwne – rzucił Pendergast i sięgnął głębiej.

Tym razem LeSeur nic nie mówił, kiedy agent wyciągnął kostium Supermana z lycry z wyciętym krocem. Obejrzał go dokładnie, oderwał coś z ramienia, umieścił w probówce, która pojawiła się jakby znikąd i równie tajemniczo znikła, po czym starannie odłożył strój.

– Nie wiem, czy trzeba sprawdzać pozostałe kufry pana Dallasa.

– Na pewno nie trzeba – odparł sucho LeSeur.

– I ostatni – podjął Pendergast – to Felix Strage, kierownik działu greckiego i rzymskiego w Metropolitan Museum. Wraca z dość nieprzyjemnej podróży do Włoch, gdzie włoskie władze przesłuchiwały go w sprawie nielegalnego zakupu starożytności, którego muzeum dokonało w latach osiemdziesiątych.

LeSeur zmierzył Pendergasta długim, twardym spojrzeniem. Potem odwrócił się do klawiatury.

– Numer pięćset dziewięćdziesiąt siedem – oznajmił. – Zanim otworzę sejf, ustalmy jedną rzecz. Niech pan trzyma ręce przy sobie. Obecny tu pan Wadle zajmie się wszystkim. – Skinął na strażnika. – Jeżeli pan cokolwiek otworzy, pańska zabawa w zbieranie faktów skończy się nagle i przedwcześnie. Zrozumiano?

– Całkowicie – odpowiedział agent pogodnie.

LeSeur podszedł do sejfu w najniższym rzędzie na prawej ścianie, jednego z największych w całym skarbcu. Przystanął, żeby wygrzebać właściwy klucz. Potem ukląkł, otworzył zamek i uchylił stalowe drzwiczki. W środku stały trzy masywne, przysadziste drewniane skrzynie. Sejf był dość głęboki, toteż w słabym świetle nie dało się dokładniej obejrzeć zawartości.

Pendergast przez chwilę bez ruchu wpatrywał się w skrzynie. Odwrócił się i wyjął z kieszeni śrubokręt.

– Panie Wadle?

Ochroniarz spojrzał niepewnie na Kempera, który krótko skinął głową.

Wadle wziął śrubokręt i odkręcił bok skrzyni – razem osiem śrub – po czym go zdjął. W środku znajdowało się coś opakowanego w folię bąbelkową i styropian przeciw wstrząsom. Ochroniarz wyjął dwa kawałki styropianu, odchylił folię i odsłonił bok greckiej wazy.

Pendergast wyjął z kieszeni latarkę i zaświecił do otwartej skrzyni.

– Hm. Mamy tu chyba kielich. Niewątpliwie oryginalny. Zdaje się, że doktor Strage wrócił do dawnych nawyków i znowu szmugluje antyki dla muzeum.

Wyprostował się, schował latarkę do kieszeni i odsunął się od ściany sejfów.

– Dziękuję panom za czas i cierpliwość.

LeSeur kiwnął głową. Kemper nic nie powiedział.

– A teraz wybaczcie, ale się spieszę.

Po czym skłonił się, odwrócił i wyszedł ze skarbca.

W windzie, wjeżdżając na pokład dwunasty, Pendergast znowu wyjął listę z kieszeni. Przekreślił grubą linią lorda Cliveburgha, a potem Dallasa. Nie przekreślił Strage'a.

Constance Greene szła eleganckim korytarzem obok Marii Kazulin. Czuła niecodzienne podniecenie – tajemnicą, przebraniem i śledztwem.

– Ten uniform doskonale na panią pasuje – szepnęła Kazulin.

– Dzięki, że go przyniosłaś do mojej kabiny.

– Drobiazg. Uniformy to jedyne, czego mamy pod dostatkiem. Może oprócz brudnego prania.

– Nie jestem przyzwyczajona do takich butów.

– Buty do pracy. Takie, jakie noszą pielęgniarki. Mają miękką podeszwę, jak cichostępy.

– Cichostępy?

– Tak się nie mówi? – Maria zmarszczyła brwi. – Teraz proszę pamiętać, jako stewardesa kabinowa nie rozmawia pani z pasażerami, chyba że coś pani robi w ich kabinach. Nie nawiązuje pani kontaktu wzrokowego z żadną przechodzącą osobą. Odsuwa się pani na bok i spuszcza wzrok.

– Rozumiem.

Maria poprowadziła za róg, a potem przez nieoznakowane drzwi. Za nimi znajdował się magazyn bielizny pościelowej oraz dwie służbowe windy. Maria podeszła do wind i nacisnęła guzik ze strzałką wskazującą w dół.

– Z kim chciałaby pani porozmawiać?

– Z ludźmi, którzy sprzątają duże apartamenty, podwójne i potrójne.

– To ci, którzy lepiej znają angielski. Jak ja.

Drzwi windy rozsunęły się i dwie kobiety weszły do środka.

– Niektórzy zatrudnieni nie znają angielskiego? – zdziwiła się Constance.

Maria nacisnęła guzik pokładu C i winda zaczęła opadać.

– Większość załogi nie mówi po angielsku. Kompania tak woli.

– Tańsza praca?

– Tak. No i jeśli nie możemy się porozumieć, nie możemy stworzyć związku. Zaprotestować przeciw warunkom pracy.

– Co jest złego w warunkach pracy?

– Sama pani zobaczy, panno Greene. Teraz musi pani bardzo uważać. Jeśli panią przyłapią, stracę pracę i wysadzą mnie ze statku w Nowym Jorku. Musi pani udawać cudzoziemkę, mówić łamanym angielskim. Musimy wymyślić dla pani język, którego nikt nie zna, żeby nikt pani nie wypytywał. Zna pani jakiś inny język poza angielskim?

– Tak. Włoski, francuski, łacinę, grekę, niemiecki...

Maria zaśmiała się, tym razem szczerze.

– Wystarczy. Chyba nie ma Niemców w załodze. Będzie pani Niemką.

Drzwi rozsunęły się i kobiety wyszły na pokład C. Różnica pomiędzy pokładami pasażerskimi a służbowymi rzucała się w oczy. Nie było dywanów na podłogach, obrazów na ścianach ani drewnianych wykończeń. Wyglądało tu raczej jak w szpitalnym korytarzu – klaustrofobiczny pejzaż metalu i linoleum. Neonówki ukryte za cofniętymi panelami sufitu rzucały ostre światło na tę scenę. Panował zaduch, w przegrzanym powietrzu wisały ciężkie

zapachy gotowanej ryby, płynu do zmiękczenia tkanin, oleju maszynowego. Głębokie dudnienie silników Diesla brzmiało tutaj dużo wyraźniej. Członkowie załogi, niektórzy w mundurach, inni w podkoszulkach albo brudnych dresach, przechodzili pośpiesznie, skupieni na swoich zadaniach.

Maria ruszyła przodem przez wąski korytarz. Po obu stronach ciągnęły się ponumerowane drzwi bez okien, z imitacji drewna ze słojami.

– To jest pokład sypialny – objaśniła Maria zniżonym głosem. – Kobiety z mojej kajuty sprzątaj kilka dużych kabin, pogadaj z nimi. Proszę wybaczyć, ale teraz będę już mówiła pani po imieniu. Powiemy, że jesteś przyjaciółką, którą spotkałam w pralni. Pamiętaj, jesteś Niemką i słabo znasz angielski.

– Zapamiętam.

– Musisz mieć powód, żeby zadawać pytania.

Constance namyślała się przez chwilę.

– A jeśli powiem, że sprzątam mniejsze pokoje i chcę awansować?

– Okay. Ale nie napalaj się za bardzo... ludzie tutaj wbiją ci nóż w plecy, żeby dostać pracę z lepszymi napiwkami.

– Rozumiem.

Maria skrzyła w następny korytarz i zatrzymała się przed jakimiś drzwiami.

– To mój pokój – oznajmiła. – Gotowa?

Constance kiwnęła głową. Maria głęboko zaczerpnęła powietrza i otworzyła drzwi.

Pokój był mały jak cela więzienna, jakieś dwa na trzy metry. W ścianę naprzeciwko wbudowano sześć wąskich szafek. Nie było stołów ani krzeseł, ani przyległej łazienki. Obie ściany po lewej i prawej stronie zajmowały spartańskie koje, spiętrzone po trzy. W głowach każdej koi znajdowała się mała półeczka i lampka.

Constance zauważyła, że każdą półeczkę wypełniały książki, czasopisma, fotografie najbliższych, suszone kwiaty – skromne, żałosne świadectwa indywidualności mieszkanki koi.

– Jest was tutaj sześć? – zapytała z niedowierzaniem.

Maria przytaknęła.

– Nie miałam pojęcia, że mieszkacie w takiej ciasnocie.

– To jeszcze nic. Powinnaś zobaczyć pokład E, gdzie sypia personel BKP.

– BKP?

– Bez Kontakt z Pasażerami. Ci, co robią pranie, myją komory silnika, przygotowują jedzenie. – Maria pokręciła głową. – Jak w więzieniu. Nie widzą dziennego światła, nie mogą odetchnąć świeżym powietrzem przez trzy, cztery miesiące. Pracują sześć dni w tygodniu, dziesięć godzin dziennie. Zarabiają od dwudziestu do czterdziestu dolarów dziennie.

– Ależ to mniej niż minimalna płaca!

– Minimalna płaca gdzie? Jesteśmy nigdzie... na środku morza. Tutaj nie obowiązuje prawo pracy. Statek jest zarejestrowany w Liberii. – Rozejrzała się. – Moje współlokatorki już w mesie. Tam je znajdziemy.

Poprowadziła Constance krętą trasą przez wąskie, cuchnące potem korytarze. Jadalnia załogi znajdowała się na śródokręciu – duża, niska sala. Członkowie załogi siedzieli przy długich barowych stołach, schylając głowy nad talerzami. Zająwszy miejsce w kolejce do bufetu, Constance rozejrzała się, wstrząśnięta obskurnym wyglądem sali – tak różnej od luksusowych jadalni i wspaniałych salonów przeznaczonych do użytku pasażerów.

– Tak tu cicho – zauważyła. – Czemu ludzie nie rozmawiają?

– Wszyscy zmęczeni. I zmartwieni z powodu Juanity. Pokojówki, która zwariowała.

– Zwariowała? Co się stało?

Maria pokręciła głową.

– To się zdarza, tylko że zwykle pod koniec długiego rejsu. Juanita zwariowała... wyłupiła sobie oczy.

– Dobry Boże. Znałaś ją?

– Trochę.

– Miała jakieś kłopoty?

– Wszyscy mamy kłopoty – odparła Maria poważnie. – Inaczej nie bierzemy tej pracy.

Wybrały lunch z nieapetycznego zestawu dań – tłuste plastry gotowanej wołowiny z puszki, rozmiękła kapusta, papkowaty ryż, kleisty placek pasterski, anemiczne kwadraty żółtego ciasta – i Maria skierowała się do najbliższego stołu, gdzie dwie z jej współlokatorek dłużyły apatycznie w talerzach. Maria dokonała prezentacji: młoda, ciemnowłosa Greczynka o imieniu Nika oraz Lourdes, Filipinka w średnim wieku.

– Nie widziałam cię wcześniej – odezwała się Nika z wyraźnym akcentem.

– Mam przydział do kabin na pokładzie ósmym – odparła Constance, udając z kolei niemiecki akcent.

Kobieta kiwnęła głową.

– Musisz uważać. To nie twoja mesa. Pilnuj, żeby ona cię nie zobaczyła.

Wskazała niską, krzepką, przysadzistą kobietę o tlenionych kręconych włosach stojącą w odległym kącie i lustrującą pomieszczenie surowym wzrokiem.

Kobiety gawędziły w dziwacznej mieszance języków, wtrącając dużo słów angielskich, stanowiących widocznie *lingua franca* pokładów służbowych *Britannii*. Rozmowa dotyczyła głównie pokojówki, która zwariowała i dokonała samookaleczenia.



– Gdzie ona teraz jest? – zapytała Constance. – Ewakuowali ją ze statku?

– Za daleko od lądu na helikopter – odpowiedziała Nika. – Zamknęli ją na klucz w infirmerii. A ja teraz muszę sprzątać połowę jej pokojów. – Skrzywiła się. – Juanita, ona sama szukała kłopotów. Zawsze opowiada, co widziała w kabinach pasażerów, wtyka nos w nie swoje sprawy. Dobra pokojówka nic nie widzi, nic nie pamięta, tylko robi, co do niej należy, i trzyma głowę na kłódkę.

Constance zastanowiła się, czy Nika sama stosuje te zalecenia.

Nika ciągnęła:

– Wczoraj, jak ona gada przy lunchu! Wszystko o apartamencie ze skórzanymi pasami przy łóżku i wibratorem w szufladzie. Po co ona zagląda do szuflady? Ciekawość pierwszy stopień do piekła. A teraz muszę sprzątać połowę jej pokojów. Na tym przeklętym statku.

Zacisnęła usta w wyrazie potępienia, wyprostowała się i zaplotła ręce na piersiach.

Przy stole potakiwano i pomrukiwano twierdząco.

Ośmielona znowu się odezwała.

– Pasażerka też znika na statku. Słyszycie? Może wyskoczyła. Ten statek to Jonasz, ja wam mówię!

Constance wtrąciła szybko, żeby powstrzymać ten potok słów:

– Maria mówi, że pracujesz w większych kabinach. Masz szczęście... ja sprzątam tylko zwykłe.

– Szczęście? – Nika popatrzyła na nią z niedowierzaniem. – Dla mnie to dwa razy więcej pracy.

– Ale napiwki lepsze, co?

Nika skrzywiła się pogardliwie.

– Bogaci dają najmniejsze napiwki. Zawsze narzekają, chcą wszystko akuratnie. Ten πνάρτζ w trójce kazał mi dzisiaj wracać trzy razy, żeby od nowa posłać mu łóżko.

Szczęśliwie się złożyło dla Constance. Jeden z mężczyzn na liście Pendergasta – Scott Blackburn, internetowy miliarder – zajmował jeden z dwóch potrójnych apartamentów na statku.

– To znaczy pan Blackburn? – zapytała.

Nika pokręciła głową.

– Nie. Blackburn jeszcze gorszy! Ma własną pokojówkę, ona sama ściele łóżko. Traktuje mnie jak śmiecia, jak jej pokojówkę. Muszę wziąć tamtą trójkę też, przez Juanitę.

– On zabrał własną pokojówkę? – zdziwiła się Constance. – Dlaczego?

– On zabiera wszystko własne! Własne łóżko, własne dywany, własne rzeźby, własne obrazy, nawet własny fortepian. – Nika pokręciła głową. – Fu! Brzydkie rzeczy; brzydkie i ρνπαρόζ.

– Słucham? – Constance udała, że nie rozumie tego słowa.

– Bogaci to wariaci. – Nika znowu zaklęła po grecku.

– A jego przyjaciel, Terrence Calderon, po sąsiedzku?

– On! On okay. Dał mi napiwek okay.

– Jego apartament też sprzątasz? On zabrał własne rzeczy?

Nika kiwnęła głową.

– Trochę. Dużo antyków. Francuskie. Bardzo ładne.

– Im bogatsi, tym gorsi – podsumowała Lourdes. Mówiła doskonałą angielszczyzną jedynie z lekkim akcentem. – Wczoraj wieczorem byłam w apartamencie...

– Hej! – zagrział jakiś głos za ich plecami.

Constance obejrzała się i zobaczyła kierowniczkę, która stała za nią i mierzyła ją groźnym wzrokiem, wsparłszy ręce na obfitych biodrach.

– Wstawaj! – rozkazała kobieta.

– Do mnie pani mówi? – zapytała Constance.

– Wstawaj, powiedziałam!

Constance spokojnie wstała.

– Nie widziałam cię tu przedtem – oświadczyła kobieta opryskliwym tonem. – Jak się nazywasz?

– Rülke – skłamała Constance. – Leni Rülke.

– Jaki masz przydział?

– Kabiny na pokładzie ósmym.

Gorzki triumf odmalował się na tłustej twarzy kobiety.

– Tak myślałam. Przecież wiesz, że nie możesz tutaj jeść. Wracaj do kafeterii na pokładzie D, gdzie twoje miejsce.

– Co za różnica? – zapytała łagodnie Constance. – Jedzenie tutaj nie jest lepsze.

Na twarzy kierowniczkii triumf przerodził się w niedowierzenie.

– Co, ty bezczelna dziwko...

I mocno trzasnęła Constance w prawy policzek.

Constance jeszcze nigdy w życiu nie została spoliczkowana. Zesztywniała na chwilę. Potem instynktownie zrobiła krok do przodu, ściskając w ręku widelec. Coś w jej wyglądzie sprawiło, że oczy kierowniczkii się rozszerzyły. Kobieta cofnęła się o krok.

Constance powoli odłożyła widelec na stół. Przypomniała sobie Marię, której obiecała dochować sekretu. Spuściła wzrok. Maria patrzyła na nie z pobladłą twarzą. Pozostałe dwie kobiety wpatrywały się pilnie w talerze.

Wokół nich znowu narastał cichy pomruk apatycznych rozmów, na krótko przerwany przez zajście. Constance ponownie spojrzała na kierowniczkę, żeby zapamiętać jej twarz. Potem – z płonącym policzkiem – odeszła od stołu i wyszła z kafeterii.

Pierwszy oficer Gordon LeSeur czuł narastający niepokój, kiedy wszedł do mnisiego gabinetu Kempera. Zaginiona pasażerka się nie znalazła, a mąż zażądał spotkania ze wszystkimi dowodzącymi oficerami. Komodor Cutter od ośmiu godzin nie opuszczał swojej kabiny, znowu pogrążony w ponurym nastroju, i LeSeur nie zamierzał mu zawracać głowy ani Everedem, ani niczym innym. Zamiast tego przekazał wachtę drugiemu oficerowi i zabrał na spotkanie Carol Mason, zastępcę kapitana.

Evered, z czerwoną twarzą, chodził tam i z powrotem po ciasnym pokoiku. Wyglądał jak człowiek na granicy hysterii.

– Jest czwarta po południu – mówił do Kempera drżącym głosem. – Minęło osiem cholernych godzin, odkąd was zawiadomiłem o zniknięciu mojej żony.

– Panie Evered – zaczął Kemper, szef ochrony. – To duży statek, ona może być wszędzie...

– Już to mówiliście – przerwał mu Evered. – Dotąd nie wróciła. Słyszałem wezwanie przez głośniki jak wszyscy inni, widziałem zdjęcie, które nadaliście w telewizji. To do niej niepodobne, nigdy nie zostawiłaby mnie na tak długo bez żadnej wiadomości. Chcę, żeby przeszukano statek!

– Zapewniam pana...

– Do diabła z waszymi zapewnieniami! Może gdzieś spadła, została ranna, nie może wezwać pomocy ani dostać się do telefonu. Może... – Urwał, dysząc ciężko, gwałtownie otarł łzę wierzchem dłoni. – Musicie wezwać Straż Przybrzeżną, zawiadomić policję, sprowadzić ich tutaj.

– Panie Evered – odezwała się zastępca kapitana Mason, spokojnie przejmując dowodzenie, co LeSeur przyjął z ulgą. – Jesteśmy na środku Oceanu Atlantyckiego. Nawet gdyby policja czy Straż Przybrzeżna miały odpowiednie jurysdykcje... których nie mają... nie zdołają do nas dotrzeć. Musi pan mi uwierzyć, kiedy mówię, że w tego rodzaju sytuacjach stosujemy wypróbowane procedury. Istnieje prawie stuprocentowe prawdopodobieństwo, że z jakiegoś powodu pańska żona nie chce być odnaleziona. Musimy wziąć pod uwagę ewentualność, że przebywa w czyimś towarzystwie.

Evered wycelował drżącym palcem w LeSeura.

– Mówiłem mu dzisiaj rano, że moja żona nie jest taka. I wypraszam sobie takie insynuacje, z pani strony czy kogokolwiek.

– Niczego nie insynuuję, panie Evered – odparła Mason spokojnie, stanowczym tonem. – Mówię tylko, że nie trzeba się denerwować. Proszę mi wierzyć, statystycznie biorąc, jest pan bezpieczniejszy na pokładzie tego statku niż we własnym domu. Ponieważ jednak traktujemy bezpieczeństwo poważnie, zważywszy na naturę problemu, przeprowadzimy przeszukanie statku. Natychmiast. Pod moim osobistym nadzorem.

Niski, kompetentny głos zastępcy kapitana oraz uspokajające słowa wywarły zamierzony skutek. Evered wciąż był czerwony i dyszał ciężko, ale po chwili przełknął ślinę i kiwnął głową.

– O to prosiłem od początku.

Po wyjściu Evereda trójka oficerów stała w milczeniu. Wreszcie szef ochrony wydał głębokie westchnienie i odwrócił się do Mason.

– No więc, kapitanie?

Zastępca kapitana spoglądała w zamyśleniu na puste drzwi.

– Czy możemy jakoś zdobyć wyniki badania psychiatrycznego pani Evered?

Cisza.

– Chyba pani nie myśli...? – zapytał Kemper.

– Zawsze jest taka możliwość.

– Według przepisów musimy się zwrócić do jej męża – powiedział Kemper. – Bardzo niechętnie podjąłbym takie kroki, przynajmniej dopóki się nie upewnimy, że... nie ma jej na statku. Cholera jasna. Morale załogi już podupadło przez tę zwariowaną pokojówkę... mam w Bogu nadzieję, że znajdziemy panią Evered.

Mason kiwnęła głową.

– Ja też. Panie Kemper, proszę zorganizować przeszukanie drugiego stopnia. – Spojrzała na LeSeura. – Gordon, chciałabym, żebyś współpracował osobiście z panem Kemperem.

– Oczywiście, sir – odpowiedział LeSeur.

W środku aż się wzdrygnął. Przeszukanie drugiego stopnia oznaczało wszystkie miejsca publiczne, wszystkie kwatery załogi i całą dolną część statku... właściwie wszystko oprócz apartamentów. Nawet przy pełnej mobilizacji całej ochrony to zabierze cały dzień, co najmniej. A głęboko we wnętrzościach statku znajdowały się miejsca, których po prostu nie dawało się przeszukać.

– Przepraszam, Gordon – powiedziała, odczytując wyraz jego twarzy. – Ale musimy wykonać ten krok. Stałe zlecenie.

Stałe zlecenie, pomyślał ponuro. I tylko o to naprawdę chodziło: o dopełnienie formalności. Kabiny pasażerskie można sprawdzać tylko podczas przeszukania trzeciego stopnia, które komodor Cutter musiał osobiście autoryzować. Nigdy nie przeprowadzono takiego przeszukania na żadnym statku, na jakim służył LeSeur, nawet kiedy

doszło do samobójstwa. Tak właśnie LeSeur prywatnie uważał: że pani Evered wyskoczyła za burtę. Samobójstwa na morzu zdarzały się częściej, niż pasażerowie podejrzewali. Zwłaszcza podczas głośnych dziewczyczych rejsów, kiedy ludzie chcieli odejść z klasą. Jak na ironię, przedsiębiorstwa transportowe robią wszystko, żeby zatuszować sprawę i ukryć przed resztą pasażerów. Zamiast odejść z klasą, pani Evered po prostu została pięćset mil z tyłu i tysiąc sążni głębiej...

Rozmyślenia LeSeura przerwało pukanie do drzwi. Odwrócił się i zobaczył oficera ochrony.

– Panie Kemper, sir?

– Tak? – rzucił Kemper.

– Sir – zaczął nerwowo ochroniarz. – Dwie rzeczy. – Przesząpił niepewnie z nogi na nogę.

– No?! – warknął Kemper. – Nie widzisz, że mam zebranie?

– Ta pokojówka, która zwariowała... ona, ee, właśnie się zabiła.

– Jak?

– Zdołała się uwolnić z więzów i... – Głos mu się załamał.

– I co?

– Odłupała ostrą drzazgę z ramy łóżka i wbiła sobie w oczodół. Doszło aż do mózgu.

Zapadło krótkie milczenie, kiedy obecni przyswajali tę informację. Kemper pokręcił głową.

– Panie Kemper – odezwał się LeSeur – chyba powinien pan zamienić słowo z pasażerem z ostatniego apartamentu, który ona sprzątała, zanim jej odbiło. Mogło dojść do jakiegoś nieprzyjemnego incydentu, wypadku... Płynąłem kiedyś w rejsie, gdzie pasażer brutalnie zgwałcił pokojówkę, która przyszła posprzątać.

– Zrobię to, sir.

– Proszę zachować ostrożność.

– Oczywiście.

Znowu milczenie. Potem Kemper odwrócił się do zdenerwowanego ochroniarza.

– Wspomniałeś o dwóch rzeczach?

– Tak, sir.

– No? O co chodzi? – zapytał szorstko Kemper.

– Powinien pan coś zobaczyć.

– Co?

Ochroniarz zawahał się.

– Wolałbym, żeby sam pan zobaczył, sir. To może dotyczyć zaginionej pasażerki.

– Gdzie to jest? – przerwała Mason ostrym tonem.

– Na spacerowym pokładzie rufowym, za arkadą sklepową St. James's.

– Prowadź – poleciła lakonicznie Mason. – Pójdziemy wszyscy.

Kemper ruszył do drzwi i obejrzał się na LeSeura.

– Idzie pan, sir?

– Tak – odparł LeSeur niechętnie, czując lekkie mdłości.

Pokład był wilgotny i pusty. Nieliczni zahartowani pasażerowie, którzy odważyli się wyjść na świeże powietrze, zwykle wybierali nieprzerwany pierścień promenady na pokładzie siódmym, jeden poziom wyżej. Porywisty wiatr ciskał strzępy piany wysoko w powietrze i po paru chwilach marynarka LeSeura całkiem przemokła.

Ochroniarz poprowadził ich do relingu.

– Tam na dole – oznajmił, wskazując za burzę.

LeSeur dołączył do Kempera i Carol Mason stojących przy relingu. Wyjrzał na wodę kotłującą się wściekle wzdłuż gładkiej burty statku siedem pokładów niżej.

– Na co patrzymy? – zapytał Kemper.

– Tam, sir. Zauważyłem to, kiedy przeprowadzałem wizualną



inspekcję kadłuba. Widzi pan uszkodzenie stolarki poniżej listwy relingu, tuż na lewo od tego spływnika?

Trzymając się mocno relingu, LeSeur wychylił się dalej i wyteżył wzrok. Wtedy zobaczył: piętnastocentymetrowe zadrapanie na tekowej listwie zakrywającej złączenie pokładu.

– Sir, gdyby ta rysa była tu wczoraj, zanim odbiliśmy, na pewno bym ją zauważył.

– On ma rację – poparła go zastępca kapitana. – To jest nowy statek, bez jednego zadraśnięcia. – Przyjrzała się uważniej. – Jeśli mnie wzrok nie myli, coś się przyczepiło do tej drzazgi, prawie tego samego koloru co drewno.

LeSeur zmrużył oczy. Sterburta pogrążona była w głębokim popołudniowym cieniu, ale on też coś zobaczył.

Mason odwróciła się do ochroniarza.

– Niech pan spróbuje to wyciągnąć.

Ochroniarz kiwnął głową i położył się na pokładzie. LeSeur i Kemper trzymali go za nogi, a on przesunął głowę pod relingiem i sięgnął za burtę. Macał naokoło, postępując. LeSeur myślał już, że przemoknie na wylot, kiedy ochroniarz krzyknął:

– Mam!

Wciągnęli go z powrotem na pokład. Wstał, chowając coś troskliwie we wnętrzu dłoni. Kiedy troje oficerów skupiło się wokół niego, powoli otworzył pięść.

Na dłoni ochroniarza leżał mały zwitek cieniutkich nici, splątanych i przesiąkniętych wilgocią. LeSeur usłyszał, jak Mason gwałtownie wciąga oddech. Dopiero wtedy spostrzegł, że wszystkie nici na jednym końcu łączyły się z czymś, co wyglądało jak skrawek skóry. Z dreszczem przerażenia zrozumiał, że to wcale nie są nici, tylko włosy – ludzkie włosy, sądząc po wyglądzie, platynowoblond.

– Panie Kemper – powiedziała Mason cichym, opanowanym

głosem. – Ma pan zdjęcie zaginionej kobiety?

Kemper wyjął z kieszeni małe portfolio, otworzył, wyjął fotografię i podał zastępcy kapitana. Wzięła ją, obejrzała dokładnie i znowu spojrzała na włosy w dłoni ochroniarza.

– O cholera – mruknęła.

O ósmej wieczorem agent specjalny Pendergast wyszedł ze swojego apartamentu, zamknął drzwi i ruszył korytarzem. Elegancko ubrany w czarny smoking, szedł zdecydowanym krokiem, zupełnie jakby wybierał się na obiad.

Ale Pendergast nie zamierzał jeść obiadu. Chciał raczej wykorzystać porę posiłku, żeby załatwić pewne swoje sprawy.

Dotarł do wind i nacisnął guzik ze strzałką w górę. Kiedy drzwi się rozsunęły, wszedł do kabiny i wybrał pokład trzynasty. Po niecałych trzydziestu sekundach kroczył szparko innym korytarzem.

Większość pasażerów była na obiedzie albo w kasynach, albo oglądała program rozrywkowy. Pendergast minął tylko dwie osoby, pokojówkę i kabinową stewardesę. Wreszcie korytarz skręcił ostro najpierw w lewo, potem w prawo i zakończył się w poprzecznym pasażu, znacznie krótszym. Po lewej znajdowały się tylko dwie pary drzwi; jedne i drugie prowadziły do królewskich apartamentów.

Pendergast podszedł do pierwszych drzwi, oznaczonych „Apartament Ryszarda II”, i zapukał. Nie usłyszawszy odpowiedzi, wyjął z torby kartę magnetyczną. Spiralny kabel łączył kartę z palmtopem ukrytym w torbie. Pendergast wsunął kartę do szczeliny w drzwiach, sprawdził odczyt na małym ekraniku, po czym wystukał serię liczb na klawiaturze. Rozległo się elektroniczne ćwierknięcie

i dioda na zamku drzwi zmieniła kolor z czerwonego na zielony. Agent jeszcze raz się rozejrzył, wśliznął się do środka, zamknął za sobą drzwi i przystanął, wyteżając słuch. Sprawdził już, że Lionel Brock jest na obiedzie; apartament wydawał się pusty, ciemny i cichy.

Pendergast wyjął z kieszeni małą latarkę i ruszył w głąb pomieszczenia. Królewskie apartamenty nie były tak duże jak podwójne i potrójne, ale całkiem przestronne. Każdy zajmował połowę przedniej nadbudówki na pokładzie dwunastym lub trzynastym, z widokiem na dziobówkę. Według planu pokładu, z którym Pendergast wcześniej się zapoznał, apartamenty składały się z dużego salonu, jadalni, aneksu kuchennego, ubikacji i dwóch sypialni połączonych łazienką.

Przeszedł przez salon, przesuając promieniem światła po meblach. Pokój wydawał się prawie nieużywany; pokojówka niedawno posprzątała. Kosz na papiery był pusty. Jedyne ślad nieporządku stanowiła świeżo powleczone poduszka leżąca po jednej stronie skórzanej sofy. Zgodnie z manifestem pasażerskim Brock zajmował tę kabinę sam. Pewnie cierpiał na hemoroidy.

Na niedawną obecność gospodarza wskazywała też nieotwarta butelka taittingera, spoczywająca w wiaderku z podstawą, w którym lód prawie się rozpuścił.

Naciągnąwszy lateksowe rękawiczki, Pendergast przetrząsnął szuflady bocznych stolików i biurka, ale znalazł tylko literaturę ze statku oraz piloty do telewizora i odtwarzacza DVD. Po kolei unosił obrazy na ścianach i zaglądał pod nie, ale bez rezultatu. Podeszedł do panoramicznego okna i cicho odsunął kotarę. Daleko, daleko w dole dziób *Britannii* rozcinał spienione fale. Pogoda wciąż się pogarszała i powolne kołysanie statku przybierało na sile.

Pendergast odsunął się od okna i zajrzał do miniaturowej kuchni. Również wydawała się nieużywana: Brock widocznie jadał posiłki

w licznych restauracjach na statku. W lodówce stały jedynie dwie następne butelki szampana. Pendergast szybko sprawdził szuflady, ale znalazł tylko naczynia i sztucce. Potem obejrzał jadalnię i ubikację. Następnie szafę ścienną. Nigdzie nie odkrył nic interesującego.

Wrócił do salonu i znowu nasłuchiwał. Wszędzie panowała cisza. Spojrzał na zegarek: kwadrans po ósmej. Brock miał wyznaczoną drugą turę w King's Arms o dwudziestą i nie powinien wrócić jeszcze co najmniej przez dziewięćdziesiąt minut.

Sypialnie znajdowały się od strony sterburty. Jedne drzwi były zamknięte, drugie otwarte. Pendergast podszedł do otwartych drzwi, znowu nasłuchiwał przez chwilę i wszedł do środka. Sypialnia przypominała jego własną: królewskich rozmiarów łożo z ekstrawaganckim baldachimem, dwa nocne stoliki, szafa, komoda, biurko z krzesłem oraz drzwi niewątpliwie prowadzące do wspólnej łazienki. Sypialnia wyraźnie należała do Brocka.

Dokładne przeszukanie pokoju zabrało agentowi piętnaście minut. Potem już szybciej sprawdził wspólną łazienkę. I znowu nie odkrył nic nowego, jedynie potwierdził swoje podejrzenia, że Brock używał wody kolońskiej Floris Elite.

Na drugim końcu łazienki znajdowała się nieduża garderoba połączona z drugą sypialnią. Pendergast sięgnął do klamki, zamierzając tylko pobieżnie obejrzeć pokój – doszedł do przekonania, że jeśli Brock coś przeszkrobał, dowodów nie znajdzie się na *Britanii*.

Drzwi były zamknięte na klucz.

Pendergast zmarszczył brwi. Wrócił do salonu i spróbował otworzyć drzwi do drugiej sypialni. Również okazały się zamknięte na klucz.

Nader intrygujące.

Ukląkł i oświetlił zamek latarką. Zwykły mechanizm zapadkowy nie powinien stawiać większego oporu. Wyjął z kieszeni wytrych, który

przypominał małą drucianą szczoteczkę do zębów. Wsadził go do zamka i po chwili cichy szcęk zapadki obwieścił sukces. Przekręcił klamkę i uchylił drzwi do ciemnego pokoju.

– Jeszcze krok i nie żyjesz – ostrzegł głos z ciemności.

Pendergast znieruchomiał.

Zza drzwi wyszedł mężczyzna z bronią w ręku. Z ciemnej sypialni dobiegł senny kobiecy głos:

– Co jest, Curt?

Zamiast odpowiedzi mężczyzna machnął bronią na Pendergasta, przestąpił próg i zamknął za sobą drzwi na klucz. Miał ciemne włosy, oliwkową cerę i blizny po trądziku. Był bardzo umięśniony, przystojny w gangsterskim stylu. Poruszał się niczym zawodowy bokser, niezwykle zręcznie jak na takiego wysokiego mężczyznę. Nie należał do załogi: zamiast uniformu nosił ciemny garnitur, tkanina napinała się na jego szerokich ramionach.

– No dobra, koleś, kim jesteś i co tu robisz? – zapytał Curt.

Pendergast uśmiechnął się i wskazał na sofę.

– Mogę? Cały dzień jestem na nogach.

Mężczyzna pochmurnie patrzył, jak Pendergast rozsiada się wygodnie i elegancko zakłada nogę na nogę.

– Zadałem ci pytanie, gnojku.

Pendergast wyciągnął butelkę szampana z topniejącego lodu, otrząsnął z wody i wprawnie wykręcił korek. Z boku stały dwie szampanki. Napełnił je po brzegi.

– Przyłączysz się do mnie? – zagadnął.

Curt podniósł broń.

– Zaraz stracę cierpliwość. Masz kłopoty i jeszcze przeginasz.

Pendergast pociągnął łyk.

– No to jest nas dwóch. Usiądź z łaski swojej, to pogadamy o naszych kłopotach.

– Ja nie mam żadnych kłopotów. To ty masz. Cholernie wielkie kłopoty.

– Wiem o tym doskonale. Ty jesteś moim kłopotem. Stoisz przede mną i celujesz mi w głowę, i chyba brakuje ci cierpliwości. Tak, poważny kłopot. – Pendergast znowu łyknął szampana i westchnął. – Znakomity.

– Masz ostatnią szansę wytłumaczenia, kim jesteś, zanim rozmażę twój mózg na ścianie.

– Przedtem jednak chciałbym ci zwrócić uwagę, że masz znacznie większe kłopoty ode mnie.

– Tak? A niby jakie?

Pendergast kiwnął głową w stronę drzwi sypialni.

– Czy pan Brock wie, że zabawiasz damę w jego apartamencie?

Niezręczna chwila wahania.

– Pan Brock nie ma nic przeciwko temu, żebym zabawiał damy.

Pendergast uniósł brew.

– Może tak, może nie. Ale na domiar złego, jeśli mnie „rozmażesz” na ścianie, wzbudzisz powszechne i mało życzliwe zainteresowanie. Jeśli będziesz miał szczęście, oskarżą cię o morderstwo. Jeśli nie, to twój mózg udekoruje tapetę. Widzisz, ja też mam broń.

Kolejna chwila wahania.

– Wzywam ochronę statku.

Pendergast znowu się napił.

– Pan tego nie przemyślał, panie Curt.

Mężczyzna dźgnął w niego bronią.

– Nazywam się Johnson. Curtis Johnson. Nie „pan Curt”.

– Przepraszam, panie Johnson. Nawet jeśli panu Brockowi naprawdę nie przeszkadza, że zabawia pan damy na służbie, to jeśli pan wezwie ochronę, padną pytania na temat ładunku, który pan Brock ukrywa w tej sypialni, pańskim miłosnym gniazdku. W dodatku

nie wie pan, kim jestem i co tu robię. Równie dobrze sam mogę należeć do ochrony. Więc jak mówiłem, panie Johnson, obaj mamy kłopoty. Spróbujmy je rozwiązać w inteligentny sposób i ku obopólnej korzyści.

Powoli wsunął dwa palce do kieszeni smokinga.

– Trzymaj ręce na widoku.

Pendergast wyciągnął palce, w których trzymał teraz zwitek nowiutkich studolarowych banknotów.

Mężczyzna ścisnął pistolet w mięsistej dłoni, na jego zarumienionej twarzy malowała się rozterka. Pendergast pomachał zwitkiem.

– Niech pan opuści broń.

Mężczyzna posłuchał.

– Śmiało, niech pan bierze.

Mężczyzna wyciągnął rękę, złapał pieniądze i wepchnął do kieszeni.

– Musimy działać szybko, panie Johnson, żebym zdążył wyjść przed powrotem pana Brocka.

– Wyjdiesz stąd zaraz. No już.

– Bierze pan moje pieniądze, a jednak mnie pan wyrzuca? Bardzo niesportowo. t

Pendergast wstał z głośnym westchnieniem, odwrócił się jakby do wyjścia, po czym płynnie przyspieszył ruch i cisnął kieliszkiem szampana w twarz Johnsona. Jednocześnie lewą pięścią szybko jak błyskawica trzasnął w nadgarstek ręki przeciwnika. Pistolet upadł na dywan i potoczył się na środek pokoju. Johnson wydał okrzyk i skoczył po broń, ale Pendergast podstawił mu nogę. Potem wepchnął mu do ucha własnego les baera 1911 i wbił mu kolano w nerki.

– *Doucement*, panie Johnson. *Doucement*[\[17\]](#).

Po długiej chwili agent się podniósł.

– Może pan wstać.



Mężczyzna usiadł, potarł ucho i wstał. Twarz miał czerwoną jak burak.

Pendergast schował własną broń pod marynarkę, przeszedł przez pokój, podniósł pistolet Johnsona i zważył w dłoni.

– Walther PPK. Widzę, że jest pan fanem Jamesa Bonda. Chyba mamy ze sobą mniej wspólnego, niż sądziłem.

Rzucił pistolet Johnsonowi, który złapał go zdziwiony. Trzymał broń w ręku, nie wiedząc, co robić.

– Niech pan będzie mądry i schowa pukawkę.

Johnson włożył pistolet do kabury.

– Teraz – powiedział Pendergast miłym tonem – ma pan wybór, panie Johnson. Może pan zostać moim przyjacielem, wyświadczyć mi maleńką przysługę i zarobić następny tysiąc. Albo może pan dalej trwać w niestosownej lojalności wobec nadętego osła, który płaci panu grosze i wyleje pana bez mrugnięcia okiem, jak tylko się dowie o pańskim drobnym wykroczeniu. Więc jak będzie, panie Johnson?

Mężczyzna patrzył na Pendergasta przez długą chwilę, po czym kiwnął głową.

– Wspaniale. Otwórz tamtą sypialnię, mój nowy przyjacielu. Nie ma czasu do stracenia.

Johnson przekręcił klucz i otworzył drzwi. Pendergast wszedł za nim do środka.

– Curt, co się dzieje, do cholery?

W łóżku leżała kobieta o bujnych włosach, z kołdrą podciągniętą pod brodę.

– Ubieraj się i wynocha.

– Ale moje ubranie leży po drugiej stronie pokoju – zaprotestowała.

– Nie mam nic na sobie.

– Nikogo to nie obchodzi – rzucił szorstko Johnson. – Zjeżdżaj.

– Dupek z ciebie, wiesz?

Johnson machnął ręką.

– Rusz się!

Kobieta wyskoczyła z łóżka, plaskając ciężkimi piersiami, złapała swoje ubranie i umknęła do łazienki.

– Dupek! – zabrzmiała następna stłumiona zniewaga.

Pendergast rozejrzył się dookoła. Sypialnia, jak wcześniej podejrzewał, służyła za magazyn: sporo miejsca zajmowały duże drewniane skrzynie ostemplowane napisami: „Ostrożnie! Szkło!”.

– Wie pan, co jest w tych skrzyniach?

– Nie mam pojęcia – odparł Johnson.

– Ale wynajęto pana, żeby pan ich pilnował?

– Właśnie.

Pendergast przespacerował się tam i z powrotem przed stosem skrzyń. Potem ukląkł przed najbliższą i wyjął z torby śrubokręt.

– Hej, co pan wyrabia?

– Tylko zajrzę. Zostawimy wszystko tak, jak było. Nikt się nie dowie.

Po chwili zdjął jeden bok skrzyni, odsłaniając zielony filc i wyściółkę. Nożem ostrożnie rozciął kilka warstw wyściółki, filc i dopasowane kawałki styropianu. Ukazały się krawędzie olejnych obrazów, ułożonych jeden na drugim. Biorąc pod uwagę fakt, że pozostałe pięć skrzyń miało dokładnie takie same rozmiary, Pendergast wywnioskował, że również zawierały obrazy.

Wepchnął latarkę w rozcięcie wyściółki i poruszał nią na wszystkie strony. Naliczył osiem nieoprawionych obrazów. Z tego, co dostrzegł, wyglądały na dzieła drugorzędnych impresjonistów – Charles’a Theophile’a Angranda, Gustave’a Caillebolte’a. Znalazły się też dwa obrazy niemieckich ekspresjonistów, jeden Jawlensky’ego, a drugi chyba Pechsteina. Obrazy widocznie podróżowały do galerii Brocka na Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy.

Chociaż Pendergast natychmiast rozpoznał style poszczególnych malarzy, nie znał żadnego z tych konkretnych obrazów, przynajmniej tak mu się wydawało. W najlepszym razie stanowiły zapomniane przykłady twórczości tych artystów.

Pendergast znowu sięgnął do torby i wydobył małą skórzaną saszetkę, którą rozpiął i rozłożył na podłodze. Wyjął z niej kilka narzędzi – lupę jubilerską, szczypczyki, skalpel – i ułożył na najbliższej skrzyni. Dołączyły do nich zakorkowane próbówki.

Johnson zaczął się wiercić nerwowo.

– Cokolwiek robisz, człowieku, lepiej się pospiesz, do cholery.

– Spokojnie, panie Johnson. Pański chlebodawca nie wróci tak szybko z obiadu. Prawie już skończyłem.

Kłęcząc przed skrzynią, Pendergast wybrał obraz Jawlensky’ego. Pęsetą wyskubał kilka nitok z tylnej strony obrazu, gdzie płótno było przybite do ramy. Następnie za pomocą szczypczyków i skalpela ściał maleńki wiórek żółtej farby na samej krawędzi obrazu i umieścił w próbówce. Tak samo potraktował Pechsteina i pozostałe malowidła.

Spojrzał na zegarek. Ósma czterdzieści pięć.

Ułożył warstwy opakowania tak, żeby zamaskować rozcięcie, przykręcił z powrotem bok skrzyni i wstał z uśmiechem.

– Panie Johnson – powiedział – przepraszam, że zakłóciłem panu wieczór.

– Tak, ale jeszcze mi pan nie powiedział, kim pan jest i co pan robi.

– I nie powiem, panie Johnson.

Wyszli do salonu i Pendergast zwrócił się do gospodarza:

– Akurat zdążymy wypić jeszcze po kieliszku.

Napełnił kieliszki. Johnson wypił swój jednym haustem i odstawił. Pendergast wysączył szampana wolniej, po czym wyjął następny zwitek banknotów z kieszeni.

– Zgodnie z obietnicą – powiedział.

Johnson wziął je bez słowa.

– Dobrze pan zrobił.

Pendergast uśmiechnął się, kiwnął głową i szybko wyszedł.

Po powrocie do apartamentu Constance zastała Pendergasta zgarbionego nad zestawem chemicznym. Patrzyła, jak zanurzał bawełniany tampon w fiolce przejrzystego płynu i przykładał do odprysku farby w probówce. Farba natychmiast szerniała.

Przeprowadził ten test w następnej probówce i jeszcze jednej. Wreszcie podniósł wzrok.

– Dobry wieczór, Constance.

– Jakież wyniki?

Kiwnął głową w stronę probówek.

– Owszem. Wszystkie próbki farby wykazują niedopuszczalną zawartość ołowiu. Nasz pan Lionel Brock ma w dodatkowej sypialni sześć skrzyń z obrazami impresjonistów, a jeśli reszta wygląda podobnie, to same falsyfikaty. Brock widocznie zatrudnia europejskiego fałszerza sztuki... obdarzonego znacznym talentem... żeby naśladował dzieła pomniejszych artystów, które potem niewątpliwie umieszcza wśród swoich oryginalnych obrazów wielkich malarzy. Całkiem sprytny system: nikt nie kwestionuje autentyczności drugorzędnych obrazów oferowanych przez znanego marszanda, który sprzedaje najlepsze, skrupulatnie sprawdzone pierwszorzędne dzieła.

– Rzeczywiście sprytnie – przyznała Constance. – Ale wydaje mi się,

że taki człowiek nie ryzykowałby wszystkiego dla tybetańskiego artefaktu.

– Właśnie. Możemy go wykreślić. – Pendergast wyciągnął szeleszczącą listę. – Skreśliłem też Lambe’a... facet jest miękki jak wyrośnięte ciasto.

– Jak to sprawdziłeś? Bawiłeś się w doktora?

– Faj. Nie mówmy o tym. Skreśliłem też Claude’a Dallasa oraz lorda Cliveburgha, który jest zajęty szmuglowaniem kokainy. Strage nielegalnie eksportuje kilka wyjątkowo cennych i całkowicie autentycznych greckich waz, ale chociaż to zmniejsza szanse, że facet wywozi również Agozyena, nie możemy go całkiem wykluczyć. Zostaje nam trzech: Blackburn, Calderon i Strage. – Podniósł na nią srebrzyste oczy. – Jak tam twoje przygody pod pokładem?

– Poznałam kobietę przydzieloną do sprzątnięcia trójki Blackburna. Na szczęście, przynajmniej dla nas, ona zastąpiła inną pokojówkę, która podobno załamała się nerwowo wkrótce po odpłynięciu i zabiła się.

– Naprawdę? – zapytał Pendergast z nagłym zainteresowaniem. – Na statku doszło do samobójstwa?

– Tak mówią. W połowie zmiany nagle przestała pracować, wróciła do swojej kabiny i dostała załamania. Później dźgnęła się w' oko kawałkiem drewna i zmarła.

– Bardzo dziwne. A ta kobieta, która sprząta trójkę Blackburna... co mówi?

– Blackburn zabrał własną pokojówkę, która pomiata okrętowymi pokojówkami. Kazał również umeblować apartament na czas rejsu swoimi meblami i dziełami sztuki.

– Czyli również sztuki azjatyckiej z jego kolekcji.

– Tak. Ta sama pokojówka sprząta też apartament Calderona po sąsiedzku. Podobno zgromadził mnóstwo francuskich antyków.

W przeciwieństwie do tego wstrętnego Blackburna jest bardzo miły, dał jej spory napiwek.

– Doskonale.

Przez długą chwilę Pendergast wpatrywał się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Powoli skupił spojrzenie.

– Blackburn to mocny numer jeden na naszej liście. – Sięgnął do kieszeni, wyciągnął jeszcze jeden zwitek szeleszczących banknotów. – Musisz się chwilowo zamienić miejscami ze sprzątaczką przydzieloną do apartamentów Blackburna i Calderona. Wejdiesz tam, kiedy pokoje będą puste.

– Ale Blackburn nie wpuści okrętowej pokojówki pod nieobecność własnej pokojówki.

– Nieważne... jeśli cię przyłapią, zawsze możesz to zwalić na pomyłkę biurokratyczną. Wiesz, czego szukać. Proponuję, żebyś spróbowała dzisiaj późnym wieczorem... Zauważyłem, że Blackburn przepada za bakaratem i pewnie wybierze się do kasyna.

– Dobrze, Aloysius.

– Och... i przynieś mi jego śmiecie.

Constance lekko uniosła brwi. Potem kiwnęła głową i mszyła w stronę schodów, żeby się przebrać do obiadu.

– Constance?

Obejrzała się.

– Proszę, bądź ostrożna. Blackburn należy do naszych głównych podejrzanych... co znaczy, że może być bezwzględny, nawet psychopatycznym mordercą.

Scott Blackburn przystanął w wejściu do restauracji Oscar, żeby zapiąć szytą na miarę marynarkę od Gievesa & Hawkesa, poprawić fiołkowy krawat i obrzucić wzrokiem salę. Minęła już ósma czterdzieści pięć i druga tura trwała w najlepsze: hordy smukłych, eleganckich zagranicznych kelnerów wpadły do sali, niosąc dania główne pod srebrnymi pokrywami. Ustawili je na stołach, a potem wszyscy jednocześnie – za każdym biesiadnikiem stał kelner – zerwali pokrywy i odsłoniли danie.

Ironicznie krzywiąc usta, Blackburn podszedł do swojego stołu. Jego dwaj towarzysze już siedzieli, ale poderwali się służalczo na jego widok. Tak jak powinni – Blackburn zainwestował kilkaset milionów dolarów w ich firmy i zasiadał w' zarządzie komitetów odszkodowań. Na stole stały już dwie puste butelki po burgundzie wśród porzucanych szczątków *hors d'oeuvres*, przystawek oraz pierwszego dania – niewielkiego ptaka, młodego gołębia lub bązanta. Blackburn usiadł, wziął do ręki jedną butelkę i obejrzał nalepkę.

– Richebourg domaine de la romanée-conti rocznik siedemdziesiąty ósmy – przeczytał. – Nieźle sobie dogadzacie. – Odwrócił się i wlał resztkę do własnego kieliszka. – A mnie zostawiliście tylko osad!

Lambe i Calderon roześmieli się z szacunkiem i Lambe skinął na kelnera.



– Przynieś następną z naszej prywatnej piwnicy – rozkazał. – Jedną z tych już otwartych.

– W tej sekundzie, sir. – Kelner ulotnił się bezszelestnie jak dym.

– Co to za okazja? – zagadnął Blackburn.

– Pomyśleliśmy, że raz się żyje – odparł Lambe, kołysząc chudymi, przygarbionymi ramionami. Blackburn zauważył, że tamten nie jest już taki zielony jak wcześniej. Widocznie mięczak przyzwyczajał się do oceanu.

– Czemu nie? – zgodził się Blackburn. – Ta podróż okazuje się bardziej interesująca, niż przypuszczałem. Na przykład wczoraj wieczorem spotkałem dawną dziewczynę i okazała się przystępna... bardzo przystępna. Przynajmniej na początku.

Dwaj słuchacze nagrodzili go rykiem śmiechu.

– A co potem? – zapytał Lambe, gorliwie wychylając się do przodu. Blackburn zaśmiał się i pokręcił głową.

– Nie wiem, co było bardziej podniecające: pieprzenie czy późniejsza kłótnia. Uff, co za tygrysica!

Słuchacze znowu zarechotali.

Kelner przyплыł z powrotem, niosąc butelkę i czysty kieliszek. Lambe gestem kazał mu nalać Blackburnowi do skosztowania. Blackburn zakręcił płynem w kieliszku, powąchał szybko, zakręcił znowu, potem wsadził nos do środka i wdychał bukiet. Odchylił się na oparcie krzesła i z zamkniętymi oczami delectował się aromatem. Po chwili podniósł kieliszek do ust, upił trochę, obrócił na języku, wciągnął powietrze ustami i siorbnął, zanim przełknął. Dopełniwszy rytuału, postawił kieliszek i gestem odprawił kelnera.

– Co myślisz? – zapytał przymilnie Lambe.

– Wspaniale.

Dwaj mężczyźni odetchnęli.

Blackburn ponownie wzniósł kieliszek.

– I tak się składa, że chciałbym coś ogłosić.

Obaj przyjaciele natychmiast odwrócili się do niego.

– Napełnijcie kieliszki.

Posłuchali skwapliwie.

– Jak wiecie, odkąd sprzedałem Gramnet za dwa miliardy, tylko się objam i rozglądam za czymś nowym, żeby trochę namieszać. I chyba znalazłem.

– Możesz o tym mówić? – zapytał Calderon.

Blackburn zrobił rozkosznie długą pauzę.

– Chodzi o skanowanie i przeszukiwanie wizualnych baz danych w sieci. – Uśmiechnął się. – Kiedy sprzedałem Gramnet, zatrzymałem prawa do moich zastrzeżonych algorytmów kompresji obrazu. Wpakuję zapytanie przez obraz do każdego peceta i będzie wyglądało sto razy lepiej od każdego innego.

– Ale Google pracuje nad technologią dopasowania obrazów od lat – zauważył Lambe. – Nic im nie wychodzi.

– Zastosuję inną technologię: staroświecki wysiłek zbiorowy. Mam tysiące programistów i researcherów, których mogę do tego zaprząć, przez okrągłą dobę siedem dni w tygodniu. Zamierzam zbudować największą multimedialną bazę danych online w sieci.

– Jak?

– Obrazy można łączyć całkiem jak strony sieciowe. Ludzie szukający obrazów przechodzą od jednego podobnego do następnego. Nie analizuj metadanych ani obrazów: analizuj linki. Jak już się znajdą w twojej bazie danych, możesz zbudować miliardy, biliony linków generowanych przez użytkowników. Wtedy łapię same obrazy w najwyższej rozdzielczości i stosuję algorytmy oraz matematyczne sygnatury, żeby je skompresować. Mam tuzin farm serwerów pracujących na jałowym biegu, które tylko czekają, żeby je zapełnić takimi danymi.

– Ale copyrighty do obrazów... jak sobie z tym poradzisz?

– W dupie mam copyrighty. Copyrighty padły. To jest sieć. Informacja powinna być za darmo. Wszyscy inni to robią... więc czemu nie ja?

Zapadła pełna szacunku cisza.

– A żeby to rozkręcić, mam asa w rękawie. – Podniósł kieliszek i przepłukał sobie gardło z głośnym bulgotem. – I to jakiego asa!

Po czym przełknął łyk wina za trzysta dolarów, przymykając oczy z czystej orgiastycznej przyjemności.

– Panie Blackburn? – rozległ się cichy, unizony głos przy jego łokciu.

Blackburn odwrócił się zirytowany, że mu przeszkadzają w zabawie. Obok stał mężczyzna w dość niepozornym garniturze, mały, brzydki i mówiący z bostońskim akcentem.

Blackburn zmarszczył brwi.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Pat Kemper. Jestem szefem ochrony na *Britannii*. Czy mogę zamienić z panem słówko na osobności?

– Bezpieczeństwo? O co chodzi?

– Bez obaw, to rutyna.

– Może pan mówić przy moich przyjaciółach.

Kemper zawahał się na chwilę.

– Doskonale. Pozwoli pan, że usiądę?

Rozejrzał się szybko po jadalni i zajął krzesło po prawej stronie Blackburna.

– Ogromnie przepraszam, że przerwałem panu obiad – zaczął z bostońskim akcentem, który już działał Blackburnowi na nerwy. Facet wyglądał i gadał jak gliniarz. – Ale protokół wymaga, żebym zadał panu kilka pytań. Chodzi o pokojówkę wyznaczoną pierwotnie do sprzątania pańskiego apartamentu. Juanitę Santamarię.

– Pokojówkę? – Blackburn zmarszczył brwi. – Mam własną pokojówkę, która nadzoruje waszych ludzi.

– Santamaría dwukrotnie u pana sprzątała. Po raz drugi w pierwszy wieczór rejsu, około ósmej trzydzieści, kiedy przyszła pościć łóżka. Przypomina pan sobie, jak weszła do pańskiego apartamentu?

– Ósma trzydzieści wczoraj wieczorem? – Blackburn odchylił się na krześle i pociągnął następny łyk wina. – Nikogo nie było. Moja pokojówka dostała choroby morskiej i wyrzygiwała sobie wnętrzności w punkcie medycznym. Ja byłem na obiedzie. A ponadto wydałem ścisłe polecenia, żeby nikt nie wchodził do mojego apartamentu bez nadzoru.

– Przepraszam za to, sir. Ale czy pan nie wie, co się mogło zdarzyć tamtego wieczoru w pańskim apartamencie? Jakiś wypadek, z kimś się zetknęła? A może coś zniszczyła albo... ukradła?

– Czy coś jej się stało?

Szef ochrony zawahał się.

– Prawdę mówiąc, tak. Pani Santamaría miała załamanie nerwowe wkrótce po wyjściu z pańskiego apartamentu. W jego następstwie odebrała sobie życie. Ale jej znajomi, współlokatorki i inni nie zauważyli niczego zapowiadającego kłopoty. Według nich była zrównoważoną, religijną osobą.

– Zawsze tak mówią o masowych mordercach albo samobójcach – rzucił szyderczo Blackburn.

– Wspominali również, że tamtego dnia pani Santamaría wyszła do pracy w dobrym nastroju.

– Nie potrafię panu pomóc – oświadczył Blackburn. Zakręcił winem i znowu podniósł kieliszek do nosa. – Nikogo tam nie było. Niczego nie ukradziono ani nie zniszczono. Wiedziałbym, proszę mi wierzyć. Pilnuję swoich rzeczy.

– Może coś zobaczyła albo czegoś dotknęła? Czegoś się

przestraszyła?

Blackburn nagle przerwał swój enofilny rytuał i zatrzymał kieliszek w połowie drogi do ust. Po długiej chwili odstawił go, zamiast się napić.

– Panie Blackburn? – naciskał Kemper.

Blackburn odwrócił się do niego.

– Absolutnie wykluczone – odparł słabym, wypranym z emocji głosem. – Niczego tam nie było. Jak mówiłem, pokój był pusty. Moja pokojówka siedziała w infirmerii. Ja byłem na obiedzie. Cokolwiek spotkało tę kobietę, nie miało nic wspólnego ze mną ani z moim apartamentem. Nawet nie powinna tam wchodzić.

– Doskonale – powiedział Kemper, wstając. – Tak przypuszczałem, ale wie pan, protokół i w ogóle. North Star urwałby mi głowę, gdybym nie przestrzegał procedury. – Uśmiechnął się. – Panowie, nie będziemy wracać do tego tematu. Dziękuję wam za cierpliwość i życzę przyjemnego wieczoru.

Skinął głową każdemu po kolei i odszedł szybkim krokiem.

Lambe odprowadzał wzrokiem szefa ochrony lawirującego między stołami. Potem odwrócił się do Blackburna.

– No i co ty na to, Scott? Dziwne rzeczy się dzieją pod pokładem! – I przybrał melodramatyczną pozę.

Blackburn nie odpowiedział.

Kelner podpłynął do stołu.

– Panowie, czy mogę wyliczyć specjalności szefa kuchni na ten wieczór?

– Proszę. Mam dwa dni postu do nadrobienia. – Lambe zatarł ręce.

Blackburn wstał tak nagle, że jego krzesło przechyliło się ryzykownie do tyłu.

– Scott? – zapytał Calderon z niepokojem.

– Nie jestem głodny – bąknął Blackburn. Zbladł jak ściana.

– Hej, Scotty... – zaczął Lambe. – Hej, czekaj! Dokąd idziesz?

– Do siebie.

Nie mówiąc więcej ani słowa, Blackburn odwrócił się i wyszedł z restauracji.

– To po prostu okropne – mówi miły, atrakcyjny nieznajomy. – A może porozmawiam ze starszą panią?

– O nie – protestuje Inge, przerażona tą propozycją. – Nie, proszę. Nie jest tak źle, naprawdę. Już się przyzwyczaiałam.

– Jak sobie życzysz. Jeśli zmienisz zdanie, daj mi znać.

– To bardzo miło z twojej strony. Zawsze pomaga, kiedy można z kimś porozmawiać. – Milknie i czerwieni się gwałtownie.

Nic takiego jeszcze nigdy nie zdarzyło się Inge Larssen. Zawsze prowadziła klasztorne życie, zawsze była chorobliwie nieśmiała. A teraz zwierza się osobie, którą poznała zaledwie pół godziny wcześniej.

Duży połączany zegar na wytapetowanej ścianie Salonu Chatsworth wskazuje za pięć dziesiątą. Kwartet smyczkowy gra cicho w odległym kącie, z rzadka przechodzą pary, ramię przy ramieniu albo trzymając się za ręce. Bar oświetlają setki smukłych świec, przesycających wieczorne powietrze miękkim złocistym blaskiem. Inge jeszcze nigdy nie była w takim pięknym miejscu.

To chyba magiczna atmosfera tego miejsca i tego wieczoru pomogła jej się odprężyć. A może po prostu nowa znajomość, towarzystwo osoby tak pewnej siebie, budzącej zaufanie.

Na drugim końcu sofy ta osoba płynnie zakłada nogę na nogę.

– Więc mieszkałaś w klasztorach przez całe życie?

– Prawie. Odkąd skończyłam sześć lat. Wtedy moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym.

– I nie masz żadnej rodziny? Żadnych krewnych?

Inge kręci głową.

– Żadnych. Oprócz stryjecznego dziadka, który umieścił mnie w szkole klasztornej w Evedal zamiast w szkole państwowej. Ale on już odszedł. Mam kilka przyjaciółek ze szkoły. Jesteśmy trochę jak rodzina. No i moja pracodawczyni.

Moja pracodawczyni, myśli. Dlaczego nie mogę pracować u kogoś takiego? Zaczyna mówić, ale urywa i znowu się czerwieni.

– Chciałaś coś powiedzieć.

Inge śmieje się z zażenowaniem.

– Nie, nic takiego.

– Powiedz, proszę. Chętnie posłucham.

– Ja tylko... – Znowu się waha. – No bo jesteś taką ważną osobą. Kimś odnoszącym sukcesy, kimś... Wiesz teraz wszystko o mnie... a ja chciałabym usłyszeć twoją historię.

– To nic wielkiego – pada nieco cierpka odpowiedź.

– Nie, naprawdę. Strasznie chciałabym się dowiedzieć, jak się dokonuje niemożliwego, żeby dotrzeć aż tutaj. No bo... kiedyś też chciałabym... – Głos jej zamiera, braknie słów.

Zapada krótkie milczenie.

– Przepraszam – mówi Inge z pośpiechem. – Nie miałam prawa pytać. Przepraszam. – Nagle robi jej się nieswojo. – Już późno... powinnam wracać do łóżka. Pani, którą się opiekuję... jeśli się obudzi, przestraszy się, że mnie nie ma.

– Nonsens. Z radością opowiem ci moją historię. Chodźmy się przejść po pokładzie... duszno tutaj.

Inge nie uważa, że w barze jest duszno, ale nic nie mówi, kiedy idą



do wind i wjeżdżają cztery piętra do góry, na pokład siódmy.

– Pokażę ci coś, czego jeszcze na pewno nie widziałaś – obiecuje ważna osobistość, prowadząc ją korytarzem obok cichej o tej porze restauracji Hyde Park do ciężkiego luku. – Tutaj możemy wyjść na zewnątrz.

Po raz pierwszy Inge naprawdę stoi na pokładzie. Przenika ją zimno, wiatr świszczaje jej w uszach, drobne kropelki osiadają na włosach i ramionach. Widok jest niezwykle dramatyczny. Gniewne chmury pędzą po niebie wokół bladego, cytrynowego księżyca. Ogromny statek przedziera się przez ciężkie fale. W górze i w dole smugi światła z niezliczonych okien i iluminatorów zmieniają morską pianę w roztopione złoto. Wygląda to wręcz niemożliwie romantycznie.

– Gdzie jesteśmy? – szepcze Inge.

– Na promenadzie. Chodź, coś ci pokażę. – Prowadzi ją do rufowego relingu na samym końcu statku. – W takie ciemne noce widać plankton świecący w kilwaterze. Popatrz... to niesamowite.

Inge wychyla się, ściskając mocno poręcz relingu. Pionowa ściana opada prosto w morze, które kipi i kotłuje się wokół rufy. Rzeczywiście: miliardy światełek mrugają w mlecznym kilwaterze, żywy fosforyzujący ocean, osobny wszechświat perłowego blasku, na krótko powołany do istnienia przez ruch statku.

– Wspaniałe – szepcze, drżąc na zimnym wietrze.

W odpowiedzi łagodna dłoń obejmuje jej ramię i przyciąga bliżej.

Inge opiera się tylko przez chwilę. Potem pozwala się przytulić, zadowolona z ciepła. Patrząc w dół, na nieziemski blask w kilwaterze statku, czuje drugą dłoń wsuwającą się na drugie ramię. Dłonie ściskają ją mocniej.

A potem – jednym brutalnym szarpnięciem – podrywają ją w górę i przerzucają nad relingiem.

Długi, oszołamiający pęd powietrza, a potem straszliwy wstrząs, kiedy Inge uderza w lodowatą wodę.

Obraca się i szamocze, straciwszy orientację, zamroczona i obolała od upadku. Potem przedziera się do góry, chociaż ubranie i buty ciążą jak balast, przebija powierzchnię, charcząc i chwytając powietrze zakrzywionymi palcami, jakby chciała wspiąć się na niebo.

Przez chwilę w otepieniu zastanawia się, dlaczego spadła – czy reling się złamał – ale potem przejaśnia jej się w głowie.

Nie spadłam. Zostałam zrzucona.

Ten prosty fakt wprawia ją w osłupienie. To niemożliwe. Rozgląda się dzikim wzrokiem, instynktownie poruszając nogami. Rufa statku, wielka jak świetlista wieża, znika już w ciemnościach. Inge otwiera usta do krzyku, ale natychmiast wypełniają się spienioną wodą. Kaszle, młóci rękami, żeby utrzymać się na powierzchni. Woda jest paralizująco zimna.

– Ratunku! – woła głosem tak słabym i zdławionym, że ledwie sama siebie słyszy przez świst wiatru, dudniące silniki, głośny syk skotłowanej wody w kilwaterze. Z góry dobiegają słabe krzyki mew towarzyszących statkowi w dzień i w nocy.

To sen. Na pewno. A jednak woda jest taka zimna, taka strasznie zimna. Posiniaczone ręce i nogi zmieniają się w ołów.

Zostałam wyrzucona ze statku.

Patrzy ze zgrozą na światła malejące w oddali. Przez rufowe okna wielkiej sali balowej Króla Jerzego II na pokładzie pierwszym widzi nawet czarne ruchome kropki, odcinające się na tle blasku – ludzi.

– Ratunku!

Próbuje pomachać ręką i idzie pod wodę. Rozpaczliwie walczy o łyk powietrza.

Zrzuć buty. Płyn.

Wystarczy chwila, żeby zzuć buty, głupie pantofle na płaskim

obcasie, które pracodawczynie kazała jej nosić. Ale to nie pomaga. Nawet już nie czuje stóp. Wykonuje kilka słabych zamachów, ale pływanie zupełnie jej nie wychodzi; wszystkie siły pochłania samo utrzymanie głowy nad wodą.

*Britannia* rozplywa się w nocnej mgle, ścielącej się nad wodą. Światła przygasają. Krzyki mew cichną. Zielona barwa spienionego, syczącego kilwateru stopniowo blednie. Woda robi się czarna, równie czarna jak głęboka.

Światła znikają. Po chwili słabe dudnienie silników rozplywa się w ciszy.

Inge wpatruje się w miejsce, gdzie przedtem istniało światło i dźwięk, a teraz została tylko czerń. Boi się odwrócić wzrok, żeby nie zgubić tego punktu, jakby stanowił jej ostatnią nadzieję. Wokół niej rozciąga się ciemne, rozkołysane morze. Księżyc wygląda zza ławicy szybkich chmur. Mgła leżąca na wodzie rozsrebrza się przelotnie w księżycowym blasku i znowu ciemnieje, kiedy jasna tarcza kryje się za chmurą. Inge unosi się na fali, opada, znowu się wznosi.

Wyciąga szyję i usiłuje przebić wzrokiem mglistą ciemność, kiedy ogromny bałwan zwała się na nią z sykiem i spycha w głąb. Inge macha rękami. Otacza ją pustka – całkowita pustka: nieprzenikniona czerń i straszliwe, nieubłagane zimno.

Lecz po chwili przenikliwy chłód odpływa, zastąpiony przez niewytłumaczalne ciepło. Ręce i nogi znikają. Z sekundy na sekundę ruchy zwalniają, aż najmniejsze poruszenie wymaga olbrzymiego wysiłku woli. Inge zażarcie walczy, żeby utrzymać się na powierzchni, ale jej ciało zmienia się w bezwładny worek. Stopniowo uświadamia sobie, że wcale nie tonie w morzu, tylko leży we własnym łóżku. Przyśnił jej się koszmar. Zalewa ją fala ulgi i wdzięczności. Łóżko jest miękkie, ciepłe, wygodne. Inge przekręca się i czuje, że zapada w ciepły mrok. Wzdycha – i coś ciężkiego

przygniata jej pierś, jakby ołowiana sztaba. Przebłysk zrozumienia wdziera się w jej świadomość: jednak nie leży w łóżku, to nie sen, naprawdę tonie w czarnych, bezdennych głębinach północnego Atlantyku, z pękającymi płucami.

Zostałam zamordowana – przemyka jej przez głowę ostatnia myśl, kiedy opada w głąb, a potem wzdycha jeszcze raz i resztkę powietrza wyrywa się z jej ust w wybuchu milczącej grozy, silniejszej niż najdzikszy krzyk.

Kwadrans po jedenastej Kemper wszedł do głównego biura ochrony. Przez uchylone drzwi centrali monitoringu słyszał hałaśliwe rozmowy i coś, co brzmiało jak dopingujące okrzyki. Położył rękę na drzwiach i otworzył je szerzej.

Na ścianach kolistego pokoju ciągnęły się rzędy ekranów wideo. Każdy pokazywał nadawany przez wewnętrzną telewizję obraz jakiegoś miejsca na statku. Wszyscy dyżurni ochroniarze skupili się wokół jednego ekranu, tak rozgadani i rozbawieni, że nie zauważyli wejścia szefa. Skąpani w niebieskawym świetle mrugających monitorów, przekrzykiwali się jeden przez drugiego. Pokój cuchnął starymi, zatłuszczonymi kartonami po pizzy, wepchniętymi do kąta.

– Och tak, babciu, weź go całego! – krzyknął ktoś.

– Aż do końca!

– Wesoła starsza pani z Pasadeny!

W grupie rozległo się: „Ju-hu!”, a potem gwizdy i śmiechy. Jeden z ochroniarzy lubieżnie poruszył biodrami.

– Brawo! Jazda, kowboju!

Kemper wkroczył do środka.

– Co tu się dzieje, do cholery?

Mężczyźni odskoczyli od ekranu, odsłaniając dwójkę pasażerów z nadwagą uprawiających energiczny seks w mrocznym salonie.

– Jezu Chryste. – Kemper odwrócił się. – Panie Wadle, pan nadzoruję tę zmianę?

Rozejrzał się po ochroniarzach stojących śmiesznie na baczność.

– Tak jest, sir.

– Mamy zaginioną pasażerkę, samobójstwo na pokładzie, tracimy tysiące w kasynie, a wy sobie oglądacie Viagra Show. Uważacie, że to zabawne?

– Nie, sir.

Kemper pokręcił głową.

– Czy mam...? – Wadle wskazał przycisk do wyłączania ekranu.

– Nie. Każde wyłączenie monitora jest notowane w dzienniku pokładowym, więc wywoła pytania. Po prostu... odwracajcie wzrok.

Na te słowa ktoś zdusił śmiech, a Kemper mimo woli też się uśmiechnął.

– No dobrze, dobrze. Zabawiliście się, a teraz wracajcie na stanowiska.

Przeszedł przez centralę monitoringu do swojego maleńkiego gabinetu na zapleczu. Chwilę później zabrzączał interkom na biurku.

– Jakiś pan Pendergast do pana.

Dobry nastrój Kempera prysnął. Po chwili prywatny detektyw wszedł do gabinetu.

– Pan też przyszedł na pokaz? – zagadnął Kemper.

– Dżentelmen, o którym mowa, studiował *Kamasutrę*. Ta pozycja nazywa się chyba „ubijanie śmietany”.

– Nie mamy dużo czasu – przerwał mu Kemper. – Na razie dziś wieczorem straciliśmy już kolejne dwieście tysięcy w Covent Garden. Myślałem, że pan nam pomoże.

Pendergast usiadł i założył nogę na nogę.

– I dlatego przyszedłem. Czy mogę zobaczyć zdjęcia dzisiejszych wygrywających?

Kemper podał mu plik nieostrych fotografii. Pendergast je przewertował.

– Interesujące... inna grupa niż wczoraj wieczorem. Tak jak myślałem.

– Czyli jak?

– To jest duży, złożony zespół. Gracze zmieniają się co wieczór. Kluczem są obserwatorzy.

– Obserwatorzy?

– Panie Kemper, zdumiewa mnie pańska naiwność. Chociaż system jest skomplikowany, zasady są proste. Obserwatorzy, wmieszani w tłum, śledzą grę na stołach z wysokimi stawkami.

– Kim są ci cholerni obserwatorzy?

– To może być każdy: starsza pani przy strategicznie umieszczonym automacie do gry, podchmielony biznesmen gadający głośno przez komórkę, nawet pryszczaty nastolatek gapiący się na graczy. Obserwatorzy są świetnie wyszkoleni i często potrafią tworzyć fałszywe osobowości, żeby zakamufłować swoją działalność. Oni liczą karty... nie grają.

– A gracze?

– Jeden obserwator ma w stajni od dwóch do czterech graczy. Obserwatorzy śledzą wszystkie karty rozgrywane na stole i „liczą” je, co zwykle polega na przypisywaniu liczb ujemnych niskim kartom i liczb dodatnich wysokim, od dziesiątek do asów. Muszą pamiętać tylko jedną liczbę: bieżący rachunek. Kiedy stosunek wysokich kart do niskich pozostałych w talii przekroczy pewną granicę, szanse tymczasowo przechylają się na korzyść graczy: wysokie karty w blackjacku nie sprzyjają rozdającemu. Obserwator, który widzi taką sytuację na stole, daje ustalony sygnał jednemu z graczy, który wtedy siada przy stole i zaczyna wysoko obstawiać. Albo, jeśli gracz już siedzi przy stole, nagle podwyższa stawki. Kiedy proporcje wracają do

normy lub spadają poniżej, kolejny sygnał obserwatora ostrzega gracza, że pora odejść albo zmniejszyć stawki.

Kemper poruszył się niespokojnie.

– Jak możemy ich powstrzymać?

– Jedyne niezawodny sposób to wyłować obserwatorów i dać im, ach, kopa w tyłek.

– Nie możemy.

– Z pewnością dlatego są tutaj, a nie w Las Vegas.

– Co jeszcze?

– Połączyć karty w bucie na osiem talii, a potem rozdawać tylko jedną trzecią buta przed tasowaniem.

– Rozdajemy z buta na cztery talie.

– Następny powód, że przyciągacie liczących. Możecie im pomieszać szyki, jeśli każecie rozdającym, żeby tasowali za każdym razem, kiedy nowy gracz siądzie przy stole albo któryś z graczy nagle podniesie stawki.

– Wykluczone. To spowolni grę i zmniejszy zyski. Poza tym bardziej doświadczeni gracze się sprzeciwią.

– Nie wątpię. – Pendergast wzruszył ramionami. – Oczywiście żaden z tych środków zaradczych nie rozwiązuje problemu, jak odzyskać stracone pieniądze.

Kemper popatrzył na niego zaczerwienionymi oczami.

– Więc jest sposób, żeby odzyskać pieniądze?

– Może.

– Nie możemy oszukiwać.

– Wy nie możecie.

– Panu również nie możemy pozwolić na oszukiwanie, panie Pendergast.

– Ależ panie Kemper – odpowiedział Pendergast urażonym tonem – czy mówiłem, że zamierzam oszukiwać?



Kemper zmilczał.

– Liczący karty mają to do siebie, że trzymają się systemu. Zwykły gracz zrezygnuje, jeśli za dużo przegrywa... ale nie zawodowy liczący. On wie, że karta w końcu musi się odwrócić. Dla nas to korzystne. – Pendergast spojrział na zegarek. – Jedenasta trzydzieści. Zostają nam trzy godziny najlepszej gry. Panie Kemper, niech pan z łaski swojej udostępni mi pół miliona kredytu.

– Czy pan powiedział: pół miliona?

– Wolę, żeby mi nie zabrakło akurat wtedy, kiedy akcja się rozkręci.

Kemper myślał usilnie przez chwilę.

– Zamierza pan odzyskać nasze pieniądze?

– Spróbuję. – Pendergast uśmiechnął się.

Kemper przełknął ślinę.

– W porządku.

– Niech pan przekazuje panu Hentoffowi, żeby ostrzegł pit bossów i rozdających, że moja gra może wyglądać ekscentrycznie, nawet podejrzenie... chociaż zawsze pozostanie w granicach prawa. Zajmę miejsce na pierwszej bazie, z lewej strony rozdającego, i przepuszczę około połowy rozdań, więc proszę uprzedzić swoich ludzi, żeby mnie nie ruszali, jeżeli nie gram. Hentoff powinien poinstruować rozdających, żeby dawali mi karty do przełożenia przy każdej normalnej sposobności, zwłaszcza na początku, kiedy usiądę. Będę udawał, że ostro piję, więc kiedy zamówię dżin z tonikiem, proszę dopilnować, żeby mi podano tylko tonik.

– Dobrze.

– Czy możliwe będzie podwyższenie maksymalnych zakładów na jednym ze stołów?

– To znaczy bez ograniczenia wysokości stawki?

– Tak. Liczący na pewno wybiorą ten stół, dzięki czemu znacznie

szybciej odzyskam pieniądze.

Kemper poczuł kroplę potu spływającą po czole.

– Możemy tak zrobić.

– I na koniec proszę, żeby pan Hentoff posadził przy tym stole rozdającego o małych dłoniach i cienkich palcach. Im mniej doświadczonego, tym lepiej. Niech umieści kartę kończącą grę wysoko w bucie.

– Czy mogę zapytać, dlaczego?

– Nie może pan.

– Panie Pendergast, jeśli przyłapiemy pana na oszukiwaniu, obaj znajdziemy się w nader niezręcznej sytuacji.

– Nie zamierzam oszukiwać... daję panu słowo.

– Jak pan zdoła wpłynąć na grę, kiedy żaden z graczy nawet nie dotknie kart?

Pendergast uśmiechnął się enigmatycznie.

– Istnieją sposoby, panie Kemper. Och, i potrzebuję asystentki, jednej z kelnerek koktajlowych, osoby niewidocznej, dyskretnej i inteligentnej, która będzie przynosić mi drinki i spełniać moje... jak to określić?... niezwykle zamówienia, złożone w ostatniej chwili. Powinna je wykonać natychmiast i bez wahania.

– Lepiej, żeby się udało.

Pendergast zrobił przerwę.

– Naturalnie jeśli mi się uda, spodziewam się w zamian następnej przysługi.

– Naturalnie.

Pendergast wstał, odwrócił się i wysliznął do centrali monitoringu. Zanim drzwi się zamknęły, Kemper usłyszał jego podniesiony głos ze słodkim południowym akcentem:

– Wielkie nieba, teraz pozycja *apadravya*. W ich wieku!

Starsza pani w apartamencie 1039 przekręciła się lekko w łóżku, mamrocząc przez sen.

Po chwili znowu się przekręciła, mamrocząc coraz bardziej niespokojnie. Coś jej przeszkadzało spać: głośnie, natarczywe stukanie.

Otworzyła oczy.

– Inge? – zachrypiała.

Odpowiedziało tylko stukanie.

Staruszka uniosła sękatą dłoń, chwyciła stalowy pręt, biegnący wzdłuż wezgowia. Powoli, z wysiłkiem dźwignęła się do pozycji siedzącej. Miała sen: śliczny sen o Montym Hallu<sup>[18]</sup>, drzwiach numer 2 i wazelinie. Oblizwała wyschnięte wargi, przywołując z pamięci szczegóły, ale już się rozmywały w mgiełce ulotnych wspomnień.

– Gdzie jest ta dziewczyna? – wymamrotała, czując ukłucie strachu.

Stukanie trwało. Dochodziło gdzieś spoza sypialni.

Zwiędłe ramię wynurzyło się spod niezliczonych warstw satyny i egipskiej bawełny. Wyłowiło sztuczną szczękę z naczynia na nocnym stoliku i osadziło ją na anemicznych dziąsłach. Potem kobieta macała, szukała, aż palce zamknęły się na rękojeści laski. Przy akompaniamencie postękiwań i przekleństw stara wstała. Statek kołysał się wyraźnie, więc musiała opierać się o ścianę, idąc do drzwi

sypialni.

– Inge! – zawołała.

Ogarnęła ją następna fala strachu. Nienawidziła być zależna, naprawdę tego nie znosiła, bała się i wstydziła własnej słabości. Przez całe życie była niezależna, a teraz z powodu tej okropnej starości musiała polegać na innych.

Zapaliła światło i rozejrzała się, próbując opanować strach. Gdzie się podziała ta przekłeta dziewczyna? To skandal, żeby tak ją zostawić. A gdyby upadła? Albo dostała ataku serca? Zlitujesz się nad dziewczyną, przyjmiesz ją na służbę, a ona tak ci odpłaca. Nieposzanowaniem, nielojalnością, nieposłuszeństwem. Inge pewnie wypuściła się na hulankę z jakimiś szumowinami z załogi statku. No, to już była ostatnia kropla; jak tylko statek przybije do portu w Nowym Jorku, każe tej flądrze pakować manatki. Bez wypowiedzenia, bez rekomendacji. Niech wykorzysta swoje wdzięki – ta lafirynda – żeby opłacić powrót do Szwecji.

Staruszka dotarła do drzwi i przystanęła, żeby odpocząć, opierając się ciężko na framudze. Stukanie rozbrzmiewało głośniejsze – dochodziło od drzwi wejściowych apartamentu. Teraz słyszała również stłumiony głos.

– Pete! Hej, Pete! – wołał ktoś na korytarzu.

– Co?! – odkrzyknęła stara. – Kto tam?! O co chodzi?

Stukanie umilkło.

– Pete, przestań! – zażądał bełkotliwy głos. – Nie będziemy czekać przez całą noc.

– Hej, Pete, chłopie, rusz tyłek! – odezwał się następny pijacki głos za drzwiami. – Pamiętasz te laski, które dzisiaj poznaliśmy w Trafalgarze? No więc, jak wyszedłeś, one wróciły. I od tamtej pory chlejemy szampana. Teraz są w moim pokoju, zalane w trupa. No chodź, stary, masz okazję zakisić ogóra. A ta wysoka blondyna ma

balony...

Stara zaczęła się trząść z wściekłości i oburzenia. Mocniej chwyciła się framugi.

– Zostawcie mnie w spokoju! – wrzasnęła ze wszystkich sił. – Wynoście się stąd!

– Co? – zapytał pierwszy głos, nieco zdumiony.

– Wynocha, mówię!

Przerwa. Potem chichot.

– O kurwa! – powiedział drugi głos. – Rog, coś nam się pojebało.

– Nie, człowieku, on na pewno powiedział tysiąc trzydzieści dziewięć.

– Wzywam ochronę! – zaskrzeczała stara.

Z korytarza za drzwiami dobiegł wybuch wesołości, a potem odgłos oddalających się kroków.

Dysząc ciężko, stara odepchnęła się od framugi i zlustrowała pokój, opierając się na lasce. No jasne – nikt nie spał na kanapie. Zegar nad kanapą wskazywał wpół do dwunastej. Została opuszczona. Została sama.

Odwróciła się powoli i mozolnie weszła z powrotem do sypialni. Serce jej waliło. Opuściła się na łóżko, starannie postawiła laskę obok siebie. Potem sięgnęła do nocnego stolika, podniosła słuchawkę telefonu i wybrała zero.

– Operator statku – odezwał się przyjemny głos. – Czym mogę służyć?

– Połączcie mnie z ochroną – zachrypiała stara kobieta.

Anh Minh zauważyła hazardzistę natychmiast, jak tylko pojawił się przy stołach do blackjacka w kasynie Mayfair. Pan Pendergast, tak brzmiało nazwisko, które podał jej pan Hentoff. W czarnym smokingu wyglądał jak przedsiębiorca pogrzebowy. Przeszedł ją lekki dreszcz, kiedy ten człowiek stanął w progu i obrzucił spojrzeniem bladych oczu mroczną, elegancko urządzoną salę. Widocznie naprawdę grał wysoko, skoro pan Hentoff przydzielił mu ją na wyłączność jako kelnerkę. Zastanawiały ją dziwne instrukcje, które dołączono do przydziału.

– Podać panu drinka, sir? – zapytała, stając obok niego.

– Dżin z tonikiem proszę.

Kiedy wróciła z drinkiem – tylko tonik, zgodnie z instrukcją – zastała dziwnego mężczyznę przy stołach z wysokimi stawkami, pogrążonego w rozmowie z bardzo sympatycznym młodym blondynem w wytwornym ciemnym garniturze. Podeszła i czekała cierpliwie z drinkiem na tacy.

– ...więc – mówił gracz z całkiem innym akcentem – dałem facetowi dwadzieścia dwa tysiące sześćset dziesięć dolarów gotówką na rękę, odliczając setkami, po jednym banknocie... jeden, dwa, trzy, cztery, i kiedy doszedłem do pięciu, pojawiła się dwudziestka, i wtedy się połapałem, że mnie oszukano. Plik setek nadziali w środku

dwudziestkami! Cholera, ale się wkurzyłem. Dwudziestki, dziesiątki i nawet kilka piątek i jedynek.

– Przepraszam – powiedział młody dżentelmen, nagle zirytowany. – Co mnie obchodzą pana setki czy dwudziestki? I w ogóle o czym pan mówi, do cholery?

Odszedł szybko, zachmurzony, poruszając ustami, jakby przeżuwał gniewne myśli.

Pendergast z uśmiechem odwrócił się do Anh.

– Dziękuję.

Wziął drinka i upuścił pięćdziesiątkę na tacę, znowu błędząc wzrokiem po sali.

– Coś jeszcze dla pana?

– Tak, proszę. – Wskazał coś oczami, zniżając głos. – Widzisz tamtą kobietę? Taką grubą, w kwiecistej sukni, krążącą między stołami? Chciałbym przeprowadzić mały eksperyment. Rozmień tę pięćdziesiątkę i zanieś jej pełną tacę różnych banknotów pomieszanych z bilonem. Powiedz, że to reszta z drinka, którego zamówiła. Ona zacznie protestować, że nie zamawiała żadnego drinka, ale ty udawaj, że nie rozumiesz, i odliczaj pieniądze. Po prostu odliczaj, wymieniając jak najwięcej liczb. Jeśli ona jest tym, kim myślę, rozzłości się jak ten młody człowiek, z którym rozmawiałem... więc uważaj.

– Tak, proszę pana.

– Dziękuję.

Anh podeszła do kasjera i rozmieniła pięćdziesiątkę na stertę banknotów i monet. Położyła je na tacy i podeszła do kobiety w luźnej kwiecistej sukni.

– Pani reszta, pszepani.

– Co? – Kobieta spojrzała na nią w roztargnieniu.

– Pani reszta. Dziesięć funtów, pięć funtów, dwie jednofuntówki...

– Nie zamawiałam drinka.

Kobieta próbowała szybko odejść. Anh ruszyła za nią.

– Pani reszta. Dziesięć funtów, trzy razy po jednym funcie, razem trzynaście funtów, dwadzieścia pięć pensów...

Kobieta syknęła ze zniecierpliwieniem:

– Nie słyszałaś? Nie zamawiałam drinka!

Anh dalej goniła kobietę.

– Drink kosztuje sześć funtów i siedemdziesiąt pięć pensów, reszta wynosi trzynaście funtów, dwadzieścia pięć pensów...

– Ty nieudolna dziwko! – wybuchnęła kobieta i natarła na nią jak wielka burza kolorów z czerwoną twarzą.

– Bardzo przepraszam.

Anh Minh wycofała się z tacą pieniędzy pod gniewnym wzrokiem kobiety. Wróciła do baru, nalała toniku do szklanki z lodem i dodała plasterk cytryny. Znalazła Pendergasta, jak przechadzał się w tłumie, rozglądając się na wszystkie strony.

– Drink, proszę pana?

Spojrzał na nią i odniosła wrażenie, że w jego oczach tańczą iskierki rozbawienia. Powiedział pospiesznie i cicho:

– Szybko się uczysz. Teraz widzisz tego człowieka siedzącego na pierwszej bazie przy stole po prawej? Wylej na niego tego drinka. Potrzebuję jego miejsca. No już.

Anh zebrała się w sobie i podeszła do wskazanego stołu.

– Pana drink, sir?

– Dzięki, ale ja nie...

Przechyliła tacę i drink wylądował w jego kroczu. Mężczyzna poderwał się z krzesła.

– Och, na litość boską...!

– Strasznie przepraszam, sir!

– Mój nowy smoking!



– Przepraszam! Bardzo przepraszam!

Mężczyzna wyszarpnął chusteczkę z kieszeni na piersi i strzepnął z siebie płyn oraz kostki lodu. Pendergast podkradł się z tyłu, gotów zająć miejsce.

– Bardzo przepraszam! – powtórzyła Anh.

– Nieważne! – Odwrócił się do rozdającej. – Podlicz mnie, wychodzę.

Zgarnął swoje żetony i odmaszerował wielkimi krokami. Pendergast szybko wśliznął się na jego miejsce. Rozdający potasował, wyłożył talię i podał kartę do przecięcia Pendergastowi. Ten wsunął kartę do talii, a rozdający przełożył i umieścił talię w bucie, wkładając kartę kończącą grę niezwykle głęboko.

Anh Minh kręciła się w pobliżu, zastanawiając się, jakie jeszcze zwariowane polecenia wyda jej Pendergast.

Aloysius Pendergast rozejrzał się po stole z szerokim uśmiechem.

– I jak nam dzisiaj idzie? Mamy szczęście?

Chińczyk na trzeciej bazie – jego cel – nie odpowiedział. Dwie kobiety w średnim wieku siedzące pośrodku, które wyglądały jak siostry, nieufnie kiwnęły głowami.

– Dobre karty pani daje? – zwrócił się Pendergast do rozdającej.

– Staram się – odpowiedziała spokojnie drobna kobieta.

Pendergast omiół wzrokiem salę i zauważył, że pani w kwiecistej sukni, która udawała, że rozmawia przez telefon komórkowy, teraz obserwuje jego stół. Znakomicie.

– Czuję, że mam szczęście.

Pendergast rzucił żeton wartości dziesięciu tysięcy funtów do kręgu zakładów, a potem położył przed nim następny jako napiwek dla rozdającej.

Dwie kobiety przez chwilę wpatrywały się w jego stawkę, po czym dołożyły własne skromne tysiącfuntowe żetony. Chińczyk wsunął

żeton do kręgu – również tysiąc funtów.

Rozdająca rozdała karty.

Pendergast stanął na dwóch ósemkach. Dwie kobiety grały dalej, a jego cel miał dwanaście i przegrał, kiedy dostał figurę. Rozdająca miała dwadzieścia w trzech kartach i zabrała im wszystkie pieniądze.

Kelnerka wróciła z następnym drinkiem i Pendergast łyknął zdrowo.

– Parszywy pech – stwierdził, stawiając drinka na podkładce i kładąc następną stawkę.

Rozegrano jeszcze kilka rozdań, po czym Pendergast nie dołożył stawki.

– Stawia pan, sir?

– Chyba przepuszczę tę kolejkę – odparł Pendergast. Okręcił się na krześle i bełkotliwie zwrócił się do Anh Minh: – Daj mi jeszcze jeden dzin z tonikiem. Tylko wytrawny.

Kelnerka koktajlowa oddaliła się truchcikiem.

Chińczyk znowu postawił, tym razem pięć tysięcy. Wyraz jego zmęczonej, podstarzałej twarzy wcale się nie zmienił. Tym razem zatrzymał się na piętnastu, rozdająca pokazała sześć i miała furę.

Gra sięgnęła głębiej do buta. Kątem oka Pendergast widział, że kolejny wytypowany gracz, obserwowany przez młodego blondyna, wygrywa przy następnym stole. Sztuczka polegała na tym, żeby zmusić go do większej przegranej, zrekompensować straty. Układ kart, które namierzył podczas tasowania, znajdował się już niedaleko i zapowiadał niezłe fajerwerki.

Obserwatorka w kwiecistej sukni widocznie również śledziła tasowanie. Teraz, kiedy gra zbliżała się do układu, bieżący rachunek Pendergasta wynosił dobre jedenaście na plus. Cel przesunął stos żetonów do kręgu zakładów: pięćdziesiąt tysięcy.

Podniósł się szmer.

– Cholera, skoro on może, ja też – oświadczył Pendergast i postawił pięćdziesiąt. Mrugnął do Chińczyka i podniósł drinka w toaście. – Nasze zdrowie, przyjacielu.

Obie panie postawiły po tysiąc i rozdano karty.

Pendergast stanął na osiemnastu.

Cel wziął kartę, poprosił o następną przy dwunastu punktach, kiedy rozdająca pokazała pięć – pogwałcenie podstawowej strategii – i dostał ósemkę.

W tłumie rozległy się ochy.

Panie dostały serię niskich kart i jedna w końcu miała furę. Następnie rozdająca skompletowała własne karty: trójka, piątka, szóstka, piątka – dziewiętnaście; Chińczyk wygrał.

Rozegrano jeszcze kilka kolejek, kiedy z buta wychodziły głównie niskie karty. Bieżący rachunek Pendergasta wzrastał. Wiele dziesiątek i większości asów jeszcze nie rozdano. Na dodatek znajdowały się teraz w układzie, który Pendergast skrupulatnie wyśledził podczas tasowania, wykorzystując bystry wzrok oraz nadzwyczajną pamięć. Dzięki tym cechom – oraz zerknięciu podczas tasowania i przekładania – znał dokładne położenie siedmiu kart w układzie i mógł się domyślić lokalizacji wielu innych. Dodatkowy rachunek asów stanął na trzech – w talii znajdowało się jeszcze trzynaście, a on znał położenie dwóch. Na tym polegała jego szansa, gdyby to dobrze rozegrał. Wszystko zależało od kontrolowania przepływu kart w jedną stronę.

W tym rozdaniu powinien mieć furę, i to z czterech kart.

Postawił tysiąc.

Cel wyłożył sto tysięcy.

Kolejne „Oooch!” wyrwało się widzom.

Pendergast dostał czternaście.

Chińczyk dostał piętnaście, odkryta karta rozdającej okazała się

dziesiątką.

Pendergast dobrał. Piątka: dziewiętnaście. Rozdająca już się odwracała do innych, kiedy Pendergast zażądał:

– Jeszcze jedną.

Fura.

W tłumie rozległy się szepty, prychnięcia, szyderczy śmiech. Pendergast łyknął swojego drinka. Zerknął na cel i zobaczył, że tamten patrzy na niego z lekką pogardą.

Cel dobrał kartę i dostał ósemkę: fura. Rozdająca zgarnęła jego sto tysięcy.

Pendergast szybko przeliczył w pamięci bieżący rachunek i wyszło mu dwadzieścia, prawdziwy wynik pewnie jeszcze wyższy. Wielka rzadkość. Trzy czwarte buta już rozdano, ale rozegrano tylko trzy asy, reszta zaś skupiła się w pozostałym układzie kart. Takiej kombinacji żaden liczący nie potrafił się oprzeć. Jeśli cel stosował formułę Kelly'ego[\[19\]](#) – a powinien, jeżeli miał trochę rozumu – postawił wysoko. Bardzo wysoko. Pendergast wiedział, że teraz kluczem do opanowania gry jest zatrzymanie dobrych kart, a posyłanie złych. Problem stanowiły dwie panusie pomiędzy nim a Chińczykiem: jakie karty dostaną, jak je rozegrają i jakie spowodują komplikacje.

– Panie i panowie? – zapytała rozdająca, wskazując krąg zakładów.

Pendergast postawił sto tysięcy. Chińczyk popchnął stos zetonów: dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Dwie panusie postawiły po tysiącu, wymieniły spojrzenia i zachichotały.

Pendergast podniósł rękę.

– Proszę jeszcze nie rozdawać. Nie wytrzymam bez następnego drinka.

– Chce pan zatrzymać grę? – przestraszyła się rozdająca.

– Muszę się napić. A jeśli przegram?

Chińczyk nie wydawał się zadowolony.

Rozdająca rzuciła pytające spojrzenie na kierownika krążącego w pobliżu, który kiwnięciem głowy wyraził zgodę.

– Dobrze. Zrobimy krótką przerwę.

– Kelner! – Pendergast strzelił palcami.

Anh Minh przybiegła w pośpiechu.

– Tak, sir?

– Drink! – krzyknął Pendergast, rzucił jej pięćdziesiątkę i nie trafił. Schyliła się po pieniądze, ale on zerwał się z krzesła. – Nie, nie, ja podniosę!

Kiedy ich głowy się zbliżyły, Pendergast szepnął:

– Niech ktoś zabierze te dwie panie od stołu. Zaraz.

– Tak, proszę pana.

Pendergast wstał z banknotem w ręku.

– Mam! Reszta dla ciebie, ale nie wracaj mi tutaj bez drinka!

– Tak, proszę pana.

Anh Minh odeszła w pośpiechu.

Upłynęła minuta, dwie. Plotki o wielkości stawek rozeszły się i wokół stołu gromadził się coraz większy tłum. Niecierpliwość zebranych – nie wspominając o Chińczyku – narastała. Wszystkie oczy skupiły się na chybotliwych stosach żetonów ustawionych na zielonym suknie.

– Z drogi! – rozległ się okrzyk i Hentoff, kierownik kasyna, przecisnął się przez tłum. Przystanął przed dwiema kobietami przy stole Pendergasta, obdarzył je szerokim uśmiechem i rozłożył ramiona.

– Josie i Helen Roberts? Dzisiaj jest wasz szczęśliwy dzień!

Wymieniły spojrzenia.

– Och, naprawdę?

Hentoff otoczył każdą ramieniem i dźwignął w górę.

– Raz na dzień mamy tutaj małą loterię... wszystkie numery

pokojów wprowadzane są automatycznie. Wygrałyście!

– Co wygrałyśmy?

– Dziewięćdziesiąt minut masażu u Raula i Jorgego, luksusowe zabiegi w spa, koszyk kosmetyków w prezencie oraz darmową skrzynkę veuve clicquot! – Spojrzał na zegarek. – O nie! Jeśli się nie pospieszymy, przepadną nam Raul i Jorge! Wszędzie was szukaliśmy!

– Ale my właśnie...

– Musimy się spieszyć. Nagroda zachowuje ważność tylko dzisiaj. Zawsze możecie wrócić. – Skinął na rozdającą. – Podlicz panie.

– Razem ze stawkami na stole, sir?

– Powiedziałem, podlicz.

Rozdająca wymieniła im żetony i Hentoff pociągnął siostry przez tłum, otaczając je ramionami. Chwilę później zjawiała się Anh Minh z drinkiem.

Pendergast osuszył szklanekę i odstawił z hukiem. Rozejrzał się po stole, szczerząc zęby.

– Dobra, wzmocniłem się.

Rozdająca przesunęła ręką nad stołem, przypominając o ostatnich zakładach, po czym rozdała karty. Pendergast dostał dwa asy i zrobił split. Chińczyk dostał dwie siódemki i też zrobił split. Odkryta karta rozdającej była damą.

Chińczyk postawił nowy stosik żetonów na swoją drugą rękę. Teraz na stole znajdowało się pięćset tysięcy. Pendergast dołożył drugi zakład, podnosząc stawkę do dwustu tysięcy.

Rozdająca dała Pendergastowi dwie karty: króla i waleta. Dwa razy dwadzieścia jeden.

W tłumie wybuchły oklaski, po czym szybko ucichły, kiedy rozdająca odwróciła się i dołożyła kartę do każdej siódemki.

Kolejne dwie siódemki, tak jak Pendergast się spodziewał.

– Szkoda, że nie gramy w pokera! – ryknął.

Chińczyk znowu rozdzielił siódemki – nie miał wielkiego wyboru – i niechętnie dołożył jeszcze dwie kupki żetonów. Teraz na stole przed nim leżał milion funtów.

Rozdająca rozdała cztery karty: walet, dziesiątka, dama, as.

Tłum czekał w niezwyklej ciszy.

Rozdająca odwróciła swoją zakrytą kartę – odsłoniła dziesiątkę.

Zbiorowe westchnienie uniosło się nad tłumem, kiedy do ludzi dotarło, że właśnie widzieli na własne oczy, jak ktoś stracił milion funtów. Tym razem nie rozległy się oklaski, tylko podniecone szepty. Powietrze zrobiło się gęste od *Schadenfreude*.

Pendergast wstał od stołu, zebrał własną wygraną i znowu mrugnął do Chińczyka, który patrzył sparaliżowany, jak rozdająca zagarnia grabkami jego milion funtów, przelicza i ustawia w słupki.

– Raz się wygra, raz się przegra – powiedział i zawadiacko zagrzechotał własnymi żetonami.

Wychodząc z kasyna, dostrzegł Hentoffa, który gapił się na niego z otwartymi ustami.

Kiedy pierwszy oficer LeSeur wszedł na mostek tuż przed północą, natychmiast wyczuł napięcie w powietrzu. Komodor Cutter znowu tkwił na mostku, z grubymi ramionami skrzyżowanymi na beczułkowatej piersi, z obojętnym, nieprzeniknionym wyrazem różowej, mięsistej twarzy. Reszta obsady mostku stała na stanowiskach, milcząca i niespokojna.

Ale nie tylko obecność Cuttera tworzyła atmosferę napięcia. LeSeur miał dotkliwą świadomość, że przeszukanie drugiego stopnia nie wykryło ani śladu pani Evered. Jej mąż zrobił się nieznośny, biegał tam i z powrotem, urządzał sceny, upierał się, że jego żona nigdy by nie wyskoczyła, że została zamordowana albo uwięziona jako zakładniczka. Jego zachowanie zaalarmowało innych pasażerów i wywołało plotki. Na dodatek makabryczne i niewytłumaczalne samobójstwo sprzątaczkii fatalnie wystraszyło załogę. LeSeur po cichu sprawdził alibi Blackburna, które się potwierdziło: miliarder rzeczywiście był na obiedzie, a jego prywatna pokojówka w izbie chorych.

LeSeur rozważał te problemy, kiedy nowy oficer wachtowy zgłosił się na mostku i zluzował poprzednią wachtę. Podczas gdy dwaj mężczyźni omawiali zniżonymi głosami zmianę wachty, LeSeur podszedł do stacji komputerowej, gdzie zastępca kapitana Mason



sprawdzała elektronikę. Obejrzała się na niego, kiwnęła głową i wróciła do pracy.

– Kurs, szybkość i warunki? – zapytał Cutter nowego oficera wachtowego.

Pytanie pro forma: LeSeur nie wątpił, że Cutter zna odpowiedź, ale nawet gdyby nie znał, jedno spojrzenie na wykres map ECDIS i pogody powiedziałoby mu wszystko, co chciał wiedzieć.

– Pozycja cztery dziewięć stopni pięćdziesiąt koma trzydzieści sześć minut szerokości północnej i zero jeden dwa stopnie czterdzieści trzy koma zero osiem minut długości zachodniej, kurs dokładnie dwa cztery jeden, szybkość dwadzieścia dziewięć węzłów – wyrecytował oficer wachtowy. – Stan morza cztery, wiatr dwadzieścia do trzydziestu węzłów od rufy ze sterburty, fala dwa i pół do czterech metrów. Ciśnienie barometru dwadzieścia dziewięć koma dziewięćdziesiąt sześć i spada.

– Daj mi wydruk naszej pozycji.

– Tak jest, sir.

Oficer wachtowy stuknął w kilka klawiszy i ze szczeliny minidrukarki w boku konsoli zaczął się wysuwać cienki zwitek papieru. Cutter oderwał go, zerknął na niego i wetknął do kieszeni nieskazitelnie wyprasowanego munduru. LeSeur wiedział, co komodor zrobi z wydrukiem: po powrocie do kwatery czym prędzej porówna go z odpowiednią pozycją *Olimpii* podczas jej rekordowego rejsu w zeszłym roku.

Za wielkimi oknami zajmującymi przednią część mostku zbliżał się front burzowy i morze przybierało dramatyczny wygląd. Tego rodzaju duży, powolny układ oznaczał, że zła pogoda utrzyma się przez większość rejsu. Ostry jak nóż dziób *Britanii* rozcinał fale, wyrzucając potężne bryzgi piany, które wzbijały się na piętnaście metrów, zanim spadły deszczem na niższe rufowe pokłady otwarte.

Kołysanie statku znacznie się pogłębiło.

LeSeur błędził wzrokiem po tablicach kontrolnych statku. Zauważył, że stabilizatory ustawiono w pozycji do połowy, poświęcając wygodę pasażerów na rzecz większej szybkości, na rozkaz Cuttera, jak się domyślił.

– Kapitanie Mason? – Głos Cuttera przeciął powietrze.

– On przyjdzie lada chwila, sir.

Cutter nie odpowiedział.

– W tej sytuacji proponuję, żeby poważnie rozważyć...

– Najpierw wysłucham jego raportu – uciął Cutter.

Mason zamilkła. LeSeur odgadł, że trafił w środek jakiejś sprzeczki.

Drzwi mostku znowu się otworzyły i wszedł Kemper.

– Wreszcie pan jest, panie Kemper – powiedział Cutter, nie patrząc na niego. – Pański raport proszę.

– Otrzymaliśmy wezwanie jakieś czterdzieści minut temu, sir – zaczął Kemper. – Starsza kobieta z apartamentu tysiąc trzydzieści dziewięć zgłosiła, że jej towarzyszka zaginęła.

– A kim jest ta towarzyszka?

– Młoda Szwedka, Inge Larssen. Położyła staruszkę do łóżka około dziewiętej, po czym sama miała się położyć. Ale kiedy jacyś nietrzeźwi pasażerowie przez pomyłkę zapukali do drzwi starszej pani, obudziła się i odkryła, że panny Larssen nie ma. Od tamtej pory jej szukamy, ale bez rezultatu.

Komodor Cutter powoli odwrócił się do szefa ochrony.

– Czy to wszystko, panie Kemper? Kapitan Mason dała mi do zrozumienia, że to coś poważnego.

– Uważamy, że to drugie zaginięcie, sir...

– Czy nie zapowiedziałem wyraźnie, że ekscesy pasażerów mnie nie obchodzą?

– Nie zawracałbym panu głowy, sir, tylko że nadaliśmy wezwanie

przez system nagłaśniający, dokładnie przeszukaliśmy miejsca publiczne i nic.

– Na pewno jest z jakimś mężczyzną. – Cutter obrócił swoją masywną postać z powrotem do okna.

– Jak zaznaczył pan Kemper, to już drugie zniknięcie – odezwała się Mason. – Uważam, że należało zwrócić na to pana uwagę, sir.

Cutter wciąż milczał.

– A jak pan Kemper podał we wcześniejszym raporcie, kiedy badaliśmy okoliczności pierwszego zniknięcia, znaleźliśmy próbki włosów i skóry na bakburcie otwartego pokładu, które pasowały do...

– To niczego nie dowodzi, mogły się wziąć skądinąd. – Cutter machnął ręką w geście lekceważenia połączonego z irytacją. – A nawet jeśli wyskoczyła, to co? Wie pani równie dobrze jak ja, że statek na środku oceanu to pływający pałac samobójców.

Chociaż LeSeur zdawał sobie sprawę, że to prawda, że zniknięcia na morzu się zdarzają – a załoga zawsze je gorliwie kryje – ta szorstka odpowiedź zaskoczyła nawet Mason. Zastępca kapitana milczała przez jakieś trzydzieści sekund, zanim odchrząknęła i zaczęła od nowa.

– Sir – powiedziała, głęboko nabierając powietrza – musimy wziąć pod uwagę nikłą możliwość, że na pokładzie jest szaleniec.

– Więc co według pani mam zrobić?

– Z całym szacunkiem proponuję, żebyśmy zboczyli do najbliższego portu.

Cutter spojrzał na nią po raz pierwszy, oczami płonącymi jak węgle w różowej, nabrzmiałej twarzy. Odpowiedział powoli, lodowatym tonem:

– Uważam tę propozycję za nierozważną i całkowicie bezzasadną, kapitanie Mason. To jest *Britannia*.

Nazwa statku zawisła w powietrzu, jakby wszystko wyjaśniała.

Mason odpowiedziała równym, spokojnym głosem:

– Tak jest, sir.

Nie mówiąc więcej ani słowa, przeszła obok niego i zniknęła za drzwiami.

– Cholerne babskie fochy – mruknął Cutter półgłosem.

Wyłowił wydruk z kieszeni i znowu go przejrzał. Jeszcze bardziej spochmurniał. Nawet nie porównując z danymi nawigacyjnymi *Olimpii*, wydawał się niezadowolony z pozycji statku. Zignorował oficera wachtowego i zwrócił się bezpośrednio do sternika:

– Zwiększyć szybkość na całą naprzód.

– Tak jest, sir, cała naprzód.

LeSeur nawet nie próbował otwierać ust, żeby zaprotestować. Wiedział, że to nie pomoże; nic nie pomoże.

Dokładnie dwadzieścia po dwunastej Constance Greene wyszła z pakamery pokojówek na rufie pokładu dziewiątego od strony sterburty i popchnęła wózek sprzątaczkę po pluszowym dywanie w stronę potrójnego apartamentu Penshurst. Marudziła w pakamerze prawie przez dwie godziny, udawała zajęta, składała i rozkładała pościel, ustawiała butelki szamponu i płukanki do ust w gratisowych pojemnikach, przez cały czas czekając, aż Scott Blackburn wyjdzie do kasyna. Drzwi jednak przez cały wieczór pozostały uparcie zamknięte. Wreszcie, zaledwie przed chwilą, Blackburn wyszedł i szybko spojrzawszy na zegarek, pospieszył korytarzem do czekającej windy.

Teraz Constance zatrzymała wózek przed apartamentem; odczekała chwilę, żeby się uspokoić; poprawiła mundurek pokojówki; wyjęła kartę magnetyczną, którą dostała od Pendergasta, i wsunęła w szczelinę zamka. Zamek odskoczył, Constance uchyliła drzwi i jak najciszej wtoczyła wózek do środka.

Zamknawszy za sobą drzwi, zatrzymała się w wejściu, żeby się rozejrzeć. Penshurst, jeden z dwóch wielkich potrójnych apartamentów na *Britannii*, ogromny i luksusowo urządzone, miał aż dwieście czterdzieści metrów kwadratowych powierzchni. Sypialnie znajdowały się na piętrze, natomiast przed sobą Constance widziała salon, jadalnię i kuchnię pokojówki.

„Przynieś mi jego śmieci”, polecił Pendergast. Constance zmrużyła oczy.

Nie wiedziała, ile czasu Blackburn zamierzał spędzić w kasynie – jeżeli rzeczywiście tam poszedł – ale wiedziała, że powinna się spieszyć. Spojrzała na zegarek: dwunasta trzydzieści. Dała sobie piętnaście minut.

Popchnęła wózek po parkiecie przedpokoju, rozglądając się ciekawie. Chociaż apartament mógł się poszczycić takimi samymi kosztownymi drewnianymi boazeriami jak ten, który dzieliła z Pendergastem, pod innymi względami różnił się całkowicie. Blackburn udekorował niemal każdą powierzchnię okazami ze swojej kolekcji. Tybetańskie dywany z jedwabiu i wełny jaków leżały na podłodze; kubistyczne i impresjonistyczne obrazy w ciężkich ramach wisiały na ścianach. W salonie jeden róg zajmowało wspaniałe mahoniowe pianino Bösendorfera. Młynki modlitewne, rytualna broń, ozdobne szkatułki ze złota i srebra oraz mnóstwo posążków rozstawiono na stołach i regałach biblioteki zajmującej jedną ścianę. Duża, skomplikowana mandala wisiała nad gazowym kominkiem. Obok w przyćmionym świetle połyskiwała ciężka szafa z drewna tekowego.

Constance zostawiła wózek i podeszła do szafy. Przez chwilę z namysłem gładziła wypolerowane drewno, po czym otworzyła drzwi. W środku spoczywał masywny sejf, zajmujący prawie całe wnętrze.

Cofnęła się i oszacowała sejf wzrokiem. Czy mógł pomieścić Agozyena?

Tak, zdecydowała: był wystarczająco duży. Zamknęła drzwi szafy, wyjęła ściereczkę z kieszeni fartucha i wytarła miejsca, których dotykała. Jedno zadanie wykonane. Rozejrzała się ponownie, żeby zapamiętać jak najwięcej z obszernej i szaleńczo eklektycznej kolekcji

Blackburna.

Wracając do wózka, przystanąła u podnóża schodów. Z góry dobiegł jakiś dźwięk, słaby, lecz wyraźny. Czekwała nieruchomo i nasłuchiwała. Znowu: stłumione chrapanie, dochodzące zza otwartych drzwi sypialni na piętrze.

W apartamencie ktoś został. Pewnie prywatna pokojówka Blackburna. To komplikowało sprawę.

Chwyliła poręcz wózka i przepchnęła go przez przedpokój, pilnując, żeby szczotka i mop nie zagrzechotały w uchwycie.

Zaparkowała wózek na środku salonu i szybko wykonała rundę, opróżniając kosze na śmiecie i popielniczki do nowej plastikowej torby, którą zawiesiła na wózku. Potem przemknęła do jadalni i kuchni, gdzie powtórzyła te czynności. Znalazła bardzo mało śmieci: pokojówka Blackburna przykładła się do roboty.

Wróciła do salonu i zastanowiła się przez chwilę. Nie odważyła się wejść na górę po resztę śmieci: gdyby pokojówka się obudziła, doszłoby do nieprzyjemnej sceny. Zdobyła już najważniejszą informację: miejsce i rozmiar sejfu Blackburna oraz pobieżny inwentarz jego kolekcji. Teraz chyba powinna odejść.

Lecz kiedy się wahała, zauważyła coś dziwnego. Chociaż powierzchownie stołów i *objets d'art* lśniły nieskazitelną czystością, a kosze na śmiecie zawierały tylko parę strzępków, na podłodze leżało zadziwiająco dużo kurzu, zwłaszcza przy listwach pod ścianami. Wydawało się, że talenty pokojówki Blackburna nie obejmują odkurzania. Constance uklękła i przejechała palcem wzdłuż podstawy mahoniowej listwy. To nie był zwykły kurz, tylko trociny.

Podniosła wzrok na odkurzacz zawieszony na wózku. Jeżeli go włączy, na pewno obudzi pokojówkę. A niech tam. Podeszła do wózka, zdjęła odkurzacz z haka, wyjęła stary worek i włożyła nowy. Podeszła do najbliższej ściany, uklękła, włączyła odkurzacz i kilka

razy szybko przesunęła końcówką wzdłuż krawędzi podłogi, zbierając jak najwięcej kurzu.

Niemal natychmiast na górze coś huknęło.

– Halo?! – zawołał senny kobiecy głos. – Kto tam?

Udając, że nie słyszy z powodu hałasu odkurzacza, Constance przeszła na środek pokoju, znowu uklękła i jeszcze kilkakrotnie odkurzyła listwy, a potem chodnik w przedpokoju, szukając włókien i włosów.

Po chwili głos rozległ się znowu, tym razem znacznie donośniej:

– Hej! Co ty robisz?

Constance wstała, wyłączyła odkurzacz i odwróciła się. Niska kobieta około trzydziestki, o sylwetce podobnej do melona, stała na najniższym stopniu schodów, z czerwoną twarzą, owinięta tylko wielkim frotowym ręcznikiem, który przyciskała do siebie jednym kluchowatym ramieniem.

– Co tu robisz? – zapytała ponownie ostrym tonem.

Constance dygnęła.

– Przepraszam, że panią obudziłam – powiedziała z niemieckim akcentem. – Pokojówka, która normalnie tu sprząta, miała wypadek. Zastępuję ją.

– Już po północy! – wrzasnęła kobieta.

– Przepraszam panią, ale kazano mi posprzątać, jak tylko apartament będzie pusty.

– Pan Blackburn wydał wyraźne polecenie, żeby pokojówki nie sprzątały w jego apartamencie!

W tej samej chwili na zewnątrz rozległ się hałas: trzask karty wkładanej do otworu, szczęknięcie otwieranego zamka. Pokojówka zachłysnęła się, poczerwieniała i uciekła po schodach do swojego pokoju. Chwilę później drzwi się otworzyły i wszedł Blackburn z rulonem gazet pod pachą.



Constance stała bez ruchu z przenośnym odkurzaczem w ręku.

Blackburn zatrzymał się i spojrzał na nią zmrużonymi oczami. Potem spokojnie odwrócił się i zamknął drzwi na podwójny zatrzask. Przeszedł przez przedpokój i rzucił gazety na podręczny stolik.

– Kim jesteś? – zapytał, wciąż odwrócony do niej plecami.

– Przepraszam pana, sir, jestem pańską sprzątaczką – odparła Constance.

– Sprzątaczką?

– Nową sprzątaczką – ciągnęła. – Juanita... znaczy dziewczyna, która sprzątała pana apartament... miała wypadek. Teraz mnie przydzielili...

Blackburn odwrócił się i popatrzył na nią. Słowa zamaryły jej w gardle. Wstrząsnęło ją coś w jego oczach, w wyrazie twarzy: determinacja czysta i twarda jak polerowana stal, podszyta jakby strachem czy wręcz rozpaczą.

Spróbowała jeszcze raz:

– Przepraszam za późną porę. Sprzątałam jej pokoje oprócz własnych i nie mogłam się wyrobić. Myślałam, że nikogo nie ma, inaczej nigdy...

Nagle ręka wystrzeliła i złapała ją za nadgarstek. Blackburn ścisnął ją brutalnie i przyciągnął do siebie. Syknęła z bólu.

– Gówno prawda – powiedział cichym, paskudnym głosem, z twarzą oddaloną o centymetry od jej twarzy. – Nie dalej jak dzisiaj wieczorem wydałem wyraźne polecenie, że nikomu nie wolno u mnie sprzątać oprócz mojej prywatnej służącej. – I ścisnął mocniej.

Constance stłumiła jęk.

– Proszę, sir. Nikt mnie nie uprzedził. Jeśli pan sobie nie życzy sprzątań, wyjdę.

Wpatrywał się w nią, aż odwróciła wzrok. Ścisnął jeszcze mocniej, jakby chciał jej zgruchotać nadgarstek. Potem odepchnął ją brutalnie.

Upadła na podłogę, odkurzacz z grzechotem potoczył się po dywanie.

– Wypierdalaj stąd – warknął.

Constance wstała, podniosła odkurzacz i wygładziła fartuch. Wyminęła Blackburna, powiesiła odkurzacz na haku i popchnęła wózek przez salon do wyjścia. Otworzyła drzwi, wypchnęła wózek przodem i – rzuciwszy jedno ukradkowe spojrzenie na mężczyznę, który już wchodził po schodach, wymyślając własnej pokojówce za wpuszczenie obcej do apartamentu – wyszła na korytarz.

Na polerowanym stole z wiśniowego drewna w jadalni apartamentu Tudora panował dziwaczny bałagan – z dużego, przezroczystego plastikowego worka wysypywały się śmiecie: zgnieciony papier, zmięte chusteczki higieniczne, popiół z cygar. Pendergast okrążał stół czujnie niczym kot, z rękami splecionymi za plecami. Co jakiś czas nachylał się, żeby coś obejrzeć z bliska, ale niczego nie dotykał. Constance siedziała na pobliskiej sofie, przebrana teraz w elegancką suknię, jedną z tych, które kupili na statku.

– I mówisz, że przewrócił cię na podłogę? – rzucił Pendergast przez ramię.

– Tak.

– Cham bez wychowania. – Znowu okrążył stół, przystanął i spojrzał na nią. – To wszystko?

– Nie mogłam posprzątać na górze. Nie przy pokojówce. Przepraszam, Aloysius.

– Nie ma za co. I tak to była tylko dodatkowa możliwość. Najważniejsze, że znamy wielkość i położenie jego sejfu. I znakomicie opisałaś jego kolekcję. Szkoda, że nie włączył do niej Agozyena.

Zanurzył jedną rękę w kieszeni, wyjął parę lateksowych rękawiczek, naciągnął je i zaczął przeglądać śmiecie. Wziął ze stołu pustą butelkę po wodzie sodowej, obejrzał, odłożył na bok. Za butelką

powędrowały naszywki z pralni chemicznej; niedopałek cygara i popiół; zgnieciona wizytówka; poplamiona serwetka koktajlowa; korek od szampana; pęknięte pudełko na płytę kompaktową; broszura okrętowa, przedarta na pół; plastikowe mieszadełko do koktajli; puste pudełko po zapałkach i kilka wypalonych drewnianych zapałek. Pendergast badał wszystko bardzo starannie przez lupę. Odłożywszy na bok ostatni przedmiot, znowu okrążył stół, z rękami za plecami. Potem wyprostował się z cichym westchnieniem.

– Schowajmy to gdzieś, żeby sprzątaczką nie znalazła – powiedział.  
– Na wypadek gdybyśmy to chcieli jeszcze raz obejrzeć.

Ściągnął rękawiczki i rzucił na stół.

– Co dalej? – zapytała Constance.

– Dalej znajdziemy sposób, żeby zajrzeć do tego sejfu. Najlepiej pod nieobecność Blackburna.

– Trudna sprawa. On chyba się czegoś przestraszył... najwyraźniej nie chce wychodzić na dłużej z apartamentu i nie wpuści nikogo do środka.

– Gdyby chodziło o kogoś innego, powiedziałbym, że przestraszył go te dwa zaginięcia, o których mi powiedziałaś. Ale nie pana Blackburna. Szkoda, że wcześniej nie zawęziliśmy kręgu podejrzanych; wczoraj mogłem obejrzeć jego komnaty bez większego problemu. – Spojrzał na Constance. – I nie wolno nam zapominać, że chociaż Blackburn jest głównym podejrzanym, musimy też sprawdzić pokoje Calderona i Strage'a, choćby po to, żeby ich wykluczyć.

Podszedł do kredensu i nalał sobie kieliszek calvadosu. Potem wrócił do kanapy i usiadł. Lekko zakręcił bursztynowym płynem, podniósł koniakówkę do nosa, pociągnął łyceczek i westchnął na wpeł z zadowoleniem, na wpeł z żalem.

– No cóż, dziękuję ci, moja droga – powiedział. – Przykro mi, że zostałaś napadnięta. Dopilnuję, żeby w swoim czasie Blackburn tego

pożałował.

– Żałuję tylko, że... – Nagle Constance urwała.

– Co?

– Prawie zapomniałam. Wyniosłam coś jeszcze z jego apartamentu. Wciągnęłam odkurzaczem próbki jakichś dziwnych trocin.

– Dlaczego dziwnych?

– Skoro facet ma pokojówkę na stałe i wyraźnie ją tyranizuje, zdziwiłam się, że w pokoju jest tyle kurzu.

– Kurzu? – powtórzył Pendergast.

Constance kiwnęła głową.

– Głównie pod ścianami, przy boazerii. Wyglądał całkiem jak trociny.

Pendergast już stał.

– Gdzie jest worek z odkurzacza, Constance? – zapytał spokojnie, ale w jego srebrzystych oczach zabłysło podniecenie.

– Tam, obok drzwi...

Zanim jeszcze te słowa przebrzmiały, Pendergast skoczył do drzwi, złapał worek, wyjął czysty talerz z kuchennej szafki i wrócił do stołu. Teraz poruszał się z wielką ostrożnością. Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy, rozciął worek i powoli wysypał jego zawartość na talerz. Wsadził do oka jubilerską lupę i zaczął rozgarniać pył ostrzem noża, drobinka po drobince, jakby chciał zbadać każdą z osobna.

– Wiesz co, Constance? – wymamrotał, pochylony nad stołem, z twarzą zaledwie centymetry nad blatem. – Chyba masz rację. To są trociny.

– Pozostałe z budowy?

– Nie. Świeże trociny. A jeśli jest tak, jak myślę... – złapał coś maleńkimi szczypczykami i wyprostował się znad stołu – to nie musimy sobie zawracać głowy Calderonem ani Strage'em.

Constance spojrzała na bladą, ożywioną twarz Pendergasta. Nie

potrafiła sobie wyobrazić, co z tym mają wspólnego trociny.

Wstała i podeszła bliżej. Pendergast znalazł popielniczkę i zapałki, po czym przywołał ją gestem. W stalowych szczypcach, które trzymał nad popielniczką, dostrzegła maleńki, połyskujący, brązowy kryształek.

– Uważaj – powiedział cicho. – To nie potrwa długo.

Potem zapalił zapałkę. Odczekał chwilę, aż pierwszy wykwit siarki rozwieje się w powietrzu, i podsunął płomień pod kryształek.

Patrzyli, jak kryształek rozżarzył się i zadymił w szczękach szczypiec. A potem Constance przelotnie uchwyciła smuzkę słabej woni: głęboki, piżmowy, egzotyczny powiew mirry, obcy, trochę odurzający – i niepodobny do żadnych innych.

– Ja znam ten zapach – szepnęła.

Pendergast kiwnął głową.

– Zapach wewnętrznego klasztoru Gsalrig Chongg. Specjalny rodzaj kadzidła, wytwarzany tylko przez nich, żeby odstraszać wyjątkowo żarłoczny gatunek korników.

– Korników? – powtórzyła Constance.

– Tak.

Obejrzała się na mały kopczyk na stole.

– To znaczy, że trociny...?

– Właśnie. Widocznie trochę tych korników dostało się na pokład w szkatułce zawierającej Agozyena. Blackburn wyświadczył liniom North Star niedźwiedzią przysługę, kiedy wniósł je na *Britannię*. – Odwrócił się do niej, oczy wciąż mu błyszczały podnieceniem. – Mamy naszego sprawcę. Teraz musimy tylko wywabić go z kryjówki i dostać się do sejfu.

Scott Blackburn podszedł do drzwi swojego apartamentu, wywiesił na zewnątrz tabliczkę „Nie przeszkadzać” i zaryglował drzwi od środka. Wspiął się po dwóch biegach schodów do garderoby, zerwał krawat z szyi, zdjął marynarkę i koszulę, rzucił je w ką, żeby pokojówka je powiesiła, i zsunął spodnie. Przez chwilę stał przed wielkim lustrem, napinając mięśnie i z roztargnieniem podziwiając swój tors. Potem z szuflady zamykanej na klucz wyjął komplet szafranowych jedwabnych szat firmy Toray. Powoli je nałożył, najpierw wewnętrzną szatę, potem górną i wreszcie zewnętrzną, delikatny jedwab spływał mu po skórze jak rtęć. Poprawił fałdy, przerzucił szatę przez ramię, a drugie muskularne ramię pozostawił nagie.

Wszedł do swojego prywatnego salonu, zamknął drzwi i stanął na środku, otoczony przez azjatyckie dzieła sztuki, pogrążony w myślach. Wiedział, że powinien uspokoić umysł, był bardzo poruszony tym, co usłyszał przy obiedzie. Wczoraj w apartamencie była sprzątaczką. A potem zwariowała i zabiła się. Szef ochrony go przesłuchał – rzekomo rutynowo. A potem przyłapał w apartamencie następną sprzątaczkę, pomimo ścisłych poleceń przekazanych zarządcy hotelu i kierownikowi obsługi. Zbieg okoliczności?

Czy raczej ktoś go śledził? Czy obserwował jego ruchy, jego działania, jego zakupy?

Podczas morderczej wspinaczki na szczyt hierarchii Doliny Krzemowej Blackburn już dawno nauczył się ufać swojej paranoi. Przekonał się, że jeśli instynkt go ostrzegał, że ktoś na niego dybie, najczęściej ktoś rzeczywiście mu zagrażał. A tutaj, uwięziony na statku, pozbawiony zwykłych warstw ochrony, czuł się wyjątkowo bezbronny. Słyszał plotki, że na pokładzie znajduje się jakiś prywatny detektyw, ekscentryczny pasażer o nazwisku Pendergast, szukający złodzieja i mordercy.

Czyżby ten drań go obserwował?!

Nie miał pewności, ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej wydawało się to prawdopodobne. Nie mógł sobie pozwolić na ryzyko: stawka była za wysoka. Z przeciwnikiem – ponieważ, jeśli instynkt nie kłamał, właśnie tak należało określić tego człowieka – musiał się rozprawić w specjalny sposób.

Bardzo specjalny.

Zgasił wszystkie światła w pokoju i stał w ciemności, wyostając zmysły. Najpierw słuchał uważnie, wyłapując wszelkie najdrobniejsze dźwięki – od słabego dudnienia silników głęboko w stalowych łożyskach do wycia wiatru i szumu fal; bębnienie deszczu o szkło; pochlipywanie jego prywatnej pokojówki w sypialni; stłumione kroki w korytarzu. Dostroił się do wrażeń odbieranych przez ciało, bosa stopy na pluszowym dywanie, zapach sandałowego drewna i pszczelego wosku w kabinie, głębokie, powolne kołysanie statku.

Wykonał wdech i wydech. Trzej wrogowie – nienawiść, żądza i zagubienie – musieli chwilowo ustąpić. Wszędzie powinien panować spokój. Z tych trzech nienawiść była najpotężniejszym wrogiem i teraz niemal dusiła Blackburna w triumfalnym uścisku.

Z żelazną samokontrolą podszedł do sztalug ustawionych pod ścianą w głębi, na których coś spoczywało, zakryte przywiązaną zasłoną z najprzedniejszego jedwabiu. Popęłnił głupi błąd, że nie



trzymał tego w sejfie od samego początku; ale nie chciał tego zamykać, skoro tak często tego potrzebował. Surowo zapowiedział prywatnej pokojówce, że nigdy nie wolno jej podnosić jedwabiu i zaglądać za zasłonę. I wiedział, że nie zajrzy – przez lata szukał osoby tak solidnej i godnej zaufania, pozbawionej wyobraźni i ciekawości. Ale pierwsza okrętowa pokojówka – ta, która się zabiła – widocznie podniosła zasłonę. Teraz, jeśli słusznie podejrzewał, że Pendergast tego szuka, nawet sejf nie zapewniał wystarczającego bezpieczeństwa. Jak wiadomo, do hotelowych sejfów nietrudno się włamać, a sejfy okrętowe, nawet największe, pewnie się nie różniły od hotelowych. Zaprojektowano je, żeby powstrzymywały drobnych złodziejasków, nic więcej.

Musiał znaleźć lepszą kryjówkę.

Starannie omijając wzrokiem przedmiot, zdjął jedwabną zasłonę i położył na środku pokoju. Z ceremonialnym namaszczeniem ustawił trzydzieści sześć maślanych lampek na dużej srebrnej tacy, zapalił je i umieścił przed sztalugami, żeby lepiej oświetlić przedmiot – chociaż ciągle na niego nie patrzył. Włożył dwa pęczki pałeczek kadzidła do dwóch misternie grawerowanych złotych kadzielnic i postawił po obu stronach przedmiotu.

Maślane lampki migotały, napełniając pokój osobliwą, tańczącą złocistą poświatą. Teraz Blackburn rozłożył przed sztalugami pikowaną jedwabną matę i usiadł na niej w pozycji lotosu. Zamknąwszy oczy, zaczął śpiewać: dziwaczne, niskie buczenie, w którym uważny słuchacz wyróżniłby splot tych samych dźwięków złączonych ze sobą bez początku ani końca. Ciepły, zwierzęcy zapach maślanych lampek przesycił powietrze, buczenie wznosiło się i opadało, tworząc niesamowity tybetański polifoniczny efekt, zwany *sygyf*. śpiewanie jednocześnie dwóch nut tym samym głosem, rozślawione przez mnichów Tengyo, u których się uczył.

Po trzydziestu minutach śpiewania z zamkniętymi oczami trzej wrogowie odeszli, wygnani. Umysł Blackburna uwolnił się od całego pożądanego i nienawiści, gotów na przyjęcie tego. Oczy nagle rozwarły się bardzo szeroko i spojrzały na przedmiot w blasku świateł.

Blackburn drgnął jak porażony prądem. Zesztywniał, mięśnie mu się napięły, ścięgna na szyi wystąpiły wyraźniej, tętno szyjne pulsowało. Ale śpiew nie załamał się ani na mgnienie oka, tylko przyspieszył, wzniósł się w wyższe rejestry, osiągając intensywność dźwięku niespotykaną w żadnym normalnym ludzkim głosie.

Patrzył, patrzył i patrzył. Do pokoju zaczął się przesączać osobliwy zapach, mdlący, ziemisty smród jakby zgniłych muchomorów. Powietrze zdawało się gęstnieć, jakby wypełniało się dymem, który gromadził się w jednym miejscu metr przed Blackburnem, ścinał się niczym ciemna, lepka śmietana i zastygał w coś wyraźnego, niemal materialnego. A potem...

To zaczęło się poruszać.

W tym rejsie wszystko jest po raz pierwszy, myślała Betty Jondrow z Paradise Hills w Arizonie, czekając w połączonym westybulu kina Belgravia z programem w dłoni. Wczoraj ona i jej siostra bliźniaczka Willa poszły do Sedona SunSpa i zrobiły sobie podobne tatuaże na pośladkach: ona motyla, Willa trzmiela. Obie kupiły bransoletki na kostki u nóg z prawdziwymi brylantami na Regent Street, w jednej z dwóch okrętowych ekskluzywnych galerii handlowych, i zakładały je co wieczór. Kto by uwierzył, pomyślała Betty, że razem z siostrą urodziły ośmioro czteroipółkilogramowych dzieci i mogły się pochwalić jedenaściorciem zdrowych wnucząt? Dzięki Bogu, że nigdy się nie zapuściły, jak wiele ich szkolnych koleżanek. Betty czerpała wielką dumę z faktu, że w wieku sześćdziesięciu trzech lat nadal mieściła się w swoją sukienkę z balu maturalnego – eksperyment, który powtarzała nabożnie co roku w rocznicę balu.

Znowu się rozejrzała i zerknęła na zegarek. Prawie pierwsza nad ranem. Do licha, gdzie się podziała Willa? Poszła kupić baterie do aparatu fotograficznego co najmniej pół godziny temu. Może nawet wcześniej.

To Willa tak strasznie chciała poznać Braddocka Wileya, gwiazdora filmowego. Jedną z głównych atrakcji rejsu – oraz jednym z powodów, dla których siostry zdecydowały się popłynąć – miała być

śródatlantycka premiera najnowszego horroru Wileya. Zapowiadano ją na dziesiątą, ale Braddock Wiley, jak głosiła plotka, cierpiał na chorobę morską z powodu złej pogody.

Znowu rozejrzała się po tłumie, ale nie dostrzegła ani śladu Willi. No, jeśli szybko nie wróci, Betty będzie musiała poznać Wileya w imieniu ich obu. Wyjęła z torebki puderniczkę, sprawdziła makijaż, dotknęła chusteczką kącików ust, zatrzasnęła puderniczkę i wrzuciła z powrotem do torebki.

Nagle poruszenie na krańcach tłumy uprzedziło ją, że nie czekała nadaremnie. Oto Braddock Wiley we własnej osobie – szykowny w granatowej marynarce, apaszcze i kremowych spodniach – wkraczał do westybulu z kilkoma okrętowymi oficerami. Wcale nie wyglądał na chorego.

Jak tylko ujrzał grupkę kobiet, rozpromienił się i podszedł bliżej.

– Dobry wieczór paniom! – zawołał, sięgając do marynarki po długopis.

Kobiety, rumieniąc się i chichocząc, podsuwały mu programy filmowe. Wiley przesuwał się przez tłum, gawędził ze wszystkimi, podpisywał programy i pozował do zdjęć. W rzeczywistości okazał się jeszcze przystojniejszy niż na srebrnym ekranie. Betty ociągała się, licząc, że siostra pojawi się w ostatniej chwili – ale w końcu Wiley stanął przed nią.

– I wreszcie pani – powiedział, mrugnął do niej, zamknął jej dłoń w obu swoich i obdarzył ciepłym uściskiem. – Mówili mi, że na statku będą piękne panie. Nie wierzyłem... aż do teraz.

– Ależ panie Wiley – zaprotestowała Betty ze światowym uśmiechem. – Chyba pan nie mówi poważnie. Wie pan, mam sześcioro wnuków.

Oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia.

– Sześcioro wnuków? Kto by pomyślał?

I znowu mrugnął.

Betty Jondrow nie potrafiła nic wymyślić w odpowiedzi. Zaczerwieniona aż po cebulki włosów, po raz pierwszy od pół wieku doznała rozkosznego uczucia, że znowu jest nieśmiałą, spłonioną uczennicą, trzymającą rękę kapitana drużyny futbolowej.

– Podpiszę to dla pani – zaproponował Wiley.

Wyjął jej program z ręki, podpisał zamasyście i ruszył dalej, machając grupie na pożegnanie.

Betty podniosła program i przeczytała, co napisał: „Dla mojej ulubionej wystrzałowej babci – uściski i buziaki z języczkiem, Wiley”.

Trzymała program w drżących dłoniach. Właśnie przeżyła jeden z najwspanialszych momentów w życiu. No, niech tylko Willa to zobaczy!

Willa nie wracała, a do westybulu zaczęli już napływać wystrojeni widzowie. Betty wzięła się w garść: powinna zająć dwa dobre miejsca, i to szybko. Willa wprawdzie straciła Braddocka, ale zdąży jeszcze obejrzeć premierę.

Pokazała bileterowi bilet, weszła do środka i znalazła doskonałe miejsce, na samym przedzie, a potem zajęła sąsiednie miejsce, kładąc na nim torebkę. Kino Belgravia wyglądało imponująco: przestronne, sięgające od pokładu drugiego aż do piątego na dziobie, bardzo ciemne, urządzone w gustownych odcieniach błękitu i neonowego bursztynu, z wygodnymi pluszowymi fotelami, szeroką sceną i głębokim balkonem. Wkrótce się zapełniło, pomimo późnej pory i pięciuset miejsc na widowni. Po chwili światła przygasły i Braddock Wiley ponownie się pojawił. Wyszedł na proscenium przed kurtynę, uśmiechając się w blasku reflektorów. Powiedział parę słów o filmie; przytoczył kilka zabawnych historyjek o produkcji w Nowym Jorku; podziękował rozmaitym producentom, aktorom, scenarzystom, reżyserowi oraz kierownikowi od efektów specjalnych; posłał całusa

publiczności i wyszedł. Zabrzmiały oklaski i na kurtynie wyświetliło się logo wytwórni 20th Century Fox, a na ten znak kurtyna się rozsunęła.

Publiczność się zachłysnęła. Betty Jondrow zakryła usta ręką. Na tle ekranu wisiało arcydzieło charakteryzacji – niezwykle realistyczna kukła martwej kobiety, ociekająca krwią, oświetlona przez projektor. Wśród widzów rozeszły się podniecone szmery na widok tego niespodziewanego dramatycznego akcentu, zapewne specjalnie przygotowanego dla uświetnienia premiery. Manekin ukryto za kurtyną, żeby zaszokować publiczność. Wyglądał zadziwiająco realistycznie – niemal zbyt realistycznie.

Pojawił się tytuł filmu, *Wiwisektor*, litery groteskowo zniekształcone na ciele manekina, samo słowo „Wiwisektor” wyświetlone dokładnie na klatce piersiowej, która rzeczywiście przypominała preparat ze sfuszerowanej operacji. Szepty podziwu nagrodziły to zręczne, chociaż odrażające połączenie.

Betty nagle wychyliła się do przodu. Strój manekina wydawał jej się znajomy – jedwabna suknia z cekinami zalana krwią, czarne pantofelki, krótkie jasne włosy...

Chwyciła oparcie fotela przed sobą i dźwignęła się na nogi.

– Willa! – krzyknęła, pokazując palcem. – O mój Boże! To Willa! Moja siostra! Ktoś ją zamordował!

Wydała przenikliwy, rozdzierający wrzask i upadła zemdlona na swój fotel. Obraz na ekranie zafalował i zgasł; a wtedy widzowie poderwali się z miejsc i w popłochu, wrzeszcząc i przeklinając, rzucili się do tylnych wyjść.

Zbliżało się południe. Patrick Kemper czekał w pomieszczeniu oficera medycznego i próbował się przygotować na to, co miało nastąpić. Jako oficer ochrony na statkach pasażerskich po trzydziestu latach służby myślał, że widział już wszystko. Wszystko, włącznie z morderstwem. Ale to wykraczało poza definicję morderstwa. Pięciuset pasażerów było świadkami czegoś straszliwie brutalnego. Na pokładzie szerzyła się panika nie tylko wśród pasażerów, ale również personelu obsługi, już wystraszonego z powodu samobójstwa.

Kemper musiał stawić czoło ohydnej rzeczywistości: na pokładzie *Britannii* przebywał maniakalny morderca. A on nie miał środków, żeby się z nim rozprawić. Dawniej w Bostonie, za swoich policyjnych czasów, dysponował całą ekipą do zbierania dowodów: byli chłopcy od włosów i tkanek, toksykolog, faceci od odcisków palców i balistyki, specje od DNA. Tutaj nie miał żadnego wsparcia. Zero. A jedyny były gliniarz w jego ekipie był wcześniej żandarmem w bazie sił powietrznych w Niemczech.

Po lewej stronie stała zastępca kapitana Carol Mason, emanująca błogosławionym spokojem. LeSeur, wyraźnie wstrząśnięty, stał z drugiej strony. Główny oficer medyczny – kompetentny, lecz nieśmiały internista z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa, który lubił spokojną, mało wymagającą pracę na statku – wydawał się

najbardziej poruszony ze wszystkich.

Komodor Cutter energicznie wszedł do pokoju, nieskazitelny jak zwykle, z twarzą jak granitowa maska. Kemper zerknął ukradkiem na zegarek – dokładnie dwunasta.

Cutter nie tracił czasu.

– Panie Kemper? Pański raport.

Kemper odchrząknął.

– Ofiara to Willa Berkshire z Tempe w Arizonie. Niedawno owdowiała, podróżowała z siostrą, Betty Jondrow. Wygląda na to, że została zabita jednym ciosem maczety, teatralnego rekwizytu przechowywanego w zamkniętej na klucz szafce za sceną.

Cutter zmarszczył brwi.

– Teatralny rekwizyt?

– Tak. Nie wiemy jeszcze, czy morderca naostrzył maczetę, czy też znalazł gotową do użytku... nikt nie pamięta, w jakim była stanie. Ofiarę zabito tuż za kulisami... na scenie było mnóstwo krwi. Czas śmierci to jakieś dwadzieścia minut do pół godziny przed podniesieniem kurtyny; przynajmniej wtedy ostatni raz widziano panią Berkshire żywą. Po popełnieniu zbrodni morderca wykorzystał różne sceniczne podnośniki i haki, żeby podciągnąć ciało. Wydaje się... teraz już wkraczamy w obszar spekulacji... że ofiara została zwabiona za kulisy, zabita jednym ciosem i szybko wywindowana do góry. Cały proces mógł zabrać tylko parę minut.

– Zwabiona za kulisy?

– To zamknięte pomieszczenia, wstęp wzbroniony. Zabójca miał klucz. Powiedziałem: „zwabiona”, ponieważ trudno sobie wyobrazić, żeby jakaś pasażerka weszła tam bez powodu.

– Podejrzani?

– Jeszcze nie. Przesłuchaliśmy siostrę, która zeznała tylko, że miała się spotkać z siostrą w kinie wcześniej, żeby zdobyć autograf



Braddocka Wileya. Nie znały nikogo innego na pokładzie i nie zawierały żadnych znajomości... Chciały spędzać czas razem, nie zamierzały poznawać mężczyzn czy prowadzić życia towarzyskiego. Mówiła, że nie mają wrogów, a na pokładzie nie zdarzyły się żadne incydenty ani sprzeczki. Podsumowując, Berkshire wydaje się przypadkową ofiarą.

– Jakież ślady gwałtu czy napastowania seksualnego?

– Nie jestem lekarzem, panie kapitanie.

Cutter odwrócił się do głównego oficera medycznego.

– Doktorze Grandine?

Lekarz odchrząknął.

– Panie kapitanie, to naprawdę straszne, wstrząsające dla nas wszystkich...

– Jakież ślady gwałtu czy napastowania seksualnego? – powtórzył sucho komodor.

– Musi pan zrozumieć, że nie mamy na pokładzie odpowiedniego sprzętu do przeprowadzenia autopsji, a zresztą brak mi do tego kwalifikacji. Moja znajomość medycyny sądowej jest minimalna i przestarzała. Zamroziliśmy ciało, żeby poddać je badaniom, kiedy przybijemy do portu. Nie przeprowadziłem szczegółowych oględzin... takie próby z mojej strony tylko utrudniłyby późniejsze badanie.

Cutter popatrzył na lekarza pogardliwie.

– Pokażcie mi ciało.

To żądanie przyjęto z milczącym niedowierzaniem.

– Dobrze, ale uprzedzam, to nie jest przyjemny...

– Doktorze, zechce pan ograniczyć swoje komentarze do konkretnych faktów.

– Tak, oczywiście.

Bardzo niechętnie lekarz otworzył kluczem drzwi na tyłach gabinetu i wszyscy weszli do zagraconego pomieszczenia, które –

między innymi – pełniło funkcję okrętowej kostnicy. Cuchnęło tu mocno chemikaliami. Wzdłuż ściany w głębi ciągnęło się dziewięć stalowych szuflad do przechowywania zwłok. Dziewięć to wydawało się dużo, ale Kemper dobrze wiedział, jak wielu ludzi umiera na statkach, zwłaszcza biorąc pod uwagę średnią wieku pasażerów oraz ich skłonność do folgowania sobie w picciu, jedzeniu i seksie, kiedy już znajdą się na pokładzie.

Lekarz otworzył kluczem jedną ze środkowych przegródek i wysunął szufladę, zawierającą półprzezroczysty plastikowy worek na ciało. Kemper niewyraźnie widział w środku coś różowego. Poczł lekkie mdłości.

– Otworzyć.

Kemper już wcześniej zbadał ciało, nie bardzo wiedząc, czego powinien szukać. Wcale nie chciał go znowu oglądać.

Lekarz z wahaniem rozsunął zamek błyskawiczny. Komodor sięgnął i rozchylił brzegi worka, odsłaniając nagie ciało. Ujrzeni ogromną, ziejącą ranę, przecinającą klatkę piersiową i sięgającą serca. Rozszedł się zapach formaliny.

Kemper przełknął ślinę.

Za ich plecami rozległ się kulturalny głos:

– Przepraszam, panie i panowie?

Kemper obejrzał się i z niedowierzaniem zobaczył, że w drzwiach stoi Pendergast.

– Kto to jest, do diabła? – zapytał komodor.

Kemper podszedł spiesznie.

– Panie Pendergast, to jest bardzo prywatne zebranie i musi pan natychmiast wyjść!

– Muszę? – spytał Pendergast.

Zamiast mdłości, Kemper poczuł irytację. Tego już było za wiele.

– Pendergast, nie będę pana ostrzegał dwa razy...

Urwał w połowie zdania, z otwartymi ustami: Pendergast wyjął portfel i otworzył go, pokazując złotą odznakę FBI. Kemper zagapił się na nią z niedowierzaniem.

– Dlaczego nie wyprowadzicie stąd tego człowieka? – zapytał komodor.

Kemper nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Żadnych słów.

– Liczyłem, że zachowam incognito do końca tej podróży – powiedział Pendergast. – Ale chyba już nadeszła pora, żebym zaofiarował panu swoją pomoc, panie Kemper, tym razem profesjonalną pomoc. Smutna prawda brzmi, że specjalizuję się w takich rzeczach.

Prześliznął się obok Kempera i podszedł do ciała.

– Panie Kemper, kazałem wyrzucić stąd tego człowieka!

– Komodorze, przepraszam, ale on chyba jest agentem federalnym...

Pendergast pokazał odznakę wszystkim po kolei, po czym przystąpił do oględzin ciała.

– Tutaj nie sięga jego jurysdykcja – warknął komodor. – Znajdujemy się na międzynarodowych wodach, na brytyjskim statku zarejestrowanym w Liberii.

Pendergast wyprostował się.

– Racja. Zdaję sobie sprawę, że nie mam tutaj żadnej władzy i zaledwie mnie tolerujecie. Ale mocno się zdziwię, jeśli odrzucicie moją pomoc, skoro żaden z was nie ma zielonego pojęcia, co z tym zrobić. – Ruchem głowy wskazał zwłoki. – Jak to będzie wyglądało, jeśli później wyjdzie na jaw, że oficerowie na statku odrzucili pomoc agenta specjalnego FBI, doskonale wyszkolonego w zbieraniu dowodów i medycynie sądowej? – Uśmiechnął się zimno. – Jeśli przyjmiecie moją pomoc, przynajmniej będziecie mieli na kogo zwalić odpowiedzialność... prawda?

Omiótł pokój spojrzeniem.

Nikt się nie odezwał.

Pendergast splótł ręce za plecami.

– Doktorze? Powinien pan pobrać od ofiary wymazy z ust, pochwy i odbytu i zbadać na obecność spermy.

– Wymazy – powtórzył lekarz zniżonym głosem.

– Zakładam, że ma pan pod ręką waciki i mikroskop? Tak myślałem. I z pewnością pan wie, jak wyglądają komórki spermy? Kropla eozyny Y wszystko wyjaśni. Po drugie dokładne wizualne badanie okolic odbytu i pochwy powinno wykryć wszelkie charakterystyczne opuchlizny, zaczerwienienia czy rany. Koniecznie musimy wiedzieć jak najszybciej, czy to jest zbrodnia na tle seksualnym, czy... coś innego. Proszę również pobrać krew i zbadać na zawartość alkoholu.

Odwrócił się.

– Panie Kemper? Trzeba natychmiast nałożyć plastikowe torebki na dłonie ofiary i zabezpieczyć ciasno przy nadgarstkach gumkami. Jeśli ofiara walczyła z napastnikiem, pod paznokciami mogły się zachować skrawki skóry czy włosy.

Kemper kiwnął głową.

– Zajmę się tym.

– Zachował pan ubranie ofiary?

– Tak. Zamknięte hermetycznie w plastikowych workach.

– Doskonale. – Pendergast zwrócił się do całej grupy. – Jest parę nieprzyjemnych rzeczy, które musimy sobie powiedzieć. Dwie osoby znikły, a teraz to. Uważam, że zaginięcia mają związek z zabójstwem. Przebywam na tym statku, żeby odnaleźć skradziony przedmiot, którego kradzież doprowadziła również do morderstwa. Wcale mnie nie zdziwi, jeśli ten sam człowiek okaże się odpowiedzialny za wszystkie cztery zbrodnie. Krótko mówiąc, na razie dowody świadczą

o seryjnym zabójcy na pokładzie.

– Panie Pendergast... – zaczął protestować Kemper.

Pendergast podniósł rękę.

– Pozwólcie mi skończyć, z łaski swojej. Seryjny zabójca na pokładzie... który brnie coraz dalej. Przy dwóch pierwszych ofiarach zadowolili się wyrzuceniem za burtę. Ale nie przy tej. Znacznie bardziej dramatyczna zbrodnia... Zresztą znacznie lepiej pasuje do wcześniejszego morderstwa, w którego sprawie prowadzę dochodzenie. Dlaczego? To się dopiero okaże.

Znowu milczenie.

– Jak pan wykazał, zabójca miał klucz do drzwi prowadzących za kulisy. Ale nie popełnijmy błędu, zakładając, że zabójca należy do załogi.

– Kto mówi, że on należy do załogi...? – zaczął Kemper.

Pendergast pomachał ręką.

– Panie Kemper, spokojnie. Jeśli mam rację, zabójca w istocie nie należy do załogi. Jednak mógł się przebrać za członka załogi i zdobyć przepustkę do zamkniętych pomieszczeń. Przyjmijmy roboczą hipotezę, że Willa Berkshire została zwabiona za kulisy obietnicą spotkania z Braddockiem Wileym. Z czego wynika, że jej zabójca przebrał się za osobę upoważnioną.

Zwrócił się do komodora:

– Gdzie jesteśmy, jeśli wolno zapytać?

Komodor tylko na niego popatrzył, po czym odwrócił się do Kempera.

– Pozwoli pan temu... pasażerowi przejąć ochronę statku? – zapytał głosem twardym jak stal.

– Nie, sir. Ale z całym szacunkiem radzę przyjąć jego pomoc. On... już nam pomagał.

– Zna pan tego człowieka i korzystał pan z jego usług?

– Tak, sir.

– W jakim zakresie?

– W kasynie – wyjaśnił Kemper. – Pomógł nam się rozprawić z liczącymi karty.

Nie dodał, że Pendergast wyniósł z tego ponad ćwierć miliona funtów ekstra – pieniądze, które należało jeszcze odzyskać.

Komodor wykonał gest odrazy, jakby chciał się zdystansować od tego tematu.

– Doskonale, panie Kemper. Wie pan, że jako dowódca tego statku nie wtrącam się w sprawy niedotyczące żeglugi. – Ruszył do drzwi, obejrzał się przez ramię. – Ostrzegam pana, Kemper: teraz na panu spoczywa odpowiedzialność. Cała odpowiedzialność.

Potem wyszedł.

Pendergast spojrział na Mason.

– Czy mogę spytać o obecne położenie *Britannii* względem najbliższego lądu?

– Jesteśmy jakieś tysiąc dwieście kilometrów na wschód od Flemish Cap[20], tysiąc osiemset kilometrów na północny wschód od St. John's w Nowej Fundlandii.

– St. John's to najbliższy port?

– Teraz tak – potwierdziła Mason. – Kilka godzin wcześniej to był port Galway w Irlandii. Jesteśmy w połowie drogi.

– Szkoda – mruknął Pendergast.

– Dlaczego? – zapytała zastępca kapitana.

– Ponieważ jestem przekonany, że zabójca znowu uderzy. I to niedługo.

Jako dyrektor naczelny Aberdeen Bank and Trust Ltd. Gavin Bruce żywił dość ponure przekonanie, że ma wystarczające doświadczenie, by opanować każdą niemożliwą sytuację i twardą ręką zaprowadzić porządek. W trakcie swojej kariery przejął nie mniej niż cztery podupadające banki, doprowadził je do formy i uzdrowił ich finanse. Poprzednio służył jako oficer w Królewskiej Marynarce Wojennej, widział akcję na Falklandach i to mu dobrze zrobiło. Nigdy jednak nie zmierzył się z zadaniem równie dziwnym i przerażającym jak to.

Bruce podróżował z dwoma innymi przedstawicielami Aberdeen Bank and Trust – Nilesem Welchem i Quentinem Sharpem – również byłymi oficerami marynarki, teraz bankierami ubranymi nieskazitelnie w wielkomięjskim stylu. Pracował z nimi od lat i wiedział, że to porządni, solidni ludzie. Ten rejs zafundowała im jego klientka, Emily Dahlberg, w nagrodę za wyświadczone usługi. W obecnych czasach większość bogatych ludzi uważała chyba, że to bankier powinien im dziękować, Emily jednak doceniała znaczenie staroświeckiego związku opartego na wzajemnym zaufaniu. Bruce zaś odwzajemnił to zaufanie, pilotując ją przez dwa najeżone pułapkami rozwody oraz skomplikowaną sprawę spadkową. Sam wdowiec, bardzo sobie cenił jej względy oraz ten podarek.

Szkoda, że wszystko się popsuło.

Po odkryciu w kinie Belgravia poprzedniego wieczoru – którego był świadkiem – natychmiast zrozumiał, że ta sprawa przerasta kwalifikacje personelu statku. Nie mieli pojęcia, jak się prowadzi dochodzenie czy tropi mordercę, i w dodatku nie potrafili opanować paniki, która zaczęła się szerzyć nie tylko wśród pasażerów, ale – co Bruce zauważył z konsternacją – również wśród załogi. Pływał na wielu jednostkach, toteż wiedział, że ludzie pracujący na morzu często ulegają dziwnym marynarskim przesądom. *Britannia* zmieniła się w kruchą skorupkę i Bruce podejrzewał, że wystarczy tylko jeszcze jeden wstrząs, żeby wszystko pogrążyło się w chaosie.

Po lunchu usiadł z Welchem, Sharpem i panią Dahlberg – nalegała, żeby uczestniczyć w spotkaniu – i jak to oni, wymyślili plan. A teraz, kiedy maszerowali przez pluszowe korytarze z Bruce'em na czele, pocieszała go świadomość, że właśnie wprowadzają ten plan w życie.

Mała grupka wędrowała przez pokłady, aż dotarła do korytarza prowadzącego na mostek. Tam zatrzymał ich nerwowy ochroniarz z wodnistymi oczami i włosami ściętymi na zapałkę.

– Przyszliśmy do komodora Cuttera – oznajmił Bruce, wyjmując wizytówkę.

Ochroniarz wziął wizytówkę i obejrzał.

– Mogę zapytać, w jakiej sprawie, sir?

– W sprawie niedawnego morderstwa. Proszę mu powiedzieć, że jesteśmy grupą zatroskanych pasażerów i chcemy się natychmiast z nim zobaczyć. – Po chwili wahania dodał, nieco zakłopotany: – Były kapitan, Królewska Marynarka Wojenna.

– Tak jest, sir. Chwileczkę.

Ochroniarz odszedł z pośpiechem, zamknąwszy za sobą drzwi na klucz. Bruce czekał niecierpliwie z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Upłynęło pięć minut, zanim strażnik wrócił.

– Pozwoli pan tędy, sir.



Bruce i jego towarzysze weszli za ochroniarzem przez luk do znacznie bardziej funkcjonalnej części statku, z linoleum na podłodze i szarymi ścianami wykończonymi imitacją drewna, z jarzeniówkami na suficie. Po chwili wprowadzono ich do spartańskiej sali konferencyjnej, z jednym rzędem okien na sterburcie wychodzących na burzliwy, bezkresny ocean.

– Proszę usiąść. Kapitan Mason zaraz przyjdzie.

– Prosiliśmy o spotkanie z dowódcą statku – zaprotestował Bruce. – Czyli z komodorem Cutterem.

Ochroniarz nerwowo przesunął ręką po ostrzyżonej głowie.

– Komodor jest nieosiągalny. Przepraszam. Zastępuje go kapitan Mason.

Bruce popatrzył pytająco na swoją grupkę.

– Czy mamy nalegać?

– Obawiam się, że to nie pomoże, sir – powiedział ochroniarz.

– No więc dobrze, niech będzie zastępca kapitana.

Nie usiedli. Po chwili w drzwiach pojawiła się kobieta w nieskazitelnym mundurze, z włosami upchniętymi pod czapką. W pierwszej chwili Bruce zdziwił się na widok kobiety, ale natychmiast zrobiła na nim wrażenie swoim poważnym, spokojnym zachowaniem.

– Proszę usiąść – powiedziała, zajmując automatycznie miejsce u szczytu stołu... kolejny szczegół, który spodobał się Bruce'owi.

Bankier natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Kapitanie Mason, jesteśmy klientami i przedstawicielami jednego z największych banków w Wielkiej Brytanii... wspominam o tym tylko dlatego, żeby przekonać panią, że występujemy tutaj *bona fide*. Jestem byłym oficerem Królewskiej Marynarki Wojennej, dawniej kapitanem na HMS *Sussex*. Przyszliśmy tutaj, ponieważ uważamy, że statek znalazł się w obliczu kryzysu, którego zażegnanie przekracza

kompetencje załogi.

Mason słuchała.

– Wśród pasażerów panuje wielki niepokój. Jak pani zapewne wie, niektórzy zaczęli się zamykać w pokojach na klucz. Krążą pogłoski o zabójcy w rodzaju Kuby Rozpruwacza.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Załoga, jeśli pani nie zauważyła, jest równie wystraszona – wtrąciła Emily Dahlberg.

– Powtarzam, zdajemy sobie sprawę z tych problemów i podjęliśmy kroki, żeby opanować sytuację.

– Czyżby? – zapytał Bruce. – W takim razie, kapitanie Mason, mogę zapytać, gdzie jest okrętowa ochrona? Jak dotąd, prawie ich nie widać.

Mason milczała przez chwilę, spoglądając na nich po kolei.

– Będę z państwem szczerą. Prawie nie widzicie ochrony dlatego, że prawie jej nie mamy... przynajmniej jak na statek wielkości *Britannii*. Robimy, co w naszej mocy, ale to jest bardzo duży statek i ma na pokładzie cztery tysiące trzysta osób. Wszyscy ludzie z ochrony pracują na okrągło.

– Mówi pani, że robicie, co w waszej mocy, ale wobec tego, statek nie zawrócił? Nie widzimy innego wyjścia, jak tylko szybko wrócić do portu.

Kapitan Mason zrobiła zakłopotaną minę.

– Najbliższy port to St. John's w Nowej Fundlandii, więc gdybyśmy zboczyli z kursu, tam byśmy się skierowali. Jednakże nie zbaczamy z kursu. Płyniemy dalej do Nowego Jorku.

– Dlaczego? – zdumiał się Bruce.

– Rozkazy komodora. On ma swoje... dobrze przemyślane powody.

– Czyli jakie?

– W tej chwili omijamy skraj dużego sztormu, umiejscowionego nad

Grand Banks. Skręcając do St. John's, wpłynęlibyśmy w sam środek. Po drugie, skręciwszy do St. John's, musielibyśmy przeciąć Prąd Labradorski w lipcowym sezonie na góry lodowe, co chociaż nie jest niebezpieczne, wymagałoby zmniejszenia szybkości. I wreszcie zmiana kursu oszczędziłaby nam tylko jeden dzień. Komodor uważa, że lepiej przybić do portu, w Nowym Jorku, skoro... no cóż, skoro możemy potrzebować interwencji organów ścigania.

– Na pokładzie jest szaleniec – przypomniała Emil Dahlberg. – Przez ten „jeden dzień” może zamordować następną osobę.

– Niemniej takie są rozkazy komodora.

Bruce wstał.

– W taki razie nalegamy, żeby z nim rozmawiać.

Kapitan Mason także wstała i kiedy jej profesjonalna maska znikła na chwilę, Bruce dostrzegł twarz mizerną, zmęczoną i nieszczęśliwą.

– Komodorowi nie można teraz przeszkadzać. Bardzo mi przykro.

Bruce odpowiedział jej twardym spojrzeniem.

– Nam też jest przykro. Zapewniam panią, że odmowa spotkania z nami ze strony komodora wywoła poważne reperkusje. Teraz i później. Ludzi takich jak my nie wolno lekceważyć.

Mason wyciągnęła rękę.

– Rozumiem pański punkt widzenia, panie Bruce, i postaram się przekazać komodorowi to, co pan proponował. Ale to jest statek na morzu i dowódca statku podjął decyzję. Jako były kapitan z pewnością pan rozumie, co to znaczy.

Bruce zignorował wyciągniętą rękę.

– Zapomina pani o czymś. Jesteśmy nie tylko waszymi pasażerami... i klientami... ale również za nas odpowiadacie. Coś trzeba zrobić, nie zamierzamy tego tak zostawić.

Skinąwszy na swoją grupę, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Paul Bitterman wyszedł z windy, zatoczył się i przytrzymał wypolerowanej chromowanej poręczy. *Britannia* mocno kołysała, ale nie tylko o to chodziło: Bitterman walczył ze skutkami zbyt obfitego obiadu połączonego z dziewięcioma kieliszkami markowego szampana.

Wciąż ściskając poręcz, rozejrzał się po eleganckim korytarzu dziewiątego pokładu, mrugając i próbując się zorientować. Podniósł rękę do ust i stłumił beknięcie, które smakowało – obrzydliwie – kawiozem, pasztetem z truflami, creme brulee i wytrawnym szampanem. Podrapał się z roztargnieniem. Coś tu nie pasowało.

Po jakiejś minucie się połapał. Zamiast wsiąść do lewej windy, jak zwykle, zamroczony szampanem trafił do windy po prawej, dlatego wyszedł z drugiej strony. No, łatwo to naprawić. Nucąc fałszywie, wygrzebał z kieszeni kartę do apartamentu 961. Puścił poręcz i ostrożnie ruszył w kierunku, który uznał za właściwy, niestety odkrył, że numery pokojów zmieniają się w odwrotnej kolejności.

Przystanął; zawrócił; znowu beknął, tym razem nie fatygując się zakrywaniem ust; i ruszył w przeciwną stronę. W głowie miał mętlik i żeby uporządkować myśli, spróbował odtworzyć serię wydarzeń, które sprawiły, że – po raz pierwszy w ciągu pięćdziesięciu trzech lat życia – prawie się upił.

Wszystko zaczęło się po południu. Miał mdłości, odkąd się obudził – nie mógł przełknąć ani kęsa – a lekarstwa dostępne bez recepty w okrętowej aptece wcale nie pomagały. W końcu poszedł do punktu medycznego, gdzie lekarz przepisał mu plaster ze skopolaminą. Przykleiwszy go za uchem, zgodnie ze wskazówkami, poszedł prosto do swojego apartamentu na drzemkę.

Czy z powodu źle przespanej nocy, czy na skutek usypiającego działania plastra – nie wiedział, ale obudził się piętnaście po dziewiątej wieczorem, na szczęście wyleczony z choroby morskiej, spragniony i głodny jak wilk. Przespał swoją normalną porę obiadową o ósmej, ale szybki telefon do konsjerża zapewnił mu rezerwację na ostatnią turę – dziesiątą trzydzieści – w Kensington Gardens.

Kensington Gardens ogromnie przypadły Bittermanowi do gustu. Okazały się bardziej trendy, młodzieżowe i stylowe niż trochę sztywna restauracja, w której dotąd jadał, znalazło się tam kilka wystrzałowych kobiet, na które mógł sobie popatrzeć, a jedzenie było znakomite. Co dziwne, restauracja nie była przepełniona – raczej w połowie pusta. Wygłodzony Bitterman zamówił chateaubriand na dwoje, po czym skonsumował całą porcję. Butelka szampana nie zdołała ugasić jego pragnienia, lecz usłużny kelner od win z największą radością przyniósł mu drugą.

Przy sąsiednim stoliku trwała jakaś dziwna rozmowa: zmartwiona para dyskutowała o zwłokach, które podobno odnaleziono. Widocznie przespał jakieś ważne wydarzenia. Wracając powoli i ostrożnie korytarzem dziewiątego pokładu, postanowił, że jutro z samego rana zbada tę sprawę.

Ale teraz miał inny problem. Numery pokoiów wzrastały jak należy – 954, 956 – wszystkie jednak były parzyste.

Przystanął, znowu chwycił się poręczy i usiłował myśleć. W tym tempie nigdy nie znajdzie pokoju 961. Potem roześmiał się głośno.

Paul, stary koniu, rusz głową. Wsiadł z windy po stronie sterburty, a wszystkie nieparzyste apartamenty znajdowały się na bakburcie. Jak mógł zapomnieć? Musiał znaleźć poprzeczny korytarz. Znowu ruszył przed siebie, chwiejąc się lekko, z szumem w głowie i rozkosznym wrażeniem lekkości w nogach. Doszedł do wniosku, że dziekan czy nie dziekan, powinien częściej pić szampana. Oczywiście krajowego – wygrał ten rejs na loterii YMCA i nigdy nie mógłby sobie pozwolić na markowy francuski trunek z pensji nauczyciela.

Przed sobą po lewej zauważył przerwę w szeregu drzwi: wejście do któregoś holu na śródkręciu. Tędy dojdzie do korytarza na bakburcie i swojego pokoju. Zatoczył się w lewo.

W holu znajdowały się dwie windy naprzeciwko przytulnego kącika z dębową biblioteczką i przepastnymi fotelami. O tak późnej porze nie było tu żywej duszy. Bitterman zawahał się i pociągnął nosem. Na chwilę opuściła go leniwa euforia; dostatecznie często brał udział w ćwiczeniach przeciwpożarowych, żeby wiedzieć, że ogień na statku stanowi największe zagrożenie. Ale ten zapach był niezwykły. Przypominał kadzidło, a dokładniej pałeczki kadzidła, które kiedyś wachał w nepalskiej restauracji w Chinatown w San Francisco.

Teraz już wolniej przeszedł przez hol do korytarza na bakburcie. Panowała taka cisza, że jednocześnie słyszał i wyczuwał głębokie dudnienie okrętowych diesli daleko w dole. Zapach był tu silniejszy – znacznie silniejszy. Dziwne, piżmowe pachnidło łączyło się z innymi, cięższymi, mniej przyjemnymi woniami – jakby pleśni i czegoś jeszcze, czego nie potrafił rozpoznać. Przystanął i zmarszczył brwi. Potem obejrzał się ostatni raz i wszedł w korytarz.

I zatrzymał się gwałtownie, nagle całkiem trzeźwy.

Przed nim znajdowało się źródło zapachu: ciemna chmura dymu zagradzająca mu drogę. Ale Bitterman nigdy jeszcze nie widział takiego dymu – gęsty i nieprzejrzysty, ciemnoszarej barwy,

z żebrowaną powierzchnią, która w jakiś dziwny i nieprzyjemny sposób przypominała mu lniane płótno.

Paul Bitterman wciągnął oddech z głośnym charkotem. Coś mu tutaj nie pasowało.

Dym powinien płynąć w powietrzu, kłębić się i falować, rozrzedzać się na krawędziach w cienkie smużki. Ale ta chmura wielkości człowieka po prostu tkwiła w miejscu, dziwnie złowieszcza, nieruchoma, jakby rzucała mu wyzwanie. Gładka i jednolita, o regularnym kształcie, wyglądała niemal jak organiczny twór. Cuchnęła tak mocno, że Bitterman ledwie mógł oddychać. Odrażająca, niemożliwa, obca.

Nagle serce zaczęło mu walić szybciej ze strachu. Czy tylko mu się zdawało, czy gęsta chmura rzeczywiście przybrała ludzki kształt? Miała macki, które wyglądały jak ramiona; beczułkowatą głowę z twarzą; dziwaczne nogi, które poruszały się, jakby tańczyły... O Boże, wyglądała nie jak człowiek, ale jak demon...

A wtedy stwór powoli wyciągnął strzępiaste ramiona i – z przerażającym zdecydowaniem – falując, ruszył w stronę Bittermana.

– Nie! – krzyknął Bitterman. – Nie! Nie podchodź! Nie podchodź!

Rozpaczliwe wrzaski szybko sprawiły, że na korytarzu pokładu dziewiątego od sterburty zaczęły się otwierać drzwi. Nastąpiła krótka, elektryzująca cisza. A potem odgłosy: sapnięcia, krzyki, łomot zemdłego ciała padającego na dywan, gorączkowe trzaskanie drzwiami. Bitterman niczego nie słyszał. Całą jego uwagę, całą świadomość przykuwał monstrualny stwór, który podpełzał bliżej, coraz bliżej...

A potem się skończyło.

LeSeur przeniósł wzrok z Hentoffa na Kempera i z powrotem. I tak już się złościł, że komodor zwał na niego ten kłopot – przecież był oficerem okrętowym, nie pracownikiem kasyna. W dodatku ten kłopot nie został rozwiązany, ba, stawał się coraz poważniejszy. LeSeur miał na głowie istotniejsze i bardziej naglące sprawy – co najmniej jedno morderstwo, a możliwe, że nawet trzy. Znowu popatrzył na Kempera i Hentoffa.

– Niech sprawdzę, czy dobrze zrozumiałem – powiedział. – Mówicie, że ten Pendergast spowodował, że liczący karty przegrali milion funtów w blackjacka, a przy okazji zgarnął prawie trzysta tysięcy dla siebie.

Hentoff przytaknął.

– Mniej więcej, sir.

– Zdaje się, że po prostu pana oskubał, panie Hentoff.

– Nie, sir – zaprzeczył Hentoff lodowatym tonem. – Pendergast musiał wygrać, żeby oni przegrali.

– Proszę wyjaśnić.

– Pendergast zaczął od rozpracowania tasowania... Ta technika polega na obserwacji całego buta, zapamiętywaniu pozycji pewnych kluczowych kart albo grup, czyli układów, a następnie śledzeniu ich podczas tasowania. Zdołał również podejrzeć ostatnią kartę,



a ponieważ to on przekładał, mógł umieścić tę kartę w talii dokładnie tam, gdzie chciał.

– To się wydaje niemożliwe.

– Te techniki są dobrze znane, chociaż niezmiernie trudne. Pendergast widocznie opanował je lepiej niż inni.

– To nadal nie wyjaśnia, dlaczego Pendergast musiał wygrać, żeby oni przegrali.

– Wiedząc, gdzie się znajdują pewne karty, i łącząc to z systemem liczenia, mógł kontrolować „przepływ” kart do innych graczy, wchodząc do gry albo pasując... a także niepotrzebnie dobierając.

LeSeur powoli kiwnął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości.

– On musiał zatrzymać dobre karty, żeby puścić dalej złe. Jeśli chciał doprowadzić tamtych do przegranej, musiał wygrać.

– Rozumiem – rzucił kwaśno LeSeur. – Więc chcecie wiedzieć, co z wygraną tego faceta?

– Właśnie.

LeSeur zastanawiał się przez chwilę. Wszystko sprowadzało się do tego, jak zareaguje komodor Cutter, kiedy się dowie – a w końcu musi się dowiedzieć. Nie będzie zachwycony. A kiedy korporacja się dowie, jeszcze mniej się ucieszy, Tak czy owak, musieli odzyskać pieniądze.

Westchnął.

– Ze względu na przyszłość nas wszystkich w firmie musicie odzyskać te pieniądze.

– Jak?

LeSeur odwrócił zmęczoną twarz.

– Po prostu.

Trzydzieści minut później Kemper w towarzystwie Hentoffa szedł pluszowym korytarzem pokładu dwunastego. Czuł, jak lepki pot

zbiera mu się pod czarnym garniturem. Zatrzymał się przed drzwiami apartamentu Tudora.

– Na pewno to odpowiednia pora? – zapytał Hentoff. – Już jedenasta wieczorem.

– Nie odniosłem wrażenia, że LeSeur chciał, żebyśmy zaczekali – odparł Kemper. – A pan?

Potem odwrócił się do drzwi i zastukał.

– Wejść – dobiegł ze środka stłumiony głos.

Weszli i zastali Pendergasta oraz podróżującą z nim młodą kobietą – Constance Greene, jego siostrzenicę czy bratanicę – w salonie z przyćmionymi światłami, siedzących przy prywatnym stole obiadowym, na którym stały resztki wykwintnego posiłku.

– Ach, pan Kemper – powiedział Pendergast, wstając i odsuwając sałatkę z rzeżuchy. – I pan Hentoff. Spodziewałem się panów.

– Spodziewał się pan?

– Naturalnie. Nie zakończyliśmy naszych interesów. Proszę usiąść.

Kemper dość niezręcznie usadowił się na pobliskiej sofie. Hentoff zajął fotel i wciąż przenosił spojrzenie z agenta Pendergasta na Constance Greene i z powrotem, jakby próbował rozgryźć prawdziwy charakter łączących ich stosunków.

– Czy mogę panom zaproponować kieliszek porto? – zapytał Pendergast.

– Nie, dziękuję – odparł Kemper. Po chwili niezręcznego milczenia podjął: – Chciałbym jeszcze raz panu podziękować za unieszkodliwienie tych liczących karty.

– Proszę bardzo. Czy stosujecie moją radę, jak nie dopuścić, żeby się odegrali?

– Stosujemy, dziękuję.

– Działa?

– Absolutnie – potwierdził Hentoff. – Jak tylko obserwator wchodzi

do kasyna, wysłały kelnerkę koktajlową, żeby wciągnęła go w trywialną rozmowę... zawsze związaną z liczbami. To ich doprowadza do szału, ale nic nie mogą zrobić.

– Doskonale. – Pendergast spojrzał pytająco na Kempera. – Coś jeszcze?

Kemper potarł skroń.

– No, pozostaje kwestia... pieniędzy.

– Chodzi panu o te pieniądze? – Pendergast ruchem głowy wskazał biurko, gdzie Kemper dopiero teraz zauważył stos wypchanych kopert spiętych grubymi gumowymi opaskami.

– Jeśli to pańska wygrana z kasyna, tak.

– Te pieniądze stanowią jakiś problem?

– Pracował pan dla nas. – Kemper wiedział, że to kulawy argument, zanim jeszcze go wytoczył. – Wygrana słusznie należy się pracodawcy.

– Nie pracuję dla nikogo – odparł Pendergast z lodowatym uśmiechem. – Oczywiście oprócz rządu federalnego.

Kemper czuł się straszliwie nieswojo pod spojrzeniem srebrzystych oczu.

– Panie Kemper – ciągnął Pendergast – oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że zdobyłem tę wygraną legalnie. Liczenie kart, obserwacja tasowania oraz inne techniki, które stosuję, są całkowicie zgodne z prawem. Proszę zapytać obecnego tu pana Hentoffa. Nie musiałem nawet zaciągać u was kredytu.

Kemper zerknął na Hentoffa, który przytaknął z nieszczęśliwą miną. Następny uśmiech.

– Zatem, czy odpowiedziałem na pańskie pytanie?

Kemper wyobraził sobie, jak zdaje raport Cutterowi. Pod wpływem tej myśli zdobył się na stanowczość.

– Nie, panie Pendergast. Naszym zdaniem ta wygrana należy do

firmy.

Pendergast podszedł do biurka. Podniósł jedną kopertę, wyjął gruby plik funtowych banknotów i przewertował je leniwie.

– Panie Kemper – powiedział, odwrócony plecami – w normalnych okolicznościach nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby pomagać kasynom odzyskać pieniądze od graczy, którzy pokonali system. Sympatyzuję raczej z przeciwną stroną. Wie pan, dlaczego wam pomogłem?

– Żeby uzyskać pomoc od nas.

– Tak, ale nie tylko. Zrobiłem to, ponieważ uważam, że na pokładzie przebywa groźny zabójca i dla bezpieczeństwa statku muszę go złapać... z waszą pomocą... zanim znowu zabije. Niestety, on wciąż wyprzedza mnie o krok.

Depresja Kempera się pogłębiła. Nigdy nie odzyska pieniędzy, rejs okazał się katastrofą pod każdym względem i na niego zwałą winę.

Pendergast odwrócił się i znowu przewertował pieniądze.

– Głowa do góry, panie Kemper! Wy dwaj możecie zabrać pieniądze. Zażądam innej zapłaty za moją drobną przysługę.

Z niewiadomych względów to wcale nie pocieszyło Kempera.

– Chcę przeszukać apartament oraz sejf pana Scotta Blackburna. W tym celu potrzebuję karty magnetycznej do pokojowego sejfu oraz trzydziestu minut na wykonanie zadania.

Chwila milczenia.

– Chyba możemy to załatwić.

– Jest pewien haczyk. Blackburn ostatnio zaszył się w swoim pokoju i nie chce wyjść.

– Dlaczego? Obawia się mordercy?

Pendergast znowu się uśmiechnął – lekko i ironicznie.

– Skądże, panie Kemper. On coś ukrywa, a ja muszę to znaleźć. Trzeba go wyciągnąć z kryjówki.

– Nie może pan żądać ode mnie, żebym maltretował pasażerów.  
– Maltretował? Co za prostactwo. Bardziej elegancki sposób to włączyć alarm pożarowy po stronie sterburty na pokładzie dziewiątym.

Kemper zmarszczył brwi.

– Chce pan, żebym ogłosił fałszywy alarm? Nie ma mowy.

– Ale pan musi.

Kemper zastanawiał się przez chwilę.

– Chyba możemy urządzić ćwiczenia przeciwpożarowe.

– On nie wyjdzie na żadne ćwiczenia. Tylko obowiązkowa ewakuacja go wykurzy.

Kemper przecesał dłonią wilgotne włosy. Boże, cały się spocił.

– Może włączę alarm w tym korytarzu.

Tym razem odezwała się Constance Greene.

– Nie, panie Kemper – powiedziała z dziwnym, staroświeckim akcentem. – Dokładnie sprawdziliśmy. Musi pan uruchomić centralny alarm. Rozbitą skrzynkę alarmową zbyt łatwo odkryć. Potrzebujemy pełnych trzydziestu minut w apartamencie Blackburna. I musi pan tymczasowo odłączyć system tryskaczy, co można zrobić tylko z centrali przeciwpożarowej.

Kemper wstał. Hentoff szybko poszedł w jego ślady.

– Niemożliwe. Żądacie niemożliwego. Pożar to największe niebezpieczeństwo na statku poza zatonięciem. Oficer okrętowy rozmyślnie włączający fałszywy alarm... Popelnię ciężkie wykroczenie, może przestępstwo. Jezu, panie Pendergast, pan jest agentem FBI, pan wie, że nie mogę tego zrobić! Musi być jakiś inny sposób!

Pendergast uśmiechnął się, tym razem niemal ze smutkiem.

– Nie ma innego sposobu.

– Nie zrobię tego.

Pendergast przejechał kciukiem po krawędzi pliku banknotów. Kemper dosłownie czuł zapach pieniędzy – przypominający zardzewiałe żelazo. Nie mógł od nich oderwać wzroku.

– Po prostu nie mogę.

Przez chwilę trwało milczenie. Potem Pendergast wrócił do biurka, otworzył górną szufladę, włożył do środka plik banknotów i zgarnął tam pozostałe koperty z blatu. Zamknął szufladę rozmyślnie powoli i odwrócił się do Hentoffa.

– Do zobaczenia w kasynie, panie Hentoff.

Znowu zapadło milczenie, tym razem dłuższe.

– Zamierza pan... grać? – zapytał wreszcie Hentoff.

– Czemu nie? – Pendergast rozłożył ręce. – W końcu jesteśmy na wakacjach. I wie pan, jak uwielbiam blackjacka. Myślałem, żeby nauczyć również Constance.

Hentoff z niepokojem spojrział na Kempera.

– Podobno szybko się uczę – dodała Constance.

Kemper znowu przyglądał wilgotne włosy. Pot zbierał mu się pod pachami. Robiło się coraz gorzej.

Napięcie w pokoju narastało. W końcu Kemper głośno wypuścił powietrze.

– Przygotowania zajmą trochę czasu.

– Rozumiem.

– Postaram się włączyć ogólny alarm pożarowy na pokładzie dziewiątym jutro rano o dziesiątej. Nic więcej nie mogę zrobić.

Pendergast krótko kiwnął głową.

– W takim razie musimy poczekać do jutra. Miejmy nadzieję, że w tym czasie sprawy nie wymkną się spod kontroli.

– Spod kontroli? O co panu chodzi?

Ale Pendergast tylko ukłonił im się po kolei i zasiadł z powrotem do przerwane go obiadu.

O północy Maddie Edmondson wlokła się głównym korytarzem pokładu trzeciego, tak znudzona, że płakać jej się chciało. Dziadkowie zabrali ją w ten rejs, co miało być prezentem na jej szesnaste urodziny i wtedy to wyglądało na dobry pomysł. Ale nikt jej nie uprzedził, czego się spodziewać – że ten statek okaże się pływającym piekłem. Wszystkie naprawdę ciekawe miejsca – dyskoteki i kluby, gdzie bawiły się dwudziestolatki, kasyna – były niedostępne dla dziewczyny w jej wieku. A imprezy, na które mogła wejść, odpowiadały raczej stuletnim staruszkom. Magiczna Rewia Antonia, Blue Man Group i Michael Buble naśladujący Franka Sinatrę – wolne żarty. Wszystkie filmy już widziała, a baseny zamknięto z powodu złej pogody. Jedzenie w restauracjach było zbyt wymyślne, a z powodu choroby morskiej nie mogła sobie pozwolić na pizzę czy hamburgery. Pozostało jej tylko przesiadywanie na występach do kotleta, w otoczeniu osiemdziesięciolatków majstrujących przy swoich aparatach słuchowych.

Jedynym interesującym wydarzeniem był ten niesamowity wisielec w kinie Belgravia. No, to było coś: wszystkie stare prukwy gdakały oparte na laskach, stare pryki chrząkały i marszczyły krzaczaste brwi, oficerowie i marynarze kręcili się jak w ukropie. Wszystko jedno, co ludzie mówili, to na pewno był kawał, sceniczny rekwizyt, chwyt

reklamowy do nowego filmu.

Ludzie nie umierają w ten sposób w prawdziwym życiu, tylko w filmach.

Minęła zdobione złotą lamą i zielonym szkłem wejście do Trafalgaru, najmodniejszego klubu na statku. Głośna, dudniąca muzyka wylewała się z ciemnego wnętrza. Przystanęła, żeby zajrzeć do środka. Smukłe postacie – studenci i młodzi biznesmeni – wirowały wśród dymu i migających świateł. Przed drzwiami stał nieodzowny bramkarz: smukły i przystojny, ubrany w smoking, niemniej jednak bramkarz, zdecydowany nie wpuścić do środka młodocianych, takich jak Maddie, żeby się zabawili.

Ponuro wędrowała dalej korytarzem. Chociaż kluby i kasyna pękały w szwach, znikły tłumy zgredów zwykle zapełniające sklepy i pasaże. Pewnie chowają się pod łózkami w swoich kabinach. Niezły dowcip. Cholera, chyba nie wprowadzą godziny policyjnej, jak głosiły plotki. To byłby koniec. Przecież to był tylko chwyt reklamowy – prawda?

Zjechała windą jeden poziom niżej, przeszła obok sklepów na Regent Street, przez ekskluzywny pasaż handlowy, wspięła się na jakieś schody. Jej dziadkowie dawno poszli spać, ona jednak wcale nie czuła się zmęczona. Wędrowała bez celu po całym statku już od godziny, powłócząc nogami po dywanie. Z westchnieniem wyjęła z kieszeni słuchawki, wsadziła je do uszu i wybrała na iPodzie kawałek Justina Timberlake'a.

Dotarła do windy, weszła do środka i zamknąwszy oczy, nacisnęła jakiś guzik na chybił trafił. Winda opadała przez chwilę, zatrzymała się i Maddie wysiadła – kolejny bezkresny okrętowy korytarz, tym razem trochę ciaśniejszy. Podkreśliła głośność w odtwarzaczu, powlokła się przez hol, skręciła, kopniakiem otworzyła drzwi z napisem, którego nie pofatygowała się przeczytać, zeszła po kilku stopniach i wędrowała dalej. Korytarz znowu zakręcał i kiedy minęła



zakręt, nagle poczuła, że ktoś za nią idzie.

Zatrzymała się i obejrzała, ale korytarz był pusty. Cofnęła się parę kroków i wyjrzała za róg. Nikogo.

Widocznie usłyszała jakiś przypadkowy hałas: tutaj na dole cholerny statek huczał i wibrował jak gigantyczny młyn.

Ruszyła dalej, opierając się o jedną ścianę i sunąc łokciem po boazerii. Potem przeniosła się pod drugą ścianę. Jeszcze cztery dni rejsu i będę w Nowym Jorku. Nie mogła się doczekać powrotu do domu i spotkania z przyjaciółmi.

Znowu to poczuła: ktoś ją śledził.

Zatrzymała się gwałtownie i tym razem wyciągnęła słuchawki z uszu. Rozejrzała się, ale ponownie nikogo nie zobaczyła. A w ogóle co to za miejsce? Kolejny wyłożony dywanem korytarz z jakimiś prywatnymi salami konferencyjnymi po obu stronach. Dziwnie pusty.

Niecierpliwym gestem odrzuciła włosy do tyłu. Jezu, zrobiła się strachliwa jak te stare pudła. Zajrzała przez okienko w drzwiach do jednego pokoju i zobaczyła długi stół zastawiony komputerami – kafejka internetowa. Chciała wejść do środka i pogrzebać w sieci, ale się rozmyśliła – wszystkie dobre witryny na pewno będą zablokowane.

Odsuwając się od okienka, kątem oka wyłapała jakiś ruch i dostrzegła sylwetkę pośpiesznie kryjącą się za rogiem. Tym razem nie miała żadnych wątpliwości.

– Hej! – zawołała. – Kto tam?!

Brak odpowiedzi.

Pewnie jakaś pokojówka – statek się od nich roił. Ruszyła dalej, ale szybszym krokiem, trzymając słuchawki w ręku. I tak nie podobała jej się ta część statku – powinna wrócić na górę, do sklepów. Idąc, wypatrywała któregoś z rozwieszonych wszędzie planów, pokazujących, gdzie się znajdowała. Ale mogła przysiąc, że w hałasie

silników okrętowych rozróżniała szuranie stóp na dywanie.

Bzdura. Przyspieszyła jeszcze bardziej, skręciła, znowu skręciła; wciąż nie znajdowała planu ani żadnego znajomego miejsca – tylko następne korytarze bez końca. Zauważyła jednak, że dywan pod nogami ustąpił miejsca linoleum.

Zrozumiała, że weszła do zabronionej części statku. Widocznie przegapiła napis: „Zakaz wstępu”; może znajdował się na drzwiach, które otworzyła kopniakiem. Ale nie zamierzała wracać tą samą drogą – wykluczone.

Teraz wyraźnie słyszała za sobą kroki, coraz zuchwalsze, przyspieszające i zwalniające w rytmie jej kroków. Czyżby śledził ją jakiś zboczeniec? Jeśli zacznie uciekać, żaden stary perwers jej nie dogoni. Doszła do bocznych drzwi, skręciła i zeszła po metalowych stopniach na następny długi korytarz. Za sobą usłyszała stukot kroków na schodach.

Wtedy pobiegła.

Korytarz zakręcał ostrym łukiem i kończył się przy drzwiach z czerwonym napisem wykonanym za pomocą szablonu:

### TYLKO DLA MECHANIKÓW

Chwyciła klamkę. Zamknięte na klucz. Odwróciła się w panice, wstrzymując oddech. Słyszała kłapanie biegnących stóp, budzące echo w korytarzu. Jeszcze raz rozpaczliwie szarpnęła klamką, wołając głośno. IPod wysliznął się jej z kieszeni i potoczył się po podłodze.

Gorączkowo rozejrzała się za drugimi drzwiami, wyjściem pożarowym, czymkolwiek.

Biegnące kroki zbliżały się coraz bardziej i bardziej – a potem nagle zza zakrętu wyłonił się człowiek.

Maddie szarpnęła się gwałtownie, krzyk narastał jej w gardle – ale kiedy przyjrzała się postaci, rozluźniła się, szlochając z ulgą.

– Dzięki Bogu – załkała. – Myślałam... że ktoś mnie śledzi. Sama

nie wiem. Zabłądziłam. Całkiem się zgubiłam. Tak się cieszę, że...  
Nóż uderzył tak szybko, że nawet nie zdążyła krzyknąć.

LeSeur stał w głębi mostku, z Mason u boku. Patrzył, jak komodor Cutter z rękami założonymi z tyłu chodzi tam i z powrotem przed stacją roboczą komputerów, wzdłuż szeregu płaskich monitorów, starannie stawia jedną stopę przed drugą, statecznie i powoli. Przemierzał całą długość mostku i jego sylwetka przesuwała się na tle ekranów. Lecz wzrok utkwiał wprost przed siebie i nie patrzył ani na ekrany, ani na oficera wachtowego, który stał z boku, odsunięty i nieszczęśliwy.

LeSeur zerknął na radar i system displejów pogody. Statek omijał południowe skrzydło dużego, niespotykane prawoskrętnego sztormu. Na szczęście mieli wiatr w plecy; na nieszczęście to oznaczało falę od rufy. Stabilizatory wysunięto całkowicie już kilka godzin wcześniej, ale pomimo to statek wykonywał powolne, mdląco obrotowe skłony, które dodatkowo dokuczały pasażerom. Znowu spojrzął na wyświetlacze. Fala dochodziła do dziesięciu metrów, wiatr wzrósł do czterdziestu węzłów, radar pokazywał dużo kaszy. Niemniej statek spisywał się wspaniale. LeSeur wbrew sobie poczuł dreszcz dumy.

Kemper wyrósł bezgłośnie przy jego łokciu, z twarzą upiornie siną w sztucznych świetle monitorów. Wyglądał na zmartwionego.

– Na słówko, sir – szepnął.

LeSeur spojrzął na Mason i dał jej znak oczami. Oboje wyszli za

Kemperem do jednego z krytych skrzydeł mostku. Deszcz walił w okna, spływał po szybach strumieniami. Na zewnątrz panowała nieprzenikniona czerń.

Kemper bez słowa podał LeSeurowi kartkę papieru. Pierwszy oficer spojrzął na nią w nikłym świetle.

– Dobry Boże. Zgłoszono zaginięcie jeszcze osiemnastu osób?

– Tak, sir. Ale zobaczy pan poniżej, że szesnaście już się znalazło. Ktoś wychodzi z kabiny na dziesięć minut, a małżonek zawiadamia ochronę. Problem w tym, że sytuacja na statku się pogarsza. Pasażerowie coraz bardziej panikują. A moi ludzie są bezsilni.

– Co z tą dwójką, której nie znaleziono?

– Jedna to szesnastoletnia dziewczyna... zaginięcie zgłosili jej dziadkowie. Druga to starszka z łagodnym przypadkiem Alzheimerera.

– Jak dawno zagięły?

– Dziewczyna trzy godziny temu. Starsza pani przed godziną.

– Czy według pana to powód do zmartwienia?

Kemper zawahał się.

– Nie starsza pani... myślę, że pewnie zabłądziła, może gdzieś zasnęła. Ale dziewczyna... tak, o nią się martwię. Wzywaliśmy ją regularnie, przeszukaliśmy miejsca publiczne. No i jeszcze to. – Podał oficerowi drugą kartkę.

LeSeur przeczytał ją z rosnącym niedowierzaniem.

– Cholera jasna, czy to prawda? – Szturchnął palcem w papier. – Potwór grasujący po statku?!

– Sześć osób na pokładzie dziewiątym zgłosiło, że go widzieli. Jakieś... nie wiadomo co. Stwora okrytego dymem albo powstałego z gęstego dymu. Opisy się różnią. Mnóstwo zamieszania.

LeSeur oddał kartkę Kemperowi.

– To absurd.

– Tylko pokazuje poziom hysterii. A dla mnie to niepokojące

objawy... bardzo niepokojące. Masowa histeria na oceanicznym liniowcu pośrodku Atlantyku? Nie mam ludzi, żeby sobie z tym poradzić. Przytłaczają nas liczebnie.

– Czy można tymczasowo przesunąć inny personel statku do ochrony? Oderwać od zwykłych obowiązków kilku sprawnych młodszych inżynierów?

– Stałe zalecenia tego zabraniają – odezwała się po raz pierwszy Mason. – Tylko komodor Cutter może je uchylić.

– Czy możemy tego zażądać? – zapytał Kemper.

Mason spojrzała chłodno na środek mostku, gdzie spacerował Cutter.

– To nie najlepsza chwila, żeby prosić o coś komodora, panie Kemper – odparła lakonicznie.

– A jeśli zamkniemy kasyna i przydzielimy personel Hentoffa do ochrony?

– Korporacja nas powiesi. Czterdzieści procent zysków płynie z kasyn. Poza tym ci ludzie to krupierzy, rozdający i pit bossowie... nie potrafią nic innego. Równie dobrze możemy wykorzystać kelnerki.

Następne długie milczenie.

– Dziękuję panu za raport, panie Kemper – powiedziała Mason. – To wszystko.

Kemper kiwnął głową i wyszedł. LeSeur i Mason zostali sami w skrzydle mostku.

– Kapitanie Mason? – zapytał wreszcie LeSeur.

– Tak, panie LeSeur? – Zastępca kapitana odwróciła się do niego, słabe światło podkreśliło twarde linie jej twarzy.

– Proszę mi wybaczyć, że znowu poruszam ten temat, ale czy rozważano ponownie propozycję, żeby skrócić do St. John's?

Po tym pytaniu nastąpiło bardzo długie milczenie, rozciągnięte

prawie do minuty. W końcu Mason odpowiedziała:

- Nie odbyła się żadna oficjalna rozmowa.
- Czy będę zbyt bezczelny, sir, jeśli zapytam dlaczego?
- LeSeur widział, że Mason starannie formułuje odpowiedź.
- Komodor wydał już stanowcze rozkazy w tej kwestii.
- Ale jeśli ta zaginiona dziewczyna... jest następną ofiarą?
- Nic nie wskazuje na to, żeby komodor Cutter zmienił zdanie.

LeSeur poczuł przypływ gniewu.

– Proszę mi wybaczyć szczerość, kapitanie, ale na tym statku grasuje brutalny morderca. Jeśli mamy wierzyć agentowi Pendergastowi, zabił już trzy osoby. Pasażerowie świrują, połowa chowa się w kabinach, a reszta upija się w barach i kasynach. A teraz jeszcze narasta masowa histeria, krążą pogłoski o zjawie grasującej po korytarzach. Nasz szef ochrony sam przyznał, że nie panuje nad sytuacją. Czy w tych okolicznościach nie uważa pani, że powinniśmy poważnie się zastanowić nad zmianą kursu?

- Zmiana kursu skieruje nas prosto w sztorm.
- Wiem. Ale wolę już walczyć z burzą niż z rozszalałym tłumem... pasażerów i załogi.

– Pańska i moja opinia się nie liczą – odparła chłodno Mason.

Pomimo jej tonu LeSeur wyczuł, że ostatni argument trafił jej do przekonania. Oficerowie okrętowi dotkliwie zdawali sobie sprawę ze swojej niedostatecznej liczebności. Poza pożarem na morzu zawsze najbardziej obawiano się zamieszek wśród pasażerów.

– Pani jest zastępcą kapitana – naciskał LeSeur. – Zastępcą dowódcy. Pani najłatwiej może na niego wpłynąć. Nie możemy tego ciągnąć... musi go pani przekonać do zmiany kursu.

Mason spojrzała na niego ze śmiertelnym znużeniem w oczach.

– Panie LeSeur, nie rozumie pan? Nikt nie wpłynie na decyzję komodora Cuttera. To proste.

LeSeur patrzył na nią, oddychając ciężko. Sytuacja była niemożliwa, niewiarygodna. Spojrzał w stronę głównego mostku. Cutter wciąż spacerował, pogrążony w swoim prywatnym świecie, z twarzą jak nieprzenikniona maska. LeSeur przypomniał sobie kapitana Queega w filmie *Bunt na okręcie*, zaprzeczającego rzeczywistości, podczas gdy okręt nieubłagane pogrążał się w chaosie.

– Sir, jeśli dojdzie do następnego zabójstwa... – Głos mu się załamał.

Mason powiedziała:

– Panie LeSeur, jeżeli, niech Bóg broni, dojdzie do następnego zabójstwa, ponownie poruszymy tę kwestię.

– Ponownie poruszymy?! Z całym szacunkiem, sir, jaki sens mają dalsze dyskusje? Jeśli dojdzie do następnego...

– Nie mówię o dalszych jałowych dyskusjach. Mówię o działaniu zgodnie z artykułem piątym.

LeSeur wytrzeszczył oczy. Artykuł 5 dotyczył usunięcia kapitana ze stanowiska na pełnym morzu za zaniedbanie obowiązków.

– Chyba nie sugeruje pani...?

– To wszystko, panie LeSeur.

LeSeur patrzył, jak Mason odwraca się i idzie z powrotem do głównej części mostku, przystając po drodze, żeby pokonferować z nawigatorem przy pulpicie sterowniczym tak spokojnie, jakby nic się nie stało.

Artykuł 5. Mason miała jaja. Jeśli do tego dojdzie, to trudno. Zaczynała się walka – już nie tylko o bezpieczny rejs *Britanii*, ale o przetrwanie.



Kemper wyszedł z głównego kompleksu komputerowego przetwarzania danych na pokładzie B i skierował się do najbliższej windy. Prawie całą noc zajęło mu przygotowanie fałszywego alarmu. Zresetowanie okrętowych systemów bezpieczeństwa bez zostawiania śladów to była koszmarna robota, a najtrudniejsze okazało się zablokowanie tryskaczy. Jeszcze nie tak dawno, rozmyślał ponuro, jedyną elektronikę na oceanicznym liniowcu stanowiły radar i komunikacja. Teraz cały cholerny statek zmienił się w ogromny system sieciowy. Całkiem jak wielki pływający komputer.

Winda przyjechała, Kemper wszedł do środka i nacisnął guzik pokładu dziewiątego. Uważał, że to czyste szaleństwo włączać fałszywy alarm na statku, gdzie już panuje nerwowa atmosfera, z dowódcą w najlepszym razie oderwanym od rzeczywistości, a w najgorszym razie niepoczytalnym, podczas sztormu na środku oceanu. Jeśli to wyjdzie na jaw, Kemper nie tylko straci pracę, ale pewnie zgnije w więzieniu. Nie rozumiał, dlaczego dał się namówić Pendergastowi.

A potem pomyślał o korporacji i przypomniał sobie dlaczego.

Drzwi windy otworzyły się na pokładzie dziewiątym. Kemper wyszedł i spojrzał na zegarek: dziewiąta pięćdziesiąt. Splótł ręce za plecami, przywołał świeży uśmiech na twarz i ruszył korytarzem

sterburty, pozdrawiając skinieniem głowy pasażerów wracających ze śniadania. Pokład dziewiąty należał do najbardziej szykownych na statku i Kemper miał nadzieję, że tryskacze jednak się nie uruchomią, pomimo całej jego pracy. North Star poniosłaby ciężkie straty finansowe, zważywszy na fakt, że pasażerowie sami udekorowali niektóre apartamenty własnymi kosztownymi obrazami, rzeźbami i *objets d'art*.

Wśród tych apartamentów niepoślednie miejsce zajmował triplex Blackburna.

Kemper znowu mimochodem zerknął na zegarek. Dziewiąta pięćdziesiąt osiem. Hentoff powinien czekać na drugim końcu pokładu dziewiątego z ochroniarzem, gotów natychmiast wkroczyć do akcji.

Iiiiiiiii! Alarm pożarowy zapiszczał na eleganckim korytarzu, po czym nagrany głos przemówił z afektowanym angielskim akcentem:

„Uwaga! To jest alarm pożarowy. Wszyscy pasażerowie muszą natychmiast się ewakuować. Personel statku zgłosi się na wyznaczone stanowiska. Proszę stosować się do instrukcji wywieszonych w środku na drzwiach apartamentów albo do rozkazów oficerów służby przeciwpożarowej. Uwaga! To jest alarm pożarowy. Wszyscy pasażerowie...”.

Po obu stronach korytarza gwałtownie otwierały się drzwi. Ludzie wybiegali na zewnątrz, niektórzy ubrani, inni w szlafrokach albo podkoszulkach. Zadziwiająco, pomyślał Kemper, jak szybko reagowali, zupełnie jakby wszyscy na coś czekali.

– Co się dzieje? – zapytał ktoś. – Co się stało?

– Pożar?! – zawołał inny głos, zdyszany, bliski paniki. – Gdzie?!

– Ludzie! – krzyknął Kemper, spiesząc korytarzem. – Nie ma powodu do obaw! Proszę opuścić swoje apartamenty i przejść do przodu! Zbieramy się w holu na przedzie! Nie ma się czym martwić,

nie ma powodu do paniki, wszyscy proszę przejść do przodu...

„...Uwaga! To jest alarm pożarowy...”.

Wielka kobieta w falującej koszuli nocnej wypadła z apartamentu i wczepiła się w Kempera kluchowatymi ramionami.

– Pożar?! O mój Boże, gdzie?

– Wszystko w porządku, proszę pani. Proszę przejść do holu z przodu. Wszystko będzie dobrze.

Więcej ludzi skupiło się wokół niego.

– Dokąd mamy iść? Gdzie się pali?

– Proszę przejść do końca korytarza i zebrać się w holu!

Kemper przepchnął się do tyłu. Nikt jeszcze nie wyszedł z trójki Blackburna. Zobaczył Hentoffa i ochroniarza, którzy posuwali się korytarzem pod prąd, potrącając ludzi.

– Pepys! Mój Pepys!

Jakaś kobieta, walcząc z naporem tłumu, ominęła Kempera i zanurkowała z powrotem do swojego apartamentu. Ochroniarz chciał ją powstrzymać, ale Kemper pokręcił głową. Po chwili kobieta wybiegła z psem.

– Pepys! Dzięki Bogu!

Kemper spojrzał na kierownika kasyna.

– Triplex Penshurst – mruknął. – Musimy sprawdzić, czy jest pusty.

Hentoff zajął pozycję po jednej stronie drzwi, a ochroniarz zabębnił w błyszczące drewno.

– Ewakuacja pożarowa! Wszyscy wychodzić!

Nic. Hentoff zerknął na Kempera, który kiwnął głową. Ochroniarz wyjął uniwersalną kartę magnetyczną i przesunął przez zamek. Drzwi odskoczyły i dwaj mężczyźni weszli do środka.

Kemper czekał przy drzwiach. Po chwili usłyszał ze środka podniesione głosy. Kobieta w uniformie pokojówki wybiegła z tripleksu i pognęła korytarzem. Potem w drzwiach pojawił się

Blackburn, popychany przez ochroniarza.

- Zabierz ode mnie brudne łapy, gnoju! – wrzasnął.
- Przepraszam, sir, ale takie są przepisy – odparł ochroniarz.
- Nie ma żadnego cholernego pożaru! Nawet nie czuję dymu!
- Takie są przepisy, sir – powtórzył jak echo Kemper.
- Przynajmniej zamknijcie moje drzwi, na litość boską!

– Przepisy pożarowe wymagają, żeby wszystkie drzwi pozostały otwarte podczas alarmu. Teraz zechce pan przejść do holu z przodu, gdzie zebrali się pozostali pasażerowie.

- Nie zostawię kabiny otwartej!

Blackburn wyrwał się i próbował wrócić do apartamentu.

– Sir – powiedział Hentoff, łapiąc go za marynarkę – jeśli nie pójdzie pan z nami, musimy pana aresztować.

- Aresztować, a takiego!

Blackburn zamachnął się na Hentoffa, który zrobił unik. Skoczył do drzwi. Hentoff odruchowo go zablokował i dwaj mężczyźni w garniturach potoczyli się po podłodze. Rozległ się trzask rozdzieranej tkaniny.

Kemper podbiegł do nich.

- Skuj go!

Ochroniarz wyciągnął plastikowe kajdanki, a kiedy Blackburn znalazł się na wierzchu i próbował wstać, wprawnie obalił go na podłogę, przygwoździł mu ręce i skuł za plecami.

Blackburn szarpnął się wściekle.

- Wiecie, kto ja jestem? Zapłacicie mi za to...!

Z wysiłkiem próbował usiąść.

Kemper pochylił się nad nim.

– Panie Blackburn, dobrze wiemy, kim pan jest. Teraz proszę mnie uważnie posłuchać: jeżeli nie przejdzie pan spokojnie do holu, wyśle pana prosto do aresztu, gdzie spędzi pan resztę podróży, po czym

przekażemy pana miejscowym siłom porządkowym i oskarżymy o napaść.

Blackburn przeszywał go gniewnym wzrokiem, rozdymając nozdrza i dysząc ciężko.

– Albo jeśli pan się uspokoi i zastosuje do poleceń, zdejmę te kajdanki i zapomnimy o tym niesprowokowanym ataku na personel statku. Jeśli to fałszywy alarm, wróci pan do siebie za trzydzieści minut. No więc jak będzie?

Blackburn sapnął głośno jeszcze kilka razy i pochylił głowę. Kemper kiwnął na ochroniarza, który zdjął kajdanki.

– Zabierz go do holu. Nie pozwól nikomu wyjść przez pół godziny.

– Tak jest, sir.

– Potem, jeśli alarm zostanie odwołany, mogą wracać do siebie.

– Dobrze, sir.

Ochroniarz poprowadził Blackburna pustym korytarzem. Kemper i Hentoff zostali sami w pełnej ech ciszy. Dzięki Bogu tryskacze nie zadziałały. Pracochłonne przygotowania nie poszły na marne. Nadchodzili strażacy, ciągnąc węże i sprzęt. Wchodzili do każdego apartamentu szukając ognia, po czym wychodzili i zamykali drzwi. Chociaż już stało się jasne, że to fałszywy alarm, musieli się trzymać procedury.

Kemper spojrzał na Hentoffa i odezwał się zniżonym głosem:

– Lepiej też chodźmy. Nie chcemy widzieć, jak Pendergast...

– Nawet niech pan nie mówi.

I Hentoff ruszył korytarzem tak spieszenie, jakby rzeczywiście się paliło.

Na drugim końcu statku, siedem pokładów niżej, Emily Dahlberg wyszła z Café Soho po lekkim śniadaniu, złożonym z herbaty i placuszków, i ruszyła w stronę pobliskiego pasażu handlowego, zwanego Regent Street. Woląta ten ekskluzywny pasaż od drugiego, St. James's na pokładzie szóstym. Korytarz z niezwykłą starannością urządzono tak, żeby wyglądał jak prawdziwa Regent Street sprzed stu lat: prawdziwe gazowe latarnie uliczne, brukowane kocimi łbami alejki z małymi, eleganckimi odzieżowymi butikami po obu stronach. Przyszła w samą porę: w przeciwieństwie do kasyn i klubów otwartych w dzień i w nocy Regent Street przestrzegała wyznaczonych godzin. Minęła dziesiąta i sklepy właśnie otwierano, światła się zapalały, ekspedienci podciągali metalowe kraty.

Dziesiąta. Zostało półtorej godziny do spotkania z Gavinem Bruce'em i zaplanowania następnego ruchu.

Dahlberg minęła pierwszy sklep, oglądając towary w oknie wystawowym. Dobrze znała prawdziwą Regent Street, a tutaj było jeszcze drożej. Nie do wiary, dumiała, patrząc na wystawę, żeby płacić tysiąc sto funtów za perłową powiewną suknię koktajlową, którą można kupić w Londynie za jedną trzecią tej ceny. Podróż oceanicznym liniowcem widocznie ma w sobie coś, co odbiera zdrowy rozsądek.

Uśmiechnęła się z roztargnieniem, idąc sztuczną alejką, pogrążona w myślach. Dziwne, ale pomimo całego zamieszania, paniki i napięcia wiszącego w powietrzu jak chmura gradowa przyłapała się na tym, że myśli o eleganckim panu Pendergaście. Nie widziała go od tamtego obiadu pierwszego wieczoru, tylko raz minęła się z nim w kasynie, ale wciąż powracał w jej wspomnieniach. Przeżyła pięćdziesiąt jeden lat i trzech mężów, każdy bogatszy od poprzedniego, ale jeszcze nigdy w życiu nie spotkała mężczyzny równie fascynującego jak Aloysius Pendergast. A najdziwniejsze, że nawet nie potrafiła określić, co on w sobie ma. Ale wiedziała od pierwszej chwili, kiedy ich oczy się spotkały, od pierwszych słodkich słów, które spłynęły z jego warg...

Przystanąła, żeby podziwiać dżersejowy top z cekinami Comellego. Myślami wędrowała po jakichś nieuchwytnie rozkosznych i zmysłowych obszarach, zanim wróciła do rzeczywistości. Dwaj pierwsi jej mężowie należeli do angielskiej arystokracji, staroświeckiego ziemiaństwa, a jej niezależność i kompetencja w końcu ich odstraszyły. W trzecim mężu, amerykańskim królu porcjowanego mięsa, odnalazła wreszcie bratnią duszę, i co z tego, skoro musiała patrzeć, jak umiera na zawał podczas szczególnie żywiołowego stosunku. Miała nadzieję, że spotka odpowiedniego czwartego męża podczas rejsu – życie było krótkie, a ona śmiertelnie się bała, że na starość zostanie sama ze swoimi końmi – ale teraz, w chaosie wynikłym po tym okropnym zabójstwie, szanse wyglądały marnie.

Nieważne. Jak już dopłyną do Nowego Jorku, czeka na nią przyjęcie Guggenheima, jubel czasopisma „Elle”, obiad w klubie Metropolitan i inne imprezy, gdzie można spotkać odpowiedniego mężczyznę. Kto wie, czy nie będzie nawet musiała obniżyć wymagań... ale tylko trochę.

A może nie. Na przykład miała pewność, że w przypadku pana

Pendergasta nie ma potrzeby obniżać wymagań. Przynajmniej na ile potrafiła ocenić ubranego mężczyznę.

Rozejrzała się po tłumie, przemieszczającym się powoli. Ludzi było mniej niż zwykle, niewątpliwie z powodu wzburzonego morza, zaginięć i morderstwa. Albo wszyscy mieli kaca – poprzedniego wieczoru widziała, jak pochłaniają zdumiewające ilości alkoholu w klubach, barach i restauracjach.

Podeszła do następnego eleganckiego sklepu, ostatniego w galerii, gdzie właśnie podnoszono żaluzje. Czekwała beczynn timer, kiedy metalowe listewki zwijały się z okropnym zgrzytem – coś, co wydawało się urocze na Regent Street, na statku po prostu budziło odrazę – i z miłym zaskoczeniem zobaczyła okno wystawowe małego sklepiku futrzarskiego. Osobiście nie nosiła futer, niemniej potrafiła docenić kunszt kuśnierski. Jeden ze sprzedawców pedantycznie poprawiał na wystawie długi do ziemi futrzany płaszcz od Zukiego, który wyglądał trochę nieporządnie na staroświeckim wiklinowym manekinie. Stała i podziwiała płaszcz, lamowany długim włosem, w bardzo zimowym stylu. W takim nie zmarzniesz nawet w syberyjskim gułagu, pomyślała z uśmiechem.

Sprzedawca poprawiał i obciągał płaszcz z narastającą irytacją, aż wreszcie się zorientował, że jest krzywo zapięty. Przesadnie przewracając oczami, rozpiął płaszcz i rozchylił poły. Lepki płyn chlusnął z manekina, a potem wyleciał jakby kawałek czerwono-białej liny. Sprzedawca widocznie poczuł wilgoć na rękach i podniósł je do twarzy. Były czerwone – pokryte kleistą czerwienią, całkiem jak krew.

Krew...

Emily Dahlberg zakryła usta ręką. Sprzedawca zareagował gwałtowniej: odskoczył, pośliznął się na zakrwawionej podłodze i stracił równowagę. Zamłócił rękami, krzyknął, złapał się manekina; a potem sprzedawca, manekin i płaszcz runęli ciężko na podłogę



i spod rozpiętego płaszcza wyłonił się trup.

Ale nie, uświadomiła sobie Emily Dahlberg, to nie był trup, przynajmniej nie cały, tylko kłęb narządów wewnętrznych, czerwonych, białych i żółtych, wypływających z poszarpanej dziury, wyciętej w wiklinowym torsie manekina. Patrzyła z otwartymi ustami, zaszokowana, ogarnięta chwilowym paralizem. Naoglądała się dość krwawych scen w rodzinnej fabryce pakowanego mięsa, u boku swojego trzeciego męża, żeby wiedzieć, że te narządy nie należały do krowy. Nie – krowie wnętrzności są większe. To coś całkiem innego...

Nagle poczuła, że odzyskała władzę w nogach. Odwróciła się i ruszyła z powrotem po Regent Street trochę chwiejnym krokiem. Za jej plecami wrzaski zbudziły echo w alejce. Lecz Emily Dahlberg nie obejrzała się ani razu.

Trzy minuty po dziesiątej drzwi do rozdzielni elektrycznej na pokładzie dziewiątym uchylły się na całkowicie pusty korytarz. Pisk alarmu pożarowego ucichł i rozlegał się tylko oficjalny alarmowy komunikat, nadawany w kółko przez wewnętrzny system nagłaśniający. Z jednej strony dochodziły cichnące głosy strażaków, z drugiej napływała bezładna kakofonia głosów pasażerów zebranych w holu. Po krótkiej chwili wahania Pendergast wysunął się z ciemnej rozdzielni niczym pajak z kryjówki. Spojrzał w jedną stronę, potem w drugą, omiótł wzrokiem pluszowy dywan i tapety na ścianach. Potem szybko jak kot przemknął do tripleksu Penshurst, otworzył drzwi, wskoczył do środka i zamknąwszy drzwi za sobą, zatrzasnął mocny zamek.

Przez chwilę stał bez ruchu w wytłumionym przedpokoju. Dalej, w salonie, zaciągnięte zasłony odgradzały zaciszne wnętrze od mrocznego, burzliwego poranka, przepuszczając tylko nikłe światło. Pendergast słyszał odległe dudnienie silników i deszcz tłukący w szyby. Odetchnął, wyostrzając wszystkie zmysły. Wyczuł bardzo słaby ślad tego samego dymnego, woskowego, żywicznego zapachu, który opisywał taksówkarz; zapachu, który znał z wewnętrznego klasztoru Gsalrig Chongg.

Spojrzał na zegarek: dwadzieścia cztery minuty.

Triplex Penshurst był jednym z dwóch największych apartamentów na statku i przypominał raczej elegancki wiejski dom niż kabinę okrętową. Spiralne schody łączyły salon, kuchnię, jadalnię i balkon na parterze z trzema sypialniami i salą gimnastyczną na piętrze. Pendergast wsunął się do ciemnego salonu. Srebro, złoto, turkusy i werniks połyskiwały słabo w półmroku. Zapalił światło i zamarł na chwilę, olśniony przez wspaniałą, eklektyczną kolekcję sztuki: wczesne kubistyczne obrazy Braque'a i Picassa, przemieszane jak popadnie z arcydziełami azjatyckiej rzeźby i malarstwa z Indii, Azji Południowo-Wschodniej, Tybetu i Chin. Widział też inne skarby: ustawione na stole wczesnoangielskie tabakiery z repusowanego srebra; gabloty ze starożytnymi złotymi greckimi monetami; dziwaczny zbiór czegoś, co wyglądało jak rzymskie zapinki do togi i sprzączki do pasów.

Całość kolekcji świadczyła o bystrym oku, nienagannym guście i ogromnym majątku zbieracza. Więcej, stanowiła dzieło człowieka kulturalnego i wrażliwego, o zainteresowaniach i wiedzy daleko wykraczających poza zwykłą smykałkę do interesów.

Czy to ten sam człowiek, zastanawiał się Pendergast, który tak bestialsko i niepotrzebnie okaleczył Jordana Ambrose'a po śmierci? Znowu przeszło mu przez myśl, że morderstwo Ambrose'a było niespójne psychologicznie pod każdym możliwym względem.

Podszedł prosto do dużej tekowej szafki na drugim końcu pokoju, w której według Constance mieścił się hotelowy sejf. Otworzył szafkę, wyjął kartę magnetyczną, którą dostał od Kempera, i wsunął ją w szczelinę. Po chwili drzwiczki odskoczyły z cichym kliknięciem.

Otworzył je i zajrzał do środka. Z wnętrza napłynęła silna woń dymu i żywicy. W sejfie znajdowała się tylko jedna rzecz: długa, prostokątna drewniana skrzynka pokryta wyblakłym tybetańskim pismem.

Wyjął ją bardzo ostrożnie i zauważył, że jest dziwnie lekka. Podziurawiona przez korniki, przypominała wyschniętą gąbkę, kruszyła się i prószyla kurzem przy najlżejszym dotknięciu. Otworzył starą mosiężną zasuwkę i delikatnie podniósł wieko, które rozpadło mu się w rękach. Starannie odłożył kawałki i zajrzał do środka.

Skrzynka była pusta.

Na mostku zabręczał dzwonek bezpieczeństwa, oznajmiając, że ktoś wchodzi. Po chwili w luku pojawił się Kemper. LeSeura zaskoczył jego wygląd: twarz szara, włosy wilgotne, ubranie w nieładzie. Wydawało się, że szef ochrony nie spał od tygodnia.

– O co chodzi, panie Kemper? – zapytał LeSeur.

Odruchowo spojrział na komodora Cuttera, wciąż przebywającego na mostku. Komodor podjął na nowo swój spacer. Statek płynął na autopilocie – połączenie software’u, mechaniki i technologii satelitarnej, istny cud inżynierii nawigacyjnej, który utrzymywał statek na kursie lepiej od każdego ludzkiego nawigatora i oszczędzał znaczne ilości paliwa. Kłopot w tym, pomyślał LeSeur, że autopilot nadal trzymał kurs na Nowy Jork.

– Znaleźli zaginioną dziewczynę – powiedział Kemper zniżonym głosem. – A przynajmniej jej część.

Zapadło krótkie milczenie. LeSeur poczuł nagły dreszcz zgrozy, kiedy próbował przyswoić tę informację.

– Jej część – powtórzył w końcu. Zaschło mu w gardle.

– Kawałki ludzkiego ciała... wnętrzości, jelita... znaleziono wepchnięte do manekina w jednym ze sklepów na Regent Street. Mniej więcej w tym samym czasie smugi krwi, częściowo zmiążdżoną bransoletkę i... inne rzeczy znalazł jeden z moich oddziałów

poszukiwawczych na relingu bakburty na rufie pokładu pierwszego.

– Czyli resztę wyrzucono za burtę – rzekł bardzo cicho LeSeur. To był zły sen... koszmar. Po prostu zły sen.

– Na to wygląda, sir. IPoda dziewczyny znaleziono na pokładzie B, przed lukiem prowadzącym do pomieszczeń maszynowni. Widocznie tam ktoś na nią napadł, potem zaprowadził ją albo zaniósł na pokład pierwszy, zabił, wypatroszył i wyrzucił za burtę... zatrzymując kilka trofeów. Te z kolei zaniósł do sklepu futrzarskiego na Regent Street i zostawił w manekinie.

– Czy pasażerowie już wiedzą?

– Tak. Wiadomość szybko się rozeszła. Źle to przyjmują.

– Jak źle?

– Widziałem liczne sceny hysterii. Jednego mężczyznę w kasynie Covent Garden musieliśmy związać. Ostrzegałem pana, jaka niebezpieczna bywa histeria... Zalecam, żeby komodor ogłosił kod ISPS[21] poziom pierwszy i żeby natychmiast podjął pan kroki w celu zwiększenia bezpieczeństwa na mostku.

LeSeur odwrócił się do drugiego oficera.

– Aktywować służby bezpieczeństwa we wszystkich wejściach na mostek. Nikt nie może wejść bez zezwolenia.

– Tak jest, sir.

Znowu odwrócił się do szefa ochrony.

– Omówię kod ISPS z komandorem. Jakież poszlaki dotyczące zabójstwa?

– Żadnych. Tyle że zabójca ma dostęp do wielu miejsc na statku i klucz do maszynowni oraz sklepu futrzarskiego na Regent Street.

– Pendergast mówił, że zabójca jakoś zdobył wejściówkę ochrony.

– Albo kartę uniwersalną – dodał Kemper. – Wydano ich dziesiątki.

– Motyw?

– To wygląda na robotę obłąkanego socjopaty. Albo ktoś ma w tym

swój cel.

– Cel? Na przykład jaki?

Kemper wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Zasiać panikę na statku?

– Ale po co?

Szef ochrony nie odpowiedział, więc LeSeur kiwnął głową.

– Dziękuję, panie Kemper. Zechce pan mi towarzyszyć, kiedy złożę raport komodorowi?

Kemper przełknął ślinę i przytaknął. LeSeur przeszedł na środek mostku i stanął na trasie wędrówki komodora.

– Komodorze Cutter?

Cutter zatrzymał się i powoli uniósł masywną głowę.

– O co chodzi, panie LeSeur?

– Pan Kemper właśnie zgłosił następne zabójstwo na pokładzie.

Młoda dziewczyna.

Na te słowa oczy Cuttera rozbłysły przelotnie, zanim znowu zmętniały. Obejrzał się na szefa ochrony.

– Panie Kemper?

– Sir. Szesnastoletnia dziewczyna została zamordowana dzisiaj rano na pokładzie pierwszym. Niektóre części ciała umieszczono w manekinie w jednym ze sklepów na Regent Street; odkryto je, kiedy sklep otwarto dzisiaj rano. Wiadomość rozeszła się po statku i pasażerowie panikują.

– Czy pański personel prowadzi dochodzenie?

– Mój personel, sir, wyęży wszystkie siły, żeby utrzymać porządek, odpowiadać na zgłoszenia o zaginięciach i uspokajać pasażerów. Z całym szacunkiem, nie jesteśmy w stanie zbierać dowodów, przesłuchiwać podejrzanych ani prowadzić dochodzenia.

Cutter dalej się w niego wpatrywał.

– Coś jeszcze, panie Kemper?

– Zalecam ogłoszenie kodu ISPS poziom pierwszy na statku.

Spojrzenie komodora skupiło się przelotnie na LeSeurze, zanim pobiegło w stronę oficera wachtowego.

– Panie Worthington?! – zawołał Cutter. – Wyliczony czas do Nowego Jorku?

– Przy obecnej szybkości i kursie sześćdziesiąt sześć godzin, sir.

– Do St. John's?

– Dwadzieścia trzy godziny, sir, jeśli utrzymamy szybkość.

Na mostku zapanowała cisza. Oczy Cuttera lśniły w mdłym świetle ekranów. Odwrócił się do szefa bezpieczeństwa.

– Panie Kemper, proszę ogłosić kod jeden. Niech pan zamknie dwa kasyna i połowę nocnych klubów. Oprócz tego proszę wybrać sklepy i bary, które mają najniższe obroty. Niech pan przydzieli tych pracowników do utrzymania porządku na statku, zgodnie z ich kwalifikacjami i kondycją. Proszę zamknąć salony gier, kluby odnowy, teatry i baseny... i również przenieść pracowników stamtąd do ochrony, w miarę możliwości.

– Tak jest, sir.

– Proszę zabezpieczać wszystkie pomieszczenia, gdzie mogą się znajdować dowody związane z tą i innymi zbrodniami. Nie chcę, żeby ktokolwiek tam wchodził, nawet pan.

– Już to zrobiłem, sir.

Komodor się odwrócił.

– Panie LeSeur, od dziesiątej wieczorem do ósmej rano obowiązuje godzina policyjna, dopóki nie przybijemy do brzegu. W tym czasie wszyscy pasażerowie pozostaną w swoich kabinach. Proszę przesunąć tury obiadowe w restauracjach, żeby ostatnia kończyła się o dziewiątej trzydzieści.

– Tak jest, sir.

– Służba pokojowa i inne usługi dla pasażerów zostają skasowane.



Obowiązki personelu sprzątającego ograniczone do minimum. Cała załoga pozostaje w kwaterach, jeśli nie pełni służby albo nie przebywa w mesie. Bez wyjątków. Panie LeSeur, podejmie pan odpowiednie kroki, żeby zredukować przemieszczanie się zbędnego personelu po statku.

– Tak jest, sir.

– Nada pan stosowną wiadomość dla pasażerów, ogłosi wprowadzenie międzynarodowego kodu bezpieczeństwa ISPS na pokładzie i przekaże moje rozkazy. Naruszenie ich będzie surowo karane. Od tych przepisów nie ma wyjątków, bez względu na to, jak bogata czy... wpływowa jest dana osoba czy za jaką się podaje.

Zapadło długie, długie milczenie. LeSeur czekał na najważniejszy rozkaz.

– To wszystko, panie LeSeur.

Ale LeSeur nie odszedł.

– Panie kapitanie, przepraszani, że pytam, ale z pewnością skręcamy do St. John's?

Spoczęły na nim zimne oczy komodora.

– Nie.

– Dlaczego nie, sir? – LeSeur przełknął ślinę.

– Nie mam zwyczaju tłumaczyć się ze swoich decyzji młodszym oficerom.

LeSeur ponownie przełknął, żeby pozbyć się ucisku w gardle, ale bez powodzenia.

– Komodorze, czy mogę...

Cutter mu przerwał:

– Panie LeSeur, proszę wezwać zastępcę kapitana z powrotem na mostek i udać się do swojej kwatery aż do odwołania.

– Tak jest, sir.

– To wszystko. Panie Kemper, pan również może opuścić mostek.

Nie mówiąc więcej ani słowa, Cutter obrócił się na pięcie i wznowił marsz.

Bardzo ostrożnie Pendergast wyniósł kruszącą się skrzynkę do światła. Wsadził w oko jubilerską lupę i uzbrojony w szczypce zaczął przegarniać śmiecie w środku – martwe owady, cząsteczki żywicy, trociny, włókna – wkładając wybrane fragmenty do małych probówek, które wyjął z kieszeni marynarki. Kiedy skończył, umieścił wieko z powrotem na skrzynce, dopasował z największą starannością i ustawił skrzynkę w sejfie, dokładnie w prostokącie trocin, z którego ją wziął. Zamknął sejf, przesunął kartę magnetyczną przez czytnik, żeby zamek zaskoczył, potem zamknął tekową szafkę i cofnął się o krok.

Spojrzał na zegarek: zostało dziewiętnaście minut.

Blackburn ukrył Agozyena – cokolwiek to było – gdzieś w apartamencie.

Pendergast rozejrzał się po salonie, badając wzrokiem każdy przedmiot po kolei. Te, których rozmiary przekraczały wielkość skrzynki, od razu odrzucał. Lecz wiele innych mogło się zmieścić w skrzynce, chociaż z trudem; zbyt wiele, żeby sprawdzić je dokładnie w ciągu kwadransa.

Wszedł na górę i przeszukał sypialnie, łazienki oraz salę gimnastyczną. Jak zauważył, Blackburn urządził po swojemu tylko salon – z wyjątkiem jedwabnej pościeli, ozdobionej dużym

i ostentacyjnym monogramem „B”, pokoje na górze zachowały oryginalny wystrój.

Wrócił do salonu i przystanął na środku. Jego srebrzyste oczy wędrowały po pokoju, zatrzymując się na każdym przedmiocie po kolei. Nawet gdyby wyeliminował wszystko, co nie pochodziło z Tybetu ani z Indii i wywodziło się najpóźniej z dwunastego wieku, nadal zostawało mu za dużo. Na przykład rytualna żelazna kopia okuta srebrem i złotem; sztylet *phurbu*[\[22\]](#) z ciężkiego złota z trójgraniastym ostrzem wysuniętym z paszczy Makary[\[23\]](#); kilka długich młynków modlitewnych z misternie rzeźbionej kości słoniowej i srebra, z wyrytymi mantrami; srebrne *dordże* inkrustowane turkusami i koralami; oraz kilka starożytnych malowideł *tangka* i mandala.

Same wyjątkowe okazy. Ale czy któryś z nich – i który – to był Agozyen, przerażający i zakazany, mający oczyścić świat z ludzkiej zarazy?

Zatrzymał wzrok na wspaniałych obrazach *tangka* rozwieszonych na ścianach: wizerunki tybetańskich bóstw i demonów, w ramach z ozdobnego jedwabnego brokatu, służące za przedmioty medytacji. Pierwszy przedstawiał bodhisattwę Awalokiteśwarę, buddę współczucia; następny pokazywał groźnego demona Kalazygę ze szponami i trojgiem oczu, w wieńcu z czaszek, tańczącego szaleńczo pośród płomieni. Pendergast obejrzał *tangki* z bliska przez lupę, potem wysnuł jedwabną nitkę z brzegu każdej po kolei i również obejrzał.

Następnie podszedł do największej mandali, zawieszanej nad kominkiem. Zdumiewająca: skomplikowane metafizyczne przedstawienie kosmosu, które jednocześnie stanowiło magiczne odwzorowanie wewnętrznego stanu oświeconego buddy, a także plan pałacu lub świątyni. Mandale jako obiekty kontemplacji pomagały w medytowaniu, magiczna równowaga ich proporcji oczyszczała

i uspokajała umysł. Patrzenie na mandalę oznaczało doświadczyć, choćby tylko przelotnie, pustki leżącej w sercu oświecenia.

Ta mandala była wyjątkowo piękna; Pendergast wpatrywał się w nią nieruchomym wzrokiem, niemal magnetycznie przyciąganym do środka obrazu, z którego emanował znajomy spokój i poczucie swobody.

Czy to był Agozyen? Nie – nie wyczuwał tutaj żadnego zagrożenia, żadnego niebezpieczeństwa.

Spojrzał na zegarek. Blackburn wróci za dwanaście minut. Nie miał już czasu na oglądanie poszczególnych przedmiotów. Wrócił na środek salonu i przystanął, zbierając myśli.

Agozyen znajdował się w tym pokoju; tego był pewien, ale miał również pewność, że dalsze poszukiwania to strata cennego czasu. Przyszło mu na myśl buddyjskie przysłowie: „Znajdziesz, kiedy przestaniesz szukać”.

Usiadł na zbyt miękkiej kanapie Blackburna, zamknął oczy i – powoli, spokojnie – oczyścił umysł. Kiedy odprężył się wewnętrznie, kiedy przestało mu zależeć na odnalezieniu Agozyena, otworzył oczy i jeszcze raz rozejrzał się po salonie, zachowując spokój umysłu.

Jego wzrok podążył w stronę wspaniałego obrazu Georges'a Braque'a, wiszącego skromnie w kącie. Niejasno przypominał sobie ten obraz, wczesne arcydzieło francuskiego kubisty, ostatnio wystawione na aukcji u Christiego w Londynie – zakupione, jak pamiętał, przez nieznanego nabywcę.

Spoczywając na sofie, oglądał obraz z przyjemnością.

Siedem minut.

LeSeur zastąpił drogę zastępcy kapitana Mason, kiedy przechodziła przez zewnętrzną służbę bezpieczeństwa na mostek. Zatrzymała się, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy.

– Pani kapitan... – zaczął i głos mu się załamał.

Patrzyła na niego z nieprzeniknioną miną. Nadal wydawała się chłodna i opanowana, włosy miała schowane pod kapitańską czapkę, ani jeden kosmyk nie wystawał. Tylko oczy zdradzały głęboki niepokój.

Spojrzała przez wewnętrzną służbę w głąb mostku, szybkim, profesjonalnym rzutem oka odczytała bieżący status operacyjny i znowu przeniosła na niego wzrok.

– Chciał mi pan coś powiedzieć, panie LeSeur? – zapytała wystudiowanym, neutralnym tonem.

– Słyszała pani o ostatnim zabójstwie?

– Tak.

– Komodor Cutter nie zgadza się skrócić do St. John's. Utrzymujemy kurs na Nowy Jork. Sześćdziesiąt pięć godzin z okładem.

Mason milczała. LeSeur odwrócił się, żeby odejść, ale zatrzymała go jej dłoń na ramieniu. Poczul lekkie zdziwienie: nigdy jeszcze go nie dotykała.

– Oficerze LeSeur – powiedziała. – Chcę, żeby pan mi towarzyszył podczas rozmowy z komodorem.

– Odesłano mnie z mostku, sir.

– Przywracam pana na stanowisko. Proszę wezwać na mostek drugiego i trzeciego oficera oraz pana Halseya, szefa mechaników. Potrzebuję ich jako świadków.

LeSeurowi serce szybciej zabiło.

– Tak jest, sir.

W ciągu pięciu minut zebrał po cichu młodszych oficerów i razem z Halseyem wrócili na mostek. Mason spotkała ich w służbie bezpieczeństwa. Nad jej ramieniem LeSeur widział komodora, który nadal chodził tam i z powrotem przed ekranami. Jeszcze bardziej zwolnił krok i ustawiał jedną stopę przed drugą z męczącą precyzją, pochyliwszy głowę, ignorując wszystko i wszystkich. Na odgłos ich wejścia zatrzymał się wreszcie i podniósł wzrok. LeSeur wiedział, że Cutter musiał zobaczyć personel mostku ustawiony za nim w szeregu.

Wodniste oczy Cuttera przeskoczyły z Mason na LeSeura i z powrotem.

– Co tu robi pierwszy oficer, kapitanie? Odesłałem go.

– Kazałam mu wrócić na mostek, sir.

Zapadło długie milczenie.

– A tamci inni oficerowie?

– Im także kazałam tu przyjść.

Cutter dalej się w nią wpatrywał.

– Wykazuje pani niesubordynację, kapitanie.

Mason odpowiedziała dopiero po chwili:

– Panie komodorze, z całym szacunkiem proszę, żeby uzasadnił pan swoją decyzję, by utrzymać kurs na Nowy Jork, zamiast skręcić do St. John's.

Spojrzenie Cuttera stwardniało.

– Już to ustaliliśmy. Taka zmiana kursu jest niepotrzebna i pochojna.

– Proszę wybaczyć, sir, ale większość pańskich oficerów... dodam, że również delegacja prominentnych pasażerów... uważa inaczej.

– Powtarzam: wykazuje pani brak subordynacji. Niniejszym zwalniam panią ze stanowiska dowódcy. – Cutter odwrócił się do dwóch ochroniarzy pełniących straż przy śluzie. – Proszę wyprowadzić kapitan Mason z mostku.

Dwaj funkcjonariusze ochrony przystąpili do Mason.

– Pozwoli pani z nami, sir – powiedział jeden.

Mason ich zignorowała.

– Komodorze Cutter, nie widział pan tego, co ja... co my widzieliśmy. Na pokładzie tego statku znajduje się cztery tysiące trzystu przerażonych pasażerów i członków załogi. Ochrona nie jest w stanie opanować kryzysu takich rozmiarów, co pan Kemper sam przyznaje. A kryzys dalej narasta. Kontrola nad statkiem, czyli bezpieczeństwo, jest zagrożona. Nalegam, żebyśmy skrócili do najbliższego portu, czyli do St. John's. Każdy inny kurs narazi statek, co oznacza zaniedbanie obowiązków w świetle artykułu piątego Kodeksu Morskiego.

LeSeur ledwie oddychał. Czekał na wybuch wściekłości albo zimną odmowę w stylu kapitana Bligha. Zamiast tego Cutter zrobił coś nieprzewidzianego. Poszedł i oparł się o krawędź konsoli, rozluźniony, z założonymi rękami. Całe jego zachowanie się zmieniło.

– Kapitanie Mason, wszyscy jesteśmy trochę wytrąceni z równowagi. – Spojrzał na LeSeura. – Może udzieliłem panu zbyt pospiesznej odpowiedzi, panie LeSeur. Nie bez powodu statek ma dowódcę, którego rozkazów nie wolno kwestionować. Nie mamy czasu ani możliwości, żeby prowadzić dyskusje, spierać się, urządzać głosowania jak w komisji. Jednakże w danych okolicznościach



zamierzam wyjaśnić powody mojej decyzji. Wyjaśnię to raz i tylko raz. Spodziewam się – spojrzął na oficerów pokładowych oraz szefa mechaników i głos mu ponownie stwardniał – że mnie wysłuchacie. Wszyscy musicie przyjąć starą i uświęconą tradycję, która przyznaje dowódcy prawo do podejmowania decyzji na jego statku, nawet decyzji dotyczących spraw życia i śmierci jak obecnie. Jeśli się mylę, zajmiemy się tym po dopłynięciu do portu.

Wyprostował się.

– Do St. John’s dopłyniemy w dwadzieścia dwie godziny, ale tylko jeśli utrzymamy szybkość. Jeżeli skrećimy, skierujemy się w sam środek sztormu. Zamiast na fali nadażającej znajdziemy się na fali bocznej, a potem, kiedy minimy Grand Banks, na fali czołowej. Będziemy mieli szczęście, jeśli szybkość nie spadnie poniżej dwudziestu węzłów. Według tych obliczeń mamy trzydzieści dwie godziny do St. John’s, nie dwadzieścia dwie... i tylko wtedy, kiedy sztorm się nie pogorszy. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy dopłynęli do St. John’s po czterdziestu godzinach.

– To nadal cały dzień przewagi...

Dowódca podniósł rękę, twarz mu pociemniała.

– Przepraszam. Jednakże prosty kurs do St. John’s skieruje nas niebezpiecznie blisko do Eastern Shoal i Carrion Rocks. Będziemy musieli wykreślić kurs omijający te przeszkody, na czym stracimy co najmniej następną godzinę lub dwie. Czyli mamy czterdzieści dwie godziny. Na Grand Banks pełno jest statków rybackich, a niektóre większe pływające przetwórnice przeczekują sztorm na morzu, z rzuconymi kotwicami, unieruchomione, czyli we wszystkich spotkaniach będziemy statkiem ustępującym z drogi. Odliczając dwa węzły szybkości i uwzględniając pole manewru, tracimy następne kilka godzin. Chociaż mamy lipiec, sezon na góry lodowe się nie skończył i ostatnio doniesiono o aktywności lodu na obrzeżach Prądu

Labradorskiego, na północ od Eastern Shoal. Zatem do St. John's nie dopłyniemy w dwadzieścia dwie godziny... tylko w czterdzieści pięć.

Zrobił dramatyczną przerwę.

– *Britannia* stała się teraz miejscem zbrodni. Wszyscy pasażerowie i załoga są podejrzani. Gdziekolwiek przybijemy do portu, statek zostanie zatrzymany przez organa ścigania aż do zakończenia policyjnego badania statku oraz przesłuchań pasażerów i załogi. St. John's to małe, prowincjonalne miasteczko na wyspie na Atlantyku, z minimalnymi siłami policji oraz małym oddziałem Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. Nie dysponuje środkami wystarczającymi, żeby sprawnie i skutecznie zebrać dowody. *Britannia* może tkwić w St. John's tygodniami, nawet przez miesiąc albo dłużej, razem z załogą i mnóstwem pasażerów, przynosząc korporacji setki milionów dolarów straty. Tłumy ludzi z tego statku zaleją miasteczko.

Rozejrzał się po milczącej grupie, oblizał wargi.

– Natomiast w Nowym Jorku będzie można należycie przeprowadzić policyjne śledztwo. Pasażerowie będą narażeni na minimalne niewygody, a statek prawdopodobnie zostanie zwolniony po kilku dniach. Co najważniejsze, dochodzenie zostanie przeprowadzone przy użyciu najnowocześniejszych środków. Znajdą i ukarzą zabójcę. – Cutter powoli zamknął oczy i znowu je otworzył. Wyglądało to tak dziwnie, że LeSeura przeszły ciarki. – Ufam, że wyraziłem się jasno, kapitanie Mason?

– Tak – odparła Mason głosem zimnym jak lód. – Ale pozwoli pan, że zwrócę uwagę na fakt, który pan przeoczył, sir: zabójca uderzył cztery razy w ciągu czterech dni. Raz dziennie, jak w zegarku. Pańskie dodatkowe dwadzieścia cztery godziny do Nowego Jorku oznaczają jedną dodatkową ofiarę. Niepotrzebną ofiarę. Śmiertelną ofiarę, za którą pan będzie osobiście odpowiedzialny.

Zapadła przerażająca cisza.

– Jakże to ma znaczenie, że pasażerowie zostaną narażeni na niewygodę? – ciągnęła Mason. – Albo że statek utknie w porcie? Albo że korporacja straci miliony dolarów? Jakże to ma znaczenie, kiedy w grę wchodzi ludzkie życie?

– To prawda! – odezwał się LeSeur głośniejszym głosem, niż zamierzał.

Dźwięk własnego głosu wzbudził w nim odległe zdziwienie.

Ale miał już dosyć – dosyć zabijania, dosyć okrętowej biurokracji, dosyć wiecznego gadania o zyskach korporacji – i nie mógł się powstrzymać od mówienia.

– Tylko o to chodzi: o pieniądze. Tylko do tego wszystko się sprowadza. Ile pieniędzy straci korporacja, jeśli statek utknie w St. John's na parę tygodni. Zamierzamy ratować pieniądze korporacji czy ludzkie życie?

– Panie LeSeur – zaczął Cutter – odbiega pan od tematu...

Ale LeSeur nie dopuścił go do głosu.

– Proszę posłuchać: najnowsza ofiara to była niewinna szesnastoletnia dziewczyna, dziecko, na litość boską, podróżująca z dziadkami. Porwana i zamordowana! A gdyby to była pańska córka?

– Odwrócił się do pozostałych. – Pozwolimy, żeby to się powtórzyło? Jeżeli przyjmiemy kurs zalecany przez komodora Cuttera, prawdopodobnie skazemy następną istotę ludzką na straszną śmierć.

LeSeur widział, że młodsi oficerowie pokładowi twierdząco kiwają głowami. Korporacja nie cieszyła się sympatią; Mason trafiła w czuły punkt. Szef mechaników Halsey zachował nieodgadzioną minę.

– Komodorze, sir, nie pozostawia mi pan wyboru – odezwała się Mason cicho, ale żarliwie. – Albo zmieni pan kurs, albo będę zmuszona podjąć działania na podstawie artykułu piątego.

Cutter zmierzył ją wzrokiem.

– To byłoby wysoce niewskazane.

– Uważam to za ostateczność. Ale jeżeli nadal nie chce pan

posłuchać głosu rozsądku, nie pozostawia mi pan wyboru.

– Gównu prawda!

To przekleństwo, tak niezwykle w ustach komodora, wywołało falę wstrząsu na mostku.

– Komodorze? – zapytała Mason.

Cutter nie odpowiedział. Spoglądał przez okna mostku, wbijając wzrok w niewidoczny horyzont. Bezgłośnie poruszał ustami.

– Komodorze? – powtórzyła Mason.

Brak odpowiedzi.

– Dobrze. – Mason odwróciła się do zebranej grupki. – Jako zastępca dowódcy *Britannii* niniejszym powołuję się na artykuł piąty i oskarżam komodora Cuttera o zaniedbanie obowiązków. Kto mnie popiera?

LeSeurowi serce waliło tak mocno, jakby chciało wyrwać się z klatki żeber. Rozejrzał się dookoła, napotykając niepewne, pełne wahania spojrzenia pozostałych. Potem zrobił krok do przodu.

– Ja – powiedział.

Pendergast dalej patrzył na Braque'a. Drobne pytanie, doskwierająca wątpliwość, zakiełkowało na marginesie jego świadomości i stopniowo wypełniło pustkę, którą wytworzył w umyśle. Powoli przeobraziło się w świadomą myśl:

Coś było nie w porządku z tym obrazem.

Nie był falsyfikatem. Z pewnością był oryginalny, ten sam, który wystawiono u Christiego na Zimowej Aukcji przed pięcioma miesiącami. Niemniej coś nie pasowało. Po pierwsze, rama została zmieniona. Ale nie tylko...

Pendergast wstał z kanapy i podszedł do obrazu. Przysunął twarz kilka centymetrów do powierzchni, a potem cofnął się powoli, przez cały czas wyężając wzrok. Nagle go olśniło: brakowało fragmentu obrazu. Odcięto dwa do pięciu centymetrów po prawej stronie i co najmniej siedem z góry.

Stał bez ruchu i patrzył. Doskonale pamiętał, że obraz u Christiego został sprzedany nietknięty. To mogło znaczyć tylko jedno: Blackburn sam uszkodził obraz z jakiegoś powodu.

Pendergast wstrzymał oddech, rozważając ten dziwaczny fakt: kolekcjoner sztuki niszczy obraz, który kosztował go ponad trzy miliony dolarów.

Zdjął obraz ze ściany i odwrócił na drugą stronę. Płótno zostało

niedawno podklejone, jak można się spodziewać po obrazie, który przycięto, żeby zmniejszyć oryginalny rozmiar. Nachylił się, powąchał płótno i wyczuł kredowy zapach kleju stosowanego do podklejania. Bardzo świeży: na pewno nie sprzed pięciu miesięcy. Nacisnął paznokciem. Klej dopiero co wysechł. Obraz podklejono dzień albo dwa wcześniej.

Spojrzał na zegarek: pięć minut.

Szybko położył obraz licem do dołu na dywanie, wyjął z kieszeni scyzoryk, wsunął ostrze pomiędzy płótno a ramę i – z największą ostrożnością – nacisnął, odsłaniając wewnętrzny skraj płótna. Ciemny, luźny skrawek starego jedwabiu przykuł jego spojrzenie.

Podklejka była fałszywa, coś pod nią schowano. Coś tak cennego, że Blackburn pociął obraz wart trzy miliony dolarów, żeby to ukryć.

Pendergast szybko obejrzał fałszywą podklejkę. Usztywniało ją płótno napięte na ramie. Powoli, ostrożnie podważył płótno z jednej strony, oddzielił od ramy i obluzował podklejkę. Powtórzył tę czynność z trzech pozostałych stron. Dwoma palcami ujął luźne rogi podklejki i odwinął.

Pomiędzy fałszywą a prawdziwą podklejką ukryto malowidło na jedwabiu, zasłonięte luźnym kawałkiem tkaniny. Pendergast odsunął je na odległość ramienia, potem położył na dywanie i zdjął jedwabną zasłonę.

Przez chwilę miał pustkę w głowie. Zupełnie jakby nagły podmuch wiatru wywiał mu ciężki osad z mózgu, pozostawiając krystaliczną czystość. Obraz odtworzył się w jego świadomości, kiedy powróciły procesy myślowe. Była to bardzo stara tybetańska mandala o niezwykłym, niepojętym, wręcz niewyobrażalnym stopniu skomplikowania. Fantastycznie, szaleńczo zawily splot, skrócone geometryczne wzory obramowane srebrem i złotem, niepokojąca, rozsypująca się paleta barw na tle kosmicznej czerni. Wyglądała

niemal jak galaktyka z miliardami gwiazd, które krążą wokół wirującej osobliwości o najwyższej gęstości i mocy...

Pendergast poczuł, że coś nieodparcie przyciąga jego spojrzenie do osobliwości w centrum tego niesamowitego wzoru. Spojrzał tam i już nie mógł oderwać oczu. Uczynił drobny wysiłek, potem większy, zdumiewając się potęgą obrazu, który zniewolił jednocześnie jego umysł i wzrok. To stało się tak nagle, tak podstępnie, że nie zdążył się przygotować. Czarna dziura w centrum mandali wydawała się żywa, pulsowała, pęczniała odrażająco, rozwierała się niczym jakiś plugawy anatomiczny otwór. Miał wrażenie, że pośrodku jego czoła otwarła się podobna dziura, że niezliczone miliony wspomnień, doświadczeń, opinii i przekonań, tworzących jego wyjątkową osobowość, zostały jakoś zmienione, przenicowane; że sama jego dusza została wyciągnięta z ciała i wessana przez mandalę, w której stał się mandalą, a mandala stała się nim. Jakby przeszedł transfigurację w metafizyczne ciało oświeconego Buddy... tylko że to nie był Budda.

To była czysta, nieodparta, nieubłagana zgroza.

To była jakaś inna uniwersalna istota, anty-Budda, fizyczna manifestacja czystego zła. I była tutaj, z nim, w tym obrazie. W tym pokoju...

I w jego głowie...

Dźwięk głosu LeSeura zamarł na mostku, zagłuszony przez wycie wiatru i bębnienie deszczu o szyby, elektroniczne ćwierkanie ECDIS i popiskiwanie radaru, powtarzającego swój cykl.

Nikt się nie odzywał. LeSeur poczuł nagły przypływ paniki. Wyrwał się z bezpiecznej anonimowości, stanął na ubitej ziemi obok Mason. Właśnie popełnił gwarantowane zawodowe samobójstwo.

W końcu oficer wachtowy wystąpił do przodu – szorstki marynarz w dawnym stylu. Oczy miał spuszczone, dłonie zacisnął na mundurze, jakby z trudem zdobył się na odwagę. Odchrząknął i zaczął mówić:

– Dowódca przede wszystkim odpowiada za życie ludzi na statku... załogi i pasażerów.

Cutter patrzył na niego, pierś mu się wznosiła i opadała.

– Jestem z panią, kapitanie Mason. Musimy doprowadzić ten statek do portu.

W końcu podniósł oczy na Cuttera. Kapitan odwzajemnił mu się spojrzeniem wyrażającym taką wściekłość, jakby zadał mu fizyczny cios. Oficer wachtowy ponownie spuścił oczy – ale się nie cofnął.

Teraz wystąpił drugi oficer, a za nim dwaj młodszy oficerowie. Halsey, szef mechaników, dołączył do nich bez słowa. Stali zbitą grupką pośrodku mostku, niepewni, zdenerwowani, unikając morderczego spojrzenia komodora. Kemper, szef ochrony, nie ruszył



się z miejsca; na jego mięsistej twarzy malowało się napięcie.

Kapitan Mason odwróciła się do niego i przemówiła zimnym, rzeczowym tonem:

– To jest legalne działanie na mocy artykułu piątego. Potrzebujemy pańskiej zgody, panie Kemper. Musi pan podjąć decyzję... teraz. Jeśli nie opowie się pan za nami, to znaczy, że bierze pan stronę komodora. W takim wypadku popłyniemy dalej do Nowego Jorku... a na pana spadnie odpowiedzialność za skutki.

– Ja... – zaskrzeczał Kemper.

– To jest bunt – oświadczył Cutter chropawym głosem, w którym zabrzmiała groźba. – Zwyczajny bunt. Jeśli się do tego przyłączysz, Kemper, zostaniesz oskarżony o bunt na pełnym morzu, czyli przestępstwo kryminalne. Dopilnuję, żebyś dostał najwyższy wymiar kary. Nigdy więcej nie postawisz stopy na pokładzie statku, póki żyjesz. To dotyczy również pozostałych.

Mason zrobiła krok w stronę Kempera i jej głos nieco złagodniał.

– Nie z własnej winy znalazł się pan między młotem a kowadłem. Z jednej strony, możliwe oskarżenie o bunt. Z drugiej, możliwe oskarżenie o zbrodnicze zaniedbanie. Życie jest ciężkie, panie Kemper. Niech pan wybiera.

Szef ochrony dyszał tak ciężko, że prawie hiperwentylował. Przenosił wzrok z Cuttera na Mason i z powrotem, jakby szukał wyjścia. Nie znalazł. Wyrzucił z siebie pospiesznie:

– Musimy jak najszybciej zawinąć do portu.

– To jest opinia, nie deklaracja – chłodno wytknęła mu Mason.

– Ja... jestem z panią.

Mason spojrzała bystro na komodora.

– Pani przynosi hańbę temu mundurowi i tysiącletniej marynarskiej tradycji! – ryknął Cutter. – To się nie uda!

– Komodorze Cutter – oznajmiła Mason – niniejszym jest pan

zwolniony z dowództwa na mocy artykułu piątego Kodeksu Morskiego. Dam panu jedną szansę, żeby zszedł pan z mostku z godnością. Potem każę pana usunąć.

– Ty... ty jędzo! Jesteś żywym dowodem, że dla kobiet nie ma miejsca na mostku!

Cutter natarł na nią z nieartykułowanym rykiem i złapał ją za kłapy munduru, zanim dwaj ochroniarze go odciągnęli. Przeklinał, szarpał się i ryczał jak niedźwiedź, kiedy obalili go na ziemię, przytrzymali i skuli kajdankami.

– Bura suka! Żeby cię diabli wzięli!

Wezwano więcej ochroniarzy z najbliższego pododdziału, którzy z trudem obezwładnili komodora. Potem wywlekli go do zejściówki, podczas gdy on grzmiącym głosem ciskał przekleństwa i pogróżki. W końcu zapadła cisza.

LeSeur spojrzął na Mason i ze zdumieniem dostrzegł na jej zarumienionej twarzy wyraz źle maskowanego triumfu. Zerknęła na zegarek.

– Zapiszę w dzienniku pokładowym, że dowództwo *Britanii* zostało przeniesione z komodora Cuttera na zastępcę kapitana Mason o dziesiątej pięćdziesiąt czasu Greenwich. – Odwróciła się do Kempera. – Panie Kemper, potrzebne mi są wszystkie klucze, hasła i kody autoryzacji do systemów elektronicznych i zabezpieczających statku.

– Tak jest, sir.

Odwróciła się do nawigatora.

– A teraz, za pozwoleniem, proszę zredukować prędkość do dwudziestu czterech węzłów i wyznaczyć kurs na St. John's na Nowej Fundlandii.

Drzwi otworzyły się cicho. Constance podniosła się z sofy i gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Pendergast wśliznął się do pokoju, pomaszerował do barku, wyjął butelkę i obejrzał etykietkę. Wyciągnął korek z cichym pyknięciem, wziął kieliszek i niedbale nalał sobie sherry. Zabrał kieliszek i butelkę, usiadł na sofie, postawił butelkę na bocznym stoliku i rozparł się wygodnie, badając pod światło kolor wina.

– Znalazłeś? – zapytała Constance.

Kiwnął głową, wciąż oglądając kolor sherry, po czym odstawił kieliszek.

– Sztorm się wzmaga – oznajmił.

Constance spojrzała w stronę oszklonych drzwi balkonowych, zbrzyganych strzępkami piany. Padało tak ulewnie, że nie widziała morza, tylko płachtę szarości przechodzącą w czerń.

– No więc? – Próbowała ukryć podniecenie w głosie. – Co to było?

– Stara mandala. – Nalał sherry do drugiego kieliszka i wyciągnął go do Constance. – Przyłączysz się?

– Nie, dziękuję. Jakiego rodzaju mandala? Gdzie była ukryta? – Jego opanowanie mogło doprowadzić do szału.

Pendergast pociągnął długi, niespieszny łyk i odetchnął głęboko.

– Nasz człowiek schował ją za obrazem Braque’a. Przyciął obraz

i na nowo rozpiął na ramie, żeby schować pod nim Agozyena. Przepiękny Braque z wczesnego kubistycznego okresu... całkowicie zniszczony. Wstyd i hańba. Poza tym ukrył go niedawno. Widocznie dowiedział się o pokojówce, która oszalała po sprzątaniu jego apartamentu... i może wiedział nawet o moim zainteresowaniu. Widocznie uważał, że mandala nie jest dość bezpieczna w sejfie... nie bez powodu, jak się okazało. Albo po prostu chciał ją mieć pod ręką przez cały czas.

– Jak ona wygląda?

– Mandala? Zwykły czterostronny układ przeplatających się kół i kwadratów, wykonany w starożytnym stylu Kadampa, zdumiewająco skomplikowany... ale interesujący chyba tylko dla kolekcjonerów albo przesądnych tybetańskich mnichów. Constance, usiądź z łaski swojej. Nie wypada rozmawiać na siedząco z kimś, kto stoi nad tobą.

Constance usiadła posłusznie.

– To wszystko? Tylko stara mandala?

– Jesteś rozczarowana?

– Jakoś myślałam, że szukamy czegoś niezwykłego. Może nawet... – Zawahała się. – Nie wiem. Czegoś posiadającego niemal nadprzyrodzoną moc.

Pendergast zachichotał ironicznie.

– Obawiam się, że potraktowałaś nauki w Gsalrig Chongg odrobinę zbyt dosłownie.

Znowu łyknął sherry.

– Gdzie ona jest?

– Na razie zostawiłem ją *in situ*. U niego jest bezpieczna i teraz znamy schowek. Odbierzemy ją na końcu podróży, w ostatniej chwili, żeby nie zdążył zareagować.

Constance oparła się wygodniej.

– Jakoś nie mogę w to uwierzyć. Po prostu obraz *tangka*.

Pendergast znowu spojrzął pod światło na sherry.

– Nasze skromne zadanie *pro bono* jest prawie skończone. Pozostaje tylko kwestia uwolnienia Blackburna od bezprawnie nabytych dóbr, a jak wspomniałem, to drobiazg. Dopracowałem już większość szczegółów. Mam tylko nadzieję, że nie będziemy musieli go zabić, chociaż nie uznałbym tego za wielką stratę.

– Zabić go? Dobry Boże, Aloysius, za nic nie chciałabym do tego dopuścić.

Pendergast uniósł brwi.

– Doprawdy? Myślałem, że już do tego przywykłaś.

Constance spojrzała na niego zaczerwieniona.

– O czym ty mówisz?

Pendergast uśmiechnął się i znowu spuścił wzrok.

– Wybacz, Constance: zachowałem się nietaktownie. Nie, nie zabijemy Blackburna. Znajdziemy inny sposób, żeby mu odebrać tę kosztowną zabawkę.

Zapadło długie milczenie. Pendergast sącył sherry.

– Słyszałaś plotki o buncie? – zagadnęła Constance.

Pendergast chyba nie słyszał.

– Maria właśnie mi powiedziała. Podobno zastępca kapitana przejęła dowodzenie i teraz płyniemy do Nowej Fundlandii zamiast do Nowego Jorku. Na statku wybuchła panika. Wprowadzili godzinę policyjną i ogłoszą ważny komunikat przez system głośników w południe, czyli... – spojrzała na zegarek – za godzinę.

Pendergast odstawił pusty kieliszek i wstał.

– Jestem trochę zmęczony. Chyba powinienem odpocząć po tylu wysiłkach. Zechcesz dopilnować, żebym dostał śniadanie o trzeciej, kiedy się obudzę? Jajka po benedyktyńsku i zielona herbata hojicha, świeże i gorące.

Nie mówiąc nic więcej, ruszył po schodach do swojej sypialni. Po chwili drzwi zamknęły się za nim i cicho szcęknął zatrzaskiwany zamek.

LeSeur od godziny pełnił popołudniową wachtę. Stał przy zintegrowanej stacji komputerowej na mostku, przed olbrzymim zestawem chartplotterów[24] ECDIS i nakładek radarowych, śledząc drogę statku, który przecinał Grand Banks na kursie do St. John's. Na morzu nie było ruchu – zaledwie kilka dużych statków przeczekiwało sztorm – więc szybko posuwali się naprzód.

Od czasu zmiany dowództwa na mostku panowała upiorna cisza. Kapitan Mason wydawała się przytłoczona ciężarem nowej odpowiedzialności. Nie opuściła mostku, odkąd odebrała Cutterowi dowodzenie, i LeSeur podejrzewał, że pozostanie tutaj, dopóki statek nie zawinie do portu. Zwiększyła stan gotowości do poziomu drugiego kodu ISPS. Potem usunęła z mostku wszystkie niepotrzebne osoby, zostawiła tylko oficera wachtowego, sternika i pojedynczego obserwatora. LeSeur aż się zdziwił, jaka to była słuszna decyzja: stworzyła oazę spokoju, skupienia, nieosiągalną na licznie obsadzonym mostku.

Zastanawiał się, jak korporacja potraktuje artykuł piąty i jak to wpłynie na jego karierę. Bez wątplenia niekorzystnie. Pocięsział się, że nie miał wyboru. Postąpił właściwie i tylko to się liczyło. Tylko tyle mógł zrobić w życiu. Nie od niego zależało, jak to przyjmą inni.

Doświadczone oko LeSeura wędrowało po wielkich ekranach:

Trimble NavTrac i Northstar 94IX DGPS, cztery różne zestawy elektronicznych map, żyroskop, radar, logi, loran[25] i głębokościomierz. Oficer nawigacyjny sprzed dziesięciu lat prawie nie poznałby mostku. Ale po jednej stronie, na stole nawigacyjnym, LeSeur wciąż wykreślał kurs statku staroświeckim sposobem na papierze, używając kompletu pięknych mosiężnych instrumentów nawigacyjnych, linijek i cyrkli podarowanych mu przez ojca. Od czasu do czasu nawet wykonywał pomiar wysokości Słońca albo innej gwiazdy dla ustalenia pozycji. Niepotrzebnie to robił, ale dzięki temu odczuwał żywotną więź z wielkimi tradycjami swojego zawodu.

Spojrzał na odczyty prędkości i kursu. Statek płynął na autopilocie, jak zwykle, i LeSeur musiał przyznać, że *Britannia* radzi sobie wyjątkowo dobrze, pomimo dziesięciometrowej fali bocznej i porywistego wiatru, osiągającego od czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu węzłów. Owszem, odczuwał dość nieprzyjemne, powolne, korkociągowe kołysanie, ale wyobrażał sobie, o ile gorzej mogło huśtać na mniejszym statku. *Britannia* robiła dwadzieścia dwa węzły, lepiej, niż się spodziewał. Dopłyną do St. John's za niecałe dwadzieścia godzin.

Odetchnął z ulgą, kiedy Mason po cichu przejęła władzę. W południowym komunikacie nadanym na całym statku przez system głośników oznajmiła spokojnie, że komodor został zwolniony ze stanowiska i ona objęła dowodzenie. Kojącym, zrównoważonym głosem wyjaśniła, że wprowadziła stan alarmowy poziom dwa kodu ISPS i że statek zbacza do najbliższego portu. Prosiła pasażerów, żeby dla własnego bezpieczeństwa spędzali większość czasu w swoich kabinach. Ostrzegała, żeby na posiłki wychodzili w grupach lub parami.

LeSeur zerknął na radar ARPA. Na razie nieźle. Ani śladu lodu, a te kilka statków, które zostały na Banks, leżały daleko od ich kursu.



Dotknął przycisku ECDIS i zmienił skalę na dwadzieścia cztery mile. Zbliżali się do punktu zwrotnego, gdzie autopilot wprowadzi poprawkę kursu, żeby ominąć Carrion Rocks od nawietrznej. A dalej już prosta droga do zatoki St. John's.

Na mostku pojawił się Kemper.

– Jak sytuacja na pokładach pasażerskich? – zapytał LeSeur.

– Jak można się spodziewać, sir. – Zawahał się. – Zawiadomiłem korporację o zmianie dowództwa.

LeSeur przełknął ślinę.

– I?

– Dużo krzyku, ale na razie brak oficjalnej reakcji. Wysłali delegację oficjeli, żeby czekała na nas w St. John's. Najbardziej się boją rozgłosu. Kiedy prasa coś zwęszy... – Urwał i pokręcił głową.

Miękki gong chartplottera ogłosił, że osiągnięto punkt zwrotny. Kiedy autopilot korygował dotychczasowy kurs, LeSeur poczuł leciutką wibrację; statek ustawił się pod nieco innym kątem do fali i kołysanie wzrosło.

– Nowy namiar dwa dwa zero – mruknął LeSeur do zastępcy kapitana.

– Nowy namiar przyjęty, dwa dwa zero.

Wiatr tłukł w okna mostku. LeSeur widział tylko dziobówkę na wpół ukrytą we mgle, a dalej bezkresną szarość.

Mason odwróciła się.

– Panie LeSeur?

– Tak, pani kapitan?

Zniżyła głos.

– Martwię się o pana Craika.

– Oficera radiowego? Dlaczego?

– Nie jestem pewna, czy sobie radzi z sytuacją. Chyba zamknął się na klucz w kabinie radiowej.

Wskazała drzwi w głębi mostku. LeSeur zdziwił się: rzadko widywał je zamknięte.

– Craik? Nawet nie wiedziałem, że jest na mostku.

– Muszę mieć pewność, że wszyscy oficerowie pokładowi działają jako zespół – ciągnęła Mason. – Mamy sztorm, i ponad cztery tysiące przerażonych pasażerów i członków załogi, czekają nas ciężkie chwile, kiedy dobijemy do St. John's. Nie możemy sobie pozwolić na żadne wątpliwości czy sprzeczności wśród oficerów pokładowych. Nie teraz.

– Tak jest, sir.

– Potrzebuję pańskiej pomocy. Zamiast robić z tego wielką aferę, wolałabym porozmawiać po cichu z panem Craikiem... w cztery oczy. Może uważał, że pan i inni wywieracie na niego presję.

– To chyba mądre podejście, sir.

– Statek płynie na autopilocie, zostały jeszcze cztery godziny do Carrion Rocks. Chciałabym, aby wszyscy opuścili mostek, żebym mogła spokojnie porozmawiać z Craikiem. Szczególnie zależy mi na nieobecności pana Kempera.

LeSeur się zawahał. Stałe zalecenia wymagały obecności na mostku minimum dwóch oficerów.

– Tymczasowo przejmę wachtę – podjęła Mason. – A Craika można uznać za drugiego oficera na mostku... więc nie naruszymy przepisów.

– Tak, sir, ale w warunkach sztormu...

– Rozumiem pańską niechęć – powiedziała Mason. – Proszę tylko o pięć minut. Nie chcę, żeby pan Craik pomyślał, że wszyscy są przeciwko niemu. Szczerze mówiąc, trochę się obawiam o jego równowagę emocjonalną. Niech pan to załatwi po cichu i nie mówi nikomu dlaczego.

LeSeur kiwnął głową.

– Tak jest, sir.

– Dziękuję, panie LeSeur.

LeSeur podszedł do obserwatora.

– Proszę ze mną na chwilę. – Skinął na sternika. – Pan też.

– Ale...

– Rozkazy kapitana.

– Tak jest, sir.

LeSeur podszedł do Kempera.

– Kapitan przejmuje wachtę na kilka minut. Chce, żebyśmy opuścili mostek.

Kemper spojrzał na niego ostro.

– Dlaczego?

– Rozkazy – odparł LeSeur tonem, który powinien zniechęcić do zadawania dalszych pytań.

Spojrzał na zegarek: pięć minut i odliczanie trwa. Wszyscy wycofali się do zejściówki tuż za lukiem mostku i LeSeur zamknął drzwi, ale uważał, żeby się nie zatrzasnęły.

– O co tu chodzi? – zapytał Kemper.

– Sprawy statku – wyjaśnił LeSeur jeszcze bardziej surowym tonem.

Stali w milczeniu. LeSeur spojrzał na zegarek. Jeszcze dwie minuty.

Na drugim końcu zejściówki otworzyły się drzwi i ktoś wszedł. LeSeur wytrzeszczył oczy: to był Craik.

– Myślałem, że pan jest w kabinie radiowej – powiedział.

Craik popatrzył na niego jak na idiotę.

– Właśnie zgłaszam się na dyżur, sir.

– Ale kapitan Mason...

Przerwał mu niski dźwięk alarmu i migające czerwone światło. Seria cichych szcęknięć przebiegła po obwodzie luku mostku.

– Co jest, do cholery? – zapytał sternik.

Kemper zagapił się na migającą czerwoną lampkę nad drzwiami.

– Chryste, ktoś zainicjował poziom trzeci kodu ISPS!

LeSeur chwycił klamkę i próbował ją przekreślić.

– Zamyka się automatycznie w razie alarmu – oznajmił Kemper. –

Odcina mostek.

LeSeur poczuł, że krew mu zastyga w żyłach: na mostku została tylko kapitan Mason. Podszedł do interkomu.

– Pani kapitan, mówi LeSeur.

Brak odpowiedzi.

– Kapitanie Mason! To jest alarm poziomu trzeciego. Niech pani otworzy!

Ale znowu nie otrzymał odpowiedzi.

O wpół do drugiej Roger Mayles prowadził grupę zrządzających pasażerów z pokładu dziesiątego na ostatnią turę lunchu w Oscarze. Przez ponad godzinę odpowiadał na pytania – a raczej wykręcał się od odpowiedzi – co się stanie, kiedy dopłyną do Nowej Fundlandii; jak wrócą do domu; czy dostaną odszkodowania. Nikt nie raczył mu udzielić żadnych informacji, nic nie wiedział, nic nie mógł wyjaśnić – a jednak żądano od niego zapewnień o „bezpieczeństwie”, cokolwiek to znaczyło.

Nigdy jeszcze coś takiego go nie spotkało. W życiu na statku najbardziej podobała mu się przewidywalność. Ale w tym rejsie niczego nie dało się przewidzieć. A teraz czuł, że grozi mu załamanie.

Maszerował korytarzem z grymasem uśmiechu zastygłym na twarzy. Pasażerowie za jego plecami rozmawiali podniesionymi, płaczliwymi głosami o tych samych męczących sprawach, które wałkowali przez cały dzień: pozwach, odszkodowaniach, powrocie do domu. Idąc, czuł powolne kołysanie statku i odwracał oczy od szerokich okien sterburty, ciągnących się po jednej stronie korytarza. Rzygać mu się chciało od tego deszczu, wycia wiatru, głuchego łomotu fal o kadłub statku. W gruncie rzeczy bał się morza – od zawsze – i nigdy nie lubił patrzeć na wodę z pokładu, nawet przy ładnej pogodzie, bo zawsze wydawało się takie zimne i głębokie.

I bezkresne – takie bezkresne. Odkąd zaczęły się zaginięcia, prześladował go koszmarny sen, że spada w nocy do czarnego Atlantyku, młóci wodę i patrzy, jak światła statku znikają we mgle. Za każdym razem budził się w skotłowanej pościeli, skowycząc ze strachu.

Nie wyobrażał sobie gorszej śmierci.

Jeden z mężczyzn idących za nim przyspieszył kroku.

– Panie Mayles?

Obejrzał się, nie zwalniając, jeszcze bardziej rozciągając wargi w uśmiechu.

– Tak, panie...?

– Wendorf. Bob Wendorf. Słuchaj pan, mam ważne spotkanie w Nowym Jorku piętnastego. Chcę wiedzieć, jak się dostaniemy z Nowej Fundlandii do Nowego Jorku.

– Panie Wendorf, kompania na pewno coś załatwi.

– Do cholery, to żadna odpowiedź! I jeszcze jedno: jeśli pan myśli, że popłyniemy statkiem do Nowego Jorku, to pan się grubo myli. W życiu więcej nie postawię nogi na statku. Chcę wracać samolotem, pierwszą klasą.

Pomruk zgody przeszedł przez szeregi z tyłu. Mayles zatrzymał się i odwrócił.

– Tak się składa, że kompania już organizuje przeloty.

O niczym takim nie wiedział, ale w tej chwili gotów był powiedzieć wszystko, byle się odczepić od tych tłumoków.

– Dla trzech tysięcy pasażerów? – Kobieta z pierścionkami na wszystkich kościstych palcach przepchnęła się do przodu, wymachując rękami upstrzonymi przez plamy wątrobowe.

– W St. John's jest międzynarodowe lotnisko.

Czyżby? Mayles nie miał pojęcia.

Kobieta drażyła dalej głosem jak piła mechaniczna:

– Szczerze mówiąc, uważam ten brak informacji za niedopuszczalny. Zapłaciliśmy dużo pieniędzy za ten rejs. Mamy prawo wiedzieć, co się dzieje!

Masz prawo dostać kopa w obwisły tyłek, paniusiu. Mayles dalej się uśmiechał.

– Kompania...

– Co ze zwrotem kosztów? – wtrącił inny głos. – Chyba nie sądzicie, że zapłacimy za takie traktowanie...!

– Kompania zajmie się wszystkimi – zapewnił Mayles. – Proszę o cierpliwość.

Odwrócił się szybko, żeby uniknąć dalszych pytań – i wtedy to zobaczył.

Coś; jakiś stwór przypominający gęsty kłąb dymu, na zakręcie korytarza. Zbliżał się do nich mdlącym, kołyszącym ruchem. Mayles zamarł i wytrzeszczył oczy. Stwór wyglądał jak czarna, trująca mgła, ale mgła mająca fakturę, jakby tkanina, niewyraźna, nieokreślona, ciemniejsza w środku, z nikłymi, opalizującymi przebłyskami brudnej fluorescencji. Po powierzchni przesuwaly się i zanikały wybrzuszenia podobne do napiętych mięśni.

Mayles nie mógł się poruszyć, nie mógł wydobyć z siebie głosu. Więc to prawda, pomyślał. Ale to niemożliwe. Niemożliwe...

Stwór sunął ku niemu, wijąc się i kołysząc, jakby kierowany złowrogim zamiarem. Grupa zatrzymała się za jego plecami; jakaś kobieta wydała zdławiony okrzyk.

– Co do cholery? – zapytał ktoś.

Cofnęli się i zbili w ciasną grupkę. Kilka osób krzyknęło ze strachu. Mayles nie mógł oderwać oczu od stwora.

– To jakieś naturalne zjawisko – oznajmił głośno Wendorf, jakby sam siebie chciał przekonać. – Jak piorun kulisty.

Stwór posuwał się przez korytarz nieregularnym ruchem, zbliżał się

coraz bardziej.

– O mój Boże!

Roger Mayles zarejestrował za plecami powszechny bezładny odwrót, który szybko przerodził się w paniczną ucieczkę. Zmieszany gwar krzyków i wrzasków ucichł w oddali. Roger wciąż nie mógł się ruszyć. On jeden pozostał przykuty do miejsca.

Zobaczył coś w środku nadciągającego stwora. Jakaś sylwetkę, przysadzistą, brzydką, drapiezną, z szaleńczo latającymi oczami...

Nie, nie, nie, nie, nieeeee...

Żałosny skowyt wyrwał się z ust Maylesa. Kiedy stwór się zbliżył, Mayles poczuł tchnienie wilgoci i pleśni, fetor brudu i gnijących muchomorów... Skowyt w jego gardle zamarł, zdławiony bulgotliwą falą śluzu, kiedy stwór przemknął obok niego, nie patrząc na niego, nie widząc go, niczym powiew piwnicznej stęchlizny.

Potem Mayles leżał na podłodze i patrzył w górę, na ochroniarza trzymającego szklankę wody.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale tylko powietrze wypłynęło z westchnieniem spomiędzy jego strun głosowych.

– Panie Mayles – powiedział ochroniarz. – Nic się panu nie stało?

Wydał odgłos jak przekłute miechy.

– Panie Mayles, sir?

Przełknął ślinę, poruszył lepkimi wargami.

– To... było... tu.

Silne ramię sięgnęło w dół, chwyciło go za marynarkę i podciągnęło do pozycji siedzącej.

– Pańska grupa przebiegła obok mnie galopem, w stanie hysterii. Cokolwiek widzieliście, już tego nie ma. Przeszukaliśmy wszystkie przyległe korytarze. Nic tam nie ma.

Mayles pochylił się do przodu, przełknął ślinę ze wstrętem, a potem – jakby chciał uwolnić się od obecności tego stwora – zwymiotował



na złocistą, puszystą dywanową wykładzinę.

– Kapitanie Mason! – LeSeur mocno dźgnął palcem guzik interkomu. – Mamy alert kod trzy. Proszę odpowiedzieć!

– Panie LeSeur – odezwał się Kemper – ona doskonale wie, że mamy kod trzy. Sama go aktywowała.

LeSeur odwrócił się i wytrzeszczył oczy.

– Jest pan pewien?

Kemper przytaknął.

Pierwszy oficer znowu odwrócił się do luku.

– Kapitanie Mason! – wrzasnął do interkomu. – Nic się pani nie stało?

Brak odpowiedzi. LeSeur walnął pięścią w drzwi.

– Mason!!!

Obrócił się do Kempera.

– Jak się tam dostać?

– To niemożliwe – odparł szef ochrony.

– Akurat! Gdzie jest awaryjne sterowanie ręczne? Coś się stało pani kapitan!

– Mostek jest wzmocniony całkiem jak kokpit samolotu. Kiedy alert zostaje uruchomiony od wewnątrz, zamyka mostek. Całkowicie. Nikt się tam nie dostanie... chyba że ktoś w środku go wpuści.

– Musi być jakieś ręczne sterowanie!

Kemper pokręcił głową.

– Nie ma niczego takiego, żeby terroryści nie mogli wejść.

– Terroryści? – LeSeur popatrzył na Kempera z niedowierzaniem.

– Właśnie. Nowe przepisy ISPS wymagają wszelkich antyterrorystycznych środków na pokładzie statku. Największy na świecie oceaniczny liniowiec... to oczywisty cel. Nie uwierzy pan, jakie systemy antyterrorystyczne mamy na pokładzie. Zareczam, że nie dostanie się pan do środka... nawet za pomocą dynamitu.

LeSeur bezwładnie osunął się na drzwi. Nic nie rozumiał. Czy Mason dostała ataku serca? Straciła przytomność? Rozejrzył się po zmieszanych, zaniepokojonych twarzach. Wszyscy patrzyli na niego, oczekując poleceń, wskazówek.

– Proszę za mną na mostek pomocniczy – powiedział. – Tam zobaczymy na monitorach, co się dzieje.

Przebiegł przez zejściówkę na czele grupy i otworzył drzwi prowadzące do służbowych schodów. Biorąc po trzy metalowe stopnie naraz, zbiegł na niższy pokład, szarpnął następne drzwi i popędził korytarzem, obok marynarza z mopem, do luku pomocniczego mostku. Na widok wchodzącej grupy ochroniarz pilnujący monitorów telewizji wewnętrznej ze zdziwieniem podniósł wzrok.

– Przełącz na kamery z mostku – rozkazał LeSeur. – Wszystkie.

Strażnik wpisał kilka poleceń na klawiaturze i natychmiast na małych ekranach, umieszczonych w rzędzie, pojawiło się kilka różnych widoków mostku.

– Widzę ją! – zawołał LeSeur i prawie osłabł z ulgi.

Kapitan Mason stała przy sterze, plecami do kamery, równie spokojna i opanowana jak wtedy, kiedy ją zostawił.

– Dlaczego nas nie słyszała przez radio? – zapytał. – Ani pukania?

– Słyszała – odparł Kemper.

– Więc dlaczego...?

LeSeur urwał. Wyćwiczonymi zmysłami marynarza wyczuł nieznaczną zmianę wibracji potężnego statku, zmianę kąta fali. Statek skręcał.

– Co do diabła?

Jednocześnie nastąpiło charakterystyczne drżenie, kiedy silniki statku zwiększyły prędkość – znacznie zwiększyły.

Lodowaty węzeł zacisnął się w piersi pierwszego oficera. LeSeur spojrział na wskaźniki kursu i szybkości. Grupy cyfr przewijały się, aż znieruchomiały na nowym kierunku. Kurs rzeczywisty dwieście stopni, szybkość stopniowo wzrasta.

Kurs rzeczywisty dwieście stopni... LeSeur szybko zerknął na chartplotter działający na sąsiednim płaskim ekranie. Wszystko tam było, we wspaniałych kolorach, mały symbol statku, prosta linia kursu, ławice i skały Grand Banks.

Kolana się pod nim ugięły.

– O co chodzi? – zapytał Kemper, przyglądając się twarzy LeSeura. Potem podążył wzrokiem za spojrzeniem pierwszego oficera... do chartplottera.

– Co...? – zaczął znowu. – O mój Boże. – Zagapił się na wielki ekran. – Chyba pan nie myśli...?

– Co jest? – zapytał Craik, który właśnie wszedł.

– Kapitan Mason zwiększyła szybkość do maksymalnej – oznajmił LeSeur głosem, który zabrzmiał głucho w jego własnych uszach. – I zmieniła kurs. Kierunek prosto na Carrion Rocks.

Odwrócił się znowu do monitorów wewnętrznej telewizji pokazujących kapitan Mason przy sterze. Lekko przechyliła głowę, tak że widział jej profil i dostrzegął leciutki uśmiech błędzący po jej wargach.

W korytarzu na zewnątrz Lee Ng przerwał zmywanie linoleum, żeby

lepiej słyszeć. Działo się coś wielkiego, ale głosy nagle ucichły. W każdym razie na pewno źle zrozumiał. Problemy językowe – chociaż pilnie się uczył, jego angielski wciąż pozostawiał wiele do życzenia. Trudno jest się nauczyć nowego języka w wieku sześćdziesięciu lat. No i te wszystkie marynarskie terminy, nawet nie wymienione w jego tanim wietnamsko-angielskim słowniku.

Znowu popchnął mopa. Ciszę za uchylonymi drzwiami pomocniczego mostku teraz zastąpiły podniesione głosy. Gadające jeden przez drugiego. Lee Ng przysunął się bliżej ze spuszczoną głową, zataczając mopem szerokie półokręgi i słuchając uważnie. Głosy brzmiały donośnie, nagłaco, i teraz zaczął rozumieć, że jednak się nie przesłyszał.

Rączka mopa z brzękiem upadła na podłogę. Lee Ng zrobił krok do tyłu, potem drugi. Odwrócił się, zaczął iść, a potem puścił się biegiem. Podczas wojny bieg niejedną raz uratował mu życie w rozpaczliwych sytuacjach. Ale nawet biegnąc, wiedział, że to nie wojna; nie ma żadnego schronienia, żadnej bezpiecznej ściany dżungli za ostatnim polem ryżowym.

To jest statek. Nie ma dokąd uciekać.

Constance Greene wysłuchała uważnie obwieszczenia tymczasowego kapitana przez głośniki. Z ulgą przyjęła wiadomość, że statek zbacza wreszcie do St. John's. Ucieszyła się również, że wprowadzono rygorystyczne środki bezpieczeństwa. Porzucono już wszelkie pozory rejsu dla przyjemności; teraz chodziło o bezpieczeństwo i przetrwanie. Pomyślała, że może to za sprawą karmy niektórzy z tych przesadnie uprzywilejowanych ludzi zetknęli się z prawdziwym życiem.

Spojrzała na zegarek. Pierwsza czterdzieści pięć. Pendergast zapowiedział, że zamierza spać do trzeciej. Nie chciała mu przeszkadzać. Wyraźnie potrzebował odpoczynku, choćby dla poprawy nastroju, bo ostatnio chyba popadł w depresję. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby sypiał w ciągu dnia albo pił alkohol od rana.

Constance usadowiła się na sofie i otworzyła tom eseju Montaigne'a, żeby na jakiś czas zapomnieć o troskach. Za ledwie jednak pogrzyżyła się w eleganckich francuskich frazach, kiedy rozległo się ciche pukanie.

Wstała i podeszła do drzwi.

– To ja, Maria. Proszę otworzyć.

Constance otworzyła drzwi i pokojówka wśliznęła się do środka. Włosy miała w nieładzie, zwykle nieskazitelny uniform był brudny.

– Proszę, usiądź, Mario. Co się dzieje?

Maria usiadła i przetarła czoło ręką.

– Tam jest инсане.

– Słucham?

– Jak wy to mówicie? Dom wariatów. Słuchaj, przynoszę ci nowiny. Bardzo złe nowiny. Rozchodzą się na dole jak pożar. Modłę się, żeby to nie była prawda.

– O co chodzi?

– Podobno tymczasowy kapitan... kapitan Mason... zamknęła się na mostku i kieruje statek na skały.

– Co?!

– Skały. Carrion Rocks. Podobno rozbijemy się na skałach za niecałe trzy godziny.

– Dla mnie to brzmi jak histeryczna plotka.

– Może – przyznała Maria – ale cała załoga w nią wierzy. I coś się dzieje na pomocniczym mostku, wielu oficerów wchodzi i wychodzi, dużo zamieszania. I jeszcze, jak to się mówi, ten duch znowu się pojawił. Tym razem widziała go grupa pasażerów i kierownik rejsu.

Constance zamilkła. Statek przewalił się przez następną potężną falę, dziwnie przechylony.

– Zaczekaj tutaj – zwróciła się Constance do Marii.

Weszła na piętro i zapukała do drzwi sypialni Pendergasta.

Zwykle odpowiadał natychmiast, głosem tak czystym i wyraźnym, jakby nie spał od wielu godzin. Tym razem nic.

Zastukała jeszcze raz.

– Aloysius?

Niski, spokojny głos dobiegł z sypialni:

– Prosiłem, żebyś mnie obudziła o trzeciej.

– To pilne, musisz się dowiedzieć.

Długie milczenie.

– Nie rozumiem, dlaczego nie można z tym zaczekać.

– Nie można, Aloysius.

Znowu długie milczenie.

– Zejdę za chwilę.

Constance zeszła na dół. Po kilku minutach zjawił się Pendergast, ubrany w czarne spodnie od garnituru i białą, wykrochmaloną, rozpiętą koszulę, z czarną marynarką i krawatem przewieszonymi przez ramię. Rzucił marynarkę na krzesło i rozejrzał się dookoła.

– Moje jajka sadzone i herbata? – zapytał.

Constance spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Zamknęli całą obsługę pokoiów. Jedzenie podają tylko w wyznaczonych porach.

– Na pewno Maria jest dostatecznie sprytna, żeby coś wykombinować, zanim się ogolę.

– Nie mamy czasu na jedzenie – odparła Constance z irytacją.

Pendergast wszedł do łazienki, zostawiając drzwi otwarte. Ściągnął koszulę, przewiesił ją przez poręcz prysznic, odkręcił wodę i namydlił twarz. Wyjął długą, prostą brzytwę i zaczął ją wecować. Constance wstała, żeby zamknąć drzwi, ale powstrzymał ją gestem.

– Czekam, żeby się dowiedzieć, co takiego pilnego przerwało mi drzemkę.

– Maria mówi, że kapitan Mason... która odebrała Cutterowi dowodzenie, kiedy nie chciał zmienić kursu... zamknęła się na mostku i kieruje statek na kurs kolizyjny z rafą.

Brzytwa zatrzymała się w połowie gładkiego ruchu po długiej białej szczęce Pendergasta. Upłynęło prawie trzydzieści sekund. Potem brzytwa znowu ruszyła.

– A dlaczego Mason to zrobiła?

– Nikt nie wie. Chyba po prostu zwariowała.

– Zwariowała – powtórzył Pendergast. Skrobał dalej, denerwująco



powoli i precyzyjnie.

– Na dodatek – podjęła Constance – znowu pojawił się ten stwór, ten tak zwany duch z dymu. Sporo ludzi go widziało, między innymi kierownik rejsu. Prawie się wydaje, że...

Urwała, niepewna, jak wyrazić tę myśl, a potem w ogóle ją odrzuciła. Z pewnością tylko poniosła ją wyobraźnia.

Pendergast golił się dalej w milczeniu. Zza okien dobiegał stłumiony huk sztormu, na korytarzu co jakiś czas odzywały się podniesione głosy. Constance i Maria czekały. Wreszcie skończył. Opłukał, wytarł i złożył brzytwę, osuszył twarz ręcznikiem, naciągnął koszulę, zapiął, wsunął złote spinki do mankietów, narzucił krawat i zawiązał go kilkoma wprawnymi ruchami. Potem wszedł do salonu.

– Dokąd idziesz? – zapytała Constance, zarazem rozdrażniona i trochę przestraszona. – Orientujesz się w ogóle, co tu się dzieje?

Sięgnął po marynarkę.

– Nie domyślasz się?

– Ani trochę! – Constance powoli traciła cierpliwość. – Nie mów, że ty się domyśliłeś!

– Oczywiście, że tak. – Nałożył marynarkę i ruszył do drzwi.

– Więc co?

Pendergast przystanął pod drzwiami.

– Wszystko się łączy, tak jak wcześniej przypuszczałem... kradzież Agozyena, morderstwo Jordana Ambrose'a, zaginięcia i zabójstwa na statku, a teraz szalony kapitan prowadzący statek na rafy. – Zaśmiał się cicho. – Nie wspominając o twoim „dymnym duchu”.

– Jak? – warknęła zirytowana Constance.

– Dysponujesz tymi samymi informacjami co ja, a wyjaśnianie mnie męczy. Zresztą teraz to nieistotne... to wszystko. – Szerokim gestem wskazał pokój. – Jeśli mówisz prawdę, to wszystko wkrótce pogrzeży się w mule na dnie Atlantyku, a teraz mam coś ważnego do zrobienia.

Wróć za niecałą godzinę. Może do tego czasu zdobędziesz dla mnie zwykłe jajka sadzone i zieloną herbatę?

Wyszedł.

Constance długo patrzyła na drzwi, które się za nim zamknęły. Potem powoli odwróciła się do Marii. Przez chwilę milczała.

– Tak? – ponagliła ją Maria.

– Chcę cię prosić o przysługę.

Pokojówka czekała.

– Sprowadź mi lekarza jak najszybciej.

Maria spojrzała na nią z niepokojem.

– Jesteś chora?

– Nie. Ale on chyba zachorował.

Gavin Bruce i grupa, którą zaczął nazywać swoim zespołem, siedzieli w barze na śródkręciu pokładu ósmego, pogrążeni w rozmowie na temat stanu statku i następnych kroków, jakie powinni podjąć. *Britannia* wydawała się niezwykle cicha jak na wczesne popołudnie. Chociaż godzinę policyjną wprowadzono tylko na noc, wielu pasażerów schroniło się w swoich kabinach albo ze strachu przed mordercą, albo żeby odpocząć po wyjątkowo męczącym poranku.

Bruce poprawił się na krześle. Chociaż nie udało im się porozmawiać z komodorem Cutterem, cieszył się, że usunięto tego człowieka ze stanowiska, zgodnie z jego radą. Czuł, że w ostatecznym rachunku jego interwencja się przydała.

Cutter najwyraźniej nie dorastał do sytuacji. Bruce dobrze znał ten typ kapitana z własnej kariery w Królewskiej Marynarce Wojennej: komodor, który myli upór ze zdecydowaniem i trzymanie się przepisów z mądrością. Tacy ludzie często tracili głowę w nieprzewidzianych okolicznościach. Nowa kapitan dobrze załatwiła zmianę, podobało mu się jej przemówienie przez głośniki. Bardzo profesjonalne, bardzo opanowane.

– Płyniemy prosto w paszczę sztormu – zauważył Niles Welch, wskazując ruchem głowy kompletnie zalane okna.

– Nie chciałbym się tłuc przez coś takiego na mniejszym statku –

oświadczył Bruce. – Zadziwiająco, jak dobrze ten wielki statek trzyma się fali.

– Nie jak niszczyciel, na którym byłem kadetem podczas wojny o Falklandy – powiedział Quentin Sharp. – Tamten dopiero skakał jak wiewiórka.

– Dziwne, że kapitan znowu zwiększyła szybkość – odezwała się Emily Dahlberg.

– Nie mam do niej pretensji – odparł Bruce. – Na jej miejscu wolałbym jak najszybciej doprowadzić tego Jonasza do portu, mniejsza o wygodę pasażerów. Chociaż chyba trochę bym przyhamował. Zaczyna nieźle huśtać. – Zerknął na panią Dahlberg. – Przy okazji, Emily, chciałem ci pogratulować, że tak świetnie uciszyłaś tę rozhisteryzowaną dziewczynę. To już czwarta osoba, którą uspokoiliś przez ostatnie pół godziny.

Pani Dahlberg wytwornie założyła nogę na nogę.

– Wszyscy jesteśmy tutaj z tego samego powodu, Gavinie: żeby pomagać w utrzymaniu porządku, w miarę naszych możliwości.

– Tak, ale ty nigdy czegoś takiego nie robiłaś. W życiu nie widziałem tak wystraszonej osoby.

– Po prostu wykorzystałam mój instynkt macierzyński.

– Przecież ty nie masz dzieci.

– To prawda. – Pani Dahlberg uśmiechnęła się słabo. – Ale mam wyobraźnię.

Z korytarza dobiegł tupot stóp i chaotyczne wrzaski.

– Tylko nie następna zgraja pijaków – jęknął Sharp.

Głosy zbliżały się i po chwili pojawiła się bezładna grupa pasażerów, dowodzona przez wyraźnie nietrzeźwego mężczyznę. Rozsypali się po korytarzu i walili w drzwi apartamentów. Zaniepokojeni lokatorzy wychodzili na korytarz.

– Słyszeliście?! – wrzasnął bełkotliwie mężczyzna na czele grupy. –

Słyszeliście?!

Pozostali wciąż walili w drzwi i kazali wszystkim wychodzić.

Bruce usiadł prosto.

– Czy coś się stało? – zapytała ostro pani Dahlberg.

Pijany mężczyzna przystanął, chwiejąc się lekko.

– Jesteśmy na kursie kolizyjnym!

Rozległ się gwar przerażonych głosów. Przywódca zamachał rękami.

– Kapitan opanowała mostek! Chce rozbić statek na Grand Banks!

Lawina pytań i okrzyków.

Bruce wstał.

– Takie oskarżenie na pokładzie statku to prowokacja. Lepiej, żeby pan mógł je udowodnić.

Mężczyzna spojrzał błędnym wzrokiem na Bruce'a.

– Jasne, udowodnię. I to zaraz. Wszyscy już wiedzą, cała załoga o tym gada.

– To prawda! – zawołał jakiś głos z tyłu. – Kapitan zamknęła się na mostku, sama. Ustawiła kurs na Carrion Rocks!

– Co za bzdura – odparł Bruce, ale zrobiło mu się nieswojo na wzmiankę o Carrion Rocks. Znał je dobrze z czasów służby w marynarce: szeroki pas skalistych mielizn, sterczących jak kły nad powierzchnią morza, poważne ryzyko dla żeglugi.

– To prawda! – krzyknął pijak, machając ręką tak gwałtownie, że mało nie stracił równowagi. – Wszyscy już wiedzą!

Bruce widział, jak tłum ogarnia panika.

– Przyjaciele – przemówił stanowczym tonem – przecież to niemożliwe. Mostek na takim statku nigdy, przenigdy nie jest obsadzony przez jedną osobę. I na pewno istnieje tysiąc sposobów przejęcia kontroli nad statkiem, z komory silników albo z pomocniczego mostku. Wiem, bo byłem komandorem w Królewskiej

Marynarce Wojennej.

– Teraz jest inaczej niż w twoich czasach, stary durniu! – krzyknął pijak. – Statek jest w pełni zautomatyzowany. Kapitan się zbuntowała i przejęła kontrolę, i teraz zatopi statek!

Jakaś kobieta rzuciła się na Bruce'a i chwyciła go za klapy.

– Pan był w marynarce! Na litość boską, niech pan coś zrobi!

Bruce wyswobodził się i podniósł ręce. Posiadał wrodzoną charyzmę przywódcy, więc tym gestem sprawił, że wrzawa przycichła.

– Proszę państwa! – zawołał. – Razem z moim zespołem sprawdzimy, czy ta plotka jest prawdziwa.

– Jest...!

– Cisza! – Odczekał chwilę. – Jeśli tak, podejmiemy działanie... obiecuję wam. Tymczasem zostańcie tu i czekajcie na instrukcje.

– O ile pamiętam – odezwała się Dahlberg – w Klubie Admiralskim na pokładzie dziesiątym jest monitor, który pokazuje rejsową pozycję statku, włącznie z kursem i szybkością.

– Doskonale – ucieszył się Bruce. – W ten sposób otrzymamy niezależną weryfikację.

– A co potem? – prawie zapiszczała ta sama kobieta, która wcześniej złapała go za marynarkę.

Bruce odwrócił się do niej.

– Jak mówiłem, powinniście tu zostać i nakłonić innych do tego samego. Proszę zachować spokój i nie rozpowszechniać dalej tych pogłosek... Nie potrzeba nam paniki. Jeśli to prawda, pomożemy pozostałym oficerom odzyskać kontrolę nad statkiem. I będziemy was na bieżąco informować.

Potem odwrócił się do swojej grupki.

– Pójdziemy sprawdzić?

Poprowadził ich przez korytarz w stronę schodów szybkim

marszem. Zwariowana historia, istny obłąd. Na pewno to niemożliwe...

Na pewno?

Na pomocniczym mostku panował ścisk i robiło się coraz bardziej gorąco. LeSeur zwołał nadzwyczajne zebranie kierownictwa personelu i zjawili się już szefowie działów obsługi i rozrywki, a także główny intendent, bosman i główny steward. LeSeur spojrzął na zegarek, otarł pot z czoła i zerknął chyba po raz setny na plecy kapitan Mason, widoczne na środkowym monitorze wewnętrznej telewizji. Mason stała przy sterze, wyprostowana i spokojna, ani jeden zabłąkany kosmyk włosów nie wymknął się spod czapki. Wywołali kurs *Britanii* na głównym chartplotterze NavTrac GPS. Widzieli cały obraz wyświetlony w zimnych elektronicznych kolorach: kierunek, szybkość... i Carrion Rocks.

LeSeur znowu popatrzył na Mason, spokojną przy sterze. Coś jej się stało, jakieś problemy ze zdrowiem, udar, narkotyki, może amnezja. O czym myślała? Jej postępowanie stanowiło dokładne zaprzeczenie powinności kapitana.

Obok niego Kemper siedział przy stacji komputerów ze słuchawkami na uszach. LeSeur szturchnął go i funkcjonariusz ochrony zdjął słuchawki.

- Jest pan absolutnie pewien, Kemper, że ona nas słyszy?
- Wszystkie kanały są otwarte. Odbieram nawet jakieś pogłosy w słuchawkach.



LeSeur zwrócił się do Craika.

– Ktoś jeszcze odpowiedział na nasze SOS?

Craik podniósł wzrok znad swojej krótkofalówki i telefonu satelitarnego.

– Tak, sir. Amerykańska i kanadyjska Straż Przybrzeżna odpowiadają. Najbliższa jednostka pływająca to statek patrolowy Kanadyjskiej Straży Przybrzeżnej *Sir Wilfred Grenfell*, port macierzysty St. John's, sześćdziesiąt osiem metrów długości, dziewięciu oficerów, jedenastu członków załogi, szesnaście koi plus jeszcze dziesięć w pokładowym szpitalu. Idą kursem przechwytyjącym i dotrą do nas jakieś piętnaście mil morskich na wschodnio-północny wschód od Carrion Rocks o... około piętnastej czterdzieści pięć. Nikt inny nie jest dostatecznie blisko, żeby zdążyć do nas przed wyliczonym czasem kolizji.

– Jaki mają plan?

– Jeszcze sprawdzają możliwości.

LeSeur odwrócił się do trzeciego oficera.

– Sprowadź pan tutaj doktora Grandine'a. Potrzebuję medycznej porady w sprawie tego, co się dzieje z Mason. I niech pan zapyta Maylesa, czy wśród pasażerów na pokładzie jest psychiatra. Jeśli tak, niech pan go też przyprowadzi.

– Aye, aye, sir.

Następnie LeSeur odwrócił się do szefa mechaników.

– Panie Halsey, niech pan zejdzie do maszynowni i odłączy autopilota. Niech pan przetnie kable, jeśli trzeba, rozwali młotkiem tablice kontrolne. W ostateczności proszę unieruchomić jeden z pędników sterujących.

Halsey pokręcił głową.

– Autopilot jest zabezpieczony przed atakiem. Zaprojektowano go tak, żeby omijał wszystkie ręczne systemy. Nawet gdyby dało się

unieruchomić jeden z pędników... chociaż to niemożliwe... autopilot wyrówna kurs. Statek może płynąć na pojedynczym pędniku w razie konieczności.

– Panie Halsey, proszę mi nie tłumaczyć, dlaczego to niemożliwe, dopóki pan nie spróbuje.

– Aye, aye, sir.

LeSeur zwrócił się do oficera radiowego.

– Niech pan spróbuje połączyć się z Mason na kanale szesnastym VHF przez radiotelefon.

– Tak jest, sir. – Radiowiec wyjął radiotelefon, podniósł go do ust i nacisnął guzik nadawania. – Oficer radiowy do mostku, oficer radiowy do mostku, proszę się zgłosić.

LeSeur wskazał monitor.

– Widzicie?! – krzyknął. – Widać zielone światełko odbioru. Ona nas słyszy głośno i wyraźnie!

– Przecież mówiłem – wytknął mu Kemper. – Ona słyszy każde słowo.

LeSeur pokręcił głową. Znał Mason od lat. Była profesjonalistką w każdym calu – trochę sztywna, zdecydowanie trzymająca się przepisów, niezbyt wylewna, ale zawsze absolutnie profesjonalna. Wyteżył umysł. Na pewno istniał jakiś sposób, żeby z nią porozmawiać twarzą w twarz. Cholernie go frustrowało, że ciągle odwracała się do nich plecami.

Gdyby spojrział jej w oczy, może przemówiłby jej do rozumu. Albo przynajmniej sam zrozumiał.

– Panie Kemper – powiedział – tuż pod oknami mostku biegnie poręcz do mocowania sprzętu do mycia szyb... mam rację?

– Chyba tak.

LeSeur złapał marynarkę z krzesła i narzucił na siebie.

– Wychodzę tam.

– Zwariował pan?! – zawołał Kemper. – Pokład jest trzydzieści metrów niżej.

– Chcę spojrzeć jej w twarz i zapytać, co ona wyprawia.

– Wystawi się pan na pełną siłę sztormu...

– Drugi oficerze Worthington, przekazuję panu wachtę do mojego powrotu.

I LeSeur wypadł za drzwi.

LeSeur stał przy lewym dziobowym relingu platformy obserwacyjnej na pokładzie trzynastym i patrzył w górę na mostek. Wiatr szarpał mu ubranie, deszcz smagał go po twarzy. Mostek znajdował się na najwyższym poziomie statku, nad nim wznosiły się tylko maszty i kominy. Dwa skrzydła mostku wysuwały się daleko na bakburcie i sterburcie, ich końce wystawały nad kadłubem. Pod rzędem słabo oświetlonych okien LeSeur ledwie widział poręcz, pojedynczą, mosiężną rurę średnicy trzech centymetrów, zamocowaną na stalowych wspornikach jakieś piętnaście centymetrów nad nadbudówką. Wąska drabinka prowadziła z platformy do lewego skrzydła, gdzie łączyła się z poręczą otaczającą podstawę mostku.

Chwiejnie przeszedł przez pokład do drabiny, zawahał się na chwilę, po czym chwycił szczebel na poziomie ramienia i ścisnął kurczowo jak tonący. Znowu się zawahał, odruchowo napinając mięśnie rąk i nóg w przeczuciu nadchodzącego wysiłku.

Postawił stopę na najniższym szczeblu i podciągnął się do góry. Zmoczyła go mgiełka drobnych kropelek i ze zdumieniem poczuł słony smak morza tutaj, ponad sześćdziesiąt metrów nad linią wodną. W deszczu i mgle nie widział oceanu, ale słyszał huk i wyczuwał drzenie, kiedy fale waliły raz za razem o kadłub – jakby jakiś gniewny, zraniony morski bóg tłukł statek pięściami. Na tej wysokości kołysanie statku jeszcze bardziej się pogłębiało i każdy powolny,

mdlący przechył poruszał wnętrzościami LeSeura.

Czy powinien spróbować? Kemper miał rację: to było zupełne wariactwo. Ale już zadając sobie pytanie, znał odpowiedź. Musiał spojrzeć jej w twarz.

Trzymając szczeble ze wszystkich sił, podciągał się na drabinie, jedna ręka za drugą, jedna noga za drugą. Wichura szarpała nim tak gwałtownie, że chwilami musiał zamykać oczy i wspinać się po omacku, zaciskając szorstkie dłonie marynarza jak kleszcze na szczeblach pomalowanych farbą antypoślizgową. Statek zatoczył się pod szczególnie silnym ciosem fali i LeSeur zawisł nad pustką, a grawitacja ciągnęła go w dół, w dół, w kipiącą toń.

Jedna ręka naraz.

Po wspinaczce, która zdawała się trwać bez końca, dotarł do górnej poręczy i wysunął głowę ponad ramę okna. Zajrzał do środka, ale znajdował się daleko na lewym skrzydle i widział tylko mdłą poświatę elektronicznych systemów.

Musiał się przesunąć na środek.

Okna mostku nachylały się lekko na zewnątrz. Nad nimi wystawała krawędź górnego pokładu z własną listwą relingu. Wyczekawszy na spokojniejszą chwilę między porywami wichury, LeSeur podźwignął się i chwycił górną krawędź, jednocześnie przenosząc stopy na poręcz. Stał tak przez długą chwilę, z walącym sercem, przerażająco odstonięty. Przyklejony do okien mostku, z wyciągniętymi kończynami, jeszcze bardziej dotkliwie odczuwał kołysanie statku.

Wziął głęboki, drżący oddech, potem następny. A później zaczął się posuwać dookoła – ściskając krawędź zgrabiałymi palcami, zapierając się o szybę przy każdym podmuchu wiatru. Wiedział, że mostek ma czterdzieści osiem metrów szerokości: to oznaczało dwadzieścia cztery metry wędrówki po poręczy, zanim znajdzie się naprzeciwko steru i stacji komputerowej.

Przesuwał się dalej, jedna stopa za drugą. Poręcz nie była pomalowana farbą antypoślizgową – nie miały jej dotykać ludzkie ręce – i okazała się diabelsko śliska. LeSeur poruszał się powoli, rozważnie, przenosząc ciężar ciała głównie na palce rąk, które wpijał w pokrytą żelazem krawędź górnej listwy relingu. Potężne, grzmiące uderzenie wiatru wyrwało mu poręcz spod stóp i przez chwilę dyndał, przerażony, nad wirującą szarą pustką. Niezdarnie odnalazł oparcie dla nóg i znowu się zawahał, chwytając powietrze, z walącym sercem i zdrętwiałymi rękami. Po minucie zmusił się, żeby ruszyć dalej.

Wreszcie dotarł na środek mostku. I zobaczył ją: kapitan Mason przy sterze patrzyła na niego spokojnie.

Odwzajemnił jej spojrzenie, wstrząśnięty całkowicie normalnym wyrazem jej twarzy. Nawet nie okazała zdziwienia na jego widok: zjawą w sztormiaku, przylepiona do szyby po niewłaściwej stronie okna.

Mocniej chwycił się górnej poręczy lewą ręką, a prawą zabębnił w szybę.

– Mason! Mason!!!

Patrzyła na niego, ale jakby nieobecny wzrokiem.

– Co pani robi?

Brak odpowiedzi.

– Mason, do cholery, odpowiedz!

Walnął pięścią w szkło tak mocno, że zaboląło. Ona wciąż tylko patrzyła.

– Mason!

W końcu obesza ster i zbliżyła się do okna. Dobiegł go jej słaby głos, przefiltrowany przez szybę i ryk sztormu.

– Pytanie brzmi, panie LeSeur, co pan tam robi?

– Czy pani nie wie, że jesteśmy na kursie kolizyjnym z Carrion Rocks?

Następne drgnienie warg, zwiastun uśmiechu. Powiedziała coś, ale zagłuszył ją sztorm.

– Nie słyszę pani!

Ścisnął poręcz i zastanawiał się, kiedy palce odmówią mu posłuszeństwa i spadnie we wściekłą szarą kipieli.

– Mówiłam – przysunęła twarz do szyby i podniosła głos – że dobrze o tym wiem.

– Ale dlaczego?

Wreszcie napłynął uśmiech, jak promień słońca błyszczący na lodzie.

– Oto jest pytanie, prawda, panie LeSeur?

Przywarł do szyby, wiedział, że długo już nie wytrzyma.

– Dlaczego?! – wrzasnął.

– Niech pan zapyta kompanię.

– Ale... przecież pani tego nie zrobi umyślnie!

– Czemu nie?

Powstrzymał się, żeby nie wrzasnąć na nią, że zwariowała. Musiał do niej dotrzeć, poznać jej motywy, przekonać ją.

– Na litość boską, chyba pani nie chce zamordować czterech tysięcy ludzi!

– Nie mam nic przeciwko pasażerom czy załodze. Jednak zamierzam zniszczyć ten statek.

LeSeur nie wiedział, czy to łzy spływają mu po twarzy, czy krople deszczu.

– Pani kapitan, jeśli ma pani jakieś problemy w życiu, problemy z kompanią, możemy je rozwiązać. Ale to... na pokładzie są tysiące niewinnych ludzi, kobiety i dzieci. Proszę, błagam, niech pani tego nie robi. Błagam!

– Ludzie umierają codziennie.

– Czy to jakiś atak terrorystyczny? To znaczy... – przełknął ślinę,

szukając neutralnej formy dla tego pytania – czy pani wyznaje jakieś... jakieś szczególne religijne lub polityczne poglądy?

Jej uśmiech pozostał zimny, opanowany.

– Skoro pan pyta, odpowiedź jest przecząca. To sprawa czysto osobista.

– Jeśli chce pani rozbić statek, proszę go najpierw zatrzymać. Przynajmniej niech nam pani pozwoli spuścić szalupy ratunkowe!

– Wie pan doskonale, że jeśli choćby zmniejszą prędkość, zrzucą tu oddział SWAT i mnie zdejmą. Połowa pasażerów z pewnością e-mailuje na cały świat. Niewątpliwie potężna odsiecz już nadciąga. Nie, panie LeSeur, szybkość jest moim sprzymierzeńcem i *Britannia* wyląduje na Carrion Rocks. – Spojrzała na chartplotter autopilota. – Za sto czterdzieści pięć minut.

Walnął pięścią w szkło.

– Nie!

O mało nie spadł na skutek nagłego ruchu. Z trudem złapał równowagę, wbijając paznokcie w warstwę żelu. Patrzył bezradnie, jak Mason wróciła za ster i skupiła wzrok na szarej pustce za oknem.

Na dźwięk otwieranych drzwi Constance usiadła prosto. Do pokoju wtargnęły przytłumione odgłosy paniki: krzyki, przekleństwa, tupot stóp. Pendergast wszedł i zamknął drzwi za sobą.

Na ramieniu niósł coś dużego i ciężkiego. Kiedy się zbliżył, Constance zobaczyła, że to brezentowy worek barwy kości słoniowej, związany sznurkiem. Przystanął przy drzwiach do kuchni, zrzucił worek na podłogę, otrzepał ręce i wszedł do salonu.

– W końcu zrobiłaś herbatę – zauważył. – Doskonale.

Nalał sobie filiżankę i zajął miejsce w skórzanym fotelu.

Constance spojrzała na niego chłodno.

– Wciąż czekam, żeby usłyszeć twoją teorię o tym, co się dzieje.

Pendergast bez pośpiechu spróbował herbaty.

– Czy wiedziałaś, że Carrion Rocks stanowią poważne zagrożenie dla żeglugi na północnym Atlantyku? Tak poważne, że zaraz po katastrofie *Titanica* początkowo podejrzewano, że właśnie na nich się rozbił.

– Bardzo interesujące. – Popatrzyła na niego: siedział w fotelu i spokojnie popijał herbatę, jakby nic im nie groziło. A potem zrozumiała: może naprawdę nic im nie groziło.

– Masz plan – rzekła.

– Owszem. A skoro o tym mowa, chyba już czas zapoznać cię ze



szczegółami. Oszczędzimy sobie kłopotu później, kiedy będziemy musieli szybko reagować na zmiany sytuacji.

Znowu leniwie pociągnął łyk. Potem odstawił filiżankę, wstał i podszedł do kuchennych drzwi. Rozwiązał brezentowy worek na brudne rzeczy, wyciągnął z niego jakiś duży przedmiot, położył go na podłodze i cofnął się do salonu.

Constance przyjrzała się ciekawie. Był to prostokątny, sztywny pojemnik z białej gumy i plastiku, rozmiarów metr na metr dwadzieścia, obwiązany nylonowymi paskami. Na wierzchu nalepiono rozmaite ostrzeżenia. Pendergast rozpiął nylonowe paski i zdjął pokrywę. W środku spoczywało ciasno poskładane urządzenie z żółtego fluorescencyjnego poliuretanu.

– Samonadmuchujący się ponton – wyjaśnił Pendergast. – Potocznie nazywany bąblem ratunkowym. Wyposażony w zestawy SOLAS B[26], radiopławę EPIRB[27], koce i zapasy. Każda zrzutowa szalupa ratunkowa Britannii ma taki jeden. Pozwoliłem sobie jeden zwinąć.

Constance przenosiła wzrok z pojemnika na Pendergasta i z powrotem.

– Jeżeli oficerowie nie zdołają powstrzymać kapitana, spróbują spuścić szalupy ratunkowe – ciągnął. – Przy tej szybkości to niebezpieczne, nawet ryzykanckie. Z drugiej strony, narazimy się tylko na minimalne ryzyko, jeśli spuścimy się w tym na wodę z rufy. Oczywiście musimy starannie wybrać miejsce ewakuacji.

– Ewakuacji – powtórzyła Constance.

– Musimy skorzystać z pokładu nisko nad linią wodną. – Sięgnął do bocznego stolika, wziął broszurę statku i otworzył na błyszczącym zdjęciu *Britannii*. - Proponuję to miejsce – ciągnął, wskazując rząd dużych okien nisko na rufie. – To sala balowa Króla Jerzego Drugiego. Na pewno będzie pusta ze względu na sytuację kryzysową. Możemy wyrzucić krzesło albo stół przez okno, wybić dziurę

i wyskoczyć. Oczywiście przeniesiemy tam aparat ukryty w worku, żeby nie zwracać uwagi. – Zastanawiał się przez chwilę. – Lepiej odczekać jakieś pół godziny; wtedy znajdziemy się dostatecznie blisko miejsca zderzenia, żeby łatwo nas znalazły jednostki ratownicze, ale nie tak blisko, żeby przeszkodził nam wybuch paniki w ostatniej chwili. Jeżeli wyskoczmy z bocznych okien sali balowej, stąd albo stąd, ominiemy najgorszy kilwater statku.

Odłożył fotografię z westchnieniem satysfakcji, jakby zadowolony ze swojego planu.

– Mówisz: „my” – powiedziała powoli Constance. – To znaczy tylko my dwoje.

Pendergast podniósł na nią wzrok z lekkim zdziwieniem.

– Tak, oczywiście. Ale nie martw się: wiem, że ten pojemnik wydaje się mały, ale po napompowaniu ponton z pewnością pomieści nas oboje. Przeznaczony jest dla czterech osób, więc będziemy mieli dużo miejsca.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Chcesz się ratować i zostawić innych na śmierć?

Pendergast zmarszczył brwi.

– Constance, nie mów do mnie takim tonem.

Wstała, ogarnięta zimną furją.

– Ty... – wykrztusiła. – Ukradłeś ten ponton z szalupy ratunkowej... Wcale nie szukałeś sposobu na zażegnanie kryzysu czy uratowanie *Britanii*. Ty się tylko zatroszczyłeś o własną skórę!

– Tak się składa, że raczej mi zależy na własnej skórze. i nie muszę ci chyba przypominać, Constance, że twoją też zamierzam uratować.

– To niepodobne do ciebie. – Gniew walczył w niej z szokiem i niedowierzaniem. – Ten obrzydliwy egoizm. Co ci się stało, Aloysius? Odkąd wróciłeś z kabiny Blackburna, zachowujesz się... dziwacznie. Nie jesteś sobą.

Patrzył na nią przez długą chwilę. W milczeniu nałożył pokrywę z powrotem na plastikowy pojemnik. Potem wstał i podszedł do niej.

– Siadaj, Constance – powiedział cicho.

I coś w tonie jego głosu – coś dziwnego, całkowicie obcego – sprawiło, że pomimo całej wściekłości, oburzenia i niedowierzania natychmiast posłuchała.

LeSeur zajął miejsce w sali konferencyjnej przyległej do mostku. Wciąż był przemoczony do suchej nitki, teraz jednak nie czuł zimna, tylko dusił się z gorąca i od smrodu spoconych ciał. Pomieszczenie, przeznaczone dla kilku osób, pękało w szwach od oficerów pokładowych i przedstawicieli załogi, a nowi wciąż przybywali.

LeSeur nawet nie czekał, aż znajdą sobie miejsca, tylko wstał, zastukał knykciami w stół i zaczął.

– Właśnie rozmawiałem z Mason – oznajmił. – Potwierdziła, że zamierza skierować *Britannię* na Carrion Rocks z maksymalną szybkością. Na razie nie zdołaliśmy się włamać na mostek ani obejść autopilota. Nie znalazłem też lekarza ani psychiatry dostatecznie sprawnego umysłowo, żeby zdiagnozował jej stan albo zaproponował sposób argumentacji, który do niej przemówi.

Rozejrzał się po zebranych.

– Kilkakrotnie rozmawiałem z kapitanem *Grenfella*, jedyne statku znajdującego się na tyle blisko, żeby zaofiarować pomoc. Inne statki, cywilne i należące do Straży Przybrzeżnej, zostały zawrócone. Nie dopłyną do nas przed wyliczonym czasem zderzenia. Kanadyjska Straż Przybrzeżna wysłała również dwa samoloty do obserwacji i komunikacji. Mają w pogotowiu flotę helikopterów, ale na razie wciąż jesteśmy poza zasięgiem śmigłowców straży. Z tamtej strony

nie możemy się spodziewać żadnej pomocy. A *Grenfell* nie jest przystosowany do tego, żeby pomieścić cztery tysiące trzystu ludzi.

Przerwał i głęboko zaczerpnął tchu.

– Jesteśmy w środku sztormu, z dwunastometrową falą i wiatrem od czterdziestu do sześćdziesięciu węzłów. Ale nasz największy problem to szybkość statku w stosunku do wody: dwadzieścia dziewięć węzłów. – Oblizął wargi. – Gdyby nie to, mielibyśmy sporo możliwości: przerzucenie ludzi na *Grenfella*, abordaż dokonany przez oddział SWAT. Ale nic z tego nie jest wykonalne przy dwudziestu dziewięciu węzłach. – Znowu się rozejrzył. – A więc, ludzie, potrzebuję pomysłów, i to zaraz.

– A gdyby unieruchomić silniki? – zapytał ktoś. – No wie pan, sabotaż.

LeSeur spojrzał na szefa mechaników.

– Panie Halsey?

Inżynier spochmurniał.

– Mamy cztery silniki dieslowskie, wspomagane przez dwie turbiny gazowe General Electric LM dwa tysiące pięćset. Zamkniemy jednego diesla i nic się nie stanie. Zamkniemy dwa i lepiej zamknąć też turbiny, bo sprężony gaz wybuchnie.

– To może najpierw uszkodzić turbiny? – zaproponował LeSeur.

– To wysokociśnieniowe silniki odrzutowe, sir, wirujące z prędkością trzech tysięcy sześciuset obrotów na minutę. Każda próba interwencji, kiedy te bydlaki pracują na wysokich obrotach, oznacza samobójstwo. Wyrwą dno statku.

– A odcisnięcie wałów napędowych? – podsunął drugi oficer.

– Nie ma żadnych wałów – odparł Halsey. – Każda gondola to samodzielny system napędowy. Diesle i turbiny wytwarzają elektryczność, która zasila pędnik gondolowy.

– Zablokować przekładnię napędu?

– Sprawdziłem. Niedostępne podczas pracy.

– A może po prostu odciąć dopływ elektryczności do wszystkich silników?

Szef mechaników jeszcze bardziej się zachmurzył.

– Niemożliwe. Z tego samego powodu wzmocniono mostek i system autopilota... z obawy przed atakiem terrorystów. Geniusze z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych postanowili tak zaprojektować statek, żeby terroryści nie mogli go unieruchomić ani przejąć nad nim kontroli, choćby nie wiadomo co. Chcieli, żeby oficerowie zamknięci na mostku mogli doprowadzić statek do portu, nawet gdyby terroryści zajęli całą resztę.

– Wracając do mostku – odezwał się trzeci oficer – a gdyby przewiercić się przez służbę bezpieczeństwa i wpompować gaz do środka? Cokolwiek, żeby usunąć powietrze. Cholera, w kuchni jest kilka kanistrów dwutlenku węgla. No wiecie, żeby straciła przytomność.

– A co potem? Ciągłe płyniemy na autopilocie.

Zapadła krótka cisza. Potem kierownik działu informatyki, Hufhagel, mężczyzna w okularach i laboratoryjnym kitlu, odchrząknął.

– Autopilot to tylko software jak każdy inny – powiedział cicho. – Można go zhakować... przynajmniej w teorii. Włamać się i przeprogramować.

LeSeur odwrócił się do niego.

– Jak? Ma firewall.

– Żaden firewall nie jest niepokonany.

– Niech pan do tego wyznaczy swojego najlepszego człowieka, natychmiast.

– To będzie Penner, sir. – Informatyk wstał.

– Proszę o raport jak najszybciej.

– Tak jest, sir.

LeSeur patrzył, jak Hufnagel wychodzi z sali konferencyjnej.

– Jeszcze jakieś pomysły?

– A wojsko? – zapytał Crowley, następny trzeci oficer. – Mogą wysłać myśliwce, rozwalić mostek pociskiem. Albo wysłać okręt podwodny, żeby zniszczył śruby torpedą.

– Rozpatrzyliśmy te możliwości – odparł LeSeur. – Nie ma sposobu, żeby wycelować pocisk dostatecznie precyzyjnie. W pobliżu nie ma żadnych okrętów podwodnych, a biorąc pod uwagę naszą szybkość, żaden nie zdąży nas dogonić czy przeciąć nam drogi.

– Czy można jakoś zwodować szalupy ratunkowe? – zapytał głos z tyłu.

LeSeur odwrócił się do bosmana Liu.

– Można?

– Przy szybkości trzydziestu węzłów, na wzburzonym morzu... Jezu, nawet sobie tego nie wyobrażam.

– Nie chcę słyszeć, czego pan sobie nie wyobraża. Jeśli istnieje choćby nikła szansa, niech pan to sprawdzi.

– Tak jest, sir. Dowiem się, czy to możliwe. Ale do tego potrzebujemy pełnej załogi awaryjnego wodowania... a wszyscy są zajęci.

LeSeur zaklął. Przede wszystkim brakowało im doświadczonych marynarzy. Jasne, mieli na pokładzie całą armię szurów lądowych, od krupierów do masażystów i piosenkarzy – cholerny balast.

– Ten facet, który tu przyszedł niedawno, jak on się nazywa? Bruce. Służył w marynarce wojennej, tak jak jego przyjaciele. Znajdźcie go. Zwerbujcie do pomocy.

– Ale to starszy człowiek, po siedemdziesiątce... – zaprotestował Kemper.

– Panie Kemper, znam siedemdziesięcioletnich byłych oficerów

marynarki, którzy rozłożyliby pana w dwóch rundach. – Odwrócił się do Crowleya. – Ruszaj pan.

Przy drzwiach rozległ się tubalny głos z wyraźnym szkockim akcentem:

– Nie trzeba po mnie posyłać, panie LeSeur. – Bruce przepchnął się przez tłum. – Gavin Bruce, do usług.

– Panie Bruce – zapytał LeSeur – zapoznano pana z naszą obecną sytuacją?

– Tak.

– Musimy wiedzieć, czy możemy spuścić szalupy ratunkowe w tych warunkach i przy tej szybkości. Ma pan jakieś doświadczenie w tym względzie? To szalupy nowego rodzaju... łodzie zrzutowe.

Bruce z namysłem potarł szczękę.

– Musimy się lepiej przyjrzeć tym szalupom. – Zawahał się. – Możemy je zwodować po zderzeniu.

– Nie możemy czekać do zderzenia. Uderzenie w płyciznę z szybkością trzydziestu węzłów... połowa ludzi na pokładzie zginie lub odniesie rany od samego wstrząsu.

Po tych słowach zapadła cisza. Bruce powoli kiwnął głową.

– Panie Bruce, udzielam panu i pańskiej grupie pełnomocnictwa w tej sprawie. Bosman, pan Liu, z pomocą trzeciego oficera Crowleya pokierują wami... znają na wylot procedury alarmu łodziowego.

– Tak jest, kapitanie.

LeSeur rozejrzał się po pokoju.

– I jeszcze jedno. Potrzebujemy komodora Cuttera. On zna statek najlepiej z nas i... no, tylko on zna sekwencję liczbową odwołania kodu trzeciego. Zamierzam go wezwać z powrotem na mostek.

– Jako dowódcę? – zapytał Kemper.

LeSeur zawahał się.

– Zobaczymy najpierw, co on powie.



Spojrzał na zegarek.  
Osiemdziesiąt dziewięć minut.

Kapitan Carol Mason stała przed stacją komputerową na mostku, patrząc spokojnie na trzydziestodwucalowy plazmowy ekran chartplottera DGPS Northstar 941X, pracującego na infonav 2.2. To cud elektronicznej inżynierii, myślała, technologia, która praktycznie odesłała do lamusa matematykę, umiejętność, doświadczenie oraz głęboką intuicję wymagane dawniej do pilotażu i nawigacji. Z tym urządzeniem bystry dwunastolatek mógł kierować *Britannią*: korzystając z tej wielkiej, kolorowej mapy, po której przesuwał się mały stateczek, wykreślonej przed nim linii pokazującej kurs, wygodnie oznakowanej zliczonymi pozycjami statku w dziesięciominutowych odstępach, oraz punktami zwrotnymi dla każdej zmiany kursu.

Spojrzała na autopilota. Następny cud: nieustannie monitorował szybkość statku po wodzie, szybkość względem ziemi, liczbę obrotów na minutę silników, moc wyjściową, kąty steru i gondoli, wykonywał niezliczone poprawki tak subtelne, że niezauważalne nawet dla najbardziej oblatanego oficera. Utrzymywał kurs i prędkość lepiej niż najbardziej wprawny ludzki kapitan, a jednocześnie oszczędzał paliwo – dlatego stałe zalecenia wymagały, żeby autopilota używano wszędzie oprócz wód przybrzeżnych i śródlądowych.

Dziesięć lat wcześniej mostek na takim statku wymagałby

obecności co najmniej trzech wysoko wykwalifikowanych oficerów; teraz wystarczyła tylko jedna osoba... która i tak nie miała prawie nic do roboty.

Przeniosła uwagę na stół nawigacyjny LeSeura, z papierowymi mapami, linijkami, cyrklami, ołówkami, markerami i kasetką zawierającą sekstans. Zapomniane instrumenty, zapomniane umiejętności.

Obeszła stację komputerową i wróciła do steru. Oparła jedną rękę na eleganckim mahoniowym kole sterowym umieszczonym tu wyłącznie na pokaz. Po prawej stała konsola sternika, gdzie odbywało się prawdziwe sterowanie: sześć małych joysticków, przesuwanych dotknięciem palca, które kierowały dwoma stałymi i dwoma obrotowymi pędnikami gondolowymi oraz przepustnicami silników. Z gondolami rufowymi obracającymi się o trzysta sześćdziesiąt stopni statek miał taką manewrowość, że mógł dokować bez pomocy holownika.

Przesunęła dłonią po gładkim lakierze koła i podniosła wzrok na ścianę szarych okien. W miarę jak wiatr się wzmaczał, deszcz się zmniejszał i widziała teraz zarysy dziobu podskakującego na dwunastometrowej fali. Ogromne fontanny i pióropusze piany spływały po przednich pokładach jak eksplozje bieli pokazane w zwolnionym tempie.

Czuła dziwny spokój, całkowitą pustkę wykraczającą poza wszystko, czego dotąd doświadczyła. Przez większość życia krępowały ją samooskarżenia, zwątpienie, gniew, poczucie niższości, wygórowana ambicja. Teraz wszystko odeszło – w cudowny sposób. Podjęcie decyzji nigdy jeszcze nie przyszło jej tak łatwo, a później nie przeżywała żadnych dręczących wątpliwości, które zatruwały każdą chwilę jej kariery. Postanowiła zniszczyć statek; zdecydowała spokojnie i bez emocji; a teraz pozostało tylko wykonanie tej decyzji.

Dlaczego? – pytał LeSeur. Jeśli sam się nie domyślił, nie zamierzała się przed nim tłumaczyć. Dla niej sprawa była oczywista. Nigdy – ani razu – żadna kobieta kapitan nie dowodziła wielkim transatlantyckim liniowcem. Głupio z jej strony, że liczyła, że jednak się wybije. Wiedziała – i wcale nie przemawiała przez nią próżność – że jest dwa razy lepszym kapitanem niż większość jej kolegów. Ukończyła Akademię Morską w Newcastle jako najlepsza w grupie, z wynikami zaliczanymi do najwyższych w historii uczelni. Miała idealny życiorys – bez skazy. Nawet nie wyszła za mąż, pomimo kilku znakomitych okazji, żeby wyeliminować wszelkie wątpliwości związane z urlopem macierzyńskim. Nadzwyczaj starannie podtrzymywała odpowiednie znajomości w kompanii, wyszukiwała właściwych mentorów, pilnując się przez cały czas, żeby nie wyjść na karierowiczkę; wytrwale kultywowała rzeczową, profesjonalną, ale nie zawistną postawę najlepszych kapitanów i zawsze szczerze się cieszyła z sukcesów kolegów.

Łatwo wspinała się po szczeblach kariery, drugi oficer, potem pierwszy i w końcu zastępca kapitana, według harmonogramu. Owszem, po drodze musiała znosić różne komentarze, nieprzyjemne uwagi i niechciane seksualne awanse przełożonych, ale zawsze radziła sobie z tym śpiewająco, nigdy się nie skarżyła, nigdy nie robiła afery, traktowała wrednych i bufonowatych przełożonych poprawnie i z szacunkiem, udawała, że nie słyszy ich obraźliwych, wulgarnych komentarzy i obrzydliwych propozycji. Odnosiła się do nich z humorem, jakby powiedzieli świetny dowcip.

Cztery lata wcześniej, po zwodowaniu *Oceanii*, ona i dwaj inni zastępcy kapitanów ubiegali się o dowodzenie – ona, Cutter i Thrale. Wygrał Thrale, najmniej kompetentny, który w dodatku miał problemy z piciem. Cutter, lepszy kapitan, odpadł z powodu swojego drażliwego, nietowarzyskiego usposobienia. Ale ona – znacznie lepsza

od nich obu – została pominięta. Dlaczego?

Była kobietą.

Nawet nie to było najgorsze. Wszyscy jej koledzy współczuli Cutterowi, chociaż wielu go nie lubiło. Każdy brał go na bok i wyrażał opinię, że źle się stało, że powinien zostać kapitanem, że kompania popełniła błąd – i wszyscy go zapewniali, że następnym razem otrzyma dowództwo.

Jej nikt nie brał na bok. Nikt jej nie współczuł. Wszyscy z góry zakładali, że jako kobieta nie spodziewała się awansu i co więcej, nie poradziłaby sobie na tym stanowisku. Większość tych jowialnych jegomościów miała za sobą wspólną służbę w Królewskiej Marynarce Wojennej, gdzie jej nie dopuszczano jako kobiety. Nikt nie wiedział o palącej urazie, jaką odczuwała – najlepsza z trójki kandydatów, najstarsza stopniem i z najwyższymi ocenami.

Powinna była wtedy zrozumieć.

A potem pojawiła się *Britannia*. Największy, najbardziej luksusowy oceaniczny liniowiec na świecie. Kosztował kompanię ponad miliard funtów. I musieli ją wybrać. Stanowisko dowódcy miała niemal w ręku...

Tylko że wybrali Cuttera. A potem, dla dopełnienia zniewagi, rzucili jej ochłap zastępcy kapitana i spodziewali się wdzięczności.

Cutter nie był głupi. Doskonale zdawał sobie sprawę, że zasługiwała na to stanowisko. Wiedział również, że przewyższała go jako kapitan. I dlatego jej nienawidził. Czuł się zagrożony. Zanim jeszcze weszli na pokład, przy każdej możliwej okazji starał się ją pognać, wytknąć jej jakieś błędy. A potem jasno dał do zrozumienia, że w przeciwieństwie do innych kapitanów liniowców nie zamierza spędzać czasu na pogawędkach z pasażerami i zabawianiu wesołych biesiadników przy kapitańskim stole. Przebywał na mostku – uzurpując sobie należne jej miejsce.

A ona szybko dostarczyła mu amunicji, której potrzebował, żeby ją upokorzyć. Pierwsze naruszenie dyscypliny w jej całym życiu – i zdarzyło się, zanim jeszcze *Britannia* wyszła z portu. Widocznie już wtedy podświadomie zrozumiała, że nigdy nie będzie dowodzić dużym statkiem.

Dziwne, że Blackburn zarezerwował sobie miejsce na dziewiczym rejsie *Britanii*: pierwszy mężczyzna, który jej się oświadczył, którego odrzuciła z powodu swojej ambicji. Ironia losu, że został miliarderm w ciągu dekady po ich rozstaniu.

Cóż za niezwykle trzy godziny spędzili razem. Każda chwila wyryła się jej w pamięci. Jego apartament wyglądał jak pałac. Zappełnił salon ulubionymi skarbami, obrazami wartymi miliony dolarów, rzeźbami, rzadkimi antykami. Szczególnie ekscytował się tybetańskim malowidłem, które właśnie nabył – zaledwie dzień wcześniej – i w pierwszym porywie, dumny i przejęty, wyjął je ze szkatułki, rozłożył przed nią na podłodze salonu. Patrzyła oszołomiona, zdumiona, oniemiała, potem na czworakach oglądała je z bliska, śledziła wzrokiem wszystkie nieskończenie fraktalne szczegóły i przesuwiała po nich palcem. Wciągnęło ją w siebie, eksplodowało w jej umyśle. A kiedy patrzyła – zahipnotyzowana, niemal omdlała – on podciągnął jej spódnicę na biodra, zdarł z niej majtki i dosiadł jej jak oszalały ogier. Takiego seksu nigdy jeszcze nie zaznała i nigdy nie zapomni: nawet najdrobniejszych szczegółów, najmniejszej kropelki potu, najcichszego jęku, każdego uścisku i pchnięcia ciała w ciało. Na samą myśl przeszedł ją dreszcz namiętności.

Szkoda, że to się nigdy nie powtórzy.

Ponieważ potem Blackburn zwinął magiczne malowidło i schował z powrotem do skrzynki. Wciąż zarumieniona i rozgrzana po stosunku, poprosiła go, żeby tego nie robił; żeby pozwolił jej jeszcze raz spojrzeć. Odwrócił się i niewątpliwie dostrzegł głód w jej twarzy.

Natychmiast na jego twarzy odmalowała się zazdrość. Zaśmiał się szyderczo i powiedział, że zobaczyła raz i nie musi więcej oglądać. A wtedy – równie szybko jak żądza – wypełnił ją ciemny, trawiący gniew. Wrzeszczeli na siebie z pasją, jakiej nigdy by się po sobie nie spodziewała. Emocje narastały w niej z szokującą i upajającą szybkością. A potem Blackburn kazał jej wyjść. Nie – nigdy więcej się do niego nie odezwie, nigdy więcej nie spojrzy na ten obraz.

Po czym ironia sięgnęła szczytu. Pasażer w sąsiedniej kabynie poskarżył się na ich krzyki. Wychodziła z tripleksu. Ktoś na nią doniósł. Takiej okazji Cutter nie przepuścił. Upokorzył ją na mostku, przed wszystkimi oficerami pokładowymi. Nie wątpiła, że ten incydent trafił do jej akt i zostanie zgłoszony kompanii.

Wielu oficerów i członków załogi, nawet żonatych, miało seksualne przygody na statku; to było takie łatwe jak łowienie ryb w beczce. Nigdy nie składano na nich raportu – ponieważ byli mężczyznami. Mężczyźni mogli robić takie rzeczy, dyskretnie i w odpowiednim czasie, tak jak ona. Ale kobieta to co innego... przynajmniej w kulturze kompanii.

Jej kariera legła w gruzach. Teraz mogła tylko liczyć na dowództwo średniej wielkości statku wycieczkowego, jednego z tych bardziej sfatygowanych, które krążyły bez celu po Morzu Śródziemnym albo Karaibskim, wyładowane białymi, tłustymi, podstarzałymi przedstawicielami klasy średniej, poświęcającymi czas na jedzenie i zakupy. Nigdy nie zobaczyć pełnego morza, uciekać przed każdym sztormem.

Cutter. Jak lepiej się zemścić, niż odebrać mu statek, wypruć z niego wnętrzności i posłać na dno Atlantyku?

Przez kilka minut Constance patrzyła, jak Pendergast chodził tam i z powrotem po salonie apartamentu Tudora. Raz się zatrzymał, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko kontynuował spacer. W końcu odwrócił się do niej.

– Zarzucasz mi egoistyczne zachowanie. Że chcę się ratować kosztem innych ludzi na pokładzie *Britanii*. Powiedz mi, Constance: konkretnie kogo na tym statku uważasz za wartego uratowania?

Znowu zamilkł, czekając na odpowiedź, z lekkim błyskiem rozbawienia w oczach. Czegoś takiego Constance się nie spodziewała.

– Zadałem ci pytanie – ciągnął Pendergast, kiedy nie odpowiedziała. – Kogo spośród tych chciwych, wulgarnych, obrzydliwych ludzi na statku uznasz za wartego uratowania?

Constance ciągle milczała.

Po chwili Pendergast zadrwił:

– No widzisz? Nie potrafisz odpowiedzieć... bo nie ma odpowiedzi.

– Nieprawda – zaprotestowała Constance.

– Nieprawda? Sama się oszukujesz. „Cóż jest prawdą? spytał żartobliwie Piłat i nie czekał na odpowiedź”. Od chwili kiedy weszłaś na ten statek, odstręczał cię bezduszny zbytek, przerażało samozadowolenie dogadzających sobie bogaczy. Ty również zauważyłaś szokującą nierówność pomiędzy obsługiwanymi



a obsługującymi. Twoje zachowanie przy obiedzie tego pierwszego wieczoru, twoje riposty skierowane do tych nieokrzesanych filistrów, z którymi musieliśmy siedzieć przy stole, świadczyły, że wydałaś już wyrok na *Britannię*. I słusznie. Ponieważ zapytam cię jeszcze raz, inaczej: Czyż ten statek nie jest pływającym pomnikiem ludzkiej wulgarności, zachłanności i głupoty? Czy ten pałac prostackiej żądz nie zasługuje aż nadto na zniszczenie?

Rozłożył ręce, jakby odpowiedź była oczywista.

Constance patrzyła na niego ze zmieszaniem. Uświadomiła sobie, że mówił prawdę. Burżuazyjne maniery i nowobogackie fupy większości pasażerów budziły w niej odrazę. A straszliwe warunki życia i pracy załogi zaszokowały ją i oburzyły. Pewne rzeczy, które mówił Pendergast, trącały w niej niechcianą strunę, wyzwalały i podsycaly skłonności do mizantropii.

– Nie, Constance – ciągnął Pendergast. – Jedyni ludzie zasługujący na ratunek to my dwoje.

Pokręciła głową.

– Mówisz o pasażerach. A załoga i obsługa? Oni tylko próbują zarobić na życie. Czy zasłużyli, żeby umrzeć?

Pendergast machnął ręką.

– To tylko woły robocze łatwe do zastąpienia, nic nieznaczące drobiny w wielkim morzu mas pracujących, które obmywa brzegi świata niczym przyływy i odpływy, nie pozostawiając śladu.

– Przecież tak nie myślisz. Ludzie są dla ciebie najważniejsi. Przez całe życie usiłujesz ratować innym życie.

– W takim razie zmarnowałem całe życie na bezsensowne, wręcz śmieszne wysiłki. Pod jednym względem zawsze się zgadzałem z moim bratem Diogenesem: nie ma dziedziny bardziej obmierzałej niż antropologia. Wyobraź sobie: poświęcić życie studiowaniu bliźnich. – Wziął ze stołu monografię Brocka, przekartkował ją i podał

Constance. – Spójrz na to.

Constance popatrzyła na otwartą stronicę. Widniała tam czarno-biała reprodukcja olejnego obrazu: młody, zachwycający anioł pochylał się nad osłupiałym mężczyzną, prowadząc jego dłoń po stronicy manuskryptu.

– *Święty Mateusz i anioł* – powiedział. – Znasz ten obraz?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tak.

– Więc wiesz, że niewiele jest na świecie bardziej subtelnych obrazów. Czy piękniejszych. Spójrz na wyraz intensywnego wysiłku na twarzy Mateusza... jakby każde słowo spisywanej przez siebie ewangelii wrywał z samego jądra swojej istoty. I porównaj to ze swobodną postawą pomagającego mu anioła: z leniwie zwieszoną głową, na wpół naiwnym, na wpół wstydliwym ustawieniem nóg, niemal skandalicznie zmysłową twarzą. Popatrz, jak lewa zakurzona stopa Mateusza wrywa się do nas, prawie przełamuje plan obrazu. Nic dziwnego, że mecenas odrzucił dzieło! Ale jeśli anioł wydaje się zniewieściały, wystarczy widok tej mocy, tej chwały we wspaniałych skrzydłach, żeby nam przypomnieć, że patrzymy na świętość. – Przerwał na chwilę. – Czy wiesz, Constance, dlaczego ze wszystkich reprodukcji w monografii ta jedna jest czarno-biała?

– Nie, nie wiem.

– Ponieważ nie istnieje żadne kolorowe zdjęcie. Obraz został zniszczony. Tak, ten wspaniały pomnik twórczego geniuszu zniszczyły bomby podczas drugiej wojny światowej. Teraz mi powiedz: gdybym miał wybierać pomiędzy tym obrazem a życiem miliona ciemnych, bezużytecznych, efemerycznych ludzi... którzy podobno tyle dla mnie znaczą... jak myślisz, komu kazałbym zginąć w płomieniach?

Podsunał jej obraz. Spojrzała na niego ze zgrozą.

– Jak możesz wygadywać takie podłe rzeczy? I jakie masz do tego

prawo? Dlaczego uważasz, że jesteś inny?

– Moja droga Constance! Wcale nie uważam się za lepszego od reszty tej zgrai. Mam takie same podstawowe wady jak każdy. A jedna z tych wad to zwierzęcy egoizm. Zasluguję na uratowanie, ponieważ pragnę przedłużyć swoje życie... i mam na to szansę. Tym razem nie chodzi o zwykłe ryzyko: pędzimy z maksymalną szybkością w stronę katastrofy. A praktycznie biorąc, jak mogę uratować ten statek? Jak w każdej katastrofie, każdy troszczy się o siebie.

– Naprawdę myślisz, że mógłbyś spokojnie żyć dalej po tym, jak porzucisz tych wszystkich ludzi?

– Oczywiście, że mógłbym. Ty też.

Constance zawahała się.

– Nie jestem taka pewna – mruknęła.

W głębi duszy musiała przyznać, że jego słowa brzmią niezwykle kusząco – i to ją najbardziej przerażało.

– Ci ludzie nic dla nas nie znaczą. Jak śmiertelne ofiary, o których czytasz w gazetach. Po prostu zostawimy tę pływającą Gomorę i wrócimy do Nowego Jorku. Pogrążymy się w intelektualnych rozrywkach, filozofii, poezji, konwersacji; dom przy Riverside osiemset dziewięćdziesiąt jeden to wspaniale urządzone miejsce odosobnienia, refleksji i wypoczynku. – Przerwał. – Czy nie tak postępował twój pierwszy opiekun, mój daleki krewniak, Enoch Leng? Popęłił zbrodnie znacznie ohydniejsze niż my w naszej małej chwili egoizmu. A jednak udało mu się spędzić życie wygodnie i satysfakcjonująco, pod względem fizycznym i intelektualnym. Długie, długie życie. Wiesz, że to prawda, Constance: byłaś z nim przez cały czas.

I znowu kiwnął głową, jakby wytoczył rozstrzygający argument w dyskusji.

– To prawda. Byłam z nim. Widziałam, jak wyrzuty sumienia

powoli niszczą spokój jego umysłu, niczym korniki toczące spróchniałe drewno. Pod koniec zostało tak niewiele z błyskotliwego człowieka, że niemal doznałam ulgi, kiedy... – Nie mogła mówić dalej. Ale już podjęła decyzję: nie przekonało jej nihilistyczne przesłanie Pendergasta. – Aloysius, nie obchodzi mnie, co mówisz. To nie tak. Zawsze pomagałeś innym. Poświęciłeś im całą karierę.

– Właśnie! I z jakim pożytkiem? Co dostałem w nagrodę oprócz wstydu, rozczarowania, wyobcowania, żalu, cierpienia i pretensji? Gdybym odszedł z FBI, nikt by po mnie nie płakał. Częściowo dzięki mojej niekompetencji mój jedyny przyjaciel w Biurze zginął paskudną śmiercią. Nie, Constance, w końcu poznałem gorzką prawdę. Przez ten cały czas trudziłem się bez sensu, całkiem jak Syzyf, żeby uratować coś, czego w ostatecznym rozrachunku nie da się uratować.

Po tych słowach znowu rozsiadł się w skórzanym fotelu i sięgnął po filiżankę.

Constance patrzyła na niego ze zgrozą.

– To nie jest Aloysius Pendergast, jakiego znałam. Zmieniłeś się. Odkąd wróciłeś z apartamentu Blackburna, zachowujesz się inaczej.

Pendergast łyknął herbaty i prychnął lekceważąco.

– Powiem ci, co się stało. Łuski spadły mi z oczu. – Starannie odstawił filiżankę na stolik i odchylił się do tyłu. – To pokazało mi prawdę.

– To?

– Agozyen. To naprawdę niezwykły przedmiot, Constance, mandala, która pozwala ci dojrzeć rzeczywistą prawdę w centrum świata: czystą, niefałszowaną prawdę. Prawdę tak potężną, że złamie słabsze umysły. Ale dla tych z nas, którzy mają silny intelekt, stanowi objawienie. Teraz znam siebie: wiem, kim jestem, i co ważniejsze, czego chcę.

– Czy pamiętasz, co mówili mnisi? Agozyen to zło, mroczne

narzędzie zemsty, którego celem jest oczyszczenie świata.

– Tak. Poniekąd dwuznaczny dobór słów, prawda? Oczyszczenie świata. Ja oczywiście nie użyję go do tego celu. Raczej umieszczę go w bibliotece naszego domu przy Riverside Drive, żeby do końca życia kontemplować jego cuda. – Pendergast wyprostował się i znowu sięgnął po filiżankę. – Toteż zabiorę ze sobą Agozyena do pływającej tratwy. I ciebie też... jeśli zgodzisz się na mój plan.

Constance przełknęła ślinę. Nie odpowiedziała.

– Czas się kończy. Nadeszła pora, żebyś podjęła decyzję, Constance: jesteś ze mną... czy przeciwko mnie?

I łyknął herbaty, przyglądając jej się spokojnie bladymi kocimi oczami znad krawędzi filiżanki.

LeSeur zdecydował, że powinien pójść sam.

Teraz przystanął przed zwykłymi metalowymi drzwiami kabiny komodora Cuttera. Spróbował się opanować i wyrównać oddech, po czym zrobił krok do przodu i zastukał cicho dwa razy.

Drzwi otworzyły się tak szybko, że LeSeur prawie podskoczył. Jeszcze bardziej zaskoczył go widok komodora po cywilnemu, w szarym garniturze i krawacie. Były dowódca stał w drzwiach, celując zimnym spojrzeniem gdzieś w środek czoła LeSeura – niska, niezłomna postać.

– Panie komodorze – zaczął LeSeur – przychodzę jako pełniący obowiązki kapitana statku, żeby... prosić pana o pomoc.

Cutter wciąż patrzył na LeSeura, który niemal fizycznie czuł nacisk jego spojrzenia, jakby przykładano mu palec pośrodku czoła.

– Czy mogę wejść?

– Skoro pan sobie życzy.

Cutter cofnął się o krok. Kabina, której LeSeur jeszcze nigdy nie widział, zgodnie z jego oczekiwaniami urządzona była po spartańsku – funkcjonalna, schludna i bezosobowa. Żadnych rodzinnych fotografii, żadnych morskich czy marynarskich bibelotów, żadnych męskich akcesoriów zwykle spotykanych w kapitańskich kabinach, jak humidor na cygara, barek lub czerwone skórzane fotele.

Cutter nie poprosił LeSeura o zajęcie miejsca i sam też nie usiadł.

– Komodorze – zaczął od nowa LeSeur – ile pan wie na temat obecnej sytuacji statku?

– Wiem tylko tyle, ile usłyszałem przez głośniki – odparł Cutter. – Nikt mnie nie informował. Nikt się do mnie nie pofatygował.

– Więc nie wie pan, że kapitan Mason opanowała mostek, przejęła kontrolę nad statkiem, zwiększyła szybkość do maksimum i zamierza rozbić *Britannię* na Carrion Rocks?

Po jednym uderzeniu serca Cutter bezdźwięcznie wymówił: „Nie”.

– Nie wiemy, jak ją powstrzymać. Zamknęła się na mostku za pomocą kodu trzeciego. Uderzymy w skały za trochę więcej niż godzinę.

Po tych słowach Cutter zrobił mały krok do tyłu i zachwiał się na nogach, ale utrzymał równowagę. Jego twarz straciła trochę kolorów. Milczał.

LeSeur szybko zreferował szczegóły. Cutter słuchał, nie przerywając, z nieruchomą twarzą.

– Komodorze – zakończył LeSeur – tylko pan i zastępca kapitana znacie sekwencję liczb wyłączającą alert kodu trzeciego. Nawet jeśli dostaniemy się na mostek i aresztujemy Mason, wciąż musimy dezaktywować kod trzeci, zanim odzyskamy kontrolę nad autopilotem. Zna pan te kody. Nikt inny nie zna.

Cisza. Potem Cutter powiedział:

– Kompania ma kody.

LeSeur skrzywił się.

– Twierdzą, że ich szukają. Szczerze mówiąc, w korporacji panuje totalny chaos. Nikt nie wie, gdzie są kody, i każdy pokazuje palcem na innych.

Rumieniec wrócił na twarz kapitana. LeSeur zastanawiał się, z jakiego powodu. Strach o statek? Złość na Mason?

– Sir, to nie tylko kwestia kodu. Zna pan ten statek najlepiej ze wszystkich. Mamy kryzys i życie czterech tysięcy ludzi zawisło na włosku. Zostało nam tylko siedemdziesiąt minut, zanim się rozbijemy na Carrion Rocks. Potrzebujemy pana.

– Panie LeSeur, czy pan mnie prosi, żebym ponownie objął dowództwo tego statku?

– Jeśli trzeba, tak.

– Niech pan to powie.

– Proszę, komodorze Cutter, żeby ponownie objął pan dowództwo *Britanii*.

Ciemne oczy kapitana zabłysły. Odezwał się głosem niskim i wibrującym od emocji:

– Panie LeSeur, pan i oficerowie pokładowi jesteście buntownikami. Należycie do najbardziej nikczemnego gatunku istot ludzkich, jakie można spotkać na morzu. Pewne czyny są tak haniebne, że nie można ich cofnąć. Zbuntowaliście się i oddaliście moje dowództwo psychopacie. Pan i wszyscy ci podstępni, zdracliw, obłudni, zakłamani wazelinarze planowaliście wbić mi nóż w plecy, odkąd wypłynęliśmy z portu. Teraz dostaliście za swoje. Nie, proszę pana: nie pomogę wam. Ani z kodami, ani ze statkiem, nawet żeby wytrzeć wasze żałosne nosy. Pozostał mi tylko jeszcze jeden obowiązek: jeśli statek zatonie, pójdę na dno razem z nim. Miłego dnia, panie LeSeur.

Rumieniec na twarzy komodora jeszcze się pogłębił i LeSeur nagle zrozumiał, że nie wywołała go nienawiść, gniew ani strach. Nie, to był rumieniec triumfu – chorobliwego, mściwego triumfu.



Odziany w szafranowe szaty tybetańskiego buddyjskiego mnicha, Scott Blackburn zaciągnął zasłony na przesuwanych szklanych drzwiach swojego balkonu, przesłaniając szarość sztormu. Setki maślanych lampek napełniały salon drżącym żółtym światłem, dwie mosiężne kadzielnice wydzielały cudowną woń drewna sandałowego i kwiatów pandanu.

Na bocznym stoliku uporczywie dzwonił telefon. Blackburn spojrzął na niego, marszcząc brwi. W końcu podszedł i podniósł słuchawkę.

– Co jest? – rzucił krótko.

– Scotty? – rozległ się piskliwy, zdyszany głos. – To ja, Jason. Próbuujemy cię złapać od kilku godzin! Słuchaj, wszyscy wariują, musimy się dostać do...

– Zamknij się – warknął Blackburn. – Jeśli jeszcze raz zadzwonisz, urwę ci jaja i spuszczę w kiblu.

Delikatnie odłożył słuchawkę. Nigdy jeszcze nie miał zmysłów tak wyostrzonych, tak skupionych, tak czujnych. Za drzwiami apartamentu słyszał krzyki i przekleństwa, tupot stóp, głęboki huk fal. Cokolwiek się działo, jego to nie dotyczyło i nie mogło go osiągnąć w zamkniętym na klucz apartamencie. Tutaj był bezpieczny – z Agozyenem.

Kontynuując przygotowania, wspominał wydarzenia z kilku

ostatnich dni, które tak transcendentalnie zmieniły jego życie. Jak odebrał niespodziewany telefon w sprawie malowidła; jak zobaczył je po raz pierwszy w hotelowym pokoju; jak je uwolnił od niedoświadczonego i niegodnego właściciela; jak je wniósł na statek. A potem, tego samego dnia, wpadł na Carol Mason, zastępcę kapitana statku – dziwnie czasami układa się w życiu! W pierwszym porywie dumy posiadacza podzielił się z nią Agozyenem, a potem pieprzyli się tak żarliwie, z takim zapamiętaniem, że ten stosunek wstrząsnął samymi fundamentami jego istoty. Ale potem zobaczył w Carol zmianę, tak jak wcześniej widział zmianę w sobie. Dostrzegł nieskrywany, zachłanny głód w jej oczach, wspaniałe i przerażające wyzwolenie ze starych, skostniałych ograniczeń moralnych.

Dopiero wtedy zrozumiał to, co powinien zrozumieć wcześniej: musiał chronić swoją zdobycz z największą ostrożnością. Każdy, kto ją zobaczył, pragnął ją posiadać. Ponieważ Agozyen, ten niezwykle wszechświat w mandali, miał wyjątkową władzę nad ludzkim umysłem. Władzę, którą można wyzwolić. On zaś miał największe możliwości ze wszystkich, żeby wyzwolić tę moc. Miał kapitał, pomysłu i przede wszystkim technologię. Dzięki swojej graficznej technologii push[28] mógł pokazać ten obraz – ze wszystkimi cudownymi szczegółami – całemu światu, z wielkimi korzyściami dla siebie. Ze swoim nieograniczonym kapitałem i talentem mógł rozszyfrować tajemnice obrazu i dowiedzieć się, w jaki sposób wywierał tak zdumiewający wpływ na ludzki umysł i ciało, po czym zastosować te informacje przy tworzeniu innych obrazów. Każdy człowiek na Ziemi – przynajmniej każdy, kto cokolwiek znaczył – zostanie całkowicie odmieniony. On zatrzyma sobie oryginał i będzie kierował rozpowszechnianiem kopii. Świat stanie się nowym miejscem, jego miejscem.

Tylko że ktoś jeszcze wiedział o morderstwie, które popełnił.

Detektyw, który – teraz już nie wątpił – ścigał go aż na statek. Człowiek, który wykorzystywał wszelkie dostępne środki, nawet sprzątaczkę z personelu *Britanii*, żeby mu odebrać jego największy skarb. Na tę myśl puls mu przyspieszył, krew zatętniała w żyłach – poczuł nienawiść tak silną, że zaszumiało mu w głowie. Nie miał pojęcia, skąd ten człowiek dowiedział się o mandali Agozyen. Może Ambrose jemu próbował najpierw ją sprzedać; może ten człowiek też był adeptem. Ale w końcu nie miało znaczenia, jak się dowiedział; jego godziny były policzone. Blackburn widywał już destrukcyjne działanie *tulpy*[\[29\]](#), a teraz wezwał – czystą siłą woli – *tulpę* wyjątkowo subtelną i potężną. Żadna istota ludzka nie mogła jej umknąć.

Wziął głęboki, drżący oddech. Nie mógł podejść do Agozyena owładnięty nienawiścią i strachem, przywiązaniem do materialnych rzeczy. Próby zaspokojenia ziemskich pragnień przypominały wlewanie wody do morza: bezsensowna praca, która nie ma końca.

Usiadł i zamknął oczy. Oddychał powoli i głęboko, koncentrując się na nicości. Kiedy poczuł, że fale w jego umyśle się wygładziły, wstał, przeszedł w głąb salonu, zdjął obraz Braque'a i odpiął fałszywą podklejkę. Z największą ostrożnością wyciągnął spod spodu *tangkę* i – odwracając oczy – powiesił ją na jedwabnym sznurze na złotym haku, który wkręcił w ścianę obok.

Zasiadł przed obrazem w pozycji lotosu, położył prawą dłoń na lewej i zetknął kciuki tak, żeby tworzyły trójkąt. Lekko zgiął kark i pozwolił, żeby czubek języka dotknął podniebienia w pobliżu górnych zębów. Niewidzącym wzrokiem patrzył na podłogę przed sobą. Potem rozkosznie powoli podniósł oczy i spojrzał na mandalę Agozyen.

Migotliwe świece ustawione na srebrnych tacach pięknie oświetlały obraz, żółte i złote barwy lśniły niczym płynny metal na powierzchni

*tangki*. Stopniowo – bardzo wolno – otworzyła się przed nim. Poczuł, jak jej moc przepływa przez niego niczym powolna elektryczność.

Mandala Agozyen stanowiła świat sam w sobie, oddzielny wszechświat równie głęboki i skomplikowany jak nasz, nieskończoną złożoność zamkniętą w dwuwymiarowej przestrzeni z czterema krawędziami. Lecz patrzenie na Agozyena oznaczało magiczne wyzwolenie obrazu z dwóch wymiarów. Przybierał kształt i formę w umyśle; dziwaczne, przeplatające się linie zmieniały się w niezliczone przewody elektryczne, którymi płynął prąd duszy. Blackburn stał się obrazem, a obraz stał się nim; czas zwolnił, rozmył się i całkowicie przestał istnieć; mandala przeniknęła jego duszę i świadomość, posiadała go całkowicie: czas bez czasu, przestrzeń bez przestrzeni, jednocześnie wszystko i nic...

Cisza, która zapadła w mrocznym salonie apartamentu Tudora, skrywała podskórne napięcie. Constance stała przed Pendergastem, który spokojnie popił herbaty i odstawił filiżankę.

– No więc? – zagadnął. – Nie mamy całego dnia.

Constance odetchnęła głęboko.

– Aloysius, nie rozumiem, jak możesz tu spokojnie siedzieć i wygłaszać opinie całkowicie sprzeczne ze wszystkim, w co zawsze wierzyłeś.

Pendergast westchnął ze źle maskowanym zniecierpliwieniem.

– Proszę, nie obrażaj mojej inteligencji, wyciągając ten bezsensowny argument.

– Agozyen w jakiś sposób zatruł twój umysł.

– Agozyen nic takiego nie zrobił. On uwolnił mój umysł. Oczyszczył go z naiwnych i krępujących konwencji moralnych.

– Agozyen to instrument zła. Tyle mnisi wiedzieli.

– Mnisi, którzy sami bali się na niego spojrzeć?

– Tak, i okazali się mądrzejsi od ciebie. Wydaje się, że Agozyen ma moc odbierania wszystkiego, co dobre, i... niszczenia dobra w tych, którzy na niego spojrzą. Popatrz, co zrobił z Blackburnem, który popełnił morderstwo, żeby go zdobyć. Popatrz, co robi z tobą.

Pendergast skrzywił się szyderczo.

– On łamie słabsze umysły, ale wzmacnia silniejsze. Popatrz, co zrobił z pokojówką albo z kapitanem Mason, skoro o tym mowa.

– Co?!

– Doprawdy, Constance, spodziewałem się po tobie czegoś więcej. To oczywiste, że Mason go widziała... jakie masz inne wytłumaczenie? Gdzie i kiedy, nie wiem i mało mnie to obchodzi. Ona stoi za zniknięciami i morderstwami... zwróć uwagę, jak starannie stopniowanymi... obliczonymi na to, żeby wywołać bunt i skrócić do St. John's, bo na tym kursie mogła skierować statek na Carrion Rocks.

Constance wytrzeszczyła na niego oczy. Ta teoria wydawała się niedorzeczna – czyżby? Niemal wbrew sobie zauważyła, że niektóre szczegóły zaczynają do siebie pasować.

– Ale teraz to już nieważne. – Pendergast machnął ręką. – Nie zgadzam się na dalszą zwłokę. Chodź ze mną teraz.

Constance zawahała się.

– Pod jednym warunkiem.

– A jakiż to warunek?

– Najpierw odbędziemy razem sesję Chongg Ran.

Pendergast zmrużył oczy.

– Chongg Ran? Nie żartuj... nie mamy czasu.

– Owszem, mamy. Oboje jesteśmy wyszkoleni mentalnie, żeby szybko osiągnąć *stong pa nyid*. Czego się boisz? Że medytacja przywróci cię do normy?

W duchu właśnie na to żarliwie liczyła.

– To absurd. Nie ma powrotu.

– Więc medytuj ze mną.

Pendergast przez chwilę siedział bez ruchu. Potem twarz mu się zmieniła. Znowu wydawał się odprężony, zdystansowany, pewny siebie.

– Doskonale – powiedział. – Zgadzam się. Ale pod jednym warunkiem.

– Słucham.

– Zamierzam zabrać Agozyena, zanim opuszczę ten statek. Jeżeli Chongg Ran nie spełni twoich oczekiwań, sama spojrzysz na Agozyena. On cię uwolni, jak uwolnił mnie. Ofiarowuję ci wielki dar, Constance.

Na te słowa Constance wstrzymała oddech.

Pendergast obdarzył ją zimnym uśmiechem.

– Postawiłaś swoje warunki. Teraz ja stawiam swoje.

Milczała jeszcze przez chwilę. Potem odetchnęła i spojrzała w jego srebrzyste oczy.

– Dobrze. Zgadzam się.

Kiwnął głową.

– Doskonale. Więc zaczynamy?

W tej samej chwili rozległo się pukanie. Constance wyszła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Na korytarzu stała wyraźnie zmartwiona Maria.

– Przepraszam, panno Greene – powiedziała. – Nie znalazłam żadnego lekarza. Szukałam wszędzie, ale ten statek oszalał, ludzie płaczą, piją, rabują...

– Nie szkodzi. Wyrządź mi jeszcze ostatnią przysługę? Zaczekaj parę minut pod drzwiami i dopilnuj, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Kobieta kiwnęła głową.

– Bardzo dziękuję.

Potem cicho zamknęła drzwi i wróciła do salonu, gdzie Pendergast usiadł ze skrzyżowanymi nogami na dywanie, oparł nadgarstki na kolanach i czekał, całkowicie zadowolony z siebie.

Corey Penner, oficer informatyki drugiej klasy, siedział w jasno oświetlonym głównym pomieszczeniu serwera na pokładzie B, zgarbiony nad terminalem dostępu do danych.

Hufnagel, szef informatyki, nachylał się nad ramieniem Pennera i spoglądał na dyspleje przez zaparowane okulary.

– No więc? – zapytał. – Dasz radę?

Pytaniu towarzyszył kwaśny smród oddechu. Penner zacisnął usta.

– Wątpię. Wygląda na mocno chronione.

Prywatnie wcale nie wątpił, że da radę. Niewiele systemów na *Britannii* mogło mu się oprzeć – ale nie opłacało się tego rozgłaszać, zwłaszcza przy szefie. Im więcej pokażesz umiejętności, tym więcej od ciebie żądają – już dawno pojął tę bolesną lekcję. No i nie chciał, żeby inni wiedzieli, jak w wolnym czasie trawersował zabronione serwisy danych statku. Na przykład zainteresowanie płatnym strumieniowaniem filmów na *Britannii* pozwoliło mu zgromadzić ładną prywatną bibliotekę najnowszych DVD.

Stuknął w kilka klawiszy i wyświetlił się nowy ekran:

HMS BRITANNIA – CENTRALNE SYSTEMY AUTONOMICZNE SERWISY  
(TRYB KONSERWACYJNY)  
NAPĘD  
STEROWANIE  
HVAC[30]



ELEKTRYCZNOŚĆ  
FINANSE  
BALAST/STABILIZATORY  
ALARM

Penner najechał myszą na STEROWANIE i wybrał AUTOPILOTA z podmenu, które się wyświetliło. Na ekranie pojawił się komunikat o błędzie: TRYB KONSERWACJI AUTOPILOTA NIEDOSTĘPNY PODCZAS PRACY SYSTEMU.

No, tego się spodziewał. Wyszedł z menu systemowego, wywołał tryb poleceń i zaczął szybko pisać. Na ekranie wyskoczyła seria małych okien.

– Co teraz robisz? – zapytał Hufhagel.

– Wykorzystam diagnostyczne tylne drzwi, żeby uzyskać dostęp do autopilota.

Nie wyjawiał, jak dokładnie zamierzał uzyskać dostęp; Hufnagel nie musiał wiedzieć wszystkiego.

Na drugim końcu pomieszczenia zadzwonił telefon i jeden z techników odebrał.

– Panie Hufhagel, telefon do pana.

Na twarzy technika malowało się napięcie i strach. Penner wiedział, że sam też pewnie by się denerwował, gdyby nie miał tak wysokiej opinii o własnych umiejętnościach.

– Idę. – I Hufnagel odszedł.

Dzięki Bogu. Penner szybko wyłowił CD z kieszeni laboratoryjnego fartucha, wsunął do napędu i załadował do pamięci trzy programy narzędziowe: monitor procesów systemowych, analizator kryptograficzny i szesnastkowy disassembler. Schował płytę z powrotem do kieszeni i zwinął trzy programy, zanim Hufhagel wrócił.

Kilka kliknięć myszą i pojawiła się nowa ramka:

HMS BRITANNIA – SYSTEMY CENTRALNE

AUTONOMICZNE SYSTEMY  
(TRYB DIAGNOSTYCZNY)  
SUBSYSTEM VII RDZENIOWA PODSTRUKTURA KIEROWANIA  
AUTOPILOTEM

Pomyślał, że powinien zapytać, zanim Hufnagel zacznie od nowa.

– Kiedy... to znaczy, jeśli przeniosę kontrolę procedur kierujących, co dalej?

– Dezaktywuj autopilota. Wyłącz go całkowicie i przerzuć sterowanie ręczne na pomocniczy mostek.

Penner oblizał wargi.

– To chyba nieprawda, że kapitan Mason opanowała...

– Tak, to prawda. Więc bierz się do roboty.

Penner po raz pierwszy poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Sprawdził, czy monitor procesów działa, wybrał autopilota i kliknął klawisz „diagnostyka”. Otworzyło się nowe okno, przez które przewijały się rozpędzone strumienie liczb.

– Co to jest?

Penner zerknął na monitor procesów i westchnął w duchu. Typowy szef informatyki, pomyślał. Hufnagel znał wszystkie najnowsze określenia, jak „równoważenie obciążenia farmy blade” czy „wirtualizacja serwera”, i mógł zagadać na śmierć każdego oficera, ale nie miał zielonego pojęcia o prawdziwych zasadach kierowania skomplikowanym systemem danych. Na głos powiedział:

– To dane wyjściowe autopilota działającego w czasie rzeczywistym.

– I?

– I zamierzam je zanalizować, znaleźć stos przerwań, potem wykorzystać wewnętrzne zdarzenia przełączające, żeby zakłócić proces.

Hufnagel mądrze pokiwał głową, jakby rozumiał, co to za

cholerstwo. Upłynęła długa chwila, kiedy Penner analizował dane.

– No? – ponaglił go Hufnagel. – Zaczynaj. Mamy niecałą godzinę.

– To nie takie łatwe.

– Dlaczego?

Penner wskazał ekran.

– Proszę spojrzeć. To nie są komendy szesnastkowe. Są kodowane.

– Umiesz usunąć kodowanie?

A czy ptaszek umie latać? – pomyślał Penner. Nagle dotarło do niego, że – jeśli to odpowiednio rozegra – załatwi sobie pokaźną premię, może nawet awans. Corey Penner, oficer informatyczny pierwszej klasy, bohaterski haker, który ocalił *Britannię*.

Spodobał mu się ten pomysł. Przestał się denerwować: wiedział, że dla niego to bułka z masłem.

– To będzie trudne, bardzo trudne – oświadczył, przybierając odpowiednio melodramatyczny ton. – Zastosowano skomplikowane procedury kodowania. Wie pan coś o nich?

Hufnagel pokręcił głową.

– Kodowanie autopilota opracowała niemiecka firma komputerowa. Korporacja nie może znaleźć dokumentacji ani specyfikacji. A w Hamburgu jest już po godzinach pracy.

– W takim razie muszę przeanalizować sygnaturę kodującą, zanim określe, jaką zastosować strategię deszyfrowania.

Obserwowany przez Hufhagla, przepuścił strumień danych autopilota przez analizator kryptograficzny.

– Używa macierzystego sprzętowego systemu kodowania – oznajmił.

– To źle?

– Nie, dobrze. Zwykle kodowanie sprzętowe jest dość słabe, najwyżej trzydziestodwubitowe. Jeżeli to nie AES[31] albo jakiś wielkobitowy algorytm, powinienem go złamać... ee, rozszyfrować

w krótkim czasie.

– Nie mamy czasu. Mówiłem, że została niecała godzina.

Penner zignorował go i wlepił wzrok w okno analizatora.

Wbrew sobie pakował się w kłopoty. Nagle przestało go obchodzić, czy szef zobaczy jego nieortodoksyjne narzędzia pracy.

– No więc? – ponaglił Hufnagel.

– Jedną chwilę, sir. Analizator ustala, jak silne jest kodowanie. W zależności od bitowej głębi mogę przeprowadzić atak *side channel*[\[32\]](#) albo...

Analizator skończył pracę i na ekranie wyskoczyło mnóstwo cyfr. Pomimo gorąca w serwerowni Penner poczuł, że robi mu się zimno.

– Jezu – mruknął.

– Co jest? – zapytał natychmiast Hufnagel.

Penner wpatrywał się w dane z zakłopotaniem.

– Sir, mówił pan, że mniej niż godzina. Godzina... dokładnie do czego?

– Do rozbicia *Britanii* na Carrion Rocks.

– A jeśli się nie uda... jaki jest plan B?

– Nie twoje zmartwienie, Penner. Pracuj dalej.

Penner przełknął ślinę.

– Procedura stosuje kryptografię krzywych eliptycznych. Przełomowe rozwiązanie. Tysiącdwudziestoczerobitowy klucz jawny front-end z pięćsetdwunastobitowym kluczem symetrycznym back-end.

– No więc? – zapytał szef informatyków. – Ile ci to zajmie?

W ciszy, która zapadła po tym pytaniu, Penner nagle usłyszał wyraźniej głębsze dudnienie silników statku, głuche tąpnięcia dziobu rozbijającego czołową falę z nadmierną szybkością, stłumiony huk wiatru i morza, którego nie zagłuszało nawet wycie chłodzących wentylatorów w bezokiennym pomieszczeniu.

- Penner? Jak długo, do cholery?
- Tyle lat, ile jest ziarenek piasku na wszystkich plażach świata. – wymamrotał, ze strachu niemal dławiąc się słowami.

Istota, która nie miała imienia, wędrowała przez mrok i głuchą pustkę. Przebywała w mglistym metaświecie leżącym w szarej strefie pomiędzy żywym światem *Britannii* a płaszczyzną czystej myśli. Duch nie żył. Nie miał zmysłów. Nic nie słyszał, nic nie widział, nic nie czuł, nic nie myślał.

Znał tylko jedno – pożądanie.

Przesuwał się przez labirynt korytarzy *Britannii* powoli, jakby po omacku. Postrzegał statek tylko jako cień, nierealny pejzaż, niewyraźną tkaninę mroku i ciszy, którą miał przemierzać, dopóki nie zaspokoi pragnienia. Od czasu do czasu napotykał nikłą poświatę żywych istot; ignorował ich chaotyczne poruszenia. Dla stwora były równie niematerialne jak stwór dla nich.

Niejasno wyczuwał, że zbliża się do ofiary. Aura tej żywej istoty przyciągała go jak magnes. Podążając tym nikłym tropem, w nierównym tempie przemieszczał się przez pokłady statku, przez korytarze i stalowe wręgi, szukał, ciągle szukał tego, co kazano mu pożreć, unicestwić. Nie podlegał ograniczeniom czasu świata; czas traktował jak elastyczną sieć, którą można rozciągnąć, przerwać, odrzucić, zanurzyć się w nią i wyjść. Miał cierpliwość wieczności.

Stwór nie wiedział nic o istnieniu, które go wezwało. Tamto istnienie przestało się liczyć. Nawet wzywający nie mógł teraz

powstrzymać stwora, który stał się niezależnym bytem. Stwór nie wiedział również, jak wygląda przedmiot jego pożądania. Wiedział tylko, że pożąda: pragnie znaleźć tę istotę, wyrwać jej duszę z tkaniny świata i spalić swoją żądzą, pochłonąć ją i nasycić się – a potem cisnąć popioły w najdalszą ciemność.

Sunął przez mroczny korytarz, szary tunel półświatła, z ulotnymi obecnościami dodatkowych żywych istnień; przez chmury ciężkie od grozy. Aura ofiary stała się tutaj mocniejsza, bardzo mocna. Czuł, jak jego tęsknota narasta i rozszerza się, dążąc do ciepła złączenia.

*Tulpa* był już blisko, bardzo blisko ofiary.

Gavin Bruce i jego grupka – Niles Welch, Quentin Sharp oraz Emily Dahlberg – szli za Liu i Crowleyem w stronę lewego luku na półpokład siódmy. Oznaczono go napisem „Szalupy ratunkowe”; taki sam luk znajdował się na sterburcie. Przed drzwiami kłębił się tłum i zaatakował ich, gdy tylko się pojawili.

– Tam są!

– Wsadźcie nas do szalup!

– Patrzcie, dwaj oficerowie! Próbują ratować własne tyłki! Zostali otoczeni. Masywna kobieta w niechlujnym dresie z piskiem rzuciła się na Liu.

– Czy to prawda?! – wrzasnęła. – Że płyniemy prosto na skały?!

Tłum posunął się do przodu, spocony, cuchnący paniką.

– Czy to prawda?

– Musicie nam powiedzieć!

– Nie, nie, nie – zaprzeczył Liu, podnosząc ręce i krzywiąc twarz w uśmiechu. – Ta plotka jest absolutnie fałszywa. Płyniemy stałym kursem do...

– Oni kłamią! – przerwał mu jakiś mężczyzna.

– Więc co tu robicie przy szalupach?

– I dlaczego płyniemy tak szybko? Statek huśta jak szalony! Crowley podniósł głos, żeby przekrzyczeć tłum.



– Słuchajcie! Kapitan po prostu skierował statek do St. John's z największą możliwą szybkością.

– Wasza załoga mówi co innego! – wrzasnęła kobieta w dresie, złapała za klapy munduru Liu i wykręciła je kurczowo. – Nie okłamujcie nas!

Podnieceni pasażerowie szczelnie zapełnili korytarz. Bruce'a zaszokowała ich wściekłość i widoczny brak dyscypliny.

– Proszę! – zawołał Liu, strząsając z siebie kobietę. – Przyszliśmy prosto z mostku. Wszystko jest pod kontrolą. To zwykłe, rutynowe sprawdzenie szalup ratunkowych...

Młodszy mężczyzna w rozpiętej marynarce i koszuli przepchnął się do przodu.

– Nie okłamuj nas, sukinsynu! – Chciał złapać Liu, a kiedy ten odskoczył, mężczyzna zamachnął się i zdołał go trafić w bok głowy. – Łgarz!

Liu zatoczył się, opuścił ramiona, odwrócił się i walnął nacierającego pasażera w splot słoneczny. Mężczyzna z jękiem runął na podłogę. Inny pasażer, otyły i masywny, rzucił się na Liu z pięściami, a następny złapał go od tyłu. Bruce sprawnie powalił grubasa jednym ciosem, podczas gdy Crowley zajął się drugim pasażerem.

Tłum, chwilowo zaszokowany tym wybuchem przemocy, ucichł i zaczął się cofać.

– Wracajcie do kabin! – krzyknął Liu, ciężko dysząc.

Gavin Bruce wysunął się naprzód.

– Ty! – Wskazał kobietę w dresie. – Odsuń się od luku, no już!

Oficerski autorytet dźwięczący w jego głosie poskutkował. Tłum niechętnie odstąpił, szurając nogami, cichy, wystraszony. Liu podszedł i otworzył luk.

– Oni wsiądą do szalup! – krzyknął jakiś mężczyzna. – Zabierzcie

mnie! O Boże, nie zostawiajcie mnie!

Tłum znowu się ożywił, naparł na luk, rozległy się krzyki i prośby.

Bruce powalił mężczyznę dwa razy młodszego, który próbował dotrzeć do drzwi. Zyskał dosyć czasu, żeby przepuścić swoją grupę na drugą stronę. Siłą zamknęli luk za sobą, odcinając tłum spanikowanych pasażerów, którzy zaczęli się dobijać i wrzeszczeć.

Bruce się odwrócił. Zimne rozbryzgi spływały po pokładzie otwartym na morze od strony bakburty. Huk i grzmot fal rozbrzmiewał tutaj znacznie głośniej, wiatr świszczął i jęczał w olinowaniu.

– Jezu – mruknął Liu. – Tym ludziom całkiem odbiło.

– Gdzie jest ochrona? – zapytała Emily Dahlberg. – Dlaczego nie opanują tego tłumy?

– Ochrona? – powtórzył Liu. – Mamy dwa tuziny ochroniarzy na ponad cztery tysiące pasażerów i załogi. Tam panuje anarchia.

Bruce pokręcił głową i przeniósł uwagę na długi rząd szalup ratunkowych. Poczł się zaskoczony. Nigdy czegoś takiego nie widział za swoich czasów w marynarce: olbrzymie, całkowicie zamknięte łodzie w kształcie torpedy, jaskrawopomarańczowe, z rzędami iluminatorów po bokach. Przypominały bardziej statki kosmiczne niż szalupy ratunkowe. Co więcej, zamiast wisieć na żurawikach, każda stała na pochyłych szynach, skierowanych w dół za burtę statku.

– Jak one działają? – zwrócił się do Liu.

– To łodzie zrzutowe – oznajmił bosman. – Rozmieszcza się je na platformach wiertniczych i statkach handlowych od lat, ale *Britannia* to pierwszy statek pasażerski, który je stosuje.

– Łodzie zrzutowe? Pan chyba nie mówi poważnie. Jesteśmy sześćdziesiąt stóp nad wodą!

– Pasażerowie przypinają się pasami w fotelach zaprojektowanych tak, żeby amortyzować impet uderzenia. Łodzie wpadają do wody

nosami w dół, hydrodynamicznie, potem wypływają na powierzchnię. Wynurzają się dopiero w odległości dziewięćdziesięciu metrów od statku i odpływają dalej.

– Jakie macie w nich silniki?

– Każda ma diesla trzydziestkępiątkę, który robi do ośmiu węzłów, zapasy wody, żywności, ogrzewanie i nawet dziesięciminutowy zapas powietrza na wypadek, gdyby na powierzchni płonęło paliwo.

Bruce zagapił się na Liu.

– Dobry Boże, człowieku, to idealnie! Myślałem, że będziemy musieli spuszczać staroświeckie szalupy na żurawikach, co przy takiej fali jest niemożliwe. Te łodzie możemy zaraz spuścić!

– Niestety, to nie takie proste – odparł Liu.

– A to dlaczego?

– Z powodu naszej szybkości. Trzydzieści węzłów. To pięćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę...

– Wiem, co to węzeł, do cholery!

– Po prostu nie wiemy, jak nasza prędkość wpłynie na łodzie. Przepisy mówią bardzo wyraźnie, że łodzie należy spuszczać ze statku stojącego w miejscu.

– No to spuścimy jedną na próbę, pustą.

– W ten sposób się nie dowiemy, jak podziałają na pasażerów boczne siły przyspieszenia.

Gavin Bruce zmarszczył brwi.

– Jasne. Czyli potrzebujemy królika doświadczalnego. Żaden problem. Dajcie mi radiotelefon i wsadźcie mnie tam. Zwodujcie łódź. Powiem wam, jak mocno rąbnie.

Crowley pokręcił głową.

– Coś się panu może stać.

– Jaki mamy wybór?

– Nie możemy na to pozwolić pasażerowi – oświadczył Liu. – Ja to

zrobię.

Bruce wytrzeszczył na niego oczy.

– Nie ma mowy. Pan jest bosmanem. Pana wiedza jest potrzebna na statku.

Liu zerknął na Crowleya, odwrócił wzrok.

– To może być twarde lądowanie. Jak w samochodzie, na który wpadnie z boku inny samochód z prędkością pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

– Mówimy o wodzie. Nie o zderzeniu stali ze stalą. Słuchajcie, ktoś musi zostać królikiem doświadczalnym. Podejmowałem już gorsze ryzyko. Jeśli coś mi się stanie, przynajmniej ucieknę ze statku. Tak jak ja to widzę, nie mam nic do stracenia. Nie marnujemy czasu.

Liu zawahał się.

– Ja powinienem iść.

Bruce z irytacją zmarszczył brwi.

– Panie Liu, ile pan ma lat?

– Dwadzieścia sześć.

– A pan, panie Crowley?– Trzydzieści dziewięć.

– Dzieci?

Obaj kiwnęli głowami.

– Ja mam sześćdziesiąt jeden lat. Lepiej się nadaję na królika doświadczalnego, ponieważ pod względem wieku i kondycji nie różnię się od większości pasażerów. Was potrzebują na statku. I wasze dzieci – dodał – też was potrzebują.

Teraz odezwała się Emily Dahlberg.

– Jedna osoba nie wystarczy do przeprowadzenia wiarygodnej próby. Potrzebujemy co najmniej dwóch.

– Masz rację – przyznał Bruce. Spojrzał na Nilesa Welcha. – Co ty na to, Niles?

– Zgoda – odparł natychmiast Welch.

– Zaraz, zaraz – zaprotestowała Emily. – Nie o to mi...

– Wiem, o co ci chodziło – przerwał jej Bruce. – I głęboko to doceniam, Emily. Ale co by powiedział Aberdeen Bank i Trust, gdybym naraził jedną z najważniejszych klientek?

Po czym wyjął radiotelefon VHF z niezbyt odpornej dłoni Liu, podszedł do luku na rufie najbliższej pomarańczowej kosmicznej łodzi i przekreślił uchwyt. Właz otworzył się z cichym sykiem. Bruce wszedł do ciemnego wnętrza i kiwnął na Welcha. Po chwili wystawił głowę.

– Wyposażona lepiej niż luksusowy jacht. Który kanał?

– Siedemdziesiąty drugi. W łodzi jest zamontowany VHF i krótkofalówki, oprócz tego radar, chartplotter, głębokościomierz, loran... pełny wypas.

Bruce kiwnął głową.

– Dobrze. No, nie stójcie jak stado baranów. Kiedy damy wam sygnał, zmówcie paciorek i pociągnijcie za cholerną dźwignię!

I bez dalszego gadania zamknął za sobą właz.

Constance Greene otworzyła starożytną szkatułkę z drewna sandałowego i wyjęła szary jedwabny sznur zawiązany w dziwaczny, fantastycznie skomplikowany węzeł. Pozornie przypominał mało znany europejski węzeł zwany *Mors du Cheval*, jednak znacznie przewyższał go stopniem komplikacji. Po tybetańsku nazywał się *dgongs*, „rozwikłanie”.

Węzeł dostała od Tseringa, kiedy wyjeżdżała z klasztoru Gsalrig Chongg. Zawiązał go w osiemnastym wieku szacowny lama, do wykorzystania przy szczególnej odmianie ćwiczeń medytacyjnych, które pomagają uwolnić się od przywiązania do ziemskich rzeczy, pozbyć złych myśli czy wpływów albo połączyć dwa umysły. Constance używała węzła, żeby oczyścić się od piętna morderstwa; teraz miała nadzieję, że węzeł zmyje piętno Agozyena z Pendergasta. Nigdy go nie rozwiązywano w rzeczywistym świecie: wówczas straciłby moc i zmienił się z powrotem w zwykły kawałek jedwabnego sznura. Służył wyłącznie do ćwiczeń umysłu i ducha.

W apartamencie zalegał półmrok, kotary szczelnie zasłaniały balkonowe okna. Maria – która nie mogła znaleźć lekarza – stała przy drzwiach salonu. Z jej oczu wycierały niepewność i strach.

Constance odwróciła się do niej.

– Mario, proszę, stań na straży. Nie pozwól nikomu nam

przeszkodzić.

Kobieta kiwnęła głową i szybko wyszła z salonu.

Słyszając trzask zamykanych drzwi, Constance umieściła węzeł na małej jedwabnej poduszce, która leżała na podłodze, otoczona kręgiem zapalonych świec. Potem spojrzała na Pendergasta. Z ironicznym uśmiechem agent zajął miejsce po jednej stronie węzła, ona zaś usiadła z drugiej strony. Węzeł spoczywał pomiędzy nimi, jeden luźny koniec wskazywał na nią, drugi na Pendergasta. Stanowił symbol, fizyczny i duchowy zarazem, wzajemnych związków wszelkiego życia, zwłaszcza dwóch istot, które siedziały po obu jego stronach.

Constance przybrała zmodyfikowaną pozycję lotosu, podobnie jak Pendergast. Przez chwilę nic nie robiła, żeby się odprężyć. Potem, nie zamykając oczu i kontemplując węzeł, spowolniła oddech i bicie serca, jak ją uczyli mnisi. Pozwoliła, żeby jej umysł dostroił się do tej chwili, do teraźniejszości, odrzucając przeszłość i przyszłość, tamując nieskończony strumień myśli, które zwykle dręczą ludzki umysł. Uwolniona od mentalnego zgiełku, wyostrzonymi zmysłami bardzo wyraźnie postrzegała otoczenie: huk i uderzenia fal o kadłub, bębnienie deszczu o szyby drzwi balkonowych, zapach nowości w pokoju, słaby aromat wosku ze świec i drewna sandałowego z węzła. Dokładnie wyczuwała obecność obok siebie, ciemny kształt na skraju pola widzenia.

Nie odrywała wzroku od węzła.

Powoli wyciszyła wszystkie zewnętrzne doznania, jedno po drugim. Kontury materialnego świata rozplynęły się w ciemnościach, jakby zamknęła okiennice w ciemnym domu. Najpierw pokój wokół niej; potem wielki statek; wreszcie ogromny ocean, po którym płynęli. Znikły odgłosy w pokoju, zapachy, powolne kołysanie statku, świadomość własnego ciała. Znikła sama ziemia, słońce, gwiazdy,

wszechświat... wszystko znikło, zapadło się w niebycie. Tylko ona pozostała i węzeł, i istota po drugiej stronie węzła.

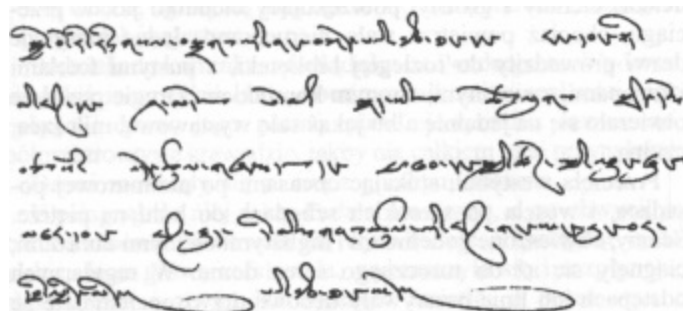
Czas przestał istnieć. Osiągnęła stan *th'an shin gha*, Drzwi do Doskonałej Pustki.

W dziwnym medytacyjnym stanie najwyższej świadomości, a jednak całkowitej nieobecności wysiłku czy pragnienia, skupiła się na węźle. Przez chwilę pozostał niezmienny. Potem – powoli, płynnie, jak wąż rozwijający zwoje – węzeł zaczął się rozwiązywać. Fantastycznie skomplikowane pętle i sploty, opadające krzywizny i ostre skręty sznura zaczęły się rozluźniać; swobodne końce cofnęły się w głąb węzła, powtarzając w odwrotnej kolejności zawijasy oryginalnego wiązania sprzed trzech stuleci. Ten ogromnie złożony proces matematyczny symbolizował rozwikłanie ego, które musi się dokonać, zanim istota osiągnie *stong pa nyid* – Stan Czystej Pustki – i stopi się z uniwersalnym umysłem.

Istniała ona; istniał Pendergast; a pośrodku węzeł, który się rozwiązywał. Nic więcej.

Po nieokreślonym czasie – mogła upłynąć sekunda albo tysiąc lat – szary jedwabny sznur utworzył gładki stosik, rozwiązany i luźno zwinięty. Pośrodku spoczywał mały, zmięty skrawek jedwabiu, na którym wypisano sekretną modlitwę, umieszczony w środku przez starożytnego mnicha.

Uważnie przeczytała słowa. Potem powoli, śpiewnie zaczęła recytować modlitwę, w kółko i w kółko...





Śpiewając, rozciągnęła swoją świadomość w stronę najbliższego wolnego końca sznura. Jednocześnie wyczuwała blask istoty obok niej, sięgającej w ten sam sposób do rozwiązanego sznura.

Śpiewne, powolne, kojące tony rozwiązywały jej ego, łagodnie rozdzielały wszystkie więzi z fizycznym światem. Poczowała prąd, kiedy jej umysł dotknął sznura i przesunął się wzdłuż niego, przyciągany do istnienia po drugiej stronie, podobnie jak ono było przyciągane do niej. Sunęła po skrzyślonych pasmach, ledwie oddychając, z sercem bijącym wolno jak dzwon pogrzebowy, bliżej, coraz bliżej... Potem jej myśl zetknęła się i złączyła z blaskiem tamtego, i osiągnęła końcowy etap.

Nagle znalazła się w miejscu obcym i zarazem znajomym. Stała na brukowanej ulicy pod elegancką latarnią gazową, patrząc na ciemną rezydencję z pozamykanymi okiennicami. Był to wytwór wyjątkowej koncentracji, samej czystej myśli, bardziej realny i namacalny niż wszystkie jej sny. Czowała zimną, lepłą nocną mgłę na skórze; słyszała szelesty i brzęczenie owadów; wyczuła zapach dymu węglowego i sadzy. Podniosła wzrok na rezydencję za bramą z kutego żelaza, obejrzała mansardowy dach, taras i wykuszowe okna.

Po chwili wahania przeszła przez bramę i wkroczyła do ciemnego, wilgotnego ogrodu pełnego zwiędłych kwiatów i zapachu gliny. Szła dalej, aż do portyku. Pod nim podwójne drzwi stały otworem. Weszła do przedpokoju i dalej do wspaniałego westybulu. Z sufitu zwisał kryształowy kandelabr, ciemny i groźny, pobrzękujący cichutko jak w przeciągu, chociaż powietrze stało nieruchomo. Jedne masywne drzwi prowadziły do rozległej biblioteki, z pustymi fotelami i kanapami, z ciemnym, zimnym kominkiem. Drugie przejście otwierało się na jadalnię albo jakąś salę wystawową, milczącą, czujną.

Przebieła westybul, stukając obcasami po marmurowej posadzce, i weszła po szerokich schodach do holu na piętrze. Ściany, obwieszane gobelinami i mglistymi olejnymi obrazami, ciągnęły się aż do mrocznego serca domu. W regularnych odstępach ich linię przerywały dębowe drzwi pociemniałe ze starości.

Spojrzała w lewo i ruszyła w tamtą stronę. Przed nią, niemal w połowie długości korytarza, jedne drzwi były otwarte – wyłamane, framuga roztrzaskana, odłamki, drzazgi i powyginane kawałki ołowiu rozrzucone po podłodze. Czarny, przepastny otwór ział zimnym, piwnicznym smrodem pleśni i zdechłego robactwa.

Szybko przeszła obok z dreszczem. Następne drzwi przyciągały ją do siebie. Prawie dotarła na miejsce.

Położyła rękę na klamce, nacisnęła. Z niskim skrzypieniem drzwi otwarły się do wewnątrz i owionęło ją przyjemne ciepło, wywołując wrażenie, jakby zimową porą trafiła do przytulnego domostwa.

Przed nią stał Aloysius Pendergast, jak zwykle ubrany na czarno, z rękami splecionymi z przodu, uśmiechnięty.

– Witaj – powiedział.

Pokój był duży i piękny, wykładany boazerią. W marmurowym kominku płonął ogień, na gzymsie stary zegar wydzwaniał godziny obok zabytkowego gazogenu[33] i kilku szklanek z rżniętego szkła. Łeb jelenia zawieszony na ścianie spoglądał szklistymi oczami na biurko zarzucone papierami i książkami w skórzanych oprawkach. Dębową podłogę pokrywała gęsta, gruba wykładzina, na której rozłożono kosztowne perskie dywany. Wokół stało kilka wygodnych foteli z szerokimi oparciami, na niektórych leżały otwarte książki. Było to wyjątkowo przytulne, wygodnie urządzone, luksusowe pomieszczenie.

– Chodź, ogrzej się przy ogniu – zaproponował Pendergast i przywołał ją gestem.

Podeszła do kominka, spoglądając na Pendergasta. Wydawał się jakiś inny. Jakiś obcy. Pomimo całkowitej realności tego pokoju i domu, jego postać miała niewyraźne, rozmazane, półprzezroczyste krawędzie, jakby nie całkiem tutaj przynależał.

Drzwi zamknęły się za nią z głuchym hukiem.

Wyciągnął do niej rękę. Podała mu swoją, a on chwycił ją bardzo mocno. Próbowała się wyrwać, ale przyciągnął ją do siebie. Jego głowa zafalowała, wyrzuciła się i rozplynęła; skóra pękła i ze środka błysnęło światło; a potem twarz złuszczyła się i płonące strzępki sfrunęły na podłogę, odsłaniając oblicze, które Constance rozpoznała. Ujrzała niedającą się opisać twarz demona Kalazygi.

Patrzyła na niego dziwnie mało przestraszona, czując jego ciepło, które ją przyciągało. Zdawało się napełniać ją ogniem: tym samym nieopisanym, nieokiełznanym, triumfalnym ogniem, który w niej płonął podczas szaleńczego pościgu za Diogenesem Pendergastem. Miał w sobie czystość, którą podziwiała.

*Jestem wolą, przesłał myśl. Jestem czystą myślą, wypaloną do cna z wszelkich śladów ludzkich sentymentów. Jestem wolnością. Przyłącz się do mnie.*

Zafascynowana, pełna odrazy, znowu próbowała wyrwać rękę, ale trzymał mocno. Twarz, piękna i przerażająca, zbliżyła się do jej twarzy. To nie jest prawdziwe, powiedziała sobie, to tylko wytwór mojego umysłu, obraz z jakiejś *tangki*, jednej z tych, które kontemplowała całymi godzinami, teraz odtworzony wskutek intensywnej medytacji.

Demon Kalazyga pociągnął ją do ognia.

*Chodź. W ogień. Wypal martwe łuski moralnych ograniczeń.  
Wyłosisz się jak motyl z poczwarki, wolna i piękna.*

Zrobiła krok w stronę kominka, zawahała się, zrobiła następny

krok, niemal płynąc nad dywanem do ciepła.

– Tak – odezwał się inny głos. Głos Pendergasta. – Dobrze. Słusznie. Wejź w ogień.

Zbliżając się do płomieni, poczuła, że ciężar wyrzutów sumienia i wstydu z powodu morderstwa, który dotąd ją przygniatał, ulotnił się, zastąpiony przez radość, radosne podniecenie i mroczną satysfakcję, jak wtedy, kiedy na jej oczach brat Pendergasta spadł z krawędzi La Sciary w rozpaloną otchłań. Tamtą przelotną chwilę ekstazy ofiarowano jej teraz na zawsze.

Musiała tylko wejść w płomienie.

Jeszcze jeden krok. Ogień promieniował ciepłem, lizał jej kości. Pamiętała go na samej krawędzi, ich dwoje splecionych w makabrycznej karykaturze seksualnego zjednoczenia, walczących na ryczącym skraju La Sciary; jej niespodziewaną fintę; wyraz jego twarzy, kiedy zrozumiał, że spadną oboje. Wyraz jego twarzy: najbardziej przerażający, najbardziej żaloszny, a jednak najbardziej satysfakcjonujący widok – twarzy kogoś, kto wie bez cienia wątpliwości, że zaraz umrze. Że nie ma już żadnej nadziei. I ta gorzka radość mogła teraz należeć do niej na zawsze; mogła jej doświadczać wciąż od nowa, do woli. I nawet nie potrzebowała zaprzysiężonej zemsty jako pretekstu; mogła po prostu mordować, kogokolwiek i gdziekolwiek, i wciąż od nowa upajać się gorącą, krwawą furia, ekstatycznym, orgiastycznym triumfem...

Nie ma już żadnej nadziei...

Z wrzaskiem szarpnęła się w uścisku demona i nagłym, straszliwym wysiłkiem woli zdołała się uwolnić. Odskokzyła od ognia, odwróciła się i wybiegła za drzwi, i nagle spadała, spadała przez cały dom, przez piwnicę i jeszcze niżej, spadała..



Sztorm szalał za otwartymi relingami półpokładu siódmego, rozbryzgi zalewały pokład, chociaż znajdował się osiemnaście metrów powyżej linii wodnej. Liu prawie nie słyszał własnych myśli w huku morza i wyciu wiatru.

Crowley podszedł do niego, przemoczony jak wszyscy.

– Naprawdę spróbujemy, sir?

– Ma pan lepszy pomysł? – odparł Liu z irytacją. – Proszę mi dać radio.

Crowley podał mu radiotelefon.

Liu nastawił na kanał 72 i nacisnął guzik nadawania.

– Tu Liu, wzywam Bruce’a, odbiór.

– Tu Bruce.

– Jak mnie pan słyszy?

– Głośno i wyraźnie.

– Dobra. Proszę się zapiąć w fotelu sternika przy sterze. Welch niech zajmie miejsce po drugiej stronie.

– Już zrobione.

– Potrzebujecie jakichś instrukcji?

– Chyba wszystko tu mamy.

– Szalupa jest prawie całkowicie zautomatyzowana – ciągnął Liu. – Silnik włącza się automatycznie po uderzeniu w wodę. Odsunie łódź

od statku w linii prostej. Powinniście zmniejszyć gaz i utrzymywać tylko sterowną szybkość... wtedy szybciej was znajdą. Wyglądu pulpitu chyba nie muszę objaśniać oficerowi marynarki.

– Jasne. Macie EPIRB na tej zwariowanej łódce?

– Dwa, właściwie to najnowsze GPIRB-y, które nadają wasze koordynaty GPS. Przy uderzeniu GPIRB automatycznie aktywuje się na czterystu sześciu i stu dwudziestu jeden i pół megahercach... nie musicie nic robić. Nastawcie krótkofalówkę na kanał alarmowy szesnasty. Komunikujcie się ze mną przez radiotelefon na kanale siedemdziesiątym drugim. Będziecie zdani na siebie, dopóki was nie wyłowią... *Britannia* się nie zatrzyma. Obaj nie rozpinajcie pasów ani na chwilę... przy tej fali możecie kilka razy przekoziółkować, w najlepszym razie.

– Zrozumiano.

– Pytania?

– Nie.

– Gotowi?

– Gotowi – zatrzeszczał głos Bruce'a w radiotelefonie.

– Okay. Zacznie się automatyczne piętnastosekundowe odliczanie. Zablokujcie przycisk nadawania, żebyśmy słyszeli, co się dzieje. Po uderzeniu odezwijcie się jak najszybciej.

– Zrozumiano. Odpalajcie.

Liu odwrócił się do tablicy kontrolnej zrzutowego wodowania. Na statku znajdowało się trzydzieści sześć szalup ratunkowych, osiemnaście na sterburcie i osiemnaście na bakburcie. Każda mogła pomieścić do stu pięćdziesięciu osób. Nawet wodując jedną łódź praktycznie pustą, mieli jeszcze dużo miejsc. Spojrzał na zegarek. Jeżeli się uda, zostanie im pięćdziesiąt minut na ewakuację statku. Całkiem wykonalne.

Zmówił krótką modlitwę.

Zainicjował sekwencję wodowania i odetchnął trochę lżej. Na pewno się uda. Te cholerne łodzie miały aż za duży margines bezpieczeństwa, wytrzymały upadek z wysokości osiemnastu metrów. Wytrzymają też dodatkowe obciążenie.

Zielone światło. Odblokował przełącznik, który zaczynał odliczanie zrzutu szalupy ratunkowej numer jeden, odchylił pokrywę. W środku lśniła świeżą farbą mała czerwona dźwignienka. O wiele łatwiejsze niż za dawnych czasów, kiedy szalupę ratunkową trzeba było opuszczać na żurawikach kołyszących się niebezpiecznie na wietrze i rozhuśtanym pokładzie. Teraz wystarczyło nacisnąć dźwignię: łódź zwolniona z zaczepów zsuwała się po szynach, spadała z wysokości osiemnastu metrów do morza i nurkowała dziobem w dół. Po kilku chwilach wynurzała się na powierzchnię i odpływała od statku. Ćwiczyli to wiele razy: zrzut i wynurzenie zajmowały sześć sekund.

– Słyszysz pan, Bruce?

– Głośno i wyraźnie.

– Trzymajcie się. Zwalniam dźwignię.

Pociągnął za czerwony uchwyt.

Kobiecy głos rozległ się z głośnika na górze:

– Szalupa ratunkowa numer jeden woduje za piętnaście sekund.

Dziesięć sekund. Dziewięć, osiem...

Głos rozbrzmiewał echem pomiędzy metalowymi ścianami półpokładu. Odliczanie dobiegło końca; rozległ się głośny szcęk zwalnianych zaczepów. Łódź ześliznęła się po naoliwionych szynach i wyleciała dziobem naprzód w powietrze. Liu wychylił się przez burzę, żeby zobaczyć, jak spadała z gracją nurka we wzburzone morze.

Uderzyła w wodę, wzbijając olbrzymią fontannę piany, znacznie większą niż te, które Liu widział podczas ćwiczeń: gejzer wystrzelił na piętnaście metrów i rozpadł się na poszarpane strzępy w porywach

wiatru. Z kanału VHF dobiegł pisk zakłóceń.

Lecz zamiast zanurzyć się prosto w wodę i zniknąć, rozpędzona łódź na skutek dodatkowej szybkości statku odbiła się bokiem od fali, jak kaczką puszczaną na stawie, i po raz drugi z impetem rąbnęła w wodę na płask, wzbijając następny pióropusz piany. A potem zaczęła się niemrawo zanurzać, błyskając pomarańczowym kadłubem wśród zielonych fal. Zakłócenia w radiotelefonie nagle się urwały.

Emily Dahlberg gwałtownie zaczerpnęła powietrza i odwróciła wzrok.

Liu wpatrywał się w łódź, która szybko zostawała za rufą. Miał wrażenie, że widzi szalupę pod niewłaściwym kątem. Ale nie, nie o to chodziło: profil kadłuba się zmienił – uległ odkształceniu. Pomarańczowe i białe plamki odrywały się od powłoki, powietrze uciekające wzdłuż linii złączenia wydmuchiwało w niebo grzebień piany.

Z mdlącym uczuciem Liu zrozumiał, że kadłub został naruszony, pękł wzdłuż jak przejrzały melon i teraz wypluwał wnętrzności.

– Jezu... – usłyszał mamrotanie Crowleya. – O Jezu...

Patrzył ze zgrozą na rozbitą szalupę ratunkową. Nie wyprostowała się; kolebała się na boki i zapadała z powrotem w wodę. Śruba silnika bezużytecznie młóciła powierzchnię, zostawiając ślad oleju i potrzaskanych szczątków. Szalupa coraz bardziej zostawała z tyłu, znikając w szarych, wzburzonych falach.

Liu chwycił radiotelefon i nacisnął guzik nadawania.

– Bruce! Welch! Tu Liu! Odpowiedzcie! Bruce!!!

Ale nikt nie odpowiadał – i Liu wiedział, że odpowiedzi nie będzie.



Na pomocniczym mostku LeSeur stawiał czoło powodzi pytań.

– Szalupy ratunkowe! – przekrzyczał innych jakiś oficer. – Co się dzieje z szalupami?

LeSeur pokręcił głową.

– Jeszcze nie wiadomo. Ciągłe czekam na informację od Liu i Crowleya.

– Mam *Grenfella* na kanale sześćdziesiątym dziewiątym – odezwał się główny oficer radiowy.

LeSeur spojrzał na niego.

– Niech pan mu przefaksuje przez SBB, żeby się przełączył na kanał... siedemdziesiąty dziewiąty.

Jeżeli wybierze mało znany kanał VHF do komunikacji z *Grenfellem* – kanał 79, zwykle zarezerwowany dla łodzi sportowych na Wielkich Jeziorach – może Mason nie namierzy tej rozmowy. Modlił się, żeby nie skanowała rutynowo kanałów VHF. Oczywiście widziała już profil radarowy zbliżającego się *Grenfella* i słyszała całą gadaninę na kanale alarmowym 16.

– Jaki jest wyliczony czas spotkania? – zapytał oficera radiowego.

– Dziewięć minut. – Zrobił przerwę. – Mam kapitana *Grenfella* na kanale siedemdziesiątym dziewiątym, sir.

LeSeur podszedł do konsoli VHF, nasunął słuchawki i odezwał się

zniżonym głosem:

– *Grenfell*, mówi pierwszy oficer LeSeur, tymczasowy dowódca *Britannii*. Macie jakiś plan?

– Trudna sprawa, *Britannia*, ale jest kilka pomysłów.

– Mamy tylko jedną szansę. Rozwijamy szybkość co najmniej dziesięć węzłów większą niż wy i jak się miniemy, to koniec.

– Zrozumiano. Mamy na pokładzie użytkowy helikopter BO-sto pięć i możemy go wykorzystać, żeby podrzucić wam trochę kierunkowych ładunków wybuchowych, których zwykle używamy do rozbijania kadłuba...

– Przy naszej szybkości, przy takiej fali i wietrze nigdy nie wylądujecie.

Milczenie.

– Liczyliśmy na spokojniejszą chwilą.

– Mało prawdopodobne, ale trzymajcie ptaszka w pogotowiu.

Następny pomysł?

– Pomyśleliśmy, że podczas mijania zahaczymy *Britannię* naszą wciągarką holowniczą i spróbujemy ściągnąć ją z kursu.

– Jaka wciągarka?

– Siedemdziesięcotonowa elektrohydrauliczna wciągarka holownicza z czterdziestomilimetrową stalową liną...

– Pęknie jak drut.

– Pewnie tak. Inna ewentualność to rzucić boją i przeciągnąć linę przez wasz kurs, żeby uszkodzić śruby

– Wykluczone, żeby czterdziestomilimetrowa stalowa lina zatrzymała cztery śruby po dwadzieścia jeden i pół megawata. Nie wozicie szybkich łodzi ratowniczych?

– Niestety, nie możemy zwodować naszych dwóch jednostek ratowniczych przy takiej fali. Zresztą i tak ich nie wykorzystamy do ewakuacji, bo nie dotrzemy wam tempa.

– Jeszcze jakieś pomysły?

Przerwa.

– Nic innego nie wymyśliliśmy.

– Więc musimy zastosować mój plan – oświadczył LeSeur.

– Strzelaj pan.

– Jesteście lodołamaczem, prawda?

– No, *Grenfell* to statek wzmocniony na lód, ale nie jest prawdziwym lodołamaczem. Czasami wykonujemy pracę lodołamacza, na przykład otwarcie zatoki.

– Wystarczy. *Grenfell*, wyznaczcie kurs, który prowadzi przez nasz dziób... w ten sposób, żeby go oderwać.

Milczenie, a potem odpowiedź:

– Przepraszam, *Britannia*, chyba was źle odbieram.

– Dobrze mnie odbieracie. Chodzi o to, że otwierając wybrane grodzie, możemy zatopić przednie trzy komory. Wtedy przechylimy się do przodu dostatecznie mocno, żeby śruby prawie się wynurzyły z wody. *Britannia* zostanie unieruchomiona.

– Proście, żebyśmy was staranowali? Dobry Boże, czyście poszaleli? Przecież mogę zatopić własny statek!

– To jedyny sposób. Jeśli podejście czołowo kilka stopni od strony naszej sterburty, nie za szybko... powiedzmy, pięć do ośmiu węzłów... a potem przed samym zderzeniem dacie mocno wstecz jedną śrubą i jednocześnie uruchomicie dziobowe stery strumieniowe, powinniście oderwać nasz dziób wzmocnionymi przednimi płytami kadłuba, skręcić i wyminąć nas gładko od strony sterburty. Ryzykowny manewr, ale się uda. To znaczy, jeśli macie dobrych sterników.

– Muszę się porozumieć z dowództwem.

– Zostało pięć minut do naszego spotkania, *Grenfell*. Wicie cholernie dobrze, że nie dostaniecie zezwolenia na czas. Słuchajcie,

macie jaja, żeby to zrobić, czy nie? Tylko to chcę wiedzieć.

Długie milczenie.

– No dobrze, *Britannia*. Spróbujemy.

Constance gwałtownie otworzyła oczy, drgnęła i ocknęła się ze zdławionym okrzykiem. Wszechświat powrócił w jednej chwili – statek, rozkołysany pokój, bębnienie deszczu, huk fal i wycie wichury.

Spojrzała na *dgongs*. Leżał w bezładnym zwoju wokół strzępka starego, pogniecionego jedwabiu. Został rozwiązany – w rzeczywistości.

Wstrząśnięta podniosła wzrok na Pendergasta. Dopiero teraz lekko uniół głowę, jego oczy powróciły do życia, srebrzyste źrenice zaśniły w blasku świateł. Dziwny uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Przerwałaś medytację, Constance.
- Próbowałeś... wciągnąć mnie w ogień – wydyszała.
- Naturalnie.

Zalała ją fala rozpacz. Zamiast wydobyć go z ciemności, sama prawie dała się usidlić.

- Próbowałem cię uwolnić od ziemskich kajdan – wyjaśnił.
- Uwolnić mnie – powtórzyła z goryczą.
- Tak. Żebyś stała się, kim zechcesz: wolna od więzów sentymentu, moralności, zasad, honoru, cnoty i tych wszystkich trywialnych bzdur, które przykuwają nas do niewolniczej galery ludzkości, gdzie wiosłujemy razem z innymi, zmierzając donikąd.

- I to ci zrobił Agozyen – oznajmiła. – Pozbawił cię wszelkich

moralnych i etycznych zahamowań. Uwolnił twoje najbardziej mroczne, socjopatyczne skłonności. Mnie również to ofiarował.

Pendergast wstał i wyciągnął rękę. Nie przyjęła jej.

– Rozwiązałeś węzeł.

Odpowiedział niskim głosem, w którym wibrował dziwny triumf:

– Nie dotknąłem go. Ani razu.

– Więc jak...?

– Rozwiązałem go umysłem.

Wytrzeszczyła na niego oczy.

– To niemożliwe.

– Nie tylko możliwe, ale właśnie się stało, jak sama widzisz.

– Medytacja się udała. Jesteś taki sam.

– Medytacja się udała, moja droga Constance. Zmieniłem się... ogromnie. Dzięki tej medytacji, na którą tak nalegałaś, zrozumiałem w pełni moc, jaką mi dał Agozyen. Potęgę czystej myśli... władzę ducha nad materią. Otworzyłem ogromny rezerwuar mocy. Ty też możesz to zrobić. – W jego oczach błyszczała pasja. – To niezwykła demonstracja mandali Agozyen, zdolnej zmienić ludzki umysł i ludzką myśl w narzędzie kolosalnej potęgi.

Constance patrzyła na niego i groza wpełzała jej do serca.

– Chciałaś mnie sprowadzić z powrotem – ciągnął. – Chciałaś przywrócić moją starą, niemądrą, skłóconą jaźń. Lecz zamiast tego pchnęłaś mnie do przodu. Otworzyłaś drzwi. A teraz, kochana Constance, twoja kolej się uwolnić. Pamiętasz naszą małą umowę?

Nie mogła wykrztusić ani słowa.

– Właśnie. Teraz twoja kolej, żeby spojrzeć na Agozyena.

Wciąż się wahała.

– Jak sobie życzysz. – Wstał i chwycił skraj brezentowego worka. – Skończyłem się tobą opiekować.

Ruszył do drzwi, nie patrząc na nią, zarzuciwszy worek na ramię.

Zszokowana zrozumiała, że już mu na niej nie zależy.

– Czekał... – zaczęła.

Przerwał jej wrzask dochodzący z korytarza. Drzwi otworzyły się i do środka wpadła tyłem Maria. Za nią Constance dostrzegła coś szarego i postrzępionego, sunącego w ich stronę.

Skąd się wziął ten dym? Czy na statku wybuchł pożar?

Pendergast upuścił worek i cofnął się o krok. Constance ze zdumieniem dostrzegła na jego twarzy szok, nawet strach.

To zablokowało drzwi. Maria znowu krzyknęła, a to połknęło ją i stłumiło jej wrzaski.

Przez chwilę lampa w przedpokoju oświetlała zjawisko i z narastającym poczuciem nierzeczywistości Constance zobaczyła głęboko w dymie dziwną, falującą obecność z dwoma nabiegłymi krwią oczami i trzecim na czole – demonicznego stwora, który posuwał się do przodu kołyszącymi, szarpanymi ruchami, jakby kulał... albo tańczył...

Maria wrzasnęła po raz trzeci i upadła na podłogę z brzękiem rozbijanego szkła. Oczy jej uciekły w tył głowy, ciałem wstrząsały konwulsje. Stwór minął ją, napełniając salon wilgotnym zimnem i odorem gnijącej grzybni, zapędził Pendergasta w kąt – a potem skoczył na niego, w niego, pochłonął go. Zdławiony okrzyk Pendergasta wyrażał tak absolutne przerażenie, taką bolesną rozpacz, że zmroził Constance do szpiku kości.

LeSeur stał pośrodku zatłoczonego pomocniczego mostku, wpatrując się w radarowy obraz zbliżającego się statku. Powiększał się coraz bardziej, fosforyzujący kształt rozrastał się na samym środku ekranu. Odczyt Dopplera wskazywał połączoną szybkość zbliżania: trzydzieści siedem węzłów.

– Odległość dwa tysiące pięćset metrów i maleje – ogłosił drugi oficer.

LeSeur szybko przeliczył w pamięci: dwie minuty do kontaktu. Spojrzał na czulszy radar pracujący w paśmie X[34], ale zobaczył tylko zakłócenia wywołane przez ulewny deszcz i wzburzone morze. Szybko i po cichu przedstawił pozostałym oficerom swój plan. Zdawał sobie sprawę, że Mason mogła słyszeć wszystko, co powiedział do kapitana *Grenfella*; nie istniał niezawodny sposób zablokowania łączności na głównym mostku. Ale tak czy owak, kiedy *Grenfell* wykona swój ruch, *Britannia* musi się mocno sprężyć.

Podszedł do niego szef mechaników Halsey.

– Mam obliczenia, o które pan prosił – powiedział zniżonym głosem, żeby inni nie słyszeli.

Więc jest tak źle, pomyślał LeSeur. Odciągnął Halseya na bok.

– Te liczby – zaczął szef mechaników – dotyczą bezpośredniego zderzenia ze środkiem mielizny, którego się spodziewamy.



– Niech pan szybko mówi.

– Biorąc pod uwagę impet zderzenia, oceniamy liczbę ofiar śmiertelnych na trzydzieści do pięćdziesięciu procent... a prawie cała reszta odniesie poważne obrażenia: połamane kończyny, stłuczenia, wstrząśnienia mózgu.

– Rozumiem.

– *Britannia* ma zanurzenie dziesięć metrów, więc najpierw wpadnie na małą mieliznę w pewnej odległości od głównej części rafy. Zanim statek zatrzyma się na skałach, zostanie już rozpruty od dziobu do rufy. Wszystkie wodoszczelne komory i grodzie zostaną rozerwane. Oceniamy czas zatonięcia na niecałe trzy minuty.

LeSeur przełknął ślinę.

– Czy jest szansa, że statek zaczepi się na skałach?

– Tam jest stromy spadek. Rufa przeważy i ściągnie statek w dół... szybko.

– Jezu kochany.

– Biorąc pod uwagę procent obrażeń i wypadków śmiertelnych oraz szybkość, z jaką *Britannia* zatonie, nie zdążymy zastosować żadnych procedur opuszczenia statku. To znaczy, że nikt przebywający na pokładzie podczas zderzenia nie ma szans na przeżycie. Włącznie z...  
– zawahał się i rozejrzał dookoła – ...z obsadą pomocniczego mostku.

– Tysiąc pięćset metrów i maleje – ogłosił drugi oficer, ze wzrokiem utkwionym w radarze. Strumyczki potu spływały mu po twarzy. Na pomocniczym mostku zapadła cisza. Wszyscy wpatrywali się w pęczniejący zielony kleks na ekranie radaru.

LeSeur rozważał, czy wydać ogólny rozkaz ostrzegający pasażerów i załogę, żeby się zabezpieczyli, ale się nie zdecydował. Po pierwsze, gdyby użył systemu głośników, zdradziłby swój plan Mason. Ale co ważniejsze, jeśli *Grenfell* należycie wykona zadanie, impet bocznego uderzenia w dziób zostanie w większości zaabsorbowany przez

ogromną masę *Britannii*. Wstrząs może przestraszyć pasażerów, w najgorszym przypadku zbić z nóg parę osób. Musiał zaryzykować.  
– Tysiąc dwieście metrów.

Roger Mayles usłyszał tupot biegnących stóp i wcisnął się w ciemny kąt na pokładzie dziewiątym. Zgraja pasażerów przebiegła obok z wrzaskiem, wymachując rękami. Mayles ścisnął w spoczonej dłoni klucz magnetyczny, który nieustannie pocierał i ugniatał niczym kamień zmartwień[35]. Drugą ręką wyjął butelkę i pociągnął długi łyk whisky single malt – osiemnastoletniego macallana – po czym wsunął flaszkę z powrotem do kieszeni. Oko już mu zaczęło puchnąć od ciosu, który zarobił podczas szamotaniny z rozhisteryzowanym pasażerem w restauracji Oscar: miał wrażenie, że ktoś pompuje mu powietrze pod skórę, zostawiając coraz mniejszą szparkę. Krew z rozkwaszonego nosa, z którego wciąż ciekło, splamiła białą koszulę i wieczorową marynarkę. Na pewno wyglądał strasznie.

Spojrzał na zegarek. Trzydzieści minut do zderzenia, jeśli otrzymał prawdziwe informacje; a miał wszelkie powody wierzyć, że tak. Jeszcze raz sprawdził, czy hol jest pusty, i wytoczył się z kąta. Za wszelką cenę powinien unikać pasażerów. Na pokładzie *Britanii* nastał czas *Władcy much*. – każdy za siebie – a nikt nie zmienia się w brutali szybciej niż banda bogatych dupków.

Ostrożnie przeszedł korytarzem pokładu dziewiątego. Choć nikogo nie widział w pobliżu, zewsząd dochodziły krzyki, wrzaski, błagania i rozpaczliwe szlochy. Nie mógł uwierzyć, że oficerowie

i ochroniarze praktycznie zniknęli, zostawiając personel rozrywkowy, do którego sam się zaliczał, na łasce rozszalałych pasażerów. Niczego się nie dowiedział, nie otrzymał żadnych instrukcji. Wyraźnie nikt nie potrafił sobie poradzić z katastrofą tej skali. Na statku nastął sądny dzień, a z braku informacji najdziksze pogłoski rozprzestrzeniały się szybko jak pożar buszu.

Mayles przemknął przez hol, ściskając klucz w rękę. Chciał go wykorzystać jako przepustkę z tego domu wariatów. Nie zamierzał skończyć jak pozostałe cztery tysiące trzystu frajerów przerobionych na siekane kotlety, kiedy statek wypruje sobie flaki na najgorszej mieliźnie Grand Banks. Szczęściarze, którzy przeżyją zderzenie, przetrwają najwyżej jeszcze dwadzieścia minut w lodowatej wodzie, zanim umrą od hipotermii.

*Nie zamierzam uczestniczyć w tym przyjęciu, dziękuję bardzo.*

Znowu łyknął whisky i wśliznął się za drzwi oznaczone czerwonym napisem „Wyjście”. Zbiegł po metalowych schodkach, aż go rozboleły krótkie nogi, i zatrzymał się dwa poziomy niżej, żeby zajrzeć w korytarz prowadzący na półpokład, gdzie umieszczono szalupy ratunkowe bakburty. Korytarz wprawdzie był pusty, ale krzyki rozgorączkowanych, wściekłych pasażerów rozlegały się głośniejsze na tym pokładzie. Nie potrafił pojąć, dlaczego nie spuszczone szalupy ratunkowych. Brał udział w ćwiczeniach z szalupami w zrzutowym wodowaniu. Te cholerne łodzie były prawie niezniszczalne, spadały do wody, kiedy pasażer siedział bezpiecznie zapięty w wyściełanym fotelu. Trzęsło nie bardziej niż podczas przejażdżki kolejką górską w Disneylandzie.

Kiedy skreślił za róg, w stronę zewnętrznego półpokładu, hałas jeszcze się zwiększył. Mógł się domyślić: grupka pasażerów zebrała się przy zamkniętych lukach łodzi, krzycząc i waląc pięściami, żeby ich wpuszczono.

Istniała tylko jedna droga do szalup ratunkowych na bakburcie – przez tłum. Niewątpliwie rozhisteryzowani pasażerowie czekali również przy łodziach na sterburcie. Podszedł, wciąż ściskając klucz. Może nikt go nie rozpozna.

– Hej! To kierownik rejsu!

– Kierownik rejsu! Hej, ty! Mayles!

Tłum rzucił się ku niemu. Pijany mężczyzna z czerwoną twarzą złapał go za rękaw.

– Co się dzieje, do diabła? Dlaczego nie spuszczaamy łodzi? – Szarpnął go za ramię. – Hej? Dlaczego?

– Nie wiem więcej niż wy! – krzyknął Mayles piskliwie, próbując wyrwać ramię. – Nic mi nie powiedzieli!

– Akurat! On idzie do szalup... jak tamci!

Złapała go następna ręka i odciągnęła w bok. Usłyszał trzask rozdzieranego munduru.

– Przepuście mnie! – pisnął, prąc do przodu. – Mówię wam, że nic nie wiem!

– Gówno prawda!

– Chcemy do łodzi! Tym razem nas nie odetniecie!

Tłum panikował wokół niego, szarpał go jak dzieci bijące się o lalkę. Z głośnym trzaskiem urwano mu rękaw od koszuli.

– Puszczajcie! – prosił.

– Dranie, chcecie nas zostawić, żebyśmy potonęli!

– Oni już spuścili szalupy, dlatego nie widać załogi!

– Czy to prawda, gnojku?

– Wpuszczę was – zawołał przerażony Mayles, podnosząc klucz – jeśli mnie zostawicie w spokoju!

Tłum zamilkł, przetrawiając propozycję.

– Powiedział, że nas wpuści!

– Słyszeliście! Wpuść nas!

Tłum wypchnął go do przodu, nagle spokojniejszy, wyczekujący. Drżącą ręką Mayles wsadził klucz do zamka, otworzył drzwi, skoczył przez próg, okręcił się i próbował szybko zamknąć drzwi za sobą. Daremny wysiłek. Tłum wlał się do środka, odtrącając go na bok.

Jakoś się pozbierał. Ryk morza i wycie wiatru uderzyły go prosto w twarz. Szare płachty mgły mknęły ponad falami, ale w prześwitach pomiędzy nimi Mayles widział czarny, gniewny, spieniony ocean. Potężne rozbryzgi zalewały wewnętrzny pokład i natychmiast przemoczyły go do suchej nitki. Dostrzegł Liu i Crowleya, stojących przy tablicy kontrolnej wodowania razem z człowiekiem, w którym rozpoznał dyrektora banku. Patrzyli z niedowierzaniem na nacierający tłum. Obok nich stała Emily Dahlberg, dziedziczka mięsnej fortuny. Pasażerowie rzucili się w stronę pierwszej dostępnej łodzi, a Liu i Crowley razem z bankierem szybko zastąpili im drogę. Rozległy się krzyki i wrzaski, i przerażający odgłos uderzeń pięści. Radio Crowleya wypadło mu z ręki, potoczyło się po pokładzie i znikło.

Mayles trzymał się z tyłu. Znał procedurę. Wiedział, jak używać tych łodzi, znał wewnętrzną sekwencję wodowania i prędzej szlag by go trafił, niż zgodziłby się dzielić szalupę ze zgrają zwariowanych pasażerów. Bójka pomiędzy tłumem a grupą Liu nabierała rozmachu. Pasażerowie chyba zapomnieli o nim, pragnąc tylko dostać się do najbliższej łodzi. Zdąży uciec, zanim się połapią, co się święci.

Twarz Liu krwawiła obficie z kilku skaleczeń.

– Zawiadom pomocniczy mostek! – krzyknął do Dahlberg, zanim rozwścieczony motłoch go powalił.

Mayles ominął wściekłych pasażerów i ruszył przed siebie. Po drodze niedbale wcisnął kilka guzików na tablicy kontrolnej. Wsiądzie do łodzi, zwoduje ją i bezpiecznie odpłynie. GPIRB się włączy i wyłowią go przed nocą.

Dotarł do ostatniej łodzi w szeregu, drżącą ręką otworzył tablicę kontrolną za pomocą karty i zaczął aktywować ustawienia. Patrzył, jak tłum na drugim końcu pokładu walczy z bankierem i trąci nieruchome sylwetki Liu i Crowleya. Jakaś głowa odwróciła się w jego stronę. Następna.

– Hej! On chce jedną zwodować! Skurwysyn!

– Czekaj!

Zobaczył, że grupa pasażerów biegnie w jego stronę.

Wbił resztę ustawień i włączył na rufie odchylił się na hydraulicznych zawiasach. Rzucił się do niego, ale tłum go wyprzedził. Złapano go, odciągnięto do tyłu.

– Gnojek!

– Wystarczy miejsca dla wszystkich! – pisał. – Puszczajcie, idioci! Po kolei!

– Ty ostatni!

Żyłasty staruch z nadnaturalną siłą odepchnął go na bok i znikł wewnątrz łodzi. Za nim runęła wrzeszcząca, zakrwawiona tłuszcza. Mayles próbował też się wepchnąć, ale znowu go odciągnięto.

– Łajdak!

Pośliznął się na mokrym pokładzie, upadł i został popchnięty na reling. Chwycił się go i podciągnął. Przecież go nie zostawia. Nie zabiorą jego łodzi. Złapał mężczyznę pchającego się przed nim, przewrócił go, znowu się pośliznął; tamten podniósł się i natarł na niego. Szamotali się w ciasnym uścisku, objając się o reling. Mayles zaparł się nogą o poręcz, żeby utrzymać równowagę, podczas gdy tłum napierał i wciskał się do wąskiego włazu.

– Potrzebujecie mnie! – krzyknął Mayles. – Umiem to obsługiwać!

Odepchnął napastnika i znowu skoczył do włazu, ale ci w środku usiłowali teraz zamknąć drzwi.

– Umiem to obsługiwać! – zawrzeszczał, orząc paznokciami plecy

ludzi, którzy próbowali nie dopuścić do zamknięcia włazu.

A potem to się stało – z ohydny, spastycznym przyspieszeniem, jak w koszmarnym śnie. Ze zgrozą ujrzał, że koło się obraca i szczelnie zamyka właz. Złapał koło i próbował je przekręcić w drugą stronę; usłyszał szczęknięcie, kiedy haki zabezpieczeń puściły – a potem szalupa ratunkowa runęła w dół po rampie, wlokąc za sobą Maylesa i pół tuzina innych. Razem z nimi stoczył się po naoliwionych metalowych szynach, nie mogąc się zatrzymać – i nagle spadał w stronę czarnego, skotłowanego oceanu, koziółkował w zwolnionym tempie, głową w dół.

Zanim uderzył w wodę, zobaczył jeszcze drugi statek wyłaniający się z mgły na wprost *Britanii*, zbliżający się kursem na zderzenie.



LeSeur wyglądał przez przednie okna pomocniczego mostku. Deszcz ustawał w miarę, jak wiatr się wzmacniał, a teraz mgła się rozwiewała i odsłaniała widok na rozległy przestwór wzburzonego morza. LeSeur wyteżał wzrok tak mocno, że zaczął się obawiać, czy nie ma przywidzeń.

Ale nagle zobaczył: *Grenfell* wyłonił się z kłębow mgły, pękaty kadłub rozbijał fale. Pędził prosto na nich.

Kiedy *Grenfell* się pojawił, wszyscy na pomocniczym mostku wstrzymali oddech.

– Osiemset metrów.

*Grenfell* wykonał swój ruch. Nagła kipiela białej wody wzdłuż kadłuba rufowego sterburty oznaczała przestawienie obrotów śruby na sterburcie; jednocześnie biały pióropusz tryskający spod dzioba od strony bakburty sygnalizował, że uruchomiono dziobowe stery strumieniowe. Czerwony pysk *Grenfella* zaczął skręcać w prawo. Dwa statki wciąż się zbliżały, olbrzymia *Britannia* płynęła znacznie szybciej niż kanadyjska jednostka.

– Trzymajcie się! – krzyknął LeSeur i złapał się krawędzi stołu nawigacyjnego.

Na manewr *Grenfella* niemal natychmiast odpowiedział głęboki ryk w brzuchu *Britannii*. Mason wyłączyła autopilota i reagowała

z przerażającą szybkością. Statek zaczął wibrować z dudnieniem jak przy trzęsieniu ziemi, pokład się przechylił.

– Ona wciąga stabilizatory! – krzyknął LeSeur, patrząc z niedowierzaniem na tablicę kontrolną. – I... Jezu, obróciła rufowe gondole dziewięćdziesiąt stopni na sterburcie!

– Nie może tego zrobić! – wrzasnął główny inżynier. – Wyrwie gondole z kadłuba!

LeSeur sprawdzał odczyty silników, rozpaczliwie usiłując zrozumieć, co zamierza Mason.

– Odwraca *Britannię* burtą... umyślnie... żeby *Grenfell* rąbnął nas z boku.

Przerażający, wyrazisty obraz na mgnienie uformował się w jego myślach: *Britannia* wystawia bezbronny bok na atak wzmocnionego dziobu *Grenfella*. Ale zderzenie nie nastąpi pod kątem prostym; *Britannia* nie zdąży się całkiem obrócić. Będzie jeszcze gorzej. *Grenfell* uderzy w liniowiec pod kątem czterdziestu pięciu stopni, wbije się ukośnie w główny blok apartamentów mieszkalnych i pomieszczeń publicznych. To będzie rzeźnia, jatka, masakra.

Natychmiast zrozumiał, że Mason bardzo starannie przemyślała swoją kontrakcję. Równie skuteczną jak rozbicie statku na Carrion Rocks. Wykorzystała nadarżającą się okazję.

– *Grenfell!* – krzyknął LeSeur, przerywając ciszę radiową. – Druga śruba do tyłu! Pędniki dziobowe wstecz! Ona się odwraca bokiem!

– Przyjąłem – odpowiedział zadziwiająco spokojny głos kapitana.

Natychmiast woda spieniła się wokół kadłuba *Grenfella*. Statek jakby się zawahał, dziób obracał się wolniej i szybkość spadała.

Pod stopami oficerów narastało zgrzytliwe, hałaśliwe drżenie, kiedy Mason wyciskała z obrotowych śrub rufowych pełne czterdzieści trzy tysiące kilowatów mocy skierowanej pod kątem prostym do wektora ruchu statku. Szalony manewr. Bez stabilizatorów, popychana przez

falę boczną, *Britannia* skręcała i przechylała się coraz mocniej: pięć stopni, dziesięć stopni, piętnaście stopni od pionu, znacznie bardziej, niż mogli przewidzieć projektanci w swoich najgorszych koszmarach. Instrumenty nawigacyjne, kubki z kawą i inne nieumocowane przedmioty na pomocniczym mostku zsuwały się i rozbijały na podłodze, ludzie zaś chwyтали się, czego mogli, żeby nie podzielić ich losu.

– Ta zwariowana suka wpycha nas pod wodę! – krzyknął Halsey, który nie mógł się utrzymać na nogach.

Wibracja urosła do ryku, kiedy bakburta liniowca kładła się w morzu. Dolny główny pokład znalazł się pod powierzchnią. Fale piętrzyły się, tłukły o nadbudówkę, wznosiły do najniższych apartamentów i balkonów na bakburcie. LeSeur słyszał stłumiony brzęk tłuczonego szkła, huk wody wdzierającej się na pokłady pasażerskie, głuchy łoskot przewracanych i rozbijanych sprzętów. Wyobrażał sobie chaos i popłoch wśród pasażerów, kiedy razem z całą zawartością swoich kabin przewracali się na bakburte.

Mostek dygotał od wytężonej pracy silników, szyby w oknach grzechotały, sam szkielet statku jęczał w proteście. Za dziobówką majaczyła sylwetka *Grenfella*, który szybko się zbliżał; nadal skręcał ciężko w lewo, ale LeSeur widział, że się spóźnił. *Britannia*, dzięki wspaniałej sterowności, obróciła się do niego w jednej czwartej i statek patrolowy musiał ją trafić w śródkręcie – spotkanie dwóch i pół tysiąca ton i stu sześćdziesięciu pięciu tysięcy ton z wypadkową prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. *Grenfell* przetnie *Britannię* pod kątem, jak harpun przebija marlina.

LeSeur zaczął się modlić.

Emily Dahlberg przystanęła w korytarzu prowadzącym do pokładu z szalupami, żeby złapać oddech. Za sobą słyszała wrzaski motłochu – bo to był motłoch najbardziej prymitywnego gatunku – zmieszane z rykiem wiatru i morza. Wiele innych osób wpadło na pomysł, żeby skorzystać z szalup ratunkowych. Pasażerowie przebiegali obok niej w panice całymi stadami, nie zwracając na nią uwagi.

Dahlberg przekonała się już na własne oczy, że każda próba skorzystania z szalup ratunkowych przy tej szybkości to czyste samobójstwo. Teraz musiała dostarczyć tę ważną informację na pomocniczy mostek. Gavin Bruce i Niles Welch – a także druga łódź pełna pasażerów – poświęcili życie, żeby zdobyć tę informację, którą należało przekazać za wszelką cenę.

Emily znowu ruszyła przed siebie, nagle jednak korytarzem przygalopował krzepki mężczyzna, wrzeszczący na całe gardło: „Do szalup ratunkowych!”. Próbowała zejść mu z drogi, ale nie zdążyła: potracił ją i przewrócił na dywan. Zanim się pozbierała, zniknął jej z oczu.

Oparła się o ścianę, chwytając oddech, byle dalej od strumienia spanikowanych ludzi biegnących do szalup. Zaszokowała ją ta skłonność do najbardziej groteskowych przejawów egoizmu – widoczna nawet, a może przede wszystkim, wśród warstw

uprzywilejowanych. Nie widziała, żeby personel czy załoga biegali w kółko, wrzeszczeli i histeryzowali. Mimo woli pomyślała, jaki to kontrast z godnym i powściągliwym aż do końca zachowaniem pasażerów *Titanica*. Świat rzeczywiście się zmienił.

Kiedy doszła do siebie, znowu ruszyła korytarzem, trzymając się blisko ściany. Pomocniczy mostek znajdował się w przedniej części statku, dokładnie pod głównym mostkiem – pokład trzynasty lub czternasty, jak sobie przypomiwała. Obecnie przebywała na półpokładzie siódmym – czyli musiała wejść wyżej.

Wędrowała dalej korytarzem, mijając opuszczone kawiarnie i sklepy, kierując się oznaczeniami wskazującymi drogę do Wielkiego Atrium – gdzie łatwiej powinna się zorientować. Po kilku minutach przeszła przez łukowe wejście i dotarła do półkolistej balustrady wychodzącej na wielką sześciokątną przestrzeń. Nawet w tej krytycznej chwili nie mogła powstrzymać zachwyty: osiem pięter wysokości, oszklone windy jeżdżące z dwóch stron, niezliczone balkoniki i parapety obwieszane festonami passiflory.

Chwyciła się poręczy i spojrzała w dół. Widok nią wstrząsnął. King's Arms – elegancka restauracja pięć pięter niżej – zmieniła się niemal nie do poznania. Sztuńce, niedojedzone potrawy, stratowane kwiaty i rozbite szkło zaścielały podłogę. Wszędzie walały się przewrócone stoły i krzesła. Zupełnie jakby przez salę przeszło tornado, pomyślała. Wszędzie widziała ludzi – niektórzy przebiegali przez Atrium, inni kręcili się w kółko, jeszcze inni częstowali się winem i mocniejszymi trunkami. Krzyki i wrzaski wzbijały się w powietrze.

Oszklone windy wciąż działały, więc skierowała się do najbliższej. Ale w tej samej chwili donośny grzmot wypełnił rozległą przestrzeń: groźny pomruk z najgłębszych trzewi statku.

A potem Atrium zaczęło się przechylać.

W pierwszej chwili pomyślała, że coś jej się przywidziało. Ale nie, podniosła wzrok na wielki kandelabr i zobaczyła, że odchylił się od pionu. Głęboki pomruk narastał, aż kandelabr zaczął wibrować, dzwoniąc i brzęcząc jak szalony. Dahlberg szybko cofnęła się pod osłonę łukowego wejścia, kiedy sopte rżniętego kryształu posypały się jak grad na stoły, krzesła i ludzi.

Mój Boże, co się dzieje?

Przechył jeszcze bardziej się zwięszył, więc chwyciła się mosiężnej poręczy przymocowanej do kolumny po jednej stronie łukowego przejścia. Stoły i krzesła w restauracji z hurgotem zaczęły się zsuwać na bok, najpierw wolno, potem nabierając rozpędu. Po chwili usłyszała brzęk rozbijanego szkła, kiedy szeregi butelek w eleganckim restauracyjnym barze spadły z półek.

Przywarła do poręczy, niezdolna oderwać wzroku od chaosu na dole. Teraz wielki koncertowy fortepian Steinwaya, stojący pośrodku Atrium, zaczął się przesuwac, jadąc na rolkach, aż wpadł frontem na ogromny posąg Brytanii, który pękł na kawałki i rozpadł się w stos marmurowych szczątków.

Zdawało się, że jakiś olbrzym pochwycił statek i pomimo protestu wyjących silników przechyla go siłą na bok. Dahlberg ścisnęła poręcz, bo przechył się pogłębił i najrozmaitsze przedmioty – krzesła, wazony, stoły, obrusy, szklane naczynia, aparaty fotograficzne, buty, torebki – poleciały z balkonów nad jej głową, żeby wylądować na podłodze Atrium ze staccato trzasków i łomotów. Ponad zgiełkiem podniesionych głosów wybił się szczególnie ostry wrzask z góry: po chwili niska, przysadzista kobieta z blond trwałą, w mundurku kierowniczkii, spadła z górnego balkonu i wciąż wrzeszcząc, wylądowała z przeraźliwym hukiem na fortepianie, który wystrzelił salwę klawiszy i wybrzdąkał na rozrywanych strunach dziwną symfonię wysokich i niskich tonów.

Z piskiem metalu najbliższa winda zadygotała w pionowych obejmach, po czym rozległ się ogłuszający brzęk, cała kabina rozpekła się w jednej chwili i szkło zaczęło opadać w zwolnionym tempie, niczym lśniąca kurtyna. Wrak kabiny – teraz tylko stalowa rama – zgrzytliwie wysunął się z szybu i zadyndał na stalowym kablu. Dahlberg widziała w środku dwie osoby, uczipione mosiężnych poręczy wewnątrz kabiny i wrzeszczące wniebogłosy. Patrzyła ze zgrozą, jak szkielet windy przefrunął przez rozległe wnętrze Atrium, obracając się w locie, i rąbnął w rząd balkonów po drugiej stronie. Pasażerowie kabiny zostali wyrzuceni w powietrze i spadali, spadali, aż wreszcie zniknęli w bezładnej stercie mebli i wyposażenia, spiętrzonej pod tylną ścianą restauracji King's Arms.

Dahlberg ze wszystkich sił trzymała mosiężną poręcz, a podłoga dalej się przechylała. W dole nagle wybuchł nowy dźwięk, głośny jak wodospad, któremu towarzyszył podmuch zimnego, słonego powietrza, tak silny, że niemal zmiotł ją z galeryjki. Potem z najniższego miejsca Atrium wytrysnęła biała woda i zaczęła wzbierać – kipiący przypływ, w którym wirowały potrzaskane meble, sprzęty i okaleczone ciała. Jednocześnie ogromny kandelabr w końcu urwał się z hukiem pękającego tynku, i żelaza; olbrzymia, roziskrzona masa spadła pod kątem, uderzyła w parapet dokładnie naprzeciwko Dahlberg i zsunęła się bezwładnie po ścianie Atrium, siejąc wokół chmurami kryształków niczym sproszkowanym lodem.

Zimny, martwy zapach morza wypełnił nozdrza kobiety. Powoli – jakby z daleka – zaczęło do niej docierać, że pomimo straszliwych zniszczeń, dokonujących się na jej oczach, statek jednak nie tonie; przynajmniej na razie. Zamiast tego przechyla się i nabiera wody. Silniki wciąż ryczały, popychając statek do przodu.

Dahlberg zebrała myśli, zamykając uszy na brzęk rozbijanego szkła, huk wody i ludzkie wrzaski. Pomimo szczerych chęci nie mogła

nikomu pomóc. Natomiast mogła, musiała zawiadomić mostek, że szalupy ratunkowe nie nadawały się do użytku, dopóki statek jest w ruchu. Rozejrzała się i dostrzegła w pobliżu schody. Kurczowo trzymając się balustrady, podpełzła aż do stopni nachylonych pod zwariowanym kątem. Chwyciwszy się poręczy ze wszystkich sił, zaczęła się podciągać na górę, po jednym stopniu, zmierzając na pomocniczy mostek.



Agent specjalny Aloysius Pendergast wpatrywał się w osobliwą chmurę mglistej ciemności, która go pochłonęła. Jednocześnie poczuł, że podłoga przechyla się i dygocze; głęboka, potężna wibracja przebijała się od spodu. Coś groźnego działo się ze statkiem. Pendergast zatoczył się do tyłu, przeokoziolkował przez fotel i wpadł na biblioteczkę. Przechylił się pogłębił i cały statek rozbrzmiał dźwięczną fugą zniszczenia i rozpaczy: krzyki, jęki, trzaski i łomoty, grzmiący huk wody. Książki zleciały z półek, kabina przekrzywiła się pod rozpaczliwym kątem.

Pendergast wyrzucił to wszystko z umysłu, skupiając się na jednej rzeczy – najbardziej niesamowitej. W ożywionym dymie dostrzegł niewyraźną zjawę: wytrzeszczone czerwone oczy, zębaty uśmiech, szponiaste ręce wyciągnięte, żeby go objąć – pożądanie i niepohamowany głód.

W jednej chwili kilka myśli przemknęło mu przez głowę. Wiedział, co to jest, kto to stworzył i po co. Wiedział, że teraz czeka go walka nie tylko o życie, ale o samą duszę. Uzbroił się wewnętrznie, kiedy stwór pochwyił go w oślizłe objęcia, zalewając jego zmysły lepkiem smrodem wilgoci, pleśni, zdechłego robactwa i gnijących zwłok.

Pendergast nagle poczuł, że wypełnia go spokój – obojętny, wyzwalający spokój, odkryty tak niedawno. Został zaskoczony; nie

miał czasu się przygotować; ale mógł sięgnąć do niezwykłych mentalnych mocy, które Agozyen uwolnił w jego umyśle, i wtedy zwyciężyć. W tej walce wypróbuje swoje moce, przejdzie chrzest ogniowy.

Stwór próbował wtargnąć do jego umysłu, sondował go wilgotnymi mackami woli, czystej żądy. Pendergast oczyścił umysł. Nie odsłonił przed napastnikiem żadnego celu, żadnego punktu zaczepienia. Z oszołamiającą szybkością wprowadził się w stan *th'an shin ga*, Próg Doskonałej Pustki, a potem *stong pa nyid* – Stan Czystej Pustki. Stwór wejdzie i zastanie pusty pokój. Nie – nie znajdzie nawet pokoju.

Niejasno wyczuwał, że złowroga istota przeszukuje pustkę, dryfuje, z oczami rozżarzonymi jak ogniki papierosów. Miotła się, szukając kotwicy, jak kot tonący w bezdennym oceanie. Została już pokonana.

Przestała się miotać – i nagle jak błyskawica oplotła go oślizłymi mackami, wbiła kły w sam jego umysł.

Przeszył go spazm straszliwego bólu. Natychmiast zmienił taktykę. Zamierzał zwalczyć ogień ogniem, stworzyć nieprzeniknioną barierę psychiczną. Otoczyć się czystym intelektualnym hałasem, ogłuszającym i nieprzepuszczalnym.

W mrocznej otchłani przywołał stu najważniejszych filozofów świata i wciągnął ich do rozmowy – Parmenides i Kartezjusz, Heraklit i Kant, Sokrates i Nietzsche. Natychmiast wybuchły dziesiątki kłótni – o wolność i świadomość, naturę i czysty rozum, prawdę i święte liczby – tworząc intelektualną burzę, która sięgała od horyzontu do horyzontu. Ledwie dysząc, Pendergast podtrzymywał konstrukcję samą siłą woli.

Przez szmer dialogów przebiegła zmarszczka, jakby kropla wody spadła na powierzchnię czarnego stawu. W miarę jak się rozszerzała, najbliższe rozmowy filozofów milkły. Pośrodku powstała dziura ciszy, niczym oko cyklonu. Nieustępliwy duch wpłynął przez dziurę, zbliżył

się bardziej...

Pendergast natychmiast zakończył niezliczone debaty, usunął z umysłu mężczyzn i kobiety. Z ogromnym wysiłkiem ponownie pozbył się świadomych myśli. Jeżeli takie racjonalne podejście nie pomogło, może podziela bardziej abstrakcyjne.

Szybko uszeregował w myślach tysiąc najwspanialszych obrazów kultury Zachodu. Jeden po drugim, w chronologicznej kolejności, pozwalał im wypełnić po brzegi całą świadomość; kolory, pociągnięcia pędzla, symbole, ukryte znaczenia, alegorie subtelne i wyraźne zalały jego umysł. *Maesta Duccia*; *Narodziny Wenus Botticellego*; *Święta Trójca Masaccia*; *Pokłon Trzech Króli Fabriana*; *Zaślubiny Arnolfinich van Eycka* rozkwitały wciąż od nowa w jego mentalnym pejzażu, zatapiały wszelką myśl swoim zachwycającym pięknem i skomplikowaniem. Przesuwał je coraz szybciej i szybciej, aż dotarł do współczesności – Rousseau, Kandinsky'ego i Marina. Potem zawrócił i zaczął od początku, jeszcze szybciej, aż obrazy zlały się w rwącą rzekę barw i kształtów, wszystkie jednocześnie utrzymywane w umyśle w całej przytłaczającej złożoności, nie zostawiając demonowi żadnego punktu oparcia...

Rzeka kolorów zadrzała, zaczęła się rozmywać. Toporna, niekształtna sylwetka *tulpy* przepychała się przez kalejdoskop obrazów – lej ciemności wsysający wszystko i coraz bliższy.

Pendergast patrzył na nadchodzącego stwora, sparaliżowany jak mysz pod wzrokiem kobry. Z olbrzymim wysiłkiem uwolnił myśli. Zdawał sobie sprawę, że serce bije mu znacznie szybciej. Wyczuwał łapczywy apetyt stwora na jego esencję, jego duszę. Z dymnego upiora promieniował żar pożądania. Agent przeszył dreszcz paniki, na krawędziach jego świadomości zaczęły wyskakiwać pęcherze i bąble.

Stwór okazał się znacznie silniejszy, niż Pendergast zakładał.

Najwyraźniej każdy człowiek pozbawiony unikatowej mentalnej zbroi ulegał *tulpie* natychmiast, bez walki.

Istota podsunęła się jeszcze bardziej. Z czymś zbliżonym do rozpaczki Pendergast powrócił na teren absolutnej logiki i przepuścił strumień czystej matematyki przez coraz bardziej zniszczony krajobraz swojego umysłu. *Tulpa* prześliznął się przez tę linię obrony jeszcze szybciej.

Nie działały na niego żadne sposoby, które Pendergast wypróbował. Widocznie był niezwykcieżony...

A teraz nagle obnażył przed ofiarą cały rozmiar zagrożenia. Ponieważ atakował nie tylko umysł, ale również ciało. Mięśnie drgały w niekontrolowanych spazmach; serce waliło; pięści zaciskały się i rozwierały. Przerażające, podwójne opętanie ciała i umysłu. Oddzielenie od ciała, tak istotne dla podtrzymania stanu *stong pa nyid*, robiło się coraz trudniejsze.

*Tulpa* stopniowo przejmował władzę nad kończynami ofiary, która potrzebowała coraz więcej wysiłku, żeby ignorować swoją fizyczną postać.

A potem nadeszła chwila, kiedy to się stało niemożliwe. Wszystkie przemyślnie skonstruowane linie obrony, wszystkie manewry, podstępny i wybiegi zawiodły. I Pendergast chciał już tylko przeżyć.

Teraz wznosiła się przed nim stara rodzinna rezydencja na Dauphine Street, pałac pamięci, który w przeszłości zawsze obiecywał schronienie. Pobiegnął ku niemu napędzany rozpaczą. Dziedziniec przebył w jednym uderzeniu serca, frontowe schody pokonał jednym susem. A potem znalazł się w środku, dysząc z wysiłku, gmerając przy zamku i łańcuchach na drzwiach.

Odwrócił się, przywierając plecami do drzwi, rozejrzał się dzikim wzrokiem. Maison de la Rochoire stał cichy i czujny. Na końcu długiego, zacienionego korytarza Pendergast widział fragment

wielkiego westybulu z niezrównaną kolekcją osobliwości i *objets d'art* oraz podwójny łuk schodów prowadzących na pierwsze piętro. Jeszcze dalej leżała pogrążona w mroku biblioteka, gdzie tysiące tomów w skórzanych oprawach drzemało pod cienką kołdrą kurzu. Zazwyczaj ten widok napełniał go spokojem i radością.

Teraz czuł tylko atawistyczny strach ściganej zwierzyny.

Przebiegł przez salę jadalną do westybulu, powstrzymując się siłą woli, żeby nie oglądać się za siebie. W westybulu rozejrzał się desperacko, szukając kryjówki.

Z tyłu dosięgnął go powiew zimnego, wilgotnego powietrza.

Jego oczy padły na łukowe drzwi, zaledwie ślad czerni na czarnej, wypolerowanej boazerii na ścianie w głębi. Wiedział, że za drzwiami znajdowały się schody prowadzące do piwnicy i niżej, do lochów i katakumb w podpiwnicznej części rezydencji. Znał tam dosłownie setki krypt, nisz i ukrytych przejść, gdzie mógł się schować.

Szybko ruszył do zamkniętych drzwi, ale zaraz przystanął. Myśl, że miałby się chować w ciemnych, wilgotnych zakamarkach – czekając jak osaczony szczur, aż stwór go znajdzie – okazała się zbyt przerażająca, wręcz nie do zniesienia.

Z rosnącą desperacją pobiegł dalej korytarzem, przez kolejne drzwi, aż do części kuchennej. Tam, w labiryncie zakurzonych spiżarni i służbówek, próbował znaleźć bezpieczne schronienie. Daremnie. Obrócił się na pięcie, łapiąc powietrze. Stwór się zbliżał, czuł to... zbliżał się coraz bardziej.

Nie tracąc więcej czasu, wrócił biegiem do westybulu. Wahał się tylko przez sekundę, spoglądając gorączkowo na wypolerowane drewniane gabloty, błyszczące kandelabry, sufit z *trompe l'oleil*[\[36\]](#). Pozostawała tylko jedna kryjówka, jedno miejsce, gdzie będzie bezpieczny.

Wbiegł po schodach na piętro i popędził co sił w nogach przez

pełną ech galerię. Dotarł do otwartych drzwi w połowie korytarza po lewej stronie, wskoczył do środka i zatrzasnął drzwi za sobą. Gorączkowo przekręcił klucz w zamku i przesunął zasuwę.

Jego pokój – jego własny pokój. Chociaż rezydencja spłonęła dawno temu, on zawsze czuł się tutaj bezpiecznie. Jedyne miejsce w jego pamięciowym konstrukcie tak dobrze bronione, że nikt – nawet jego brat Diogenes – nie zdołał się tutaj dostać.

Ogień trząsał na kominku, świece migotały na bocznych stolikach. W powietrzu wisiał zapach dymu. Pendergast czekał. Stopniowo oddech mu się uspokajał. Ciepłe, rozproszone światło wywierało na niego kojący wpływ. Serce biło wolniej. Pomyśleć, że nie tak dawno medytował w tym pokoju z Constance, zdobywając nowe, niewyobrażalne moce psychiczne. Ironiczna, wręcz żenująca sytuacja. Ale mniejsza z tym. Wkrótce – bardzo szybko – niebezpieczeństwo minie i Pendergast wyjdzie z kryjówki. Przestraszył się, bardzo się przestraszył, i nie bez powodu: stwór, który już go pochłoniął w fizycznym świecie, prawie go dopadł również w świecie psychicznym. Ledwie minuty dzieliły go od zagłady, kiedy jego życie, wspomnienia, dusza, wszystko, co go określało jako człowieka, zostanie rozdarte na strzępy. Ale stwór tutaj nie wtargnie. Nigdy, nigdy...

I nagle znowu to poczuł na karku: wilgotny, lodowaty powiew lepkiego powietrza, ciężki od fetoru mokrej ziemi i tłustych, ruchliwych robaków.

Z krzykiem zerwał się na nogi. Stwór już tu był, w jego pokoju, płynął ku niemu, z czerwono-czarną twarzą wykrzywioną w grymasie uśmiechu, wyciągając rozmyte szare ramiona w geście niemal czułym, gdyby nie szpony...

Upadł na wznak, a stwór natychmiast rzucił się na niego, gwałcił go w najokropniejszy sposób, wciskał się w niego i przenikał na wylot,

ssał, niepowstrzymanie ssał, aż coś głęboko w środku – esencja tak integralna, że nawet o niej nie wiedział, ukryta w samym rdzeniu jego jestestwa – zaczęło nabrzmiewać, odrywać się, odkształcać... i zrozumiał z dreszczem czystego przerażenia, że nie ma już dla niego nadziei... żadnej nadziei.

Constance przytrzymała się regału, sparaliżowana strachem. Pendergast leżał na podłodze salonu pod ścianą, śmiertelnie blady, otoczony mgłą. Statek nadal się przechylał, dookoła spadały przedmioty, morze ryczało coraz głośniej. Kilkakrotnie próbowała wyciągnąć do niego rękę, ale nie mogła utrzymać równowagi, kiedy podłoga stawała dęba i przedmioty spadały jak deszcz.

Teraz, na jej oczach, dziwaczna i przerażająca mgła, która otuliła Pendergasta jak bagienne wyziewy, zaczęła się rozwiewać. Nadzieja, która opuściła ją podczas tej krótkiej, okropnej medytacji, nagle powróciła – Pendergast zwyciężył. *Tulpa* został pokonany.

Potem jednak z nowym dreszczem zgrozy zobaczyła, że *tulpa* wcale się nie rozpraszał – na odwrót, wnikał w ciało Pendergasta.

Nagle ubranie jej opiekuna zaczęło się poruszać i falować, jakby pod warstwą tkaniny biegały stada karaluchów. Kończyny drgały konwulsyjnie, ciało wykonywało urywane ruchy, jakby ożywione obcą siłą. Mięśnie twarzy kurczyły się w spazmach. Oczy otworzyły się na chwilę, zapatrzone w pustkę; w tych dwóch srebrzystych oknach Constance ujrzała rozpacz i przerażenie głębokie jak sam kosmos.

Obca siła...

Nagle Constance już się nie wahała. Wiedziała, co musi zrobić.

Podniosła się, dotarła przez pokój do dziwacznie przekrzywionych schodów i wdrapała się na górę, do sypialni Pendergasta. Przeszukiwała wszystkie szuflady po kolei, aż namacała les baera

kalibru .45. Wyjęła broń, odciągnęła suwadło, żeby sprawdzić, czy magazynek jest naładowany, po czym zwolniła bezpiecznik.

Wiedziała, jak Pendergast chciał żyć... i jak chciałby umrzeć. Jeśli nie mogła mu pomóc inaczej, przynajmniej w tym mu pomoże.

Z pistoletem w ręku wyszła z sypialni i mocno trzymając się poręczy, zeszła po krzywych stopniach do salonu.



LeSeur wpatrywał się w czerwony wzmocniony dziób *Grenfella*. Kanadyjski statek rozpaczliwie młócił śrubami, żeby zejść z drogi *Britanii*, która sunęła na niego z maksymalną szybkością.

Podłoga na mostku zatrzęsała się, kiedy systemy pędników gondolowych z trudem wykonywały wymuszony na nich ekstremalny manewr. LeSeur nie musiał nawet patrzeć na instrumenty, żeby wiedzieć, że to koniec: wystarczyło mu spojrzeć przez okna, żeby obliczyć trajektorię dwóch statków. Wiedział, że ich kursy przetną się w najgorszy możliwy sposób. Chociaż szybkość *Grenfella* spadła o trzy do czterech węzłów podczas prób manewrowania, *Britannia* nadal parła przed siebie pełną mocą dwóch śrub stałych, a gondole rufowe, obrócone o dziewięćdziesiąt stopni, nadawały boczny ciąg, wskutek czego rufa okręcała się zamasyście w stronę *Grenfella*.

– Mój Boże, mój Boże... – mamrotał do siebie szef mechaników zniżonym głosem, jak modlitwę, wyglądając przez okno.

Pomocniczy mostek zadygotał i przekrzywił się pod jeszcze dziwniejszym kątem. Zapaliły się pokładowe systemy ostrzegawcze, kiedy niższe pokłady zaczęły nabierać wody. LeSeur słyszał chór nowych dźwięków: zgrzyt rozdieranych arkuszy stali, staccato strzelających nitów jak salwy z karabinu maszynowego, głęboki jęk potężnego stalowego szkieletu statku.

– Mój Boże – szepnął ponownie Halsen.

Statek zakolebał się gwałtownie i zadźwięczał od uderzenia w kadłub niczym ogromny dzwon. Siła wstrząsu cisnęła LeSeura na podłogę; kiedy dźwignął się na kolana, drugi grzmot zatrzęsł pomocniczym mostkiem. LeSeur poleciał w bok i rozciął sobie czoło o kant stołu nawigacyjnego. Oprawiona fotografia z wodowania *Britanii*, gdzie honory czyniła królowa Elżbieta, wyskoczyła z przyśrubowanej ramki i potoczyła się po podłodze, siejąc wokół odłamkami szkła. Zatrzymała się z poślizgiem tuż przed twarzą LeSeura. Jak we śnie patrzył na pogodną, uśmiechniętą twarz królowej, na jedną dłoń w białej rękawiczce pozdrawiającą zachwycony tłum. Przez chwilę zawładnęło nim poczucie klęski – jego klęski. Zawiódł swoją królową, swój kraj, wszystko, co popierał i w co wierzył. Oddał statek w ręce potwora. To była jego wina.

Chwycił krawędź stołu i wstał. Ciepła strużka krwi spłynęła mu do oka. Starł ją gwałtownym ruchem ręki i próbował odzyskać równowagę.

Natychmiast się zorientował, że coś ważnego stało się ze statkiem. Pokład coraz szybciej wracał do poziomu, a *Britannia* pędziła przed siebie, już bez przechyłów i kołysania. Dzwoniły nowe alarmy.

– Co do diabła...? – zaczął LeSeur. – Halsey, co się dzieje?

Halsey gramolił się na nogi i patrzył z przerażeniem na tablicę kontrolną silnika.

LeSeur już nie potrzebował wyjaśnień szefa mechaników. Nagle zrozumiał, co się stało: oderwały się obie rufowe obrotowe gondole – czyli właściwie ster. *Grenfell* znajdował się teraz prawie dokładnie przed dziobem, zaledwie kilkadziesiąt sekund dzieliło ich od zderzenia. *Britannia* przestała się obracać i zmierzała w linii prostej w stronę drugiego statku.

LeSeur chwycił radio.

– *Grenfell!* – krzyknął. – Przestańcie się cofać i wyprostujcie! Straciliśmy sterowność!

Niepotrzebnie się fatygował, widział już fontanny spienionej wody wokół rufy *Grenfella*, którego kapitan natychmiast zrozumiał, co powinien zrobić. Zanim dwa statki się zbliżyły, *Grenfell* ustawił się równolegle do *Britannii*.

Rozległa się kakofonia dźwięków, kiedy dziób *Grenfella* przesuwał się obok dziobu *Britannii*. Statki mijają się tak blisko, że LeSeur słyszał ryk wody, ściśniętej w tunelu powietrznym, który utworzył się w wąskiej przestrzeni pomiędzy dwoma kadłubami. Nastąpiła seria głośnych huków i metalicznych zgrzytów, kiedy prawe skrzydło mostku *Grenfella* przeszorowało po dolnym pokładzie *Britannii*, ciągnąc za sobą olbrzymie gejzery iskier – a potem nagle było po wszystkim. Dwa statki się minęły.

Anemiczne wiwaty zagłuszyły buczenie alarmów na pomocniczym mostku. Przez radio VHF LeSeur słyszał takie same wiwaty z *Grenfella*.

Szef mechaników spojrział na niego z twarzą skąpaną w pocie.

– Panie LeSeur, straciliśmy obie rufowe gondole, po prostu się oderwały...

– Wiem – odparł LeSeur. – A kadłub jest pęknięty. – Poczul przyływ triumfu. – Panie Halsey, zalejemy rufowe zęzy i przedziały piąty i szósty. Niech pan uszczelni grodzie zęz na śródkręciu.

Ale Halsey nie ruszył się z miejsca.

– Wykonać! – szczechnął LeSeur.

– Nie mogę.

– Dlaczego, do cholery?

Halsey rozłożył ręce.

– Niemożliwe. Grodzie zamykają się automatycznie.

Wskazał tablicę alarmową.

– Więc je otwórzcie! Wyślijcie na dół ludzi, żeby ręcznie otwarli luki!

– Niemożliwe – powtórzył bezradnie Halsey. – Nie, kiedy są zalane. Nie ma ręcznego sterowania.

– Cholera z tą automatyką! W jakim stanie są pozostałe dwie gondole?

– Sprawne. Każda daje pełną moc na śruby. Ale nasza szybkość spadła do dwudziestu węzłów.

– A skoro nie ma rufowych pędników, ona musi teraz sterować mocą silnika. – LeSeur spojrział na oficera wachtowego. – Wyliczony czas do Carrion Rocks?

– Przy obecnej prędkości i kursie trzydzieści pięć minut, sir. LeSeur spojrział przez okna mostku na dziobówkę *Britannii*, wciąż niepowstrzymanie rozbijającą fale. Nawet przy dwudziestu węzłach byli załatwieni. Jakie mieli możliwości? Nie widział żadnych.

– Wydaję rozkaz opuszczenia statku – oznajmił.

Cisza zapadła na mostku.

– Przepraszam sir... w czym? – zapytał główny inżynier.

– W szalupach ratunkowych, oczywiście.

– Nie może pan! – krzyknął nowy głos... kobiecy głos. LeSeur obejrzał się i zobaczył kobietę z zespołu Gavina Bruce'a, Emily Dahlberg. Ubranie miała podarte i przemoczone. Zagapił się na nią ze zdumieniem.

– Nie możecie zwodować szalup – oświadczyła. – Gavin i Niles Welch przeprowadzili próbne wodowanie... ich łódź pękła.

– Pękła? – powtórzył LeSeur. – Gdzie są Liu i Crowley? Dlaczego się nie zgłosili?

– Na pokładzie łodziowym wybuchły zamieszki – odparła Dahlberg, dysząc ciężko. – Tłum zaatakował Liu i Crowleya. Może zginęli. Pasażerowie spuścili drugą łódź. Też się rozleciała, kiedy wpadła do

wody.

Zaszokowani oficerowie milczeli.

LeSeur odwrócił się do głównego oficera radiowego.

– Proszę włączyć automatyczną wiadomość „opuścić statek”.

– Sir, przecież pan słyszał! – zaprotestował Kemper. – Te szalupy to pływające trumny. Poza tym przy idealnych warunkach potrzeba czterdziestu pięciu minut, żeby załadować i spuścić szalupy ratunkowe. Mamy tylko trzydzieści. Zderzenie nastąpi, kiedy wszyscy pasażerowie będą stali stłoczeni na półpokładach... które są otwarte, sama stal i rozpory. To będzie masakra. Połowa wypadnie za burzę, a reszta zostanie zgnieciona na miazgę.

– Załadujemy tyłu, ilu zdążymy, zatrzymamy ich w łodziach do chwili zderzenia, a potem zwodujemy.

– Siła zderzenia może wyrzucić łodzie z prowadnic. Zaklinują się na półpokładzie i nie da się ich zwodować. Pójdą na dno razem ze statkiem.

LeSeur odwrócił się do Halseya.

– To prawda?

Twarz szefa mechaników zbieleła.

– Myślę, że tak, sir.

– Jaką mamy alternatywę?

– Zatrzymamy pasażerów w kabinach i każemy im się zabezpieczyć przed zderzeniem.

– A potem? Statek pójdzie na dno w ciągu pięciu minut!

– Potem załadujemy i spuścimy szalupy ratunkowe.

– Ale przed chwilą słyszałem, że impet może wyrzucić szalupy z szyn!

LeSeur uświadomił sobie, że hiperwentyluje. Zmusił się, żeby mówić wolniej.

– Przy dwudziestu węzłach będzie mniej zniszczeń, mniejszy impet

uderzenia. Przynajmniej niektóre łodzie zostaną na szynach, gotowe do wodowania. I przy lżejszym uderzeniu może zostanie nam więcej czasu... zanim statek zatoni.

– Może? To za mało.

– Więcej nie mamy – odparł Halsey.

LeSeur ponownie otarł krew z oka i strzepnął krople z palców. Odwrócił się do głównego oficera radiowego.

– Proszę nadać wiadomość przez głośniki. Wszyscy pasażerowie mają natychmiast wrócić do kabin... bez wyjątków. Niech nałożą kamizelki ratunkowe, które znajdą pod kojami. Potem mają się położyć na łózkach, stopami do przodu, w pozycji płodowej, okryć się kocami i poduszkami. Jeśli nie dotrą do kabin, niech usiądą w najbliższym fotelu i przyjmą bezpieczną pozycję: ręce splecione za głową, głowa między kolanami.

– Tak jest, sir.

– Natychmiast po zderzeniu wszyscy mają się zgłosić na wyznaczone miejsce zbiórki przy szalupach ratunkowych, jak na ćwiczeniach. Mogą ze sobą zabrać wyłącznie kamizelki ratunkowe. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

Oficer odwrócił się do terminalu. W chwilę później zawyła syrena i głos oficera zaczął przekazywać rozkazy przez system nagłaśniający.

LeSeur odwrócił się do Emily Dahlberg.

– To chyba dotyczy również pani. Lepiej niech pani wróci do kabiny.

Odwzajemniła jego spojrzenie. Po chwili skinęła głową.

– Pani Dahlberg? Dziękuję pani.

Zeszła z mostku.

LeSeur patrzył, jak luk się za nią zamyka. Następnie zwrócił nienawistne spojrzenie na monitor wewnętrznej telewizji pokazujący

ziarnisty obraz mostku. Mason wciąż tam stała, z jedną ręką spoczywającą na kole sterowym, drugą opartą lekko na dwóch przepustnicach pędników dziobowych. Utrzymywała kierunek za pomocą drobnych poprawek szybkości śrub.

LeSeur nacisnął guzik nadawania na wewnętrznym interkomie mostek-mostek i nachylił się do głośnika.

– Mason? Wiem, że mnie słyszysz.

Brak odpowiedzi.

– Naprawdę chcesz to zrobić?

Jakby w odpowiedzi jej biała dłoń przesunęła się z przepustnicy na mały zakryty panel. Odrzuciła pokrywę, pociągnęła za dwie dźwignie i wróciła na przepustnice. Pchnęła obie jak najdalej do przodu.

Rozległ się chrapliwy ryk, kiedy silniki zareagowały.

– Jezu – powiedział Halsey, patrząc na tablicę kontrolną. – Ona przeciąża turbiny gazowe.

Statek skoczył do przodu. Z mdlącym uczuciem LeSeur patrzył, jak wskaźnik prędkości pnie się w górę. Dwadzieścia dwa węzły. Dwadzieścia cztery. Dwadzieścia sześć.

– Jak to możliwe? – zapytał, osłupiały. – Przecież straciliśmy połowę napędu!

– Ona żyłuje turbiny znacznie ponad przewidziane normy.

– Ile mogą wyciągnąć?

– Nie wiem dokładnie. Wyciska z nich ponad pięć tysięcy obrotów na minutę... – Nachylił się i dotknął jednej tarczy, jakby z niedowierzaniem. – A teraz przeciąża wszystkie cztery diesle Wartsila i kieruje nadwyżkę mocy do dwóch pozostałych gondoli.

– Czy to ich nie spali?

– Cholera, tak. Ale nie dość szybko.

– Ile czasu?

– Ona może tak ciągnąć przez... trzydzieści, czterdzieści minut.

LeSeur spojrział na chartplotter. *Britannia* znowu robiła prawie trzydzieści węzłów, a od Carrion Rocks dzieliło ich dwanaście mil morskich.

– Wystarczą jej – powiedział wolno – dwadzieścia cztery minuty.



Pendergast leżał załamany wśród wrzeszczącej nocy. Zdobył się na jeden ostatni, niemal nadludzki wysiłek, żeby się obronić, zmobilizował wszystkie nowo odkryte intelektualne moce, którymi go obdarzył Agozyen – i wyczerpał je w trakcie walki. Daremnie. *Tulpa* przeniknął do szpiku w jego kościach, do samego rdzenia umysłu. Czuł w sobie przerażającą obcość, przypominało to depersonalizację przy najgorszym ataku paniki. Wroga istota pożerała go niepowstrzymanie, nieubłagane... on zaś, jak człowiek sparaliżowany koszmarem, nie mógł stawić oporu. Cierpiał psychiczną agonię, znacznie gorszą niż najbardziej wymyślne fizyczne tortury.

Znosił to przez nieskończoną, nieopisaną chwilę. A potem nagle pochłonęła go błogosławiona ciemność.

Jak długo leżał – niezdolny do myślenia, niezdolny do ruchu – nie wiedział. Potem z ciemności dobiegł głos. Głos, który rozpoznał.

– Nie uważasz, że już czas, żebyśmy porozmawiali?

Powoli, z wahaniem Pendergast otworzył oczy. Znajdował się w małym, ciemnym pomieszczeniu z niskim, ukośnym sufitem. Po jednej stronie miał otynkowaną ścianę, pokrytą dziecięcymi mapami skarbów i nieudolnymi imitacjami słynnych obrazów, narysowanymi kredkami lub namalowanymi pastelami; po drugiej znajdowały się siatkowe drzwi. Słabe popołudniowe światło przesączało się przez

siatkę, pyłki kurzu leniwie krążyły w powietrzu. Tonąca w półmroku kryjówka przypominała podmorską grootę. Po kątach walały się książki Howairda Pyle'a, Arthura Ransome'a i Bootha Tarkingtona. Pachniało przyjemnie starym drewnem i pastą do podłogi.

Naprzeciwko siedział jego brat, Diogenes Pendergast. Cała jego sylwetka kryła się w głębokim cieniu, przesiane światło wydobywało tylko ostre kontury twarzy. Oczy nadal miał orzechowe... jak przed Wypadkiem.

To była ich kryjówka, pokój, który urządzili pod tylnymi schodami w starym domu: nazwali go Jaskinią Platona. Jedno z ostatnich ich wspólnych przedsięwzięć, zanim nadeszły złe czasy.

Pendergast zagapił się na swojego brata.

– Ty umarłeś.

– Umarłem. – Diogenes obrócił to słowo na języku, jakby je smakował. – Może tak. Może nie. Ale zawsze będę żył w twoim umyśle. I w tym domu.

Tego Pendergast się nie spodziewał. Przez chwilę badał własne odczucia. Uświadomił sobie, że okropny, sondujący ból sprawiany przez *tulpę* zniknął, przynajmniej chwilowo. Nie czuł nic – ani zdziwienia, ani nawet niedowierzania. Odgadywał, że znalazł się w jakimś nieznanym, niezgłęzionym zakątku własnej podświadomości.

– Wpakowałeś się w poważne kłopoty – ciągnął jego brat. – Chyba najgorsze do tej pory. Z przykrością przyznaję, że tym razem to nie moja wina. Więc pytam jeszcze raz: nie uważasz, że już czas, żebyśmy porozmawiali?

– Nie mogę tego pokonać – oświadczył Pendergast.

– Właśnie.

– I nie można tego zabić.

– To prawda. Odejdzie dopiero wtedy, kiedy wypełni swoją misję.

Ale to nie znaczy, że nie można nad tym zapanować.

Pendergast zawahał się.

– Co to znaczy?

– Studiowałeś literaturę. Pobierałeś nauki. *Tulpy* to zmienne istoty.

Pendergast nie odpowiedział.

– Można je wezwać w określonym celu. Ale raz wezwane mają skłonności do zbaczania z drogi, do kierowania się własnymi chęciami. Dlatego między innymi bywają takie niebezpieczne, jeśli używa się ich... powiedzmy, nieodpowiedzialnie. A ty możesz to obrócić na swoją korzyść.

– Nie bardzo rozumiem.

– Czy muszę ci to wyłożyć łopatologicznie, frater? Powiedziałem już: można nagiąć *tulpę* do własnej woli. Musisz tylko zmienić jego cel.

– Nie zdołałem niczego zmienić. Walczyłem z nim... walczyłem ze wszystkich sił... ale zostałem pobity.

Diogenes uśmiechnął się szyderczo.

– Jakie to typowe dla ciebie, Aloysius. Przyzwyczałeś się, że wszystko ci łatwo przychodzi, więc przy pierwszych trudnościach rozkładasz ręce jak nadąsany dzieciak.

– Wszystko, co tworzyło moją wyjątkową osobowość, wyssano ze mnie jak szpik z kości. Nic nie zostało.

– Mylisz się. Zerwano tylko zewnętrzną skorupę, tę rzekomą superbroń intelektu, którą ostatnio nałożyłeś na siebie. Rdzeń twojej istoty pozostał nietknięty... przynajmniej na razie. Gdyby przepadł, całkowicie przepadł, wiedziałbyś o tym... i nie rozmawiałbyś teraz ze mną.

– Co mogę zrobić? Nie mogę dłużej walczyć.

– Dokładnie na tym polega problem. Podchodzisz do tego w niewłaściwy sposób, jak do walki. Zapomniałeś wszystko, czego cię

nauczono?

Przez chwilę Pendergast patrzył na brata tępo. Potem nagle zrozumiał.

– Lama – szepnął.

Diogenes uśmiechnął się.

– Brawo.

– Skąd... – zaczął Pendergast i urwał. – Skąd znasz te rzeczy?

– Ty też je znasz. Przez chwilę po prostu byłeś zbyt... zdenerwowany, żeby je zobaczyć. Teraz idź i nie grzesz więcej.

Pendergast odwrócił wzrok od brata i popatrzył w stronę ukośnych pasów złocistego światła wpadającego przez siatkowe drzwi. Z lekkim zdziwieniem odkrył, że się boi, że najbardziej na świecie nie chce wyjść przez te drzwi.

Odetchnął głęboko i zmusił się, żeby je otworzyć.

Ponownie ogarnęła go przepastna, zachłanna czerń. Ponownie otoczyły go objęcia głodnego stwora; ponownie poczuł we wnętrzu straszliwą obcość, wpychającą się w jego myśli i kończyny, wciskającą się w najbardziej prymitywne emocje, doznawał gwałtu tak intymnego, żarłocznego i nienasyconego, jakiego sobie nigdy nie wyobrażał. Czuł absolutną samotność, poza współczuciem czy nadzieją na ratunek – i to wydawało się nawet gorsze niż ból.

Jeszcze raz odetchnął, przywołując ostatnie rezerwy fizycznej i emocjonalnej siły. Wiedział, że ma tylko jedną szansę; potem przepadnie na zawsze, pożarty w całości.

Oczyścił umysł jak najlepiej, odsunął na bok żarłocznego stwora i przywołał z pamięci nauki lamy o pożądaniu. Wyobraził sobie jezioro, mocno zasolone, wodę dokładnie w temperaturze ciała, nieokreślonej barwy. Wyobraził sobie, że unosi się w wodzie, całkowicie nieruchomy. Potem – najtrudniejsze zadanie – powoli przestał walczyć.

*Czy boisz się unicestwienia?* – zapytał sam siebie.

Pauza.

*Nie.*

*Czy przeraża cię otchłań?*

Następna pauza.

*Nie.*

*Czy zgadzasz się oddać wszystko?*

*Tak.*

*Poddać mu się całkowicie?*

Teraz szybciej:

*Tak.*

*Więc jesteś gotowy.*

Ciało zadygotało konwulsyjnie w przeciągłym dreszczu, a potem się odprężyło. Całym mentalnym i fizycznym jestestwem – każdym mięśniem, każdą synapsą – wyczuł, że *tulpa* się waha. Nastąpił dziwny, niemożliwy do opisanego moment zawieszenia. Potem stwór powoli rozluźnił uścisk.

A wtedy Pendergast pozwolił, żeby nowy obraz – pojedynczy, potężny, nieodparty – uformował się w jego umyśle.

Jakby z bardzo daleka usłyszał głos brata: *Vale, frater.*

Na chwilę Diogenes znowu się pojawił. Potem równie szybko zaczął się rozwiewać.

– Zaczekaj – poprosił Pendergast. – Nie odchodź.

– Ale ja muszę.

– Chcę wiedzieć, czy naprawdę umarłeś.

Diogenes nie odpowiedział.

– Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mi pomogłeś?

– Nie zrobiłem tego dla ciebie – odparł Diogenes. – Zrobiłem to dla mojego dziecka.

I zanim się rozplynął we wszechobecnej ciemności, obdarzył brata

lekkim, tajemniczym uśmiechem.

Constance siedziała w fotelu przy stopach Pendergasta. Dziesięć razy podnosiła pistolet i celowała w jego serce; dziesięć razy się wahała. Ledwie zauważyła, że statek nagle się wyprostował, że ruszył do przodu ze zwiększoną szybkością. Dla niej statek przestał istnieć.

Nie mogła dłużej czekać. To okrutne pozwolić mu cierpieć. Był dla niej dobry; powinna uszanować to, czego z pewnością by sobie życzył. Mocniej ujęła broń i uniosła z nowym zdecydowaniem.

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął ciałem Pendergasta. Po chwili powieki zatrzepotały i oczy się otwały.

– Aloysius? – zapytała.

Przez chwilę się nie ruszał. Potem ledwie dostrzegalnie kiwnął głową.

Nagle spostrzegła dymnego ducha. Zmaterializował się nad ramieniem agenta. Przez chwilę trwał nieruchomo. Potem podpłynął w jedną stronę, w drugą stronę, niemal jak pies węszący za tropem. Wkrótce zaczął się oddalać.

– Nie przeszkadzaj – szepnął Pendergast.

Constance bała się, że on wciąż znajduje się pod wpływem okropnej zmiany. Ale potem znowu otworzył oczy i spojrzał na nią, i natychmiast poznała prawdę.

– Wróciłeś – szepnęła.

Przytaknął.

– Jak?

Odpowiedział słabym głosem:

– To, co wziąłem od Agozyena, wypaliło się w walce. Trochę jak w metodzie traconego wosku przy odlewaniu metali. Pozostał tylko... oryginał.

Z trudem uniół rękę. Constance bez słowa uklękła przy nim

i mocno ścisnęła jego dłoń.

– Daj mi odpocząć – szepnął. – Przez dwie minuty... nie dłużej. Potem musimy iść.

Kiwnęła głową i spojrzała na zegar na kominku. *Tulpa* prześliznął się nad jej ramieniem. Powoli, lecz całkowicie zdecydowanie przepłynął ponad nieruchomą sylwetką nieprzytomnej Marii, przeniknął przez drzwi apartamentu i odszedł w nieznane.

LeSeur stał na pomocniczym mostku i patrzył na rząd okien. Dziób statku z wielką szybkością pruł wzburzone fale, kadłub trzeszczał, zielona woda co chwila zalewała dziobówkę. Mgła się podniosła, deszcz ustał, widoczność się poprawiła i wzrok sięgał prawie na milę.

Nikt się nie odzywał. LeSeur łamał sobie głowę, szukając wyjścia. Nie znajdował. Mogli tylko monitorować wskaźniki, nad którymi nie mieli żadnej kontroli. Chartplotter pokazywał, że Carrion Rocks leżą dwie mile morskie przed nimi w linii prostej. Pot i krew spływały po twarzy LeSeura i piekły w oczy.

– Wyliczony czas przybycia do Carrion Rocks za cztery minuty – ogłosił trzeci oficer.

Obserwator stał przy oknie z lornetką uniesioną do oczu, zaciśniętą w zbiegających dłoniach. LeSeur nie rozumiał, dlaczego tamten koniecznie chce widzieć zbliżające się skały – przecież nic nie mogli zrobić. Nic.

Kemper położył mu rękę na ramieniu.

– Sir, chyba powinien pan wydać instrukcje dla personelu mostku, żeby ludzie przybrali bezpieczne pozycje przed... przed zderzeniem.

LeSeur kiwnął głową i poczuł ściskanie w żołądku. Odwrócił się i gestem poprosił o uwagę.

– Oficerowie i personel mostku – zaczął. – Niech wszyscy położą się



na podłodze w pozycji płodowej, stopami do przodu, z głową osłoniętą rękami. Zderzenie nie będzie krótkie. Nie wstawać, dopóki statek całkiem się nie zatrzyma.

Obserwator zapytał:

– Ja też, sir?

– Pan też.

Niechętnie i niezręcznie położyli się na podłodze i przybrali bezpieczne pozycje.

– Sir? – zwrócił się Kemper do LeSeura. – Nie możemy sobie pozwolić na rannego kapitana w krytycznym momencie.

– Za minutę.

LeSeur po raz ostatni spojrzął na monitor wewnętrznej telewizji nastawiony na ster głównego mostku. Mason stała spokojnie przy sterze, jak podczas najbardziej rutynowego rejsu, z jedną ręką wspartą niedbale na kole sterowym. Drugą ręką gładziła lok, który wymknął się spod czapki.

Kątem oka LeSeur dostrzegł coś za oknem i przesunął spojrzenie.

Dokładnie przed dziobem, w odległości około mili, z mgły wynurzała się jasna smuga, która wyostrzyła się w poszarpaną linię bieli pod rozmytym horyzontem. LeSeur natychmiast rozpoznał olbrzymią falę głębinową, rozbijającą się na obrzeżach Carrion Rocks. Patrzył z pełną grozy fascynacją, jak biała linia rozpada się na kłębowisko spienionych bałwanów, kotłujących się ponad zewnętrznymi rafami. Z rozszalałej kipieli strzelały gejzery wysokie jak drapacze chmur. A za białą, wzburzoną wodą wznosiły się czarne skalne masywy, niczym zrujnowane wieże posępnego zamczyska zbudowanego w otchłani.

Przez wszystkie lata spędzone na morzu LeSeur nie napotkał równie przerażającego widoku.

– Na podłogę, sir! – krzyknął Kemper od drzwi.

Ale LeSeur nie mógł się ruszyć. Nie mógł oderwać oczu od nadciągającej zagłady. Niewiele istot ludzkich zajrzało do samego piekła – a ten kocioł wrzącej wody i poszczerbionych skał był piekłem, prawdziwym piekłem, znacznie gorszym niż zwykły ogień i siarka. Zimnym, czarnym, wodnym piekłem.

Kogo oni chcieli oszukać? Nikt nie przeżyje – nikt.

Proszę, Boże, niech to się stanie szybko.

A potem zauważył ruch na monitorze wewnętrznej telewizji. Mason też zobaczyła skały. Wychylała się niecierpliwie do przodu, jakby popychała statek samą siłą woli, popędzała go coraz dalej, aż do wodnego grobu. Potem jednak stało się coś dziwnego: drgnęła i obejrzała się z przerażeniem na coś poza ekranem. Cofnęła się od koła sterowego. Na jej twarzy odmalowała się czysta zgroza. Wyszła poza zasięg kamery i przez chwilę nic się nie działo. Potem na monitorze wyskoczyły dziwne zakłócenia przypominające kłęb dymu. Przesunęły się przez pole widzenia w stronę, gdzie odeszła Mason. LeSeur klepnął w obudowę odbiornika, żeby zlikwidować domniemane zniekształcenia obrazu. Potem jednak w słuchawkach, nastawionych na częstotliwość mostku, usłyszał przeraźliwy wrzask Mason. Pojawiła się znowu, zataczając się na oślep. Dym – rzeczywiście wyglądał jak dym – kłębił się wokół niej, wdychała go i wydychała, orała sobie paznokciami pierś i gardło. Spadła jej kapitańska czapka i włosy rozsypały się na wszystkie strony, miotane gwałtownymi szarpnięciami głowy. Kończyny dygotały spazmatycznie, niemal jakby walczyła z własnym ciałem. Przypominała marionetkę, która opiera się lalkarzowi. Wykonując urywane ruchy, sztywno podeszła do tablicy kontrolnej. Spowite dymem ciało skrzywiło się konwulsyjnie w nowym ataku. Potem LeSeur zobaczył, że wyciągnęła rękę – jakby wbrew własnej woli – i nacisnęła guzik. Dym wsiąknął w nią głębiej, wcisnął jej się do

gardła. Wyrzuciła przed siebie rozczapierzone dłonie, ręce i nogi zadrgały jak w agonii. Upadła na kolana, z rękami wzniesionymi w karykaturze modlitwy; potem z jękiem osunęła się na podłogę, poza zasięg kamery.

Przez sekundę LeSeur stał bez ruchu, wpatrując się w monitor ze zdumieniem i niedowierzaniem. Potem chwycił radio i wywołał częstotliwość posterunku ochrony przed głównym mostkiem.

– LeSeur do ochrony mostku, co tam się wyprawia, do cholery?

– Nie wiem, sir – padła odpowiedź. – Ale poziom trzeci alertu został odwołany. Zamek w drzwiach mostku właśnie się odblokował.

– Więc na co czekasz, do cholery?! – wrzasnął LeSeur. – Wejź tam i skręcaj ostro w prawo, ostro w prawo, sukinsynu, no już!

Emily Dahlberg wyszła z pomocniczego mostku i zgodnie z rozkazem wracała do swojej kabiny. Statek wciąż płynął z pełną szybkością. Emily zeszła po schodach na pokład dziewiąty, przeszła korytarzem i znowu znalazła się na balkonie ponad Wielkim Atrium.

Zatrzymała się zaszokowana okropnym widokiem. Woda spłynęła na niższe pokłady i pozostawiła chaotyczną gmatwaninę połamanych, nasiąkniętych mebli, kabli elektrycznych, wodorostów, płytek boazerii, podartych dywanów, potłuczonego szkła, z której tu i tam wystawały nieruchome ciała. Cuchnęło morską solą.

Emily wiedziała, że powinna wrócić do kabiny i przygotować się na zderzenie. Wysłuchiwała dyskusji na pomocniczym mostku, słyszała ogłoszenie nadane przez system głośników. Ale przyszło jej do głowy, że własna kabina, tutaj na pokładzie dziewiątym, to niezbyt dobre miejsce. Lepiej przejść na któryś z niższych otwartych pokładów, w pobliżu rufy, dalej od punktu zderzenia, skąd można potem wyskoczyć do morza. Oczywiście ten pomysł nie rokował wielkiej nadziei, ale przynajmniej wydawał się mniej ryzykowny niż uwięzienie w kabinie czterdzieści metrów nad poziomem morza.

Zbiegła po schodach osiem pokładów niżej, skręciła w łukowate przejście i ruszyła w stronę rufy, brodząc w namokniętych szczątkach, które zaśmiecały podłogę Wielkiego Atrium. Przez elegancką tapetę

restauracji King's Arms, teraz poplamioną i pociemniałą, biegła linia krasnorostów, wskazująca najwyższy poziom wody. Emily minęła zniszczony fortepian i odwróciła wzrok, kiedy zauważyła jedną zmiądzoną nogę wystającą spod pudła.

Wszyscy przebywali w kabinach, toteż statek wydawał się dziwnie cichy, upiornie opustoszały. Nagle jednak Emily usłyszała w pobliżu jakiś dźwięk – łkanie. Obejrzała się i zobaczyła brudnego, przemoczonego chłopca w wieku około jedenastu lat, bez koszuli, kucającego wśród szczątków. Serce jej wezbrało litością.

Przedarła się do niego.

– Witaj, młody człowieku – powiedziała, siląc się na lekki ton.

Popatrzył na nią, a ona wyciągnęła do niego rękę.

– Chodź ze mną. Zabiorę cię stąd. Nazywam się Emily.

Chłopiec ujął jej rękę. Pomogła mu wstać, potem zdjęła zakiet i zarzuciła mu na ramiona. Trząśł się z przerażenia. Objęła go ramieniem.

– Gdzie twoja rodzina?

– Moja mama i tato – zaczął z angielskim akcentem. – Nie mogę ich znaleźć.

– Oprzyj się na mnie. Pomogę ci. Nie mamy dużo czasu.

Wydał ostatni bulgotliwy szloch i pozwolił się wyprowadzić z Wielkiego Atrium, obok sklepów na Regent Street – zamkniętych i opuszczonych – a potem bocznym korytarzem, prowadzącym na otwarty pokład. Emily zatrzymała się przy szafce ze sprzętem awaryjnym i wyjęła dwie kamizelki ratunkowe, które nałożyli. Potem ruszyła do luku.

– Dokąd idziemy? – zapytał chłopiec.

– Na zewnątrz, na pokład. Tam będzie bezpieczniej.

Otworzyła luk i pomogła chłopcu wyjść na pokład. Po kilku sekundach przemokła na wskroś od rozbryzgów niesionych wiatrem.

W górze widziała samoloty krążące bezradnie nad statkiem. Mocno trzymając chłopca za rękę, podeszła do relingu, gotowa skrócić na rufę. Silniki jęczały i dudniły, trzęsąc statkiem, jak terier potrząsa schwytanym szczurem.

Obejrzała się na chłopca.

– Chodźmy... – zaczęła i słowa zamarły jej w gardle.

Ponad ramieniem chłopca, przed dziobem *Britannii*, ujrzała spienioną linię przyboju, walącego o trupioczarne, potężne skały, wyszczerzone jak zęby. Mimowolny okrzyk wydarł się jej z ust. Chłopiec odwrócił się i wytrzeszczył oczy. Ściana śmierci zbliżała się z ogromną szybkością. Nie zdążą uciec na rufę, nie zdążą nic zrobić, tylko przygotować się na zderzenie.

Dotarł do niej huk przyboju, głęboka wibracja, która zdawała się przenikać jej ciało. Otoczyła chłopca ramionami.

– Zostańmy tutaj – szepnęła bez tchu. – Po prostu usiądziemy pod ścianą.

Schronili się pod nadbudówką. Chłopiec znowu płakał, skulony w jej objęciach. Gdzieś w górze rozległ się krzyk, przenikliwy i rozpaczliwy jak głos zbłąkanej mewy.

Skoro musiała umrzeć, przynajmniej umrze z godnością, trzymając w ramionach drugą istotę ludzką. Przytuliła jego głowę do piersi, zamknęła oczy i zaczęła się modlić.

A potem dźwięk silników się zmienił. Statek przechylił się w nowy sposób. Otworzyła oczy, niemal bojąc się nadziei. Ale statek naprawdę skręcał. Wstała i pociągnęła chłopca z powrotem do relingu, ledwie wierząc własnym oczom. Grzmiąca linia przyboju wciąż się zbliżała, ale już nie tak szybko. Statek nadal zmieniał kurs, spiętrzona fala głębinowa tłukła o kadłub i zalewała pokład, ale pomiędzy rozbryzgami Emily widziała czarne skały przesuwające się przed dziobem – uciekające w bok – a potem płynęli równolegle

i monstrualna linia przyboju sunęła wzdłuż sterburty, tak blisko, że niemal mogli dotknąć czarnych skał, które mijali, rozbijając kadłubem niebotyczne fale.

A potem nagle ostatni wyszczerzony ząb został za rufą, grzmot przyboju przycichł i statek płynął dalej, teraz dużo wolniej. Przez skowyt silników i huk oceanu przebił się nowy dźwięk: radosne wiwaty.

– No dobrze – powiedziała Emily do chłopca. – Poszukamy twojej mamy i taty?

I wracając do luku na drżących nogach, Emily Dahlberg pozwoliła sobie na mały uśmiech ulgi.

Scott Blackburn siedział ze skrzyżowanymi nogami w zrujnowanym apartamencie Penshurst. Salon wyglądał jak obraz zniszczenia – rzadka porcelana, cenne kryształy, przepiękne olejne obrazy, nefrytowe i marmurowe rzeźby leżały porozbijane na podłodze i zwalone na kupę pod ścianą.

Blackburn przyjmował to obojętnie. Na czas kryzysu schronił się w szafie ze swoim najdroższym, najcenniejszym, jedynym skarbem, tulił go i osłaniał własnym ciałem. Teraz, kiedy najgorsze minęło – w co nigdy nie wątpił – czule powiesił z powrotem swoją własność na złotym haku w salonie.

Swoją własność – nieprawda. Nie posiadał skarbu na własność, to raczej skarb posiadał jego.

Owinąwszy ciaśniej klasztorną szatą muskularne ciało, usiadł na podłodze przed Agozyenem i przybrał pozycję lotosu. Przez cały czas ani razu nie pozwolił sobie spojrzeć na mandalę. Był sam, cudownie sam – jego prywatna pokojówka zniknęła, może zginęła, jak przypuszczał – i nikt nie mógł mu przeszkodzić w obcowaniu z nieskończonym. Na myśl o tym, co go czeka, mimo woli zadrżał z przyjemności. To było jak narkotyk – najdoskonalszy, ekstatyczny, wyzwalający – którego nigdy nie miał dość.

Wkrótce reszta świata zapragnie tego samego.



Siedział spokojnie, jego puls zwalniał i myśli zwalniały bieg. Wreszcie z rozmyślnym brakiem pośpiechu, jednocześnie rozkosznym i dręczącym, podniósł głowę i spojrzał na cudowną, tajemniczą nieskończoność Agozyena.

Ale właśnie wtedy coś wtargnęło w jego prywatny świat. Niezrozumiały chłód przeniknął drżeniem jego ciało pod jedwabną szatą. W powietrzu zawisł gęsty fetor – zapach grzybni i zgnilizny – który całkowicie zagłuszył ciepłą woń maślanych lampek. Obawa spłoszyła nastrój oczekiwania i pożądania. Zupełnie jakby... nie, przecież to niemożliwe...

Zdjęty nagłym lękiem obejrzał się przez ramię. I ogarnęło go niewyobrażalne przerażenie, ponieważ to powróciło – zamiast ścigać zażarcie jego wroga, zbliżało się do niego, gnane widocznym głodem i pragnieniem. Wstał szybko, ale to już go dopadło, wniknęło w niego, wypełniło jego ciało i umysł płomienną, niepohamowaną żądzą. Zatoczył się do tyłu ze zdławionym wrzaskiem, wpadł na boczny stolik i runął na podłogę. Czuł, jak esencja życiowa zostaje z niego wyszana bezlitośnie i doszczętnie, wciągnięta do ciemnej, burzliwej otchłani, skąd nie ma powrotu...

Wkrótce w apartamencie Penshurst znowu zapanował spokój. Gardłowe krzyki i odgłosy szamotaniny rozplynęły się w zadymionym, ciężkim od soli powietrzu. Upłynęła minuta, potem druga. Wreszcie szcęknął otwierany zamek w drzwiach apartamentu. Agent specjalny Pendergast wszedł do środka. Zatrzymał się w progu i popatrzył na scenę zniszczenia. Potem, przestępując nad porozbijanymi dziełami sztuki z wybredną precyzją kota, przeszedł do salonu. Scott Blackburn leżał rozciągnięty na dywanie, nieruchomy, z kończynami skurczonymi i wygiętymi pod dziwnymi kątami, jakby wyszono z niego kości, ścięgnięta i wnętrzności, zostawiając tylko pusty,

luźny worek skóry. Pendergast obrzucił go przelotnym spojrzeniem.

Przekroczył ciało i podszedł do Agozyena. Starannie odwracając oczy, sięgnął tak, jakby sięgał po jadowitego węża. Pozwolił, żeby jedwabny całun spłynął na malowidło, skrupulatnie obciągnął go na krawędziach, zakrywając każdy centymetr mandali. Wtedy – dopiero wtedy – odwrócił do niej twarz, zdjął ją ze złotego haka, dokładnie zwinął w rulon i wsadził pod pachę. Po czym szybko i cicho wyszedł z apartamentu.

Patrick Kemper, szef ochrony na *Britannii*, stał na mostku i patrzył, jak Cabot Tower, przycupnięta na urwisku przy wejściu do zatoki St. John's, zostaje z tyłu. Rozległo się głucho dudnienie wirników, kiedy następny helikopter pogotowia wzbił się w powietrze z dziobówki z ładunkiem ciężko rannych pasażerów. Helikoptery kursowały nieprzerwanie, odkąd sztorm ucichł i statek znalazł się w zasięgu lotów. Hałas wirników zmienił natężenie i barwę, helikopter wzniósł się wyżej, przeciął pole widzenia Kempera, zawrócił i zniknął w górze. Statek przypominał strefę wojny, a Kemper czuł się jak dotknięty nerwicą wojenną żołnierz powracający z frontu.

Wielki statek przepłynął cieśninę i nadal zwalniał. Dwie śruby w gondolach dygotały i zgrzytały. LeSeur i pilot z St. John's usiłowali zapanować nad niesterownym obecnie statkiem; pozbawiona obrotowych pędników gondolowych *Britannia* miała zwrotność nie większą niż ścierwo zdechłego wieloryba. Jedyne nabrzeże w St. John's zdolne przyjąć statek znajdowało się w porcie kontenerowców. Dwa pomocnicze holowniki popchnęły statek na sterburtę i stopniowo ukazała się długa platforma, upstrzona smugami rdzy, otoczona lasem gigantycznych kontenerowych dźwigów. Miejsce postojowe zostało pospiesznie zwolnione przez wielki tankowiec, który kotwiczył teraz w zatoce.

*Britannia* dalej odwracała się w stronę przystani, która przypominała miejsce akcji filmu katastroficznego. Wszędzie stały karetki pogotowia, wozy straży pożarnej, karawany i policyjne samochody, gotowe przyjąć martwych i rannych – morze błyskających świateł i wyjących syren.

Kemper przekroczył już stan wyczerpania. W głowie go łupało, wzrok się mącił z niewyspania i ustawicznego napięcia. Teraz, kiedy najgorsze minęło, przychodziły mu na myśl ponure następstwa: przesłuchania przez Komisję Morską, zeznania, procesy sądowe, wścibska prasa, wstyd i hańba. No i w pierwszej kolejności zacznie się szukanie winnego. Kemper dobrze wiedział, że na niego jako szefa ochrony – oraz na LeSeura, najprzyzwoitszego człowieka pod słońcem – spadnie główny ciężar oskarżenia. Będą mieli szczęście, jeśli wykręcą się od kryminalnych zarzutów, zwłaszcza LeSeur. Cutter przeżył i stanie się nieprzejednanym wrogiem.

Spojrzał na LeSeura, zgarbionego nad ECDIS razem z pilotem. Zastanawiał się, o czym myśli pierwszy oficer. Czy wiedział, co go czeka? Oczywiście, że wiedział – nie był głupi.

*Britannia*, poruszana teraz tylko przez holowniki, wsuwała się na miejsce postojowe. W górze, ponad wieżą i po drugiej stronie zatoki, Kemper widział nowe helikoptery, nie wpuszczane w przestrzeń powietrzną statku, ale robiące mnóstwo zdjęć z daleka. Niewątpliwie uszkodzona, okaleczona sylwetka *Britannii* właśnie w tej chwili pojawiała się na żywo na milionach ekranów telewizyjnych. Ta katastrofa morska należała do najgorszych – a przynajmniej najbardziej dziwacznych – we współczesnej historii.

Przełknął ślinę, powinien się przyzwyczaić. Odtąd takie będzie jego życie – Patrick Kemper, szef ochrony w dziewiczym rejsie *Britannii*. Tak go zapamiętają jeszcze długo po śmierci. Wątpliwy tytuł do sławy.

Wyrzucił z głowy te myśli i skupił się na monitorach ochrony statku. Przynajmniej wszystkie systemy zostały ustabilizowane – czego nie mógł powiedzieć o samym statku. Wyobrażał sobie widok *Britanii* z nabrzeża: niższe balkony i iluminatory na bakburcie wgniecione przez fale, pokład szósty od strony sterburty rozpruty jak puszka sardynek przez skrzydło mostku *Grenfella*. W środku wyglądało jeszcze gorzej. Kiedy wlekli się do St. John's, Kemper przeprowadził inspekcję dolnych pokładów. Morze wybiło wszystkie szyby na bakburcie poniżej pokładu czwartego – w iluminatorach, oknach i balkonach – woda wdarła się do sklepów, restauracji, kasyn i korytarzy ze straszliwą siłą, roztrzaskała wszystko na swojej drodze, zepchnęła pod ściany i zostawiła spustoszenie, jak po przejściu huraganu. Niższe pokłady cuchnęły solą morską, zepsutym jedzeniem i trupami. Kemper przeraził się, widząc, jak wielu ludzi zginęło lub utonęło w powodzi; zmasakrowane ciała leżały rozrzucone bezładnie lub zaklinowane w stertach śmieci, niektóre nawet zwisały z sufitowych instalacji. W sumie ponad stu pięćdziesięciu pasażerów i członków załogi straciło życie, a ponad tysiąc odniosło rany.

Holowniki powoli przeciągały wielki statek na stanowisko. Zza okien mostku dochodziły stłumione jęki syren i dudnienie megafonów, kiedy ekipy pogotowia szykowały się na przyjęcie setek rannych, nadal przebywających na pokładzie statku.

Kemper otarł twarz i jeszcze raz przesunął wzrokiem po tablicach systemu bezpieczeństwa. Powinien dziękować za cud, że nie wszyscy zginęli – cud, który wydarzył się na mostku tuż przed Carrion Rocks. Cud, którego nie rozumiał, którego nigdy nie zdoła wyjaśnić.

Statek zaczął się ustawiać równolegle do nabrzeża. Grube liny cumownicze, używane jako szpringi, zostały wyrzucone na nabrzeże i zamocowane wokół masywnych pachołków przez zespoły robotników portowych. LeSeur oderwał się od radaru.

– Panie Kemper – powiedział głosem, w którym słyszało się krańcowe wyczerpanie – zadokują nas za dziesięć minut. Proszę nadać ogłoszenie, które omawialiśmy, dotyczące procedur ewakuacji.

Kemper kiwnął głową, uruchomił publiczny system nagłaśniający i przemówił do mikrofonu:

– Uwaga wszyscy pasażerowie i załoga: statek zadokuje za dziesięć minut. Osoby poważnie ranne zostaną ewakuowane w pierwszej kolejności. Powtarzam: osoby poważnie ranne zostaną ewakuowane w pierwszej kolejności. Wszyscy inni mają pozostać w swoich kabinach lub w kinoteatrze Belgravia i czekać na dalsze instrukcje. Dziękuję państwu.

Kemper słyszał echo swojego głosu w głośnikach na mostku i ledwie go rozpoznawał. Brzmiał jak głos martwego człowieka.

Z porannego nieba kroił lekki deszcz. LeSeur oparł się o tekowy reling na dziobie *Britannii* i spoglądał do tyłu na ogromny statek. Widział ciemne tłumy pasażerów przepychających się na pokładach, słyszał ich kłótnie głosy niesione deszczem, kiedy walczyli o miejsce przy trapie. Każdy chciał jak najszybciej zejść ze statku. Większość karetek pogotowia odjechała i nadeszła pora, żeby wysadzić pasażerów, którzy nie odnieśli żadnych obrażeń. Wzdłuż zatoki stały szeregi autobusów gotowych przewieźć ludzi do miejscowych hoteli oraz domów udostępnionych przez Nowofundlandczyków.

Marynarze pokładowi zaczęli zdejmować linę odgradzającą trap. Podniesione głosy załogi mieszały się z płaczącymi narzekaniami i pogroźkami pasażerów. LeSeur dziwił się, skąd ci ludzie jeszcze brali energię, żeby się złościć. Mieli cholerne szczęście, że przeżyli.

Rozstawiono przenośne słupki połączone byle jak linami i taśmą konstrukcyjną, żeby sprawnie pokierować wyjściem na ląd pasażerów. Na czele kolejki LeSeur widział Kempera, który najwyraźniej udzielał swoim ludziom ostatnich wskazówek, co robić: każdego pasażera należało wylegitymować i sfotografować – na rozkaz Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej – po czym skierować do wyznaczonego autobusu. Bez wyjątków.

Nie spodoba im się, pomyślał LeSeur. Ale korporacja musiała jakoś

zarejestrować, kto zszedł ze statku, żeby oddzielić zdrowych i rannych od zaginionych. Korporacja chciała mieć fotografie, jak mu powiedziano, żeby zdrowi pasażerowie nie składali później pozwów o odszkodowania za odniesione rany. W dalszym ciągu, nawet po tym wszystkim, chodziło o pieniądze, po pierwsze, po drugie i po trzecie.

Podniesiono bramkę przed trapem i ciemny strumień pasażerów popłynął na brzeg, tłocząc się niczym gromada obdartych uchodźców. Pierwszy – kto by pomyślał – okazał się krzepki mężczyzna w brudnym smokingu, który przepchnął się obok kobiet i dzieci. Zbiegł po rampie z wrzaskiem; w bezwietrznym powietrzu jego głos dotarł aż na dziób.

– Cholera jasna, chcę rozmawiać z kimś, kto tu rządzi! Nie będą mnie fotografować jak jakiegoś kryminalistę!

Przedarł się przez grupę urzędników portowych przy podstawie trape, ale dokerzy z St. John's i funkcjonariusze Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej, których wezwano na pomoc, szybko udowodnili, że z nimi nie ma żartów. Zastąpili mu drogę, a kiedy stawiał opór, założyli mu kajdanki i odciągnęli na bok.

– Zabierzcie ręce ode mnie! – krzyknął mężczyzna. – Jak śmiecie! Zarządzam dwudziestopięciomiliardowym funduszem inwestycyjnym w Nowym Jorku! Co to jest, komunistyczna Rosja?

Pospiesznie odprowadzono go do czekającego radiowozu i wpakowano do środka, chociaż wrzeszczał bez przerwy. Jego los otrzeźwił chyba wszystkich, którzy też zamierzali urządzić scenę.

LeSeur z trudem ignorował głosy podniesione w żalu i gniewie. Rozumiał zdenerwowanie pasażerów i współczuł im, ale w sumie to był najszybszy sposób, żeby opuścili statek. I wciąż jeszcze musieli znaleźć seryjnego mordercę.

Kemper podszedł do niego i oparł się o reling, żeby obserwować potok ludzki. Przez chwilę milczeli znużeni. Nie mieli nic do



powiedzenia.

LeSeur wrócił myślami do przesłuchań przed komisją śledczą, które go czekały. Zastanawiał się, jak wytłumaczyć pojawienie się tego dziwnego... stwora, który na jego oczach zaatakował Mason. To wyglądało jak opętanie przez demona. Odkąd to się stało, wciąż na nowo odtwarzał w myślach sekwencję wydarzeń – dziesiątki razy – a jednak nie zbliżył się ani o milimetr do zrozumienia, co, u diabła, właściwie zobaczył. No i co miał powiedzieć? „Widziałem, jak duch opętał kapitan Mason?”. Nieważne, jakich użyje sformułowań, oni i tak pomyślą, że coś kręci albo że zwariował, albo jeszcze gorzej. Nie, nie mógł im powiedzieć, co naprawdę widział. Nigdy. Zamiast tego powie raczej, że Mason dostała jakiegoś ataku, na przykład epilepsji, a resztę przemilczy. Niech lekarze się głowią, co się stało z jej sflaczałym, skurczonym ciałem.

Westchnął, patrząc na długie szeregi ludzi człapiących w mżawce. Teraz już wcale nie wyglądali na bogatych i potężnych, raczej przypominali uchodźców.

Wciąż obsesyjnie wracał myślami do tego, co widział. Może wcale tego nie widział; może wystąpiły usterki w odbiorze wewnętrznej telewizji. Może to był tylko pyłek kurzu, uwięziony w soczewce kamery, powiększony stukrotnie, wstrząsany przez wibrację silników statku. Stres i wyczerpanie sprawiły, że coś mu się przywidziało.

Tak, na pewno. Właśnie tak się stało.

Ale potem przypomniał sobie, co znaleźli na mostku: zwiotczałe zwłoki Mason na podłodze, przypominające pusty worek, jakby pozbawione kości...

Z tych myśli wytrąciło go nadejście znajomej osoby: korpulentnego mężczyzny z laseczką i białym goździkiem w klapie nieskazitelnej marynarki. LeSeur natychmiast poczuł ściskanie w żołądku, rozpoznał Iana Elliotta, dyrektora generalnego linii North Star. Facet na pewno

przyleciał tutaj, żeby osobiście przewodniczyć w publicznym przeciąganiu LeSeura pod kilem. Obok niego Kemper wydał cichy, zduszony dźwięk. LeSeur przełknął ślinę – zapowiadało się jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażał.

Elliott podszedł różnym krokiem.

– Kapitan LeSeur?

LeSeur zeszywniał.

– Sir.

– Chciałbym panu pogratulować.

To było takie nieoczekiwane, że LeSeur w pierwszej chwili nie zrozumiał. Pewnie miał halucynacje – Bóg jeden wie, że ze zmęczenia mogły mu się zwidywać różne rzeczy.

– Sir? – powtórzył zupełnie innym tonem.

– Dzięki pana odwadze, trzeźwemu rozsądkowi i marynarskim kwalifikacjom *Britannia* nie zatonała. Nie znam jeszcze całej historii, ale z tego, co wiem, mogła się skończyć zupełnie inaczej. Chciałem panu osobiście podziękować.

I wyciągnął rękę.

Oszołomiony LeSeur odwzajemnił uścisk dłoni.

– Nie będę panu przeszkadzał w wypełnianiu obowiązków, ale kiedy już wszyscy pasażerowie wysiądą, może zechce mnie pan wprowadzić w szczegóły.

– Oczywiście, sir.

– No i pozostaje kwestia *Britannii*.

– Kwestia, sir? Chyba nie rozumiem.

– No cóż, kiedy zostanie naprawiona i wyposażona, będzie potrzebowała nowego kapitana... prawda?

Po czym z lekkim uśmiechem Elliott odwrócił się i odszedł.

Kemper pierwszy przerwał milczenie.

– Cholera jasna, nie wierzę – mruknął pod nosem.

LeSeur też ledwie mógł uwierzyć. Może po prostu specjaliści od public relations z North Star chcieli w ten sposób przedstawić sytuację – zrobić z nich bohaterów, którzy uratowali życie ponad dwóch i pół tysiąca pasażerów. A może nie. Tak czy inaczej nie zamierzał tego kwestionować. I chętnie opowie Elliottowi wszystko, co się wydarzyło – no, prawie wszystko...

Te rozmyślenia przerwał mu oficer Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej.

– Który z panów to pan Kemper? – zapytał.

– Ja jestem Kemper – odparł szef ochrony.

– Jest tutaj dżentelmen z FBI, który chce z panem pomówić.

LeSeur zobaczył, że jakiś chudy człowiek wychodzi z cienia nadbudówki. Był to agent FBI Pendergast.

– Czego pan chce? – zapytał Kemper.

Pendergast wyszedł na oświetloną przestrzeń. Ubrany był w czarny garnitur, twarz miał mizerną i trupio bladą, jak każdy schodzący z pokładu tego nieszczęsnego statku. Pod pachą niósł długą płaską mahoniową skrzynkę. Obok niego, uwieszona drugiego ramienia, stała młoda kobieta o krótkich ciemnych włosach i śmiertelnie poważnych oczach.

– Dziękuję panu, panie Kemper, za nader interesującą podróż.

Po tych słowach Pendergast oswobodził ramię z uścisku kobiety i sięgnął do neseseru, który przyniósł ze sobą.

Kemper popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Oficerom na statku nie daje się napiwków – powiedział szorstko.

– Ten napiwek pan chyba przyjmie – odparł Pendergast, wyjmując z neseseru paczuszkę zawiniętą w ceratę. Podał ją Kemperowi.

– Co to jest? – zapytał Kemper, biorąc paczuszkę.

Agent nie odpowiedział, tylko odwrócił się i razem z kobietą zanurzyli się znowu w cień, zmierzając w stronę tłumów przy trapie.

LeSeur patrzył, jak Kemper odwija ceratę.

– Wygląda na wasze trzysta tysięcy funtów – zauważył, kiedy Kemper gapił się w zdumieniu na przemoczone pliki banknotów.

– Najdziwniejszy człowiek, jakiego w życiu spotkałem – wymamrotał Kemper do siebie.

LeSeur go nie słyszał. Znowu myślał o tym demonicznym całunie, który spowijał kapitan Mason.

# Epilog

Lato wreszcie przyszło do doliny Llölung. Rzeka Tsangpo ryczała w kamienistym łożysku, wezbrana od śniegów topniejących na górskich zboczach. Kwiaty wypełniały szpary i pęknięcia na dnie doliny. Czarne orły szybowały nad urwiskami, ich przenikliwe krzyki odbijały się echem od wielkiej ściany granitu na końcu doliny i zlewały z wiecznym hukiem wodospadu tryskającego znad krawędzi i spadającego wachlarzem na skały w dole. Dalej wznosiły się trzy masywne szczyty, Dhaulagiri, Annapurna i Manaslu, skute wiecznym śniegiem i lodem, niczym trzej niemi, wyniośli królowie.

Pendergast i Constance jechali obok siebie wąską ścieżką, ciągnąc za sobą jucznego kuca, na którego grzbiecie spoczywała długa skrzynia, zapakowana w brezentowy worek i przywiązana.

– Powinniśmy dotrzeć przed zachodem słońca – powiedział Pendergast, spoglądając na niewyraźny szlak wijący się po granitowym zboczu.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Dziwi mnie – podjął Pendergast – że Zachód, tak rozwinięty pod wieloma względami, wciąż tonie w mrokach niewiedzy, jeśli chodzi o zrozumienie najgłębszych tajników ludzkiego umysłu. Agozyen dał doskonały przykład, jak bardzo Wschód nas wyprzedza w tej dziedzinie.

– Próbowałaś rozgryźć, jak on działa?

– Prawdę mówiąc, przypadkiem przeczytałem artykuł w „Timesie”, który może rzucić trochę światła na tę sprawę. Dotyczył niedawno odkrytego matematycznego obiektu, zwanego E osiem.

– E osiem?

– E osiem został odkryty przez zespół naukowców w MIT. Superkomputer pracujący przez cztery lata musiał rozwiązać dwieście miliardów równań, żeby narysować jego obraz... w dodatku bardzo niedoskonały. Gazeta zamieściła uproszczoną reprodukcję i kiedy ją zobaczyłem, uderzyło mnie jej podobieństwo do mandali Agozyena.

– Jak ona wygląda?

– Niemożliwa do opisanie, niewiarygodnie skomplikowana konstrukcja przeplatających się linii, punktów, powierzchni, sfer wewnątrz sfer, zajmująca prawie sto pięćdziesiąt wymiarów matematycznych. Podobno E osiem jest najbardziej symetrycznym możliwym obiektem. Nawet więcej, fizycy uważają, że może stanowić odwzorowanie najgłębszej wewnętrznej struktury samego wszechświata, prawdziwej geometrii czasoprzestrzeni. Pomyśleć, że przed tysiącem lat mnisi w Indiach jakoś odkryli ten niezwykły wzorzec i przenieśli go na obraz.

– W dalszym ciągu nie rozumiem. Jak samo patrzenie na obraz może zmienić czyjś umysł?

– Nie wiem dokładnie. Jego geometria jakoś rozświetla sieć neuronową mózgu. Wywołuje rezonans, jeśli wolisz. Może na najgłębszym poziomie nasz mózg stanowi odbicie fundamentalnej geometrii wszechświata. Agozyen to rzadkie połączenie neurologii, matematyki i mistyki.

– Niezwykłe.

– Filozofia i mistyka Wschodu zawierają wiele rzeczy, których tępy zachodni umysł wciąż nie docenia. Ale powoli ich doganiamy. Na

przykład naukowcy z Harvardu właśnie zaczęli badać wpływ tybetańskich ćwiczeń medytacyjnych na umysł... i ku swojemu zdumieniu odkryli, że medytacja powoduje trwałe zmiany fizyczne ciała i mózgu.

Dotarli do brodu na Tsangpo. Rzeka rozlewała się tutaj szeroko, bystra woda chlupotała wesoło w płytkim kamienistym korycie. Konie ostrożnie weszły w nurt i stąpały z rozważą po kamieniach. Dotarli na drugi brzeg i ruszyli dalej.

– A dymny duch? Jego też można wytłumaczyć naukowo?

– Wszystko można wytłumaczyć naukowo, Constance. Magia i cuda nie istnieją... istnieje tylko nauka, jakiej jeszcze nie odkryliśmy. Dymny duch to był oczywiście *tulpa* albo „myśloforma”... istota stworzona w akcie intensywnego skupienia wyobraźni.

– Mnisi nauczyli mnie paru technik tworzenia *tulpy*, ale ostrzegali, że to niebezpieczne.

– Wyjątkowo niebezpieczne. Na Zachodzie pierwsza opisała to zjawisko francuska badaczka, Alexandra David-Neel. Poznała sekrety tworzenia *tulpy* niedaleko stąd, nad jeziorem Manosawar. Wypróbowała je dla hecy i wyobraziła sobie grubiućkiego, wesołego, małego mnicha, zwanego braciszek Tuck. Początkowo mnich istniał tylko w jej umyśle, ale z czasem zaczął żyć własnym życiem. Chwilami go dostrzegała, jak przemykał dookoła obozu i straszył jej towarzyszy. Potem zrobiło się gorzej: straciła kontrolę nad mnichem, który zaczął morfować w coś większego, chudszeo i znacznie groźniejszego. Przybrał własną postać, całkiem jak nasz dymny duch. Próbowwała go zniszczyć, wchłaniając go z powrotem do swojego umysłu, ale *tulpa* stawiał zacięty opór i w rezultacie doszło do psychicznej bitwy, która niemal zabiła Francuzkę. *Tulpę* na pokładzie *Britannii* stworzył nasz przyjaciel Blackburn... i jego *tulpa* zabił.

– Czyli Blackburn był adeptem.

– Tak. W młodości podróżował i studiował w księstwie Sikkim. Natychmiast zrozumiał, czym jest Agozyen i jak można go wykorzystać... na nieszczęście dla Jordana Ambrose'a. To nie przypadek, że mandala trafiła w ręce Blackburna; podróżowała po świecie wcale nie bezcelowo. Można powiedzieć, że Agozyen wyszukał Blackburna, wykorzystując Ambrose'a jako pośrednika. Blackburn, ze swoimi miliardami i smykałką do Internetu, nadawał się idealnie, żeby rozpowszechnić Agozyena na całej kuli ziemskiej.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Wiesz – odezwała się Constance – nigdy mi nie wyjaśniłeś, w jaki sposób nasłałeś *tulpę* na kapitan Mason.

Pendergast nie odpowiedział od razu. Widocznie to wspomnienie wciąż sprawiało mu wielki ból. W końcu zaczął mówić:

– Kiedy się uwolniłem z jego uścisku, stworzyłem w umyśle jeden jedyny obraz – Agozyen. W skrócie, zaszczepiłem *tulpie* ten obraz. Dałem mu nowy przedmiot pożądania.

– Zmieniłeś ofiarę.

– Właśnie. Kiedy *tulpa* nas opuścił, odszukał pozostałe żywe istoty, które widziały Agozyena... a w przypadku Mason kogoś, kto przynajmniej pośrednio dążył do jego zniszczenia. I *tulpa* unicestwił oboje.

– A potem?

– Nie mam pojęcia, dokąd odszedł. Wydarzenia zatoczyły pełny krąg, więc może powrócił do tego wymiaru, z którego został wezwany. Albo po prostu znikł po śmierci swojego stwórcy. Ciekawe, jakie poglądy mają mnisi w tej kwestii.

– W takim razie w końcu działał na rzecz dobra.

– Można tak powiedzieć... chociaż wątpię, czy w ogóle rozumiał albo uznawał koncepcję dobra.

– Niemniej posłużyłeś się nim, żeby uratować *Britannię*.



– Owszem. I w rezultacie trochę mniej się wstydzę swojej pomyłki.

– Pomyłki? Jakiej?

– Zakładałem, że wszystkie morderstwa popełniła jedna osoba, ktoś z pasażerów. Tymczasem w rzeczywistości Blackburn zabił tylko jednego człowieka... i to na lądzie.

– W bardzo dziwny sposób. Agozyen tak jakby podnosi wieko i wypuszcza na wolność najgłębiej ukryte, najbardziej gwałtowne i atawistyczne impulsy.

– Tak. I to mnie zmyliło... podobny *modus operandi*. Założyłem, że wszystkich zabójstw dokonała ta sama osoba, chociaż powinienem zrozumieć, że morderców była dwójka i tylko działali pod wpływem tego samego złowrogiemu artefaktu... Agozyena.

Dotarli do początku stromego szlaku. Pendergast zsiadł z konia i modlitewnym gestem położył rękę na wielkim kamieniu *mani* stojącym u stóp stromizny. Constance zrobiła to samo i ruszyli dalej na piechotę, prowadząc konie za wodze. Wkrótce wspięli się na szczyt, przeszli przez ruiny wioski i okrążyli boczny masyw, zza którego wyłoniły się zdobione pinaklami dachy, wieżyczki i strome mury klasztoru Gsalrig Chongg.

Minęli rumowisko usłane wyblakłymi kośćmi – sępy odleciały – i podeszli do klasztoru.

Brama w zewnętrznym kamiennym murze otwarła się niemal natychmiast. Dwóch mnichów wyszło im na spotkanie; jeden odprowadził dwa wierzchowce, podczas gdy Pendergast zdjął ładunek z kuca. Wsadził skrzynię pod pachę i razem z Constance weszli za mnichem przez okute żelazem drzwi do ciemnego wnętrza klasztoru pachnącego dymem i drewnem sandałowym. Pojawił się następny mnich z mosiężnym lichtarzem w rękę i poprowadził ich w głąb klasztoru.

Weszli do komnaty ze złotym posągami Padmasambhawy,

tantrycznego Buddy. Mnisi zgromadzili się już na kamiennych ławach, pod przewodnictwem zgrzybiałego opata.

Pendergast postawił skrzynkę na podłodze i też usiadł na ławie. Constance zajęła miejsce obok opiekuna.

Tsering wstał.

– Przyjacielu Pendergaście i przyjaciółko Greene – powiedział – witamy was z powrotem w klasztorze Gsalrig Chongg. Proszę, wypijcie z nami herbatę.

Wniesiono czarki słodkiej maślanej herbaty i wypito w milczeniu. Potem Tsering znowu zabrał głos.

– Co nam przywieźliście?

– Agozyena.

– To nie jego szkatułka.

– Oryginalna szkatułka nie przetrwała.

– A Agozyen?

– Jest w środku... w oryginalnym stanie.

Milczenie. Zgrzybiały opat przemówił, a Tsering przetłumaczył.

– Opat chciałby wiedzieć, czy ktoś na niego spojrział.

– Tak.

– Ilu ludzi?

– Pięcioro.

– Gdzie oni teraz są?

– Czworo nie żyje.

– A piąty?

– Ja byłem piąty.

Kiedy przetłumaczono te słowa, opat nagle wstał i szeroko otworzył oczy. Potem podszedł do Pendergasta, chwycił go kościstą dłonią za ramię i postawił na nogi z zadziwiającą siłą. Spojrzał mu w oczy. Minuty mijały w cichej sali – a potem opat przemówił.

– Opat mówi, że to niezwykle – przetłumaczył Tsering. – Wypaliłeś

demona. Ale pozostałeś skażony, bo kto raz doświadczył ekstazy czystego, wolnego zła, nigdy nie zapomni tej radości. Pomożemy ci, ale nigdy nie uzdrowimy cię w pełni.

– Już to zrozumiałem.

Opat skłonił się. Podniósł skrzynkę i podał innemu mnichowi, który ją wyniósł z komnaty.

– Jesteśmy ci wdzięczni na wiečność, przyjacielu Pendergaście – powiedział Tsering. – Dokonałeś wielkiego czynu... wielkim kosztem.

Pendergast dalej stał.

– Niestety, to jeszcze nie koniec – oznajmił. – Macie wśród was złodzieja. Jeden z waszych mnichów widocznie uważał, że świat dojrzał do oczyszczenia, więc zorganizował kradzież Agozyena. Nadal musimy znaleźć tego mnicha i powstrzymać go, żeby nie zrobił tego ponownie... inaczej Agozyen nigdy nie będzie bezpieczny.

Po przetłumaczeniu tych słów opat obejrzał się na niego, lekko unosząc brwi. Wahał się przez chwilę. Potem zaczął mówić. Tsering tłumaczył:

– Opat mówi, że masz rację, to nie koniec. Nie koniec, tylko początek. Prosił mnie, żebym ci wyjawiał pewne ważne rzeczy. Usiądź, proszę.

Pendergast zajął miejsce, podobnie jak opat.

– Po twoim wyjeździe odkryliśmy, kto wypuścił Agozyena w świat i dlaczego.

– Kto?

– Święty lama w murze. Ten najstarszy.

– Zamurowany anachoreta?

– Tak. Jordan Ambrose zainteresował się tym człowiekiem i rozmawiał z nim. Lama wpuścił Ambrose'a do wewnętrznego klasztoru, namówił go do kradzieży Agozyena. Ale nie żeby oczyścić świat. Lama miał inny powód.

– Jaki?

– Trudno wytłumaczyć. Zanim tu przybyliście na wiosnę, zmarł jego świątobliwość Ralang Rinpocze. On jest osiemnastą inkarnacją rinpocze, który założył ten klasztor dawno temu. Nie możemy istnieć dalej jako klasztor bez wcielenia naszego nauczyciela. Tak więc, kiedy rinpocze umiera, musimy wyjść na świat, żeby znaleźć jego reinkarnację. Wtedy przywozimy dziecko do klasztoru i wychowujemy jako następnego rinpocze. Zawsze tak postępujemy. Kiedy siedemnasty rinpocze zmarł w tysiąc dziewięćset dziewiętnastym roku, Tybet był wolnym krajem i mogliśmy wyruszyć na poszukiwanie jego reinkarnacji. Teraz jednak osiemnasty rinpocze nie żyje, a Tybet jest pod okupacją. Podróżowanie dla tybetańskich mnichów jest bardzo trudne i niebezpieczne. Chińczycy aresztują tybetańskich mnichów wypełniających takie misje, biją ich, czasami zabijają. Święty człowiek w murze zna wiele ukrytych rzeczy. Zna proroctwo, które mówi: kiedy nie możemy wyjść i znaleźć nowego rinpocze, wówczas nowy rinpocze sam przyjdzie do Gsalrig Chongg. Rozpoznamy tego rinpocze, ponieważ on wypełni przepowiednię spisaną w świętym tekście założyciela naszego klasztoru. Oto ona:

*Gdy Agozyen przepłynie Zachodnie Morze  
I ciemność zadrży w kręgu ciemności,  
Wody się wzburzą z wściekłości  
I uderzą w wielki pałac głębin,  
I poznamy rinpocze przez jego opiekuna,  
Który powróci z Zieloną Tarą,  
Tańczącą po wodach Zachodniego Morza,  
Ze zrujnowanego pałacu głębin.*

Zatem święty mąż postanowił sprawdzić przepowiednię i wypuścił Agozyena w świat, żeby zobaczyć, kto go przyniesie z powrotem. Ponieważ człowiek, który go przyniesie, jest opiekunem dziewiętnastego rinpocze.

Pendergasta ogarnęło rzadkie uczucie – dogłębne zdumienie.

– Tak, przyjacielu Pendergast, przywiozłeś nam dziewiętnastego rinpocze.

Tsering spojrział na Pendergasta z lekkim rozbawieniem. A potem przeniósł wymowny wzrok na Constance.

Wstała.

– Opiekun... przepraszam, czy chcesz powiedzieć, że to ja jestem reinkarnacją rinpocze? Przecież to absurd... urodziłam się na długo przed jego śmiercią.

Uśmiech mnicha się poszerzył.

– Nie mówię o tobie. Mówię o dziecku, które nosisz.

Zdumienie Pendergasta jeszcze bardziej wzrosło. Odwrócił się do Constance, która patrzyła na mnicha z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Dziecko? – zapytał. – Ale przecież pojechałaś do kliniki Feversham. Myślałem... zakładałem...

– Tak – przyznała Constance. – Pojechałam do kliniki. Ale na miejscu doszłam do wniosku, że nie mogę się na to zdobyć. Nawet... wiedząc, że to jego.

Tsering przerwał milczenie, które zapadło po tych słowach.

– Starożytna modlitwa mówi: „Prowadź mnie pomiędzy wszelkie nieszczęścia. Tylko na tej ścieżce mogę przemienić zło w dobro”.

Constance kiwnęła głową i nieświadomie uniosła jedną rękę do lekko zaokrąglonej talii. A potem uśmiechnęła się: uśmiechem na wpół nieśmiałym, na wpół tajemniczym.

# Od autorów

Często pytają nas, w jakiej kolejności – o ile jest takowa – należałoby czytać nasze książki.

Pytanie to dotyczy przede wszystkim powieści z udziałem agenta specjalnego Pendergasta. Choć większość z naszych książek to powieści samodzielne, odrębne, które można czytać pojedynczo, akcja niektórych z nich toczy się w tym samym tworzonym przez nas świecie. Tak się jakoś złożyło, że im więcej powieści wspólnie piszemy, tym więcej pojawia się w nich znajomych miejsc, postaci i nawiązań do wydarzeń opisywanych w innych naszych książkach. Bohaterowie jednej z nich pojawiają się w kolejnych lub pewne wydarzenia, dotąd zaledwie zasugerowane, znajdują rozwinięcie w następnej powieści. Innymi słowy, od lat powoli i z mozołem budujemy własny świat, w którym postacie i ich przygody zazębiają się ze sobą i nakładają wzajemnie.

Nie jest konieczne czytanie naszych książek w jakiejś konkretnej kolejności. Pracowaliśmy usilnie, aby niemal wszystkie nasze pozycje można było czytać odrębnie, bez konieczności sięgania po wcześniejsze czy późniejsze, choć są pewne wyjątki.

A oto krótka lista naszych powieści z adnotacjami na ich temat.

## **POWIEŚCI Z PENDERGASTEM**

*Relikt* był naszą pierwszą powieścią i również pierwszą, w której pojawił się agent specjalny Pendergast.

*Relikwiarz* jest kontynuacją *Reliktu*.

*Gabinet osobliwości* to nasza trzecia powieść z Pendergastem, samodzielna, niepołączona z dwiema poprzednimi.

Kolejna to *Martwa natura z krukami*, to także osobna książka (choć osoby zainteresowane postacią Constance Greene znajdą tu pewne informacje na jej temat, podobnie jak w *Gabinecie osobliwości*).

Potem jest *Siarka*, pierwsza powieść z cyklu, który nieformalnie określamy mianem trylogii Pendergasta. Choć to zamknięta historia, znajdują się w niej nawiązania do wydarzeń opisywanych w *Gabinecie osobliwości*.

*Taniec śmierci* to środkowy tom trylogii Pendergasta. Choć można tę książkę czytać samodzielnie, zachęcamy, aby czytelnik sięgnął wcześniej po *Siarke*.

*Księga Umarłych* to zamknięcie trylogii Pendergasta. Dla zapewnienia pełniejszych wrażeń, czytelnik powinien wcześniej przeczytać przynajmniej *Taniec śmierci*.

## **POWIEŚCI BEZ PENDERGASTA**

Napisaliśmy również kilka książek przygodowych, w których nie występuje agent specjalny Pendergast. Są to w kolejności wydania: *Laboratorium*, *Zabójcza fala*, *Nadciągająca burza* i *Granica lodu*. W *Nadciągającej burzy* pojawia się po raz pierwszy archeolog Nora Kelly, którą czytelnicy mogą znać z naszych późniejszych książek o Pendergastie. W *Granicy lodu* głównym bohaterem jest Eli Glinn, który występuje także w *Tańcu śmierci* i *Księdze Umarłych*.

Na koniec pragniemy zapewnić naszych czytelników, że niniejsze postłowie nie ma pełnić funkcji uciążliwego konspektu, lecz raczej odpowiedzi na pytanie: w jakiej kolejności należałoby czytać wasze

książki? Jesteśmy radzi, że są osoby takie jak wy, którym lektura naszych powieści sprawia równie wielką frajdę jak nam ich pisanie.

Pozdrawiamy serdecznie,  
Douglas Preston i Lincoln Child.



*Doug Preston*



# Przypisy

- [1] *Tsampa* – gruboziarnista mąka z prażonego jęczmienia stanowiąca podstawowe pożywienie Tybetańczyków; robi się z niej placki albo dodaje ją do tybetańskiej herbaty maślanej.
- [2] *Tangka* – tybetańskie kolorowe malarstwo lub haft na tkaninie, jedwabiu lub papierze.
- [3] Po angielsku *constancy* znaczy stałość, *green* – zielony.
- [4] Repusowanie (trybowanie) – zdobienie wyrobów z blachy poprzez wybijanie na zimno wgłębień, dających po drugiej stronie wypukły wzór; w trakcie tego procesu nie powstają wióry metalu.
- [5] *Szałamaja* – średniowieczny instrument muzyczny, z którego powstał obój.
- [6] *Kangling* – rytualny tybetański instrument wykonany z ludzkiej kości udowej, czasem też z drewna lub metalu: trąbka albo rożek, na którym gra wyznawca, żeby wezwać głodne duchy i demony, zaspokoić ich głód i uwolnić je od cierpień.
- [7] *Dordża* – przedmiot rytualny symbolizujący niewzruszoność i niezniszczalność stanu buddy, trzymany w prawej dłoni lamy podczas odprawiania ceremonii.
- [8] *Kapała* – ludzka czaszka, zwykle bez żuchwy, w tybetańskiej sztuce religijnej rzeźbiona, zdobiona okuciami ze szlachetnych metali, malowidłami oraz klejnotami.
- [9] Dante Gabriel Rossetti *Proserpine*, przekład tłumaczki.
- [10] Grand Banks – płycizny na południowy wschód od Nowej Fundlandii, stanowiące część północnoamerykańskiego szelfu kontynentalnego; głębokość morza wynosi tam od 25 do 100 metrów, zimny Prąd Labradorowski miesza się z ciepłym Prądem Zatokowym; bogate łowiska.
- [11] Anna Achmatowa, *Poemat bez bohatera/Rok 1913*, (przekład tłumaczki).
- [12] ECDIS (*Electronic Chart Display and Information System*) – system obrazowania elektronicznych map i informacji nawigacyjnych.
- [13] ULCC (*Ultra Large Crude Oil Carrier*) – zbiornikowiec powyżej 320 000 ton nośności.
- [14] CPA (*Closest Point of Approach*) – najmniejsza odległość mijania.

- [15] ARPA (ang. *Automatic Radar Plotting Aid*) – komputer wbudowany w radar, prowadzący automatycznie nakres radarowy, pozwala na jednoczesne śledzenie wielu obiektów, obliczanie parametrów ich ruchu oraz możliwości kolizji.
- [16] VLCC (ang. *Very Large Crude Carrier*) – zbiornikowiec o nośności od 250 000 do 300 000 ton.
- [17] *Doucement* (fr.) – spokojnie.
- [18] Monty Hall (ur. 1921) – kanadyjski aktor i piosenkarz, gospodarz popularnych programów telewizyjnych; od jego nazwiska pochodzi znany z rachunku prawdopodobieństwa „paradoks Monty’ego Halla”.
- [19] Formuła Kelly’ego (opisana przez J.L. Kelly’ego w 1956 roku) – jeżeli gracz potrafi określić prawdopodobieństwo danego wydarzenia, formuła Kelly’ego pozwala mu obliczyć, jaki procent kapitału powinien przeznaczyć na obstawienie danego wydarzenia, dzięki czemu maksymalizuje zysk na dłuższą metę i unika bankructwa.
- [20] Flemish Cap – obszar płytkiej wody na północnym Atlantyku, mniej więcej na 47 stopniu szerokości północnej i 45 stopniu długości wschodniej, znane łowisko.
- [21] Kod ISPS (*International Ship and Port Facility Security Code*) – kod bezpieczeństwa wprowadzony z inicjatywy Stanów Zjednoczonych po ataku terrorystycznym 11 września, określający minimum wymaganych środków bezpieczeństwa na statkach powyżej 500 ton długości.
- [22] *Phurbu* (tyb. „gwóźdź”) – sztylet o trójgraniastym ostrzu, stosowany w rytuałach tantrycznych dla opanowania złych demonów.
- [23] Makara – w mitologii indyjskiej mityczny stwór, wierzchowiec bogini Gangi.
- [24] Chartplotter – urządzenie stosowane w nawigacji morskiej, które integruje dane GPS z elektroniczną mapą nawigacyjną (ENC); chartplotter wyświetla na mapie pozycję, kurs i prędkość statku, może też wyświetlać dodatkowe informacje z radaru, echosondy lub innych czujników.
- [25] Loran (ang. «*long-range aid to navigation system*») – system radionawigacji hiperbolicznej dużego zasięgu.
- [26] SOLAS (*International Convention For Satefy Of Life At Sea* – międzynarodowa konwencja o bezpieczeństwie życia na morzu) – przepisy określające wyposażenie m.in. tratwy ratunkowej; w skład zestawu SOLAS B wchodzi na przykład race sygnalizacyjne, wodoodporne latarki, koce, apteczka pierwszej pomocy, wiosła, niezatapialny nóż, zapasowe baterie, lusterko sygnalizacyjne, pojemnik na wodę pitną itp.
- [27] EPIRB (*Emergency Position Indicating Radio Beacon*) – awaryjna radiopława uaktywniana ręcznie lub w momencie zalania wodą, która podaje swoją aktualną pozycję oraz emituje błyskające światło, pozwalając na odnalezienie miejsca katastrofy.
- [28] Technologia push – automatyczne przesyłanie informacji do odbiorców.
- [29] *Tulpa* – w tybetańskim mistycyzmie istota lub przedmiot wytworzona czystą

siłą woli; zmaterializowana myśl, która przybrała fizyczną postać.

- [30] HVAC (ang. *Heating, Ventilation, Air Conditioning*) – ogrzewanie, wentylacja, klimatyzacja.
- [31] AES (ang. *Advanced Encryption Standard*) – symetryczny szyfr blokowy, odporny na znane ataki kryptoanalizy różnicowej i liniowej.
- [32] Atak *side channel* – rozszyfrowanie matematycznie bezpiecznych kluczy kryptograficznych poprzez analizę naturalnych fizycznych skutków ubocznych szyfrowania, jak pobór mocy, czas obliczeń i emisja elektromagnetyczna.
- [33] Gazogen – późnowiktoriańskie urządzenie do wytwarzania wody sodowej, poprzednik syfonu; składało się z dwóch połączonych szklanych kul oplecionych wikliną lub stalową siatką, ponieważ często pękały lub wybuchały. Dolna zawierała wodę lub inny napój, górna mieszankę kwasu winowego i wodorowęglanu sodu, które reagowały ze sobą, wytwarzając dwutlenek węgla. Ciśnienie gazu wypychało wodę przez kran zamontowany na złączeniu kul.
- [34] Pasma X – fragment widma fal elektromagnetycznych o częstotliwościach od 8 do 12,5 GHz; ze względu na małą długość fali możliwe jest uzyskanie obrazów radarowych o wysokich rozdzielczościach.
- [35] Kamień zmartwień – gładki, wypolerowany kamień jubilerski owalnego kształtu, z zagłębieniem wielkości opuszki kciuka; trzymany pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i pocierany podobno łagodzi zmartwienia; tego rodzaju stymulacja czasami działa uspokajająco i zmniejsza poziom stresu; kamienie zmartwień pochodzą ze starożytnej Grecji.
- [36] *Trompe l'oeil* (fr. „oszukać oko”) – technika malarska stwarzająca iluzję czegoś, co nie istnieje, na przykład przedstawiająca trójwymiarową przestrzeń na płaszczyźnie.